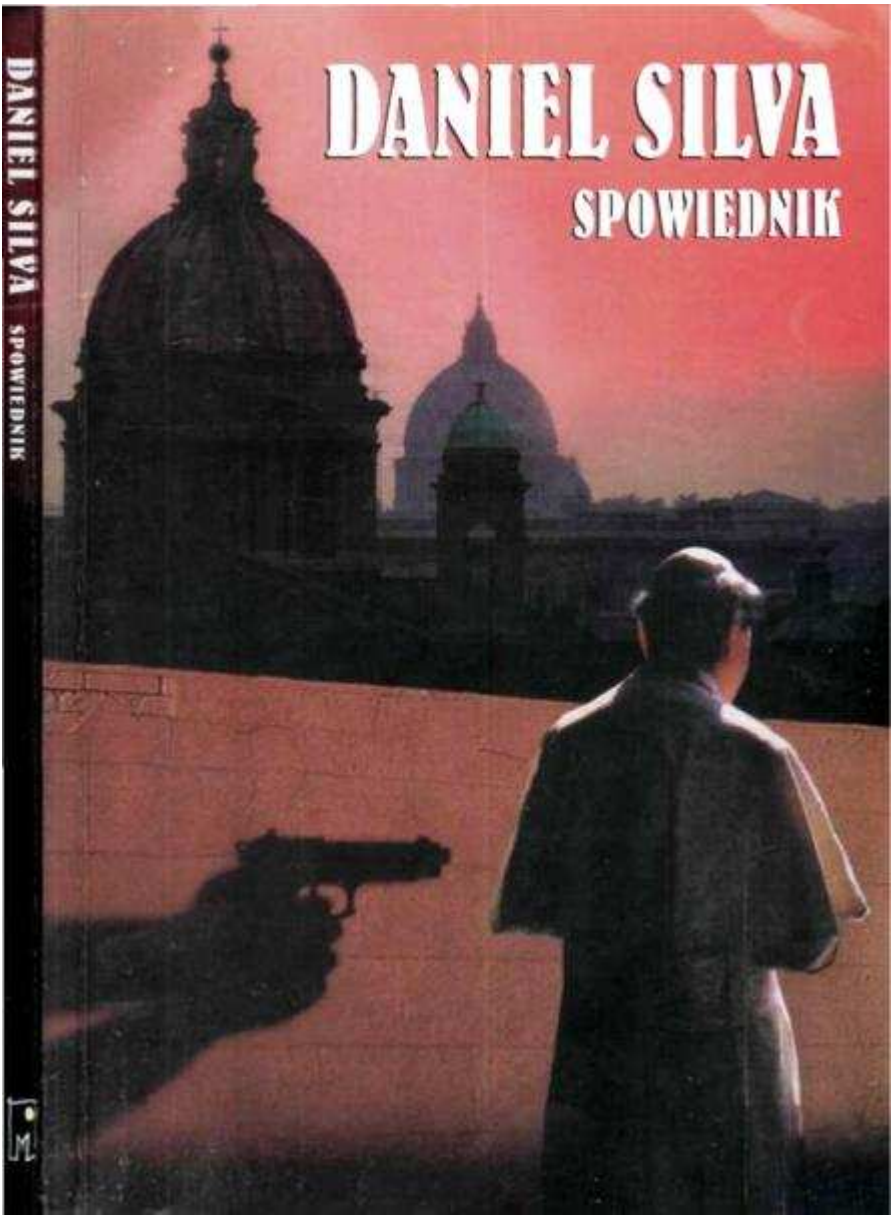
DANIEL SILVA
SPOWIEDNIK
DANIEL SILVA
SPOWIEDNIK

Po raz kolejny Gabriel Allon, konserwator sztuki i agent izraelskiego wywiadu, wkracza do akcji. Tym razem próbuje rozwikłać zagadkę morderstwa swojego przyjaciela, pisarza Benjamina Sterna. Okazuje się, że książka, nad którą pracował zamordowany, miała udzielić odpowiedzi na niebezpieczne pytania: Czym zajmuje się tajna watykańska organizacja Crux Vera? Na czym polegała jej działalność w 1942 roku? Czyżby Watykan zawarł z Hitlerem pakt dotyczący Zagłady Żydów? Podążając tropem tajemnic z przeszłości, Allon odkryje prawdę o spisku zagrażającym życiu samego papieża... ***Spowiednik*** to świetnie napisana powieść szpiegowska o misternie utkanej fabule, którą czyta się z zapartym tchem!

Daniel Silva karierę zaczynał jako dziennikarz i korespondent z Bliskiego Wschodu. Jest autorem wielu bestsellerów: *Angielskiego zabójcy*, wydanego przez wydawnictwo MUZA, *The Unlikely Spy*, *The Mark of the Assassin*, *The Marching Season* oraz *The Kill Artist*. Mieszka w Waszyngtonie. Wkrótce ukaże się kolejna jego powieść *Śmierć w Wiedniu*.

Cena 29,90 zł

ISBN 83-7319-655-2

9 788373 196551 >

www.muza.com.pl

DANIEL SILVA

SPOWIEDNIK

przełożył
JĘDRZEJ BURAKIEWICZ

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA

Tytuł oryginału: *The Confessor*

Projekt okładki:

Wojciech Markiewicz

Redakcja:

Stanisława Staszkiel

Redakcja techniczna:

Zbigniew Katafiasz

Korekta:

Maria Nowakowska

© 2003 by Daniel Silva. All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2005

© for the Polish translation bv Jędrzej Burakiewicz

ISBN 83-7319-655-2

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2005

Książkę wydrukowano na papierze Amber Volume 60 g/m^2

Amber

BY ARCTIC PAPER

www.arcticpaper.com

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8, 00-590 Warszawa

tel. (0-22) 629 0477, 629 65 24

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: (0-22) 62863 60, 629 32 01

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Warszawa 2005

Wydanie I

Skład i łamanie:

MAGRAF S.C, Bydgoszcz Druk i oprawa: ABEDIK, Poznań

Il restauratore *Davidowi Bullowi*
i, jak zawsze,
mojej żonie Jamie
oraz moim dzieciom Lily i Nicolasowi

Roma beuta est; causa finita est
Rzym orzekł, sprawa skończona

św. Augustyn

Część pierwsza

Kamienica w Monachium

1

Monachium

Kamienica przy Adalbertstrasse 68, położona w modnej dzielnicy Schwabing, była jedną z ostatnich niezaanektowanych jeszcze przez coraz liczniejszą hałaśliwą monachijską bohemę. Wciśnięta pomiędzy dwa pełne uroku przedwojenne budynki z czerwonej cegły wyglądała na ich brzydszą siostrę. Była niska i przysadzista, z fasadą pokrytą popękanym beżowym tynkiem. Zamieszkująca ją społeczność składała się ze studentów, artystów, anarchistów i zdeklarowanych punkrockersów; władzę nad nimi sprawowała despotyczna Frau Ratzinger, która, jak wieść niosła, mieszkała w stojącym tu poprzednio budynku, nim aliancka bomba zrównała go z ziemią. Co aktywniejsi społecznie mieszkańcy z pogardą określali kamienicę jako katastrofę architektoniczną. Jej obrońcy natomiast mówili, że jest wspaniałym przykładem artystycznego nieładu, który sprawiał, że dzielnicę Schwabing nazywano kiedyś Montmartre'em Niemiec Schwabing Hessego, Manna i Lenina. I Hitlera, mógłby dodać profesor pracujący w pokoju na drugim piętrze, choć niewielu mieszkańców lubiło, by im przypominano, że młody Adolf szukał natchnienia wśród tych cichych, porośniętych drzewami uliczek.

Studenci i koledzy z pracy zwracali się do profesora „Herr Doktorprofessor Stern". Dla przyjaciół z sąsiedztwa był po prostu Benjaminem, a dla rzadkich gości z rodzinnych stron - Binyaminem.

W niepozornym kamienno-szklanym zespole biur w północnej części Tel Awiwu, gdzie mimo że wciąż prosił o jej zniszczenie, znajdowała się kartoteka dokumentująca jego burzliwą młodość, zawsze znany był jako Beni, najmłodszy z dwunastu niesfornych synów Ariego Szamrona. Benjamin Stern oficjalnie był pracownikiem Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, ale od czterech lat wykładał w Monachium jako profesor studiów europejskich, zaproszony tu przez renomowany Uniwersytet Ludwika Maksimiliana. Jego wyjazd nabrał charakteru bezzwrotnej pożyczki zaciągniętej w Jerozolimie przez tę uczelnię, co profesorowi w ogóle nie przeszkadzało. Dziwną koleją losu życie w Niemczech było dla Żydów znacznie przyjemniejsze niż w Jerozolimie czy Tel Awiwie.

Fakt, że jego matka przeżyła potworności getta w Rydze, nadawał mu szczególną, choć wątpliwej jakości pozycję wśród innych lokatorów Adalbertstrasse 68. Profesor był dla nich ciekawostką i sumieniem zarazem. Zgłębiali z nim przyczyny trudnego położenia Palestyńczyków. Z łatwością stawiali mu pytania, których nie zadaliby rodzicom czy dziadkom. Był ich życiowym doradcą i zaufanym mędrcem. Przychodzili do niego po rady na temat studiów. Zwierzali mu się z zawodów miłosnych. Buszowali w jego lodówce, gdy byli głodni, i w jego portfelu, gdy byli spłukani, a co najważniejsze, był ich rzecznikiem we wszelkich sporach ze straszliwą Frau Ratzinger. Profesor Stern jako jedyny spośród mieszkańców nie bał się jej. Zawiązała się między nimi bardzo silna więź. Alex, student psychologii mieszkający na ostatnim piętrze, twierdził, że to syndrom sztokholmski, relacja więzień-strażnik, mistrz-sługa. Ale chodziło o coś więcej: profesor i starsza pani zdawali się mówić wspólnym językiem.

W zeszłym roku, gdy jego książka o konferencji w Wannsee stała się międzynarodowym bestsellerem, profesor Stern rozważał pomysł przeprowadzenia się w lepsze miejsce, może z ochroną z prawdziwego zdarzenia i widokiem na Englischer Garten, gdzie inni lokatorzy nie traktowaliby jego pokoi jak

dodatkowej własnej powierzchni mieszkaniowej. Ten pomysł wywołał panikę. Któregoś wieczoru zjawili się razem u niego i złożyli oficjalną prośbę, by został. Poczynili wiele obietnic. Nie będą podkradać mu jedzenia, nie będą prosić o bezzwrotne pożyczki, będą szanować jego spokój i nie będą go prosić o radę, chyba że okaże się to absolutnie konieczne. Profesor uległ i po miesiącu jego mieszkanie znów stało się świetlicą mieszkańców kamienicy przy Adalbertstrasse 68. W skrytości ducha cieszył się z tego. Te zbuntowane dzieci były jedyną rodziną, jaka mu została.

Hałas przejeżdżającego ulicą tramwaju rozproszył jego uwagę. Podniósł wzrok i spojrzał na pojazd znikający za rozłożystym kasztanowcem. Sprawdził godzinę - jedenasta trzydzieści. Pracował nad książką od piątej rano. Co takiego powiedział Orwell o pisaniu? „Przerażająca, wycieńczająca walka, jak przeciągający się atak bolesnej choroby". Czasem Benjamin Stern myślał, że ta książka może okazać się śmiertelna.

Zamrugała czerwona lampka automatycznej sekretarki. Miał zwyczaj wyłączania dzwonka, żeby telefon nie przeszkadzał mu w pracy. Powoli, jak saper wybierający przewód do przecięcia, wyciągnął rękę i wcisnął przycisk. Głośniczek wybuchnął heavy-metalową muzyką, po czym profesor usłyszał wiadomość brzmiącą jak wojenny okrzyk: „Mam dobre wieści, Herr Doktorprofessor. Zanim minie dzisiejszy dzień, będzie na świecie o jednego parszywego Żyda mniej. Wiedersehen, Herr Doktorprofessor".

Klik.

Profesor Stern wykasował wiadomość. Zdążył się przyzwyczaić do tych telefonów. Dzwonili dwa razy w tygodniu, a czasem częściej, jeśli wystąpił w telewizji lub wziął udział w jakiejś publicznej dyskusji. Znał tylko ich głosy, każdemu przypisał zwyczajne, niegroźne imię, żeby ich trochę oswoić. Ten facet dzwonił przynajmniej dwa razy w miesiącu. Profesor Stern nazwał go Wolfie. Czasem informował o takim telefonie policję, ale zwykle nie zawracał sobie tym głowy. I tak nic nie mogli zrobić.

Zamknął manuskrypt wraz z notatkami w sejfie ukrytym w podłodze pod biurkiem. Włożył buty, narzucił na siebie wełnianą kurtkę i wziął z kuchni torbę ze śmieciami. Dom był stary i nie miał windy, więc musiał zejść dwa piętra po schodach. Na parterze powitał go nieprzyjemny zapach jakichś kosmetyków, pochodzący ze znajdującego się tam małego, lecz dobrze prosperującego zakładu kosmetycznego. Nie cierpiał go. Gdy zakład pracował, woń lakieru do paznokci przenikała przez wentylację i wypełniała jego pokój. Poza tym obecność salonu piękności sprawiała, że budynek był znacznie mniej bezpieczny, niż profesor by sobie życzył. Zakład nie miał oddzielnego wejścia od ulicy, więc hol na dole był zawsze pełen pięknych mieszkanek Schwabingu, oczekujących na pedicure, zabiegi kosmetyczne albo depilację woskiem.

Skręcił w prawo do wyjścia prowadzącego na małe podwórko. Zatrzymał się na chwilę w progu, żeby sprawdzić, czy są gdzieś koty. Wczoraj późno w nocy obudziły go, walcząc o odpadki. Ale kotów nie było, za to pod ścianą, paląc papierosy, stały dwie znudzone kosmetyczki ubrane w nieskazitelnie białe fartuchy. Przemknął wzdłuż pokrytego sadzą muru i wrzucił torbę do pojemnika.

Wracając, natknął się w holu na Frau Ratzinger znęcającą się nad podłogą starą słomianą miotłą.

- Dzień dobry, Herr Doktorprofessor - burknęła kobieta, po czym dodała z wyrzutem: - Idzie pan wypić swoją poranną kawę?

Profesor Stern skinął głową.

- Tak, tak, Frau Ratzinger - mruknął.

Patrzyła na porozrzucane ulotki, reklamujące darmowy koncert w parku i klinikę holistycznego masażu przy Schellingstrasse.

- Wciąż powtarzam, żeby nie zostawiać tutaj tych śmieci, ale nikt mnie nie słucha. To ten student akademii teatralnej spod czwórki. Wpuszcza do domu każdego.

Profesor wzruszył ramionami, jak gdyby był zdumiony zachowaniem młodzieży, i uśmiechnął się. Frau Ratzinger

pozbierała ulotki i wyszła z nimi na podwórko. Chwilę później słychać było, jak karci kosmetyczki za rzucanie petów na ziemię.

Po wyjściu na dwór zatrzymał się na chwilę, żeby ocenić pogodę. Słońce przeświecało przez cienką warstwę chmur - jak na początek marca było dość ciepło. Wsunął ręce do kieszeni płaszcza i ruszył w stronę Englischer Garten. Gdy dotarł do parku, skręcił w zadrzewioną alejkę nad kanałem wypełnionym po brzegi wskutek ulewnych deszczy. Lubił to miejsce. Pozwalało odpocząć jego myślom po porannych zmaganiach z komputerem oraz, co ważniejsze, dawało mu możliwość sprawdzenia, czy jest śledzony. Przystanął i gwałtownie poklepał się po kieszeniach płaszcza, jakby czegoś zapomniał. Odwrócił się i zaczął iść z powrotem drogą, którą przyszedł, przyglądając się napotkanym twarzom i sprawdzając, czy pasują do tych wizerunków, które przechowywał w bazie danych swojej wybitnej pamięci. Przystanął na wygiętym w łuk mostku, udając, że podziwia wodę przelewającą się przez niewielki próg. Jakiś dealer z wytatuowanymi na twarzy pająkami próbował sprzedać mu działkę heroiny. Profesor wymamrotał coś nieskładnie i odszedł szybkim krokiem. Dwie minuty później wsunął się do budki telefonicznej i udawał, że gdzieś dzwoni, jednocześnie bardzo uważnie badając wzrokiem okolicę. Po chwili odwiesił słuchawkę.

Wiedersehen, Herr Doktorprofessor.

Skręcił w Ludwigstrasse i spiesznym krokiem, ze spuszczoną głową, przeszedł przez dzielnicę uniwersytecką. Miał nadzieję, że nie zauważy go żaden ze studentów czy kolegów. Parę dni wcześniej otrzymał dość nieprzyjemny list od doktora Helmuta Bergera, nadętego kierownika jego katedry, z zapytaniem, kiedy ma zamiar skończyć książkę i wrócić do obowiązków wykładowcy. Profesor Stern nie lubił Helmuta Bergera - ich wzajemna nienawiść, o której wszyscy wiedzieli, miała podłoże zarówno osobiste, jak i akademickie - i po prostu nie znalazł czasu, by odpowiedzieć na list.

Tętniący życiem Viktualienmarkt odciągnął jego myśli od pracy. Spacerował wśród stosów jasnokolorowych owoców i

warzyw, obok kwiaciarek i stoisk rzeźników. Wybrał parę rzeczy na kolację, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy i wstąpił do kawiarni Eduscho na kawę i *Dinkelbrot*. Trzy kwadranse później, kiedy ruszał w drogę powrotną do Schwabing, czuł się rześko, a jego umysł był jasny i gotowy do dalszych zmagań z książką. Z chorobą, jak powiedziałby Orwell.

Gdy wszedł do kamienicy, podmuch wiatru podążył za nim i rozrzucił nowy stosik ulotek. Miały kolor łososiowy. Profesor rzucił na nie okiem: za rogiem otwarto nowy bar z curry na wynos. Lubił dobre curry. Chwycił jedną z ulotek i wepchnął do kieszeni płaszcza.

Wiatr wywiał kilku ulotek na podwórko. Frau Ratzinger będzie wściekła. Wychyliła głowę ze swojej lisiej nory, gdy wchodził po schodach, i zauważyła bałagan. Jak należało tego oczekiwać, była wzburzona. Spojrzała na niego wzrokiem inkwizytora. Kiedy wsuwał klucz w zamek, słyszał, jak przeklinała, sprzątając po tym najnowszym zamachu na porządek w domu.

W kuchni pochował zakupy i zaparzył sobie filiżankę herbaty, po czym wszedł do gabinetu. Przy biurku stał jakiś człowiek przerzucający od niechcenia papiery. Był wysoki, atletycznie zbudowany i miał blond włosy z siwymi pasemkami. Ubrany był w biały fartuch, jak kosmetyczki z salonu na dole. Słysząc, że profesor wchodzi do pokoju, nieznajomy podniósł wzrok. Oczy miał szare, zimne jak lodowiec.

- Proszę otworzyć sejf, Herr Doktorprofessor.

Głos miał spokojny, prawie zalotny. Mówił po niemiecku z obcym akcentem. To nie był Wolfie, profesor Stern był tego pewien, bo miał smykałkę do języków i ucho do dialektów. Człowiek w fartuchu był Szwajcarem, a jego *Schwyzerdütsch* miał mocny i śpiewny akcent człowieka z górskich dolin.

- Kim pan jest, do cholery?

- Proszę otworzyć sejf - powtórzył intruz, spoglądając na papiery leżące na biurku.

- W sejfie nie ma nic wartościowego. Jeżeli to pieniądze pana...

Nieznajomy nie pozwolił mu dokończyć. Szybkim ruchem sięgnął pod fartuch i wyjął pistolet z tłumikiem. Profesor znał się na broni równie dobrze jak na akcentach. To był rosyjski steczkin. Kula roztrzaskała mu prawe kolano. Upadł, trzymając się za nogę. Przez palce tryskała krew.

- Chyba teraz poda mi pan szyfr - powiedział spokojnie Szwajcar.

Takiego bólu Benjamin Stern nigdy nie doświadczył. Dyszał, walczył o oddech, w głowie mu huczało. Szyfr? O Boże, przecież ledwo pamiętał swoje imię.

- Czekam, Herr Doktorprofessor.

Zmusił się do paru głębokich wdechów. To dostarczyło do jego mózgu wystarczająco dużo tlenu, żeby mógł przypomnieć sobie szyfr. Drżącymi wargami wyrecytował kolejne cyfry. Nieznajomy przyklęknął przed sejfem i sprawnie zaczął manipulować pokrętłem. Chwilę później drzwiczki się otworzyły.

Nieznajomy zajrzał do środka, po czym spojrzał na profesora.

- Ma pan dyskietki z kopią zapasową. Gdzie je pan trzyma?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Jak na razie będzie pan mógł chodzić o lasce. - Podniósł broń. - Ale jeśli strzelę w drugie kolano, to resztę życia spędzi pan o kulach.

Profesor tracił przytomność. Broda mu się trzęsła. Nie trzęś się, do cholery! Niech przynajmniej nie napawa się twoim strachem!

- W lodówce.

- W lodówce?

- Na wypadek... - Przeszył go nagły ból - ... pożaru.

Nieznajomy uniósł brwi. Spryciula. Miał ze sobą czarną torbę prawie metrowej długości. Sięgnął do niej i wyciągnął czarny cylindryczny przedmiot - puszkę farby w sprayu. Zdjął przykrywkę i z wprawą zaczął malować na ścianach gabinetu znaki. Znaki przemocy. Znaki nienawiści. Profesor zorientował się, że zupełnie bez sensu zastanawia się, jak zareaguje Frau

Ratzinger, gdy to zobaczy. Majacząc, musiał coś głośno powiedzieć, bo nieznajomy przerwał na chwilę i zmierzył go zimnym wzrokiem.

Uznawszy, że już wystarczy, nieznajomy schował puszkę do torby, po czym stanął nad profesorem. Ból promieniujący z potrzaskanych kości wywoływał u Benjamina Sterna gorączkę. Ciemność ogarniała krawędzie jego pola widzenia, nieznajomy zdawał się stać na końcu tunelu. Profesor spojrzał w popielate oczy w poszukiwaniu śladów szaleństwa, ale nie znalazł tam nic poza chłodnym wyrachowaniem. To nie jest żaden rasistowski fanatyk, pomyślał. To zawodowiec.

Nieznajomy pochylił się nad nim.

- Czy chciałby się pan wyspowiadać, profesorze Stern?

- O czym... - Twarz wykrzywiła mu się w grymasie bólu - ... ty mówisz?

- To bardzo proste. Czy chce się pan wyspowiadać ze swoich grzechów?

- Więc jesteś mordercą - powiedział profesor, tracąc powoli przytomność.

Zabójca uśmiechnął się. Znów podniósł broń i dwa razy wypalił w pierś profesora. Benjamin Stern czuł, jak jego ciało zwija się w konwulsjach, ale dalsze cierpienie zostało mu oszczędzone. Nie tracił przytomności jeszcze przez kilka sekund, wystarczająco długo, by zobaczyć, jak jego zabójca klęka przy nim, i by poczuć, jak przyciska zimny kciuk do jego czoła. Coś mówił. Łacina? Tak, profesor był tego najzupełniej pewien.

- *Ego te absolvo a peccatis tuis, in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancii. Amen.*

Profesor spojrzał w oczy mordercy.

- Ale ja jestem Żydem - wymamrotał.

- Nie szkodzi - powiedział zabójca, po czym przyłożył steczkina do głowy Benjamina Sterna i strzelił po raz ostatni.

2

Watykan

Ponad sześćset kilometrów dalej na południe, na wzgórzu położonym w samym sercu Rzymu, starszy człowiek ubrany w sutannę i płaszcz koloru kości słoniowej przechadzał się w chłodnym cieniu otoczonego murem ogrodu. Miał siedemdziesiąt dwa lata i choć poruszał się raczej wolno, każdego ranka przynajmniej godzinę spacerował po ścieżkach wśród pachnących sosen. Jego poprzednicy zazwyczaj nie byli radzi, gdy przeszkadzano im w medytacji, więc ogród musiał być pusty. Człowiek w płaszczu koloru kości słoniowej lubił spotykać ludzi - prawdziwych ludzi, a nie przymilających się kardynałów z kurii rzymskiej czy zagranicznych dygnitarzy, codziennie przychodzących ucałować jego pierścień rybaka. Spacerujący mężczyzna miał za towarzysza nieodstępującego go na krok człowieka z Gwardii Szwajcarskiej, będącego bardziej partnerem do rozmowy niż ochroniarzem; lubił też zatrzymać się na pogawędkę z watykańskimi ogrodnikami. Miał wiele zainteresowań i uważał, że zna się trochę na botanice. Pewnego razu strażnik zastał go niemal na czworakach. Obawiając się najgorszego, wezwał ambulans i podbiegł do klęczącej postaci, żeby stwierdzić, iż głowa Kościoła rzymskokatolickiego właśnie wyrywa chwasty.

Ludzie z najbliższego otoczenia Ojca Świętego wiedzieli, że coś go trapi. Stracił dobry humor, przygasł jego niewymuszony

urok osobisty, który był jak powiew wiosny po posępnych ostatnich dniach pontyfikatu Polaka. Siostra Teresa, niestrudzona zakonnica z Wenecji zajmująca się pokojami papieskimi, zauważyła u niego wyraźny brak apetytu. Ostatnio nie próbował nawet słodkich herbatników podawanych razem z popołudniową kawą. Często, wchodząc do papieskiego gabinetu na trzecim piętrze Pałacu Apostolskiego, siostra Teresa zastawała go leżącego z zamkniętymi oczami, twarzą do ziemi, jakby w agonii, pogrążonego w modlitwie. Dowódca Gwardii Szwajcarskiej, Karl Brunner, widywał Ojca Świętego na murach Watykanu, z zadumą patrzącego na drugą stronę Tybru. Brunner ochraniał papieża Polaka przez wiele lat i widział, jaką cenę płacił za pontyfikat. Siostrze Teresie mówił, że na każdym papieżu spoczywa straszliwe brzemię odpowiedzialności. „A to nawet najświętszego człowieka może czasem wytrącić z równowagi. Jestem pewien, że Bóg da mu siłę, aby to brzemię unieść. Dawny Pietro niedługo wróci".

Siostra Teresa nie była tego taka pewna. Była jedną z niewielu osób, które wiedziały, jak bardzo Pietro Lucchesi nie chciał zostać papieżem. Kiedy przybył do Rzymu na pogrzeb Jana Pawła II oraz konklawe mające wybrać jego następcę, nikt nie uważał cichego, łagodnego patriarchy Wenecji za *papabile,* człowieka, który ma cechy niezbędne, aby móc zostać papieżem; nigdy też nie okazywał, że jest zainteresowany tym stanowiskiem. Piętnaście lat przepracowanych w kurii rzymskiej było najnieszczęśliwszym okresem jego życia i nie miał ochoty wracać do tej mieściny nad Tybrem, gdzie wszyscy obgadują wszystkich. I wcale nie chciał nią rządzić. Miał zamiar zagłosować na arcybiskupa Buenos Aires, z którym zaprzyjaźnił się podczas podróży po Ameryce Łacińskiej, po czym wynieść się po cichu do Wenecji.

Ale podczas konklawe sprawy nie potoczyły się po jego myśli. Tak jak czyniono to przez wieki, Lucchesi i pozostali dostojnicy Kościoła, w liczbie stu trzydziestu, weszli z powagą do Kaplicy Sykstyńskiej, śpiewając hymn *Veni Creator Spiritus*.

Zebrali się pod *Sądem Ostatecznym* Michała Anioła - przepełniającym pokorą obrazem udręczonych dusz, które wznosiły się ku Niebu, by stanąć przed gniewnym obliczem Chrystusa, i modliły się, by Duch Święty pokierował ich krokami. Następnie każdy z kardynałów wystąpił naprzód i z ręką na Świętych Ewangeliach złożył przysięgę nakazującą bezwzględne milczenie. Gdy to zostało uczynione, mistrz papieskich ceremonii liturgicznych wyrzekł słowa *Extra omnes* - wszyscy na zewnątrz - i konklawe się rozpoczęło.

Polak zadbał o to, by o sprawie nie decydował wyłącznie Duch Święty. Wprowadził do Kolegium kardynałów podobnych do niego samego, dogmatycznych konserwatystów, którzy za wszelką cenę chcieli utrzymać dyscyplinę kościelną oraz zwierzchność Rzymu. Ich kandydatem był Włoch, wybitna postać kurii rzymskiej, sekretarz stanu, kardynał Marco Brindisi.

Stronnictwo umiarkowane miało inną koncepcję; ci kardynałowie domagali się iście sielankowego pontyfikatu. Chcieli, by osoba zasiadająca na tronie świętego Piotra była łagodna i bogobojna, żeby dzieliła się władzą z biskupami, ograniczając wpływy kurii rzymskiej. Chcieli kogoś, kto potrafiłby wyciągnąć rękę ponad podziałami geograficznymi i religijnymi i uzdrowić zakątki świata nękane przez wojny i biedę. Opowiadali się za kimś spoza Europy. Uważali, że przyszedł czas na papieża z Trzeciego Świata.

Pierwsze głosowania pokazały, jak bardzo konklawe jest podzielone; oba stronnictwa zaczęły więc szukać wyjścia z impasu. Jeszcze tego samego dnia pojawiło się nowe nazwisko. Pietro Lucchesi, patriarcha Wenecji, otrzymał pięć głosów. Lucchesi, słysząc swoje imię przeczytane pięciokrotnie w świętej Kaplicy Sykstyńskiej, zamknął oczy i wyraźnie pobladł. Gdy chwilę później karty do głosowania wkładano do *nero,* gdzie miały zostać spalone, paru kardynałów zauważyło, że Lucchesi się modli.

Wieczorem Pietro Lucchesi został zaproszony przez paru kardynałów na wspólną wieczerzę, ale odmówił. Zamiast tego schronił się w swoim pokoju w Dormitorium Świętej Marty, by

pomedytować i pomodlić się. Wiedział wszystko o konklawe i był świadom, ku czemu sprawy zmierzają. Jak Chrystus w ogrodzie Getsemani błagał Boga, by zdjął brzemię z jego ramion - by kto inny został wybrany.

Ale następnego dnia poparcie dla niego wzrosło, zmierzając nieuchronnie ku dwóm trzecim niezbędnym do wybrania go na papieża. W ostatnim głosowaniu przed obiadem brakowało już tylko dziesięciu głosów. Zbyt zmartwiony, by cokolwiek zjeść, Lucchesi modlił się w swoim pokoju, nim wrócił do Kaplicy Sykstyńskiej na ostateczne głosowanie, i już wiedział, że zostanie papieżem. Bez słowa patrzył, jak kardynałowie po kolei wrzucali do służącego za urnę złotego kielicha mszalnego dwukrotnie złożone na pół kartki papieru, wypowiadając przy tym słowa przysięgi: „Wzywam na świadka Chrystusa, który będzie moim sędzią, że swój głos oddałem na tego, kto powinien zostać wybrany zgodnie z wolą Boga".

Głosy przeliczono dwukrotnie, nim ogłoszono wynik: stu piętnastu kardynałów opowiedziało się za Lucchesim. Podszedł do niego *camerlengo* i zadał pytanie, stawiane od ponad tysiąca lat każdemu wybranemu papieżowi: „Czy zgadzasz się na wybór?". Po długiej, pełnej napięcia ciszy Pietro Lucchesi odpowiedział:

- Moje ramiona nie są wystarczająco szerokie, by udźwignąć złożone na nie brzemię, ale z pomocą Chrystusa Zbawiciela spróbuję. *Accepta*.

- Pod jakim imieniem chcesz być znany?

- Jako Paweł Siódmy - odparł Lucchesi.

Kardynałowie ustawili się rzędem, by objąć nowego papieża i przysiąc mu wierność i posłuszeństwo. Następnie Lucchesi został odprowadzony do czerwonej komnaty, znanej jako *camera lacrimatoria,* komnata płaczu, gdzie spędził parę chwil w samotności, nim bracia Gammarelli, krawcy papiescy, przyszli przyodziać go w białą sutannę. Wybrał najmniejszą z trzech dla niego przygotowanych, ale i tak wyglądał jak mały chłopiec w koszuli ojca. Głowa ledwo wystawała mu ponad balustradę

balkonu katedry Świętego Piotra, gdy wyszedł pobłogosławić Rzymowi i światu. Strażnik z Gwardii Szwajcarskiej przyniósł mu stołek i zebrany na placu zdumiony tłum wzniósł okrzyk. Komentator włoskiej telewizji, z trudem łapiąc oddech, nazwał nowego papieża Piotrem Nieprawdopodobnym. Kardynał Marco Brindisi, najważniejszy z ortodoksyjnych kardynałów kurii rzymskiej, nieoficjalnie ochrzcił go „Pawłem Siódmym z Przypadku".

Vaticanisti stwierdzili, że przesłanie spornego konklawe było jasne - wybór Pietra Lucchesiego to kompromis. Miał za zadanie pokierować Kościołem w sposób kompetentny, ale bez wprowadzania żadnych poważniejszych zmian. Walka o serce i duszę Kościoła, mówili, została odłożona na później.

Ale radykałowie, zarówno z Kościoła, jak i spoza niego, nie patrzyli na wybór Lucchesiego tak spokojnie. Im nowy papież niemiło przypominał pewnego wenecjanina imieniem Roncalli, który ściągnął na Kościół dogmatyczną katastrofę - Drugi Sobór Watykański. Już w parę godzin po ogłoszeniu wyboru strony internetowe i elektroniczne konfesjonały radykałów pełne były ostrzeżeń i ponurych przepowiedni dotyczących przyszłości. Kazania i publiczne wystąpienia Lucchesiego zostały poddane drobiazgowej analizie w poszukiwaniu dowodów na jego nieortodoksyjność. Uznano, że Lucchesi oznacza kłopoty. Trzeba mu patrzeć na ręce. Trzymać na smyczy. Wielmoże z kurii rzymskiej będą musieli uświadomić Pietrowi Lucchesiemu, że jego pontyfikat jest tymczasowy.

Ale Lucchesi sądził, że jest zbyt wiele problemów, by można było zmarnować nawet pontyfikat niechciany. Odziedziczony po Polaku Kościół był w kryzysie. W Europie Zachodniej, centrum katolicyzmu, sytuacja stała się trudna do tego stopnia, że na ostatnim synodzie biskupów ogłoszono, iż Europejczycy żyją tak, jakby Bóg nie istniał. Chrzci się coraz mniej dzieci, coraz mniej ludzi bierze ślub, a liczba powołań kapłańskich tak spadła, że prawie w połowie parafii europejskich wkrótce nie będzie księży na pełnym etacie. Lucchesiemu wystarczyło popatrzeć na własne miasto, by dojrzeć problemy Kościoła.

Z dwóch i pół miliona mieszkających w Rzymie katolików siedemdziesiąt procent akceptowało rozwody, antykoncepcję i współżycie przedmałżeńskie - oficjalnie zabronione przez Kościół. Mniej niż dziesięć procent zadawało sobie trud regularnego chodzenia na msze. We Francji, zwanej pierwszą córą Kościoła, statystyki przedstawiały się jeszcze gorzej. W Ameryce Północnej większość katolików nie zawracała sobie głowy czytaniem encyklik i po prostu je ignorowała, do kościoła uczęszczała zaledwie jedna trzecia. Siedemdziesiąt procent katolików żyło w krajach Trzeciego Świata, ale większość z nich rzadko kiedy widywała księży. W samej Brazylii sześćset tysięcy ludzi rocznie zostawało żarliwymi protestantami.

Lucchesi chciał powstrzymać krwotok, nim będzie za późno. Pragnął, by Kościół, który tak kochał, odgrywał większą rolę w życiu wiernych, chciał, żeby jego trzoda nie była katolicka tylko z nazwy. Ale coś jeszcze zaprzątało jego myśli. Od czasu, gdy został wybrany na papieża, nurtowało go jedno pytanie. Dlaczego? Dlaczego Duch Święty wybrał właśnie jego do kierowania Kościołem? Jaki dar, jaką wiedzę posiadał, że mógł być właściwym papieżem na te czasy? Lucchesiemu zdawało się, że zna odpowiedź, i dlatego postanowił wprowadzić w życie plan, który miał wstrząsnąć posadami Kościoła rzymskokatolickiego. Jeśli okaże się skuteczny, zrewolucjonizuje Kościół, lecz jeśli się nie powiedzie - może go zniszczyć.

Słońce skryło się za zasłoną chmur, a od silnego powiewu chłodnego, marcowego wiatru poruszyły się gałęzie sosen w ogrodzie. Papież mocniej zaciągnął płaszcz wokół szyi. Przeszedł obok Kolegium Etiopskiego i skręcił w wąską alejkę, która doprowadziła go do ciemnobrązowych południowowschodnich murów Watykanu. Zatrzymał się u stóp wieży, w której mieściło się Radio Watykańskie, minął ją, po czym po kamiennych schodach wspiął się na górę i wszedł na mury.

Przed nim rozpościerał się Rzym, tętniący życiem w bladym świetle pochmurnego dnia. Skierował wzrok ponad Tybrem, ku górującej nad częścią miasta synagodze wzniesionej w sercu dawnego getta. W tysiąc pięćset pięćdziesiątym piątym roku papież Paweł IV, którego imię przyjął Lucchesi, nakazał przenieść mieszkających w Rzymie Żydów do getta i zmusił ich do noszenia żółtych gwiazd, dla odróżnienia od chrześcijan. Ci, którzy kazali wybudować synagogę, chcieli, by była tak wysoka, żeby można ją było dostrzec z Watykanu. Przesłanie było bardzo jasne. „My też tu jesteśmy. Co więcej, byliśmy na długo przed wami". Pietrowi Lucchesiemu synagoga przypominała o czymś innym. O zdradliwej przeszłości. O haniebnym sekrecie. Przemawiała wprost do niego, szeptała mu do ucha. Nie dawała mu spokoju.

Papież usłyszał kroki na ogrodowej ścieżce, krótkie i rytmiczne jak wbijanie gwoździ przez sprawnego stolarza. Odwrócił się i zobaczył zmierzającego w stronę murów mężczyznę. Wysoki i chudy, czarne włosy, czarny strój duchownego - pionowa kreska narysowana atramentem. Ojciec Luigi Donati, osobisty sekretarz papieża. Donati trwał przy boku Lucchesiego od dwudziestu lat. W Wenecji nazywano go *il doge,* ze względu na bezwzględność w sprawowaniu władzy; potrafił skoczyć przeciwnikowi do gardła, gdy wymagały tego interesy jego lub jego przełożonego. Przezwisko przylgnęło do niego i miał je także w Watykanie. Donati nie przejmował się tym. Postępował zgodnie z zasadami świeckiego włoskiego filozofa Machiavellego, który twierdził, że lepiej, aby księcia się bano, niż by go kochano. Według Donatiego każdy papież potrzebował sukinsyna, człowieka w czerni mającego twardą rękę, umiejącego radzić sobie z kurią za pomocą kija i marchewki i potrafiącego podporządkować ją swojej woli. Tę rolę grał z prawdziwą przyjemnością.

Gdy Donati zbliżył się do murów, papież, dostrzegłszy wyraz jego twarzy, zorientował się, że coś było nie w porządku. Odwrócił wzrok ku rzece i czekał. Chwilę później odczuł uspokajającą obecność Donatiego przy swoim boku. *Il doge,* jak zwykle,

nie tracił czasu na grzeczności i pogaduszki. Nachylił się do ucha papieża i cicho poinformował go, że tego ranka znaleziono Benjamina Sterna zamordowanego w jego własnym mieszkaniu w Monachium. Papież zamknął oczy i spuścił głowę, po czym wyciągnął dłoń i chwycił mocno rękę ojca Donatiego.

- Jak? - spytał. - Jak go zabili?

Gdy ojciec Donati odpowiedział, papież zachwiał się i oparł na ramieniu księdza.

- Boże Wszechmogący, przebacz nam nasze uczynki!

Spojrzał w oczy swego zaufanego sekretarza. Wzrok ojca Donatiego był spokojny, inteligentny i stanowczy. To dodało papieżowi odwagi.

- Obawiam się, że nie doceniliśmy naszych wrogów, Luigi. Są gorsi, niż myśleliśmy, a ich nikczemność nie zna granic. Posuną się do wszystkiego, byle tylko ukryć brudne tajemnice.

- W rzeczy samej. Wasza Świątobliwość - rzekł posępnie Donati. - Musimy nawet założyć, że mogą chcieć zamordować papieża.

Zamordować papieża? Pietrowi Lucchesiemu trudno było wyobrazić sobie coś podobnego, ale wiedział, że jego zaufany sekretarz nie jest skory do przesady. Kościół trawiony jest chorobą, której pozwolono rozwijać się podczas długich rządów Polaka. Trzeba zlikwidować zakażenie. Jeżeli pacjent ma przeżyć, trzeba sięgnąć po drastyczne środki.

Papież odwrócił wzrok od Donatiego i spojrzał na wznoszącą się nad rzeką kopułę synagogi.

- Obawiam się, że nikt poza mną tego nie zrobi.

Ojciec Donati zacisnął dłoń na ramieniu papieża.

- Wasza Świątobliwość musi ułożyć słowa. A resztą zajmę sieja. Donati odwrócił się i odszedł, zostawiając papieża samego na murach. Lucchesi słuchał, jak jego człowiek w czerni, człowiek silnej ręki, stąpa po ścieżce prowadzącej do pałacu: łup-tup, łup-tup, łup-tup. Papieżowi ten dźwięk zdawał się odgłosem wbijania gwoździ w trumnę.

3

Wenecja

Nocne deszcze zalały Campo San Zaccaria. Konserwator stał na schodach kościoła jak rozbitek. Z głębi placu wyłonił się z mgły stary ksiądz. Pod uniesioną dolną częścią prostej sutanny widać było parę wysokich kaloszy.

- Dzisiejszego ranka plac przypomina Jezioro Galilejskie, Mario - powiedział, wygrzebując z kieszeni ciężki pęk kluczy. - Gdyby Chrystus obdarzył nas umiejętnością chodzenia po wodzie, zimy w Wenecji byłyby łatwiejsze do zniesienia.

Ciężkie drewniane drzwi otworzyły się z głuchym jękiem. Nawa wciąż była pogrążona w ciemności. Ksiądz włączył światło i zatrzymawszy się na moment w prezbiterium, by zanurzyć palce w wodzie święconej i uczynić znak krzyża, wyszedł z powrotem na zalany wodą plac.

Rusztowanie było przykryte płachtą. Konserwator wspiął się na swój podest i włączył lampę fluorescencyjną. Maria Panna błyszczała nad nim uwodzicielsko. Spędził przy niej niemal całą zimę, z zaangażowaniem i determinacją naprawiając jej twarz. Czasem, z poszarpanymi policzkami, przychodziła do niego we śnie, wkradała się do jego sypialni i błagała, by ją uzdrowił.

Włączył przenośny piecyk elektryczny, żeby wypalić chłód z powietrza, i nalał sobie czarnej kawy z termosu, akurat tyle, ile trzeba na rozbudzenie się, ale by nie drżały mu ręce. Przygotował

paletę, mieszając suchy pigment w małej ilości wody. Gdy barwnik był gotowy, opuścił przymocowane do czoła szkło powiększające i zaczął pracować.

Przez prawie godzinę kościół należał tylko do niego. Z wolna zaczęła się schodzić reszta ekipy. Konserwator, ukryty za płachtą, rozpoznawał każdego po krokach. Ciężkie człapanie Francesca Tiepola, szefa zespołu; zdecydowane stuk-stuk-stuk Adriany Zinetti, znanej czyścicielki ołtarzy i uwodzicielki mężczyzn; konspiracyjne szuranie niezgrabnego Antonia Politiego, siewcy złośliwych kłamstw i plotek.

Konserwator był prawdziwą zagadką dla całego zespołu San Zaccaria. Nalegał, by podest, na którym pracował, oraz ołtarz były zawsze zasłonięte. Francesco Tiepolo prosił go usilnie o zgodę na opuszczenie zasłony, żeby turyści i jak zawsze napastliwi miejscowi notable mogli obserwować jego pracę.

- Wenecja chce zobaczyć, co robisz Belliniemu, Mario. Wenecja nie lubi niespodzianek.

Konserwator niechętnie ustąpił i przez dwa styczniowe dni pracował na oczach turystów i reszty ekipy. Krótki eksperyment zakończył się, gdy monsignor Moretti, proboszcz San Zaccarii, przyszedł do kościoła na niespodziewaną inspekcję. Gdy spojrzał na Belliniego i zobaczył, że zniknęła połowa twarzy Marii, upadł na kolana, modląc się histerycznie. Zasłona wróciła i Francesco Tiepolo nie ośmielił się już prosić o jej opuszczenie.

Reszta zespołu widziała w zasłonie metaforę. Dlaczego ktoś zadaje sobie tyle trudu, by się ukryć? Dlaczego tak usilnie starał się odseparować od innych? Dlaczego odrzucał liczne zaproszenia na lunch, kolację albo picie w sobotnią noc w barze U Harry'ego? Odmówił nawet pójścia na koktajl w Akademii wydany przez Przyjaciół San Zaccarii. Bellini był jednym z najważniejszych obrazów w całej Wenecji, więc odmowę spotkania się z kilkoma grubymi amerykańskimi sponsorami, dzięki którym odrestaurowanie kościoła było możliwe, uznano za skandal.

Nawet. Adriana Zinetti nie mogła przedostać się za zasłonę. Zaczęły się spekulacje, czy konserwator nie jest czasem homoseksualistą, czego liberalne umysły ekipy nie uważały za zbrodnię i co nawet tymczasowo zwiększyło popularność Maria wśród części mężczyzn. Teoria ta upadła jednak pewnego wieczora, gdy odwiedziła go w kościele porażająco atrakcyjna kobieta. Miała zielone kocie oczy, bladą cerę, kształtny podbródek i wystające kości policzkowe. Adriana Zinetti spostrzegła głębokie szramy na lewej ręce kobiety.

- Ona jest jego kolejną pracą - ponuro stwierdziła Adriana, gdy oboje zniknęli w weneckiej nocy. - Najwyraźniej woli uszkodzone kobiety.

Mówił, że nazywa się Mario Delvecchio, ale w jego płynnym włoskim dawało się wyczuć lekki, ale niemożliwy do pomylenia z innym, akcent. Tłumaczył to tym, że wychował się za granicą i we Włoszech mieszkał tylko od czasu do czasu. Podobno praktykę odbył u słynnego Umberta Contiego, który uznał go za najbardziej utalentowanego spośród wszystkich swoich uczniów.

Za następną serię plotek odpowiedzialny był zazdrosny Antonio Politi. Powolne tempo pracy kolegi doprowadzało Antonia do pasji. Oczyścił i odnowił pół tuzina obrazów w czasie znacznie krótszym niż ten, którego wielki Mario Delvecchio potrzebował na samo odrestaurowanie twarzy Najświętszej Panienki. Fakt, że miały nikłą wartość, tylko zwiększał jego wściekłość.

- Sam mistrz namalował ją w jedno popołudnie - protestował Antonio przed Tiepolem - a Mario pracuje przy niej całą zimę.

Ciągle biega do Akademii wpatrywać się w inne dzieła Belliniego.

Każ mu się pospieszyć, bo inaczej spędzimy tu dziesięć lat!

Antonio wydobył też na światło dzienne dość dziwną historię, którą podzielił się z resztą ekipy przy wspólnej kolacji pewnego śnieżnego lutowego wieczoru; działo się to zresztą w Trattoria alla Madonna. Mniej więcej dziesięć lat wcześniej w katedrze Świętego Stefana w Wiedniu prowadzone były duże

prace restauratorskie. W zespole konserwatorów był Włoch o imieniu Mario.

- Nasz Mario? - zastanawiała się Adriana nad kieliszkiem *ripasso*.

- Oczywiście, że nasz Mario. Ten sam snobizm. To samo ślimacze tempo.

Według źródeł Antonia wzmiankowany konserwator zniknął pewnej nocy bez śladu - tej samej nocy, kiedy w starej żydowskiej dzielnicy wybuchła pod samochodem bomba.

- I co z tego wynika, Antonio? - spytała znowu Adriana, zerkając na niego przez kieliszek rubinowego *ripasso*.

Antonio zrobił dramatyczną przerwę, nabił na widelec kawałek pieczonej polenty i uniósł go w górę niczym berło.

- Czy to nie oczywiste? To jasne, że facet jest terrorystą. Obstawiam Czerwone Brygady.

- A może to Osama bin Laden we własnej osobie!

Wybuchnęli śmiechem tak głośnym, że mało brakowało, a wyproszono by ich z restauracji. Nikt nie dał ponownie wiary teoriom Antoniego Politiego, chociaż on sam był przekonany o ich słuszności. Miał cichą nadzieję, że pracujący za zasłoną konserwator powtórzy swój wiedeński wyczyn i zniknie bez śladu. Wtedy Antonio mógłby wkroczyć na scenę i dokończyć Belliniego, dzięki czemu z pewnością zyskałby świetną reputację.

Tego ranka konserwatorowi pracowało się dobrze i czas mu upływał szybko. Spojrzawszy na zegarek, zdziwił się, że już jest wpół do dwunastej. Usiadł na skraju podestu, dolał sobie kawy i spojrzał na obraz. Dzieło to, namalowane przez Belliniego, kiedy był u szczytu możliwości twórczych, wielu historyków sztuki uznało za pierwsze wybitne malowidło ołtarzowe szesnastego wieku. Konserwator mógł patrzeć na nie bez końca. Podziwiał mistrzowskie wykorzystanie światła i przestrzeni, niezwykłą siłę przyciągania obrazu, która kierowała wzrok w głąb i w górę, posągową szlachetność postaci Madonny z Dzieciątkiem oraz otaczających ich świętych. Obraz wyciszał

patrzącego. Nawet po długiej i nużącej porannej pracy dawał Mariowi poczucie spokoju.

Odsunął zasłonę. Słońce wyszło zza chmur, światło wpadające przez witraże zalało nawę. W chwili gdy kończył pić kawę, jego uwagę przyciągnął jakiś ruch przy wejściu do kościoła. Zobaczył chłopca, na oko dziesięcioletniego, z długimi, kręconymi włosami. Miał zupełnie przemoczone buty. Konserwator obserwował go bacznie. Nawet po dziesięciu latach nie mógł patrzeć na małego chłopca, nie myśląc o synu.

Chłopiec podszedł wpierw do Antonia, ale ten odesłał go machnięciem ręki, nawet nie podnosząc głowy. Dziecko przeszło główną nawą do ołtarza, gdzie znacznie przyjaźniej potraktowała je Adriana. Uśmiechnęła się, pogłaskała po policzku, po czym wskazała na rusztowanie. Chłopiec zatrzymał się u stóp podestu i bez słowa podał konserwatorowi zwitek papieru. Mario rozwinął go i znalazł kilka słów tak nabazgranych, jakby je kreśliła drżąca ręka zdesperowanej kochanki. Nie było podpisu, ale charakter pisma w tak oczywisty sposób wskazywał na autora jak pociągnięcia pędzla na obrazie Belliniego: *Ghetto Nuovo, o szóstej.*

Konserwator zmiął papier i wsunął go do kieszeni. Gdy spojrzał w dół, chłopca już nie było.

O piątej trzydzieści Francesco Tiepolo wszedł do kościoła i przeczłapał powoli przez nawę. Ze zmierzwioną brodą, w luźnej białej koszuli i z jedwabną chustką zawiązaną na szyi. Potężny Włoch wyglądał na kogoś, kto właśnie wyszedł z renesansowego warsztatu. Starannie pielęgnował ten wizerunek.

- Dobra, słuchajcie wszyscy! - Jego głos niósł się echem wśród kolumn i apsyd. - Na dzisiaj koniec. Pakujcie się, za pięć minut zamykamy drzwi.

Chwycił za podest swoją niedźwiedzią łapą i potrząsnął nim gwałtownie, aż zatrzęsły się pędzle i lampy.

- Ty też, Mario. Daj swojej damie buziaka na dobranoc. Obędzie się bez ciebie przez parę godzin, skoro wytrzymała pięćset lat.

Konserwator dokładnie wytarł wszystkie pędzle i paletę, spakował pigmenty i rozpuszczalniki do prostokątnej walizki z polakierowanego drewna, po czym wyłączył lampę i zeskoczył z rusztowania. Wyszedł z kościoła, nie odzywając się, jak zawsze, ani słowem do pozostałych.

Z walizką pod pachą wyszedł na Campo San Zaccaria. Płynnym, szybkim krokiem przeszedł przez plac. Był niskiego wzrostu i chudej budowy ciała, co sprawiało, że łatwo było go wcale nie zauważyć. Miał czarne, krótko przycięte włosy z siwymi pasemkami. Koścista twarz z ostro wystającym podbródkiem i pełnymi wargami sprawiała wrażenie, jakby była wystrugana z drewna. Szczególną uwagę zwracały jego jaskrawozielone, szmaragdowe oczy w kształcie migdałów. Mimo że miał wyczerpującą pracę i niedawno świętował pięćdziesiąte pierwsze urodziny, wciąż wyglądał świetnie.

Przeszedł pod łukiem bramy i wyszedł na Riva della Schiavoni, szeroki bulwar nad Canale di San Marco. Pomimo chłodnej marcowej pogody na ulicach było sporo turystów - rozróżnił kilka języków, z których większością władał. Do jego uszu dotarło zdanie po hebrajsku. Szybko wybrzmiało, jak muzyka na wietrze, ale wywołało w nim tęsknotę, by usłyszeć swoje prawdziwe imię.

Vaporetto numer 82 cumowało na przystanku. Wszedł na pokład i znalazł miejsce przy balustradzie, skąd mógł obserwować twarze wsiadających i wysiadających. Wygrzebał z kieszeni otrzymaną kartkę i przeczytał jeszcze raz. Potem wyrzucił ją za burtę i patrzył, jak odpływa po gładkiej wodzie kanału.

W XV wieku bagnisty kawałek ziemi w *sestieri* Cannaregio został wyznaczony pod budowę odlewni brązu - w weneckim dialekcie *Seto*. Odlewnia nigdy nie powstała. Sto lat później, gdy władze weneckie postanowiły przesiedlić gwałtownie

rosnącą w liczbę i niechcianą społeczność żydowską i szukały odpowiedniego miejsca, położony na obrzeżach miasta plac, zwany Ghetto Nuovo, okazał się idealny do tego celu. Był duży i nie miał swojej parafii. Otaczające go kanały stanowiły naturalną fosę odcinającą wyspę od dzielnic wokół, a jedyny most można było łatwo obsadzić chrześcijańskimi żołnierzami. W tysiąc pięćset szesnastym roku z Ghetto Nuovo wysiedlono chrześcijan, a ich miejsce zajęli zmuszeni do tego Żydzi weneccy. Mogli opuszczać getto dopiero, gdy dzwony oznajmiły wschód słońca i tylko jeśli mieli na sobie żółtą tunikę i kapelusz. Musieli wracać na wyspę przed zmrokiem; później bramę zamykano. Tylko żydowskim lekarzom wolno było opuszczać getto nocą. Kiedyś mieszkało tam ponad pięć tysięcy Żydów, teraz było ich zaledwie dwudziestu.

Konserwator przeszedł przez żelazny mostek. Gdzieś przed nim wznosiły się rzadkie w Wenecji wysokie bloki. Zszedł do *sottoportego* i po chwili znalazł się na Campo di Ghetto Nuovo. Koszerna restauracja, żydowska piekarnia, księgarnia, muzeum. Stały tam również dwie stare synagogi, dla niewprawnego oka praktycznie niemożliwe do rozpoznania. Chyba że ktoś zauważył symbol Pięcioksięgu: po pięć okien na drugim piętrze obu budynków.

Na słabo oświetlonym boisku kilku chłopców grało między kałużami w nogę. Piłka potoczyła się w stronę konserwatora. Kopnął ją sprawnie wewnętrzną stroną stopy i posłał z powrotem na boisko. Jeden z chłopców przyjął ją na klatkę piersiową - ten sam, który rano przyszedł do kościoła.

Chłopiec ruchem głowy wskazał mu *pozzo,* źródełko na środku placu. Konserwator odwrócił się i zobaczył znajomą sylwetkę. Mężczyzna stał oparty o ścianę i palił papierosa. Szary kaszmirowy płaszcz, szary szalik owinięty ciasno wokół szyi. Wąska, mocno opalona twarz, skóra poorana bruzdami i pomarszczona jak skała na pustyni żłobiona od milionów lat przez wiatr i słońce. Okulary małe i okrągłe, przez przypadek modne. Wyraz twarzy świadczący o wiecznym zniecierpliwieniu.

Gdy konserwator zbliżył się, mężczyzna uniósł głowę, a jego wargi ułożyły się w coś pomiędzy uśmiechem a grymasem. Chwycił konserwatora za ramię, mocno uścisnął mu dłoń, niemal miażdżąc kości, i delikatnie ucałował w policzek.

- Jesteś tu z powodu Benjamina, prawda?

Starszy człowiek przymknął powieki i kiwnął głową. Pociągnął go za ramię.

- Chodź ze mną - powiedział.

Przez moment konserwator się opierał, ale nie było odwrotu. W rodzinie pojawiła się śmierć, a Ari Szamron nie należał do ludzi przestrzegających *szibah*.

Minął rok, odkąd Gabriel widział go po raz ostatni. Szamron wyraźnie się zestarzał. Gdy w zapadającym mroku ruszyli wokół *campo,* Gabriel musiał się powstrzymywać, by nie wesprzeć go ramieniem. Policzki Szamrona były zapadnięte, a stalowoniebieskie oczy, niegdyś porażające strachem zarówno wrogów, jak i przyjaciół, zamglone i wilgotne. Gdy podnosił tureckiego papierosa do ust, widać było, że drży mu ręka.

Właśnie dzięki rękom postać Szamrona obrosła w legendę. Gdy w latach pięćdziesiątych zaczął pracować dla Biura, jego przełożeni szybko zauważyli, że ma wyjątkowo silne dłonie jak na kogoś o tak przeciętnej budowie ciała. Wyszkolono go więc do ulicznych porwań i cichych zabójstw, po czym wysłano w teren. Lubił posługiwać się garotą, której z równą skutecznością używał na eleganckich ulicach Europy, jak i w brudnych zaułkach Kairu i Damaszku. Zabijał arabskich szpiegów i generałów. Zabił nazistowskich naukowców, którzy pomagali Nasserowi budować rakiety. A w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym, w ciepłą kwietniową noc w małym miasteczku na północ od Buenos Aires, Ari Szamron wyskoczył z samochodu i schwycił za gardło czekającego na autobus Adolfa Eichmanna.

Gabriel jako jedyny znal pewien istotny szczegół tej operacji - Adolf Eichamann o mały włos nie uciekł, bo Szamron potknął się o rozwiązane sznurowadło. Równie bliski katastrofy był zresztą niemal za każdym razem, gdy składał wizytę w luksusowym apartamencie przy Bulwarze Króla Saula. Kolejni premierzy nigdy nie wiedzieli, czego się spodziewać, gdy Szamron dzwonił do ich drzwi - informacji o kolejnym brawurowym zwycięstwie czy przyznania się do kolejnej upokarzającej porażki. Zamiłowanie do ryzyka stanowiło jego atut w działaniach operacyjnych, ale często wpędzało go w kłopoty natury politycznej. Gabriel nie mógł już zliczyć, ile razy ten starszy człowiek był wypraszany z salonów, by później do nich powracać z wielką pompą.

Związki Szamrona z apartamentem przy Bulwarze Króla Saula zostały w końcu formalnie zerwane, chociaż nigdy nie został stamtąd wygnany na dobre. Wciąż był specjalnym doradcą rządowym, co dawało mu wpływy wystarczające w sam raz do bycia uciążliwym. Zamknięty w swojej ufortyfikowanej willi z widokiem na Jezioro Galilejskie wciąż zachował część władzy i należało się z nim liczyć. Regularnie odwiedzali go szpiedzy i generałowie chcący ucałować jego pierścień, a każda ważniejsza decyzja dotycząca bezpieczeństwa narodowego musiała być z nim skonsultowana.

Stan jego zdrowia był pilnie strzeżoną tajemnicą. Gabriel słyszał plotki o raku prostaty, lekkim zawale serca i wciąż powracających kłopotach z nerkami. Jasne było, że stary nie miał już przed sobą wiele życia. Szamron nie bał się śmierci, może tylko tego, że gdy go zabraknie, wszyscy popadną w samozadowolenie. I gdy tak powoli wraz z Gabrielem przemierzali dawne getto, śmierć szła z nimi. Śmierć Benjamina. I Szamrona też. Bliskość śmierci nie dawała mu spokoju. Sprawiał wrażenie człowieka porządkującego swoje sprawy. Stary wojownik był zdecydowany stoczyć ostatni pojedynek.

- Byłeś na pogrzebie?

Szamron pokręcił głową.

- Benjamin obawiał się, że gdyby wyszło na jaw, że dla nas pracował, zakwestionowano by jego osiągnięcia naukowe. Moja obecność na pogrzebie zwiększyłaby tylko liczbę niewygodnych pytań, zarówno w Izraelu, jak i za granicą, dlatego trzymałem się z daleka. Choć muszę przyznać, że przyszło mi to bez trudu. Bardzo ciężko jest pochować własne dziecko.

- Czy ktoś się pojawił na pogrzebie? Nie miał w Izraelu rodziny.

- Słyszałem, że było paru jego przyjaciół z normalnego świata i kilka osób z katedry hebraistyki.

- Kto cię tu przysłał?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Dla mnie ma. Kto cię przysłał?

- Ze mną jest tak, jakbym był na zwolnieniu warunkowym - odparł Szamron zmęczonym głosem. - Nie mogę nic robić ani się przemieszczać bez zgody sądu.

- A kto w nim zasiada?

- Przede wszystkim Lew. Oczywiście, gdyby to tylko od niego zależało, siedziałbym zamknięty w jakimś pokoju z żelazną pryczą o chlebie i wodzie. Na szczęście drugą osobą w tym trybunale jest premier.

- Twój stary towarzysz broni.

- Powiedzmy, że mamy podobne zdania na temat charakteru konfliktu i prawdziwych zamiarów naszych wrogów. Mówimy tym samym językiem i dobrze się czujemy w swoim towarzystwie. Dzięki niemu ciągle biorę udział w tej zabawie, mimo najlepszych starań Lwa, by posłać mnie na tamten świat.

- To nie zabawa, Ari. To nigdy nie była zabawa.

- Nie musisz mi o tym przypominać, Gabrielu. Ty bawiłeś się na europejskich podwórkach, podczas gdy na ulicach Tel Awiwu codziennie wysadzali się w powietrze zamachowcy samobójcy.

- Pracuję tutaj.

- Wybacz, Gabrielu, nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak szorstko. A skoro o tym mowa, nad czym pracujesz?

- Naprawdę cię to obchodzi?

- Pewnie, że tak. Inaczej bym nie pytał.

- Nad obrazem Belliniego w ołtarzu kościoła San Zaccaria. To jedno z najpiękniejszych malowideł w Wenecji.

- Chciałbym zobaczyć minę patriarchy w chwili, w której by się dowiedział, że jego drogocenny ołtarz był odnawiany przez grzecznego żydowskiego chłopca z doliny Ezdrelon - powiedział z uśmiechem Szamron.

Nagle zatrzymał się i ostro zakaszlał, zasłaniając usta chusteczką. Gdy wziął kilka głębokich wdechów, żeby się uspokoić, Gabriel usłyszał rzężenie w jego płucach. Było zbyt chłodno, żeby Szamron mógł przebywać długo na dworze, ale uparcie nie chciał się do tego przyznać. Gabriel postanowił więc sam się tym zająć.

- Czy moglibyśmy gdzieś usiąść? Stałem na rusztowaniu od ósmej rano.

Szamron zdobył się na uśmiech. Wiedział, że to podstęp. Zaprowadził Gabriela do cukierni na skraju *campo*. Była pusta, jeśli nie liczyć stojącej za ladą wysokiej dziewczyny, która, nie czekając na zamówienie, przyniosła im espresso, dwie wody mineralne oraz talerz *rugelach* z cynamonem i orzechami. Gdy pochyliła się nad stolikiem, ciemny kosmyk włosów opadł jej na ramię. Jej długie ręce pachniały wanilią. Owinęła się brązowym szalem i wyszła na zewnątrz, zostawiając Gabriela i Szamrona samych.

- Słucham - powiedział Gabriel.

- Robisz postępy. Zwykle zaczynasz od wymyślania mi, że zrujnowałem ci życie.

- Na pewno w którymś momencie do tego dojdziemy.

- Powinieneś porozmawiać z moją córką i porównać notatki.

- Już to zrobiliśmy. Co u niej?

- Wciąż mieszka w Nowej Zelandii, nie uwierzysz, ale na kurzej fermie, i wciąż odkłada słuchawkę, kiedy dzwonię. - Zrobił długą przerwę, żeby zapalić kolejnego papierosa. - Okropnie mnie nienawidzi. Mówi, że nigdy nie byłem przy niej. Nie rozumie, że byłem zajęty. Miałem ocalić naród.

- To nie będzie trwać wiecznie.

- Może umknęło to twojej uwadze, ale ja też nie. - Szamron wziął kawałek *rugelach* i przeżuwał powoli. - Jak się ma Anna?

- Mam nadzieję, że dobrze. Nie rozmawiałem z nią od prawie dwóch miesięcy.

Szamron opuścił głowę i znad okularów spojrzał na Gabriela wzrokiem pełnym dezaprobaty.

- Tylko mi nie mów, że złamałeś tej biednej kobiecie serce.

Gabriel zamieszał kawę i odwrócił wzrok od wpatrzonych w niego ocz\i Szamrona.

Anna Rolfe... Światowej sławy skrzypaczka i córka bogatego szwajcarskiego bankiera Augustusa Rolfe. Rok temu Gabriel pomógł jej wytropić ludzi, którzy go zabili. Zmusił ją do pogodzenia się z nieprzyjemnymi faktami z przeszłości wojennej ojca i prawdą o pochodzeniu jego imponującej kolekcji obrazów impresjonistów i modernistów. Przy okazji zakochał się w porywczej wirtuozce. Po operacji przez sześć miesięcy mieszkał u niej, w stojącej na odludziu willi na Costa de Prata w Portugalii. Coś między nimi zaczęło się psuć, gdy Gabriel oświadczył Annie, że za każdym razem, gdy spacerują po ulicach miasteczka, widzi obok siebie żonę. A czasem w nocy, gdy się kochają, Leah stoi cicho obok i patrzy na nich. Gdy Francesco Tiepolo zaproponował mu tę pracę w Wenecji, Gabriel bez wahania się zgodził. Anna Rolfe nie zaprotestowała.

- Uwielbiam ją, ale nic by z tego nie wyszło.

- Czy była z tobą chociaż przez chwilę tutaj, w Wenecji?

- Grała na koncercie dobroczynnym we Frari. Spędziła ze mną dwa dni, ale obawiam się, że to tylko pogorszyło nasze sprawy.

- Pewnie jest w tym trochę mojej winy - powiedział Szamron, powoli zgniatając papierosa. - Nie byłeś jeszcze gotowy, kiedy cię w to wszystko wplątałem.

Jak zawsze, Szamron i tym razem zapytał Gabriela, czy odwiedził Leah. Gabriel usłyszał siebie mówiącego, że przed przyjazdem do Wenecji pojechał do ukrytej przed światem kliniki psychiatrycznej na południu Anglii; że spędził z żoną popołudnie na spacerze po okolicy, pchając ją na wózku; że nawet zrobili sobie piknik pod ogołoconym z liści klonem. Ale gdy mówił, myślał o czymś innym: o małej uliczce w Wiedniu, niedaleko Judenplatz; o bombie podłożonej w samochodzie, która zabiła jego syna; o piekle, które zniszczyło ciało Leah i zabrało jej pamięć.

- Minęło dwanaście lat, a ona wciąż mnie nie rozpoznaje. Powiem ci szczerze, że czasem ja nie rozpoznaję jej. - Gabriel przerwał na moment. - Ale przecież nie przyjechałeś tu na pogawędki o moim życiu osobistym.

- Nie, nie po to tu przyjechałem - odparł Szamron. - Ale twoje życie osobiste ma znaczenie. Widzisz, jeżeli wciąż łączyłoby cię coś z Anną Rolfe, nie mógłbym cię prosić, żebyś znów dla mnie pracował, przynajmniej nie z czystym sumieniem.

- Od kiedy to pozwalasz, żeby sumienie stawało ci na drodze, jeśli chcesz osiągnąć jakiś cel?

- No, nareszcie wraca dawny Gabriel, którego znam i kocham. - Szamron uśmiechnął się z zadowoleniem. - Co wiesz o zabójstwie Benjamina?

- Tylko to, co wyczytałem w „Herald Tribune". Policja monachijska mówi, że zabili go neonaziści.

Szamron parsknął śmiechem. Najwyraźniej nie zgadzał się z wnioskami policji z Monachium, nieważne, że dopiero wstępnymi.

- Pewnie to możliwe. To, co Benjamin pisał o Holocauście, nie było mile widziane przez pewne kręgi niemieckiego społeczeństwa. Ponadto fakt, że był z Izraela, czynił go oczywistym celem.

Ale nie sądzę, żeby to jakiemuś skinheadowi udało się go zabić. Widzisz, zawsze gdy Żydzi giną na niemieckiej ziemi, czuję się nieswojo. Chcę się dowiedzieć czegoś więcej niż to, co oficjalnie podaje policja.

- Dlaczego nie wyślesz do Monachium jakiegoś wywiadowcy, żeby zbadał sprawę?

- Bo jeżeli pojawi się tam któryś z naszych oficerów wysokiej rangi i zacznie zadawać pytania, ludzie zrobią się podejrzliwi. Poza tym wiesz, że zawsze wolałem tylne drzwi od frontowych.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Za dwa dni policjant z Monachium zajmujący się tą sprawą ma spotkać się z przyrodnim bratem Benjamina, Ehudem Landauem. Poinformuje go o wynikach śledztwa, pozwoli mu zabrać rzeczy Benjamina i zorganizuje ich przewóz do Izraela.

- O ile mnie pamięć nie myli, Benjamin nie miał przyrodniego brata.

- Już ma - Szamron położył na stole izraelski paszport i popchnął go ku Gabrielowi. Gabriel otworzył dokument i zobaczył wpatrzoną w siebie własną twarz. Spojrzał na imię i nazwisko: Ehud Landau.

- Masz najlepsze oczy, jakie znam - powiedział Szamron. - Rozejrzyj się po jego mieszkaniu. Zobacz, czy czasem coś nie wydaje się podejrzane. Jeśli tylko się da, usuń wszystko, co mogłoby pozwolić powiązać Benjamina z Biurem.

Gabriel zamknął paszport, ale zostawił go na stoliku.

- Jestem w trakcie bardzo trudnych prac konserwatorskich. Nie mogę ot tak sobie wyjechać do Monachium.

- To zajmie ci tylko jeden dzień, najwyżej dwa.

- To samo mówiłeś ostatnio.

Szamron, zawsze kipiący pod powierzchnią, stracił cierpliwość i walnął pięścią w stół.

- Chcesz renowować swój kretyński obraz czy pomóc mi w odnalezieniu zabójcy twojego przyjaciela? - krzyknął po hebrajsku.

- Dla ciebie wszystko jest zawsze proste, prawda?

- Chciałbym, żeby było. Pomożesz mi czy mam tak delikatną misję powierzyć któremuś z matołów Lwa?

Gabriel udawał, że się zastanawia, chociaż już podjął decyzję. Zgarnął paszport zgrabnym ruchem ręki i wsunął do kieszeni płaszcza. Gabriel miał ręce czarodzieja i talent magika. Był paszport, nie ma paszportu. Szamron wyjął z kieszeni średniej wielkości szarą kopertę, w której Gabriel znalazł bilet lotniczy i drogi szwajcarski portfel z czarnej skóry. Otworzył go: izraelskie prawo jazdy, karty kredytowe, karta członkowska ekskluzywnego fitness klubu w Tel Awiwie, karta do wypożyczalni wideo, znacząca suma w euro i szeklach.

- Z czego żyję?

- Jesteś właścicielem galerii sztuki. Twoje wizytówki są w części zamkniętej na suwak.

Gabriel wyjął jedną z nich:

GALERIA SZTUKI LANDAUA
ul. SZEINKIN, TEL AWIW

- Istnieje?

- Teraz już tak.

Ostatnią rzeczą w kopercie byt złoty zegarek z czarnym skórzanym paskiem. Gabriel obejrzał zegarek i przeczytał wyryty na odwrocie napis: *Dla Ehuda od kochającej Hannah*.

- Pięknie - powiedział.

- Zawsze uważałem, że diabeł tkwi w szczegółach.

Zegarek, bilety i portfel dołączyły do paszportu w kieszeni Gabriela. Wstali. Gdy wychodzili, długowłosa dziewczyna w brązowym szalu szybko podeszła do Szamrona. Gabriel zdał sobie sprawę, że dziewczyna jest jego ochroniarzem.

- Dokąd teraz?

- Z powrotem do Twerii - odpowiedział Szamron. - Jeśli trafisz na coś interesującego, wyślij to na Bulwar Króla Saula normalnymi kanałami.

- Kto to będzie czytał?

- Ja, ale to nie znaczy, że Lew nie może rzucić na to okiem, więc bądź dyskretny.

Gdzieś daleko na wieży kościelnej odezwał się dzwon. Szamron zatrzymał się na środku *campo,* obok *pozzo,* i po raz ostatni rozejrzał się dookoła.

- Nasze pierwsze getto. O Boże, jak ja nienawidzę tego miejsca.

- Szkoda, że nie było cię w Wenecji w szesnastym wieku - powiedział Gabriel. - Rada Dziesięciu nigdy nie ośmieliłaby się zamknąć tu Żydów.

- Ależ ja tu byłem - powiedział z przekonaniem Szamron. - Zawsze tu byłem. I pamiętam wszystko.

4

Monachium

Dwa dni później Axel Weiss z monachijskiej Kriminal Polizei czekał na niego na Adalbertstrasse 68. Miał na sobie jasnobrązowy płaszcz, ubrany był po cywilnemu. Dłoń Gabriela uścisnął tak ostrożnie, jakby chciał sprawdzić jej kruchość. Wysoki, pociągła twarz, długi nos, ciemna karnacja i krótko przystrzyżone czarne włosy - to sprawiało, że Weiss przypominał dobermana. Puścił rękę Gabriela i poklepał go poufale po ramieniu.

- Bardzo miło mi pana poznać, Herr Landau, szkoda, że w takich okolicznościach. Pozwoli pan, że nim pójdziemy na górę, zabiorę pana gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Ruszyli mokrym od deszczu chodnikiem. Było późne popołudnie i w Schwabingu powoli zapalały się światła. Gabriel nie lubił niemieckich miast nocą. Policjant zatrzymał się przed jakąś kawiarnią i zajrzał do środka przez zaparowane okno. Drewniana podłoga, okrągłe stoliki, pochyleni nad książkami studenci i intelektualiści.

- Ujdzie - stwierdził Weiss.

Otworzył drzwi i poprowadził Gabriela do cichego stolika w głębi sali.

- Wasz konsulat powiedział mi, że jest pan właścicielem galerii.

- Tak, to prawda.

- W Tel Awiwie?

- Zna pan Tel Awiw?

Policjant pokręcił głową.

- Musi wam być teraz bardzo ciężko, wojna i w ogóle.

- Dajemy sobie radę. Właściwie zawsze sobie jakoś radziliśmy. Podeszła kelnerka. Weiss zamówił dwie kawy.

- Czy chciałby pan coś zjeść, Herr Landau? Gabriel podziękował.

- Czy ma pan wizytówkę? - spytał Weiss, gdy kelnerka się oddaliła.

Pytanie zostało zadane jakby od niechcenia, ale Gabriel zorientował się, że jest sprawdzany. Charakter jego pracy powodował, że nic nie było dla niego takie, jak na pozór wyglądało. Gdy przyglądał się obrazom, oprócz tego, co na powierzchni, widział także znajdujące się pod spodem szkice malowidła i warstwy farby zużytej na podkład. Tak samo było z ludźmi, których spotykał, gdy pracował dla Szamrona, i w różnych innych sytuacjach. Miał niejasne wrażenie, że Axel Weiss jest kimś więcej niż tylko oficerem monachijskiej Kriminal Polizei. Sięgając do portfela po jedną z wizytówek, które dostał w Wenecji od Szamrona, Gabriel czuł, jak Weiss świdruje go wzrokiem. Policjant wziął kartonik i obejrzał pod światło, jakby szukał śladów fałszerstwa.

- Czy mogę ją zatrzymać?

- Jasne. - Gabriel otworzył portfel. - Czy chciałby pan zobaczyć jakiś inny dokument potwierdzający moją tożsamość?

- Ależ skąd! - Policjant wydawał się być dotknięty pytaniem i gwałtownie machnął ręką. - Oczywiście, że nie. Po prostu interesuję się sztuką.

Gabriel oparł się pokusie, by sprawdzić, ile niemiecki policjant wie o sztuce.

- Był pan w konsulacie?

Gabriel skinął głową. Wcześniej tego samego dnia złożył wizytę w izraelskim konsulacie, żeby dowiedzieć się czegoś o wynikach śledztwa. Od jednego z urzędników otrzymał teczkę

zawierającą kopie policyjnych raportów oraz wycinki z monachijskich gazet. Teczka spoczywała teraz w jego kosztownej walizce z czarnej skóry.

- Byli bardzo pomocni - powiedział Gabriel - ale jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wolałbym od pana usłyszeć coś o zabójstwie Benjamina.

- Oczywiście - odparł Niemiec.

Przez następne dwadzieścia minut szczegółowo opisywał Gabrielowi okoliczności towarzyszące morderstwu. Godzina i przyczyna zgonu, kaliber broni, potwierdzone przez świadków grożenie Benjaminowi śmiercią, grafitti na ścianach mieszkania. Mówił w sposób, jaki policja na całym świecie zwykle rezerwuje dla rodzin ofiar - spokojnie i wprost. Gabriel przyjął taką samą postawę. Nie udawał smutku. Nie udawał, że drastyczne szczegóły śmierci jego przyrodniego brata sprawiają mu ból. Był Izraelczykiem. Śmierć widział praktycznie codziennie. Skończył się czas żałoby. Teraz przyszła pora na szukanie odpowiedzi i jasne myślenie.

- Dlaczego postrzelono go w kolano?

- Nie jesteśmy pewni. - Weiss ściągnął usta i pochylił głowę. - Możliwe, że wywiązała się walka. Albo go torturowano.

- Ale powiedział pan, że żaden z mieszkańców nic nie słyszał. Gdyby był torturowany, z pewnością jego krzyki byłoby słychać w całej kamienicy.

- Tak jak mówiłem, Herr Landau, nie jesteśmy pewni.

Weiss był wyraźnie niezadowolony z przebiegu rozmowy, ale Herr Landau, handlarz sztuką z Tel Awiwu, jeszcze nie skończył.

- Czy postrzał w kolano zdarzał się przy innych zabójstwach dokonywanych przez prawicowych ekstremistów?

- Muszę przyznać, że nie.

- Czy macie jakichś podejrzanych?

- Przesłuchujemy parę osób. Obawiam się, że nic więcej nie mogę powiedzieć.

- Czy braliście pod uwagę możliwość, że może się to wiązać z jego pracą akademicką? Może zrobił to na przykład jakiś sfrustrowany student?

- Pański brat był powszechnie lubiany - policjantowi udało się uśmiechnąć, ale widać było, że jego cierpliwość wystawiana jest na ciężką próbę. - Można nawet powiedzieć, że studenci go uwielbiali. Poza tym na ten semestr wziął urlop naukowy - Weiss przerwał i przez chwilę przyglądał się Gabrielowi. - Wiedział pan o tym, prawda, Herr Landau?

- Obawiam się, że nie - Gabriel uznał, że w tej sytuacji lepiej będzie nie kłamać. - Nie rozmawialiśmy ze sobą od dłuższego czasu. Dlaczego był na urlopie?

- Dziekan jego wydziału powiedział mi, że pracował nad książką. - Policjant przełknął resztkę kawy. - Może rzucimy okiem na mieszkanie?

- Mam jeszcze jedno pytanie.

- Słucham, Herr Landau.

- W jaki sposób zabójca dostał się do budynku?

- To akurat wiemy - powiedział Weiss. - Pomimo że pańskiemu bratu regularnie grożono śmiercią, mieszkał w bardzo źle zabezpieczonym budynku. Tutejsi lokatorzy niefrasobliwie wpuszczają obcych do domu. Jeżeli ktoś wciśnie guzik domofonu i powie: „Ulotki", prawie na pewno wejdzie. Studentka mieszkająca nad profesorem Sternem jest pewna, że to ona wpuściła mordercę do domu. Wciąż to przeżywa. Najwyraźniej bardzo lubiła profesora.

Wracali w ulewnym deszczu. Na miejscu policjant nacisnął jeden z guzików domofonu. Gabriel spojrzał na tabliczkę. Lillian Ratzinger - dozorczyni. Chwilę później drobna, ale srogo wyglądająca kobieta o brązowych, zalęknionych oczach spojrzała na nich przez uchylone drzwi. Rozpoznała Weissa i otworzyła.

- Dzień dobry, Frau Ratzinger - powiedział policjant. - To jest Ehud Landau, brat Benjamina. Przyjechał uporządkować sprawy profesora.

Kobieta spojrzała na Gabriela i skinęła mu głową, po czym odwróciła się, jakby jego widok ją zdenerwował.

W holu uderzył ich kwaśny zapach. Gabrielowi przypominał rozpuszczalnik, którym oczyszczał płótna z brudnego lakieru. Rozejrzawszy się, zobaczył, że mieści się tu zakład kosmetyczny. Gruba kobieta, której robiono właśnie pedicure, zerknęła na niego znad błyszczącego niemieckiego magazynu o modzie. Gabriel odwrócił się. Pomyślał, że Benjamin - wieczny student - musiał się tutaj dobrze czuć.

Przy wejściu wisiały rzędem metalowe skrzynki na listy. Na skrzynce Benjamina wciąż widniało jego nazwisko. Gabriel zajrzał do niej i stwierdził, że jest pusta.

Frau Ratzinger, dzwoniąc trzymanymi w ręku kluczami, poprowadziła ich po słabo oświetlonych schodach na górę. Zatrzymała się przed mieszkaniem Benjamina. Z framugi zwisały strzępy taśmy policyjnej, a pod drzwiami leżał stos róż. Na ścianie ktoś przykleił kartkę z napisanym drżącą ręką hasłem: Liebe ist starker ais Haft. Miłość jest silniejsza od nienawiści. Coś w naiwnym idealizmie hasła rozzłościło Gabriela. Nagle przypomniał sobie, że właśnie to usłyszał od Leah, gdy wyjeżdżał do Europy zabijać Palestyńczyków dla Szamrona.

„Miłość jest silniejsza od nienawiści, Gabrielu. Cokolwiek byś robił, nie kieruj się nienawiścią, bo staniesz się taki jak Szamron".

Kobieta otworzyła drzwi i odeszła, nie spojrzawszy na Gabriela. Zastanawiał się nad przyczyną jej niepokoju. Może to z powodu wieku. Prawdopodobnie ludzie z jej pokolenia wciąż czują się nieswojo w obecności Żydów.

Weiss wprowadził Gabriela do pokoju wychodzącego na Adalbertstrasse. Popołudnie było ponure, więc policjant zapalił lampę na biurku. Gabriel spojrzał pod nogi i szybko się cofnął.

Podłoga była pokryta krwią Benjamina. Spojrzał na ścianę i po raz pierwszy zobaczył grafitti. Policjant Weiss wskazał na pierwszy symbol, diament spoczywający na postumencie w kształcie odwróconego V.

- To runiczny Znak Odyna - powiedział. - Starożytny nordycki symbol wyznawców pogańskiej religii zwanej odynizmem.

- A ten drugi? - zapytał Gabriel, choć znał odpowiedź.

Trzy złączone dołami arabskie siódemki, otoczone morzem czerwieni. Weiss przyglądał się chwile znakowi, nim odpowiedział.

- To Trzy Siódemki, znany też jako Trójramienna Swastyka - powiedział Niemiec. - Symbolizuje władzę nad diabłem, przedstawionym jako trzy szóstki.

Gabriel podszedł bliżej i przechylił głowę, jakby badał płótno wymagające renowacji. Jego dobrze wyszkolony wzrok podpowiadał mu, że autor napisów raczej udawał neonazistę. Coś jeszcze zwróciło jego uwagę. Symbole nienawiści prawdopodobnie zostały namalowane zaraz po zabójstwie Benjamina, ale mimo tego kreski były perfekcyjnie poprowadzone. Nie zdradzały żadnych oznak niepokoju czy zdenerwowania. Człowiek przyzwyczajony do zabijania, pomyślał Gabriel. Człowiek czujący się dobrze wśród trupów.

Podszedł do biurka.

- Czy komputer Benjamina został zabrany jako materiał dowodowy?

Weiss potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Został skradziony.

Gabriel spojrzał na sejf, otwarty i pusty.

- Też skradzione - powiedział policjant, uprzedzając pytanie.

Gabriel wyjął z kieszeni kurtki notes i długopis. Weiss usiadł ciężko na kanapie, jak po całodziennym obchodzie.

- Muszę zostać z panem do czasu, gdy skończy pan spisywać przedmioty. Przykro mi, ale takie mamy przepisy. - Rozluźnił krawat. - Proszę się nie spieszyć, Herr Landau. I proszę niczego nie zabierać, dobra? To też przepisy.

Gabriel zrobił to, co mógł zrobić w obecności policjanta. Zaczął od sypialni. Łóżko było nieposłane. Na popękanym skórzanym fotelu leżały zawinięte w brązowy papier i przewiązane sznurkiem świeżo wyprane ubrania, na nocnym stoliku leżała czarna opaska na oczy i miękkie zatyczki do uszu. Gabriel przypomniał sobie, że Benjamin miał problemy ze snem. Zasłony w oknach były grube i ciemne, takie jak zwykle u ludzi pracujących w nocy i śpiących w dzień. Gdy Gabriel je zaciągnął, pokój wypełnił się kurzem.

Następne pół godziny spędził na przeszukiwaniu garderoby, szafy i nocnego stolika. Notował wszystko bardzo dokładnie, na wypadek gdyby detektyw Weiss postanowił sprawdzić jego wykaz, ale tak naprawdę nie znalazł niczego nadzwyczajnego.

Przeszedł do drugiej sypialni. Ściany zastawione były półkami i szafkami na dokumenty. Najwyraźniej Benjamin postanowił zamienić ją w magazyn. Pokój wyglądał, jakby wybuchła w nim bomba. Wszędzie leżały książki, szafki były pootwierane. Gabriel zastanawiał się, kto był za to odpowiedzialny - policja monachijska czy morderca Benjamina.

Gabriel siedział tu prawie godzinę. Przewertował zawartość wszystkich teczek, przerzucił strony każdej książki. Weiss pojawił się raz w drzwiach, żeby sprawdzić, jak mu idzie, po czym ziewnął i wrócił do salonu. Gabriel znowu zrobił mnóstwo notatek dla detektywa, ale nie znalazł nic, co mogłoby połączyć zabitego z Biurem. Ani nic, co mogłoby pomóc wyjaśnić motywy morderstwa.

Wrócił do salonu. Weiss oglądał wieczorne wiadomości w telewizorze Benjamina. Wyłączył go, gdy Gabriel wszedł do pokoju.

- Skończył pan?

- Czy Benjamin miał jakiś schowek albo strych?

Policjant skinął twierdząco głową.

- Niemieckie prawo wymaga od właścicieli, żeby udostępnili lokatorom takie pomieszczenia.

- Czy mogę prosić o klucz? - Gabriel wyciągnął rękę.

Do piwnicy zaprowadziła Gabriela Frau Ratzinger. Szli korytarzem wzdłuż rzędu wąskich drzwi. Zatrzymała się przy tych oznaczonych numerem 2B. Odchrząknęła, otworzyła drzwi i pociągnęła za sznurek od lampy. Trzepocząca skrzydłami ćma otarła się o policzek Gabriela. Kobieta wskazała głową piwnicę, po czym po cichu się wycofała.

Pomieszczenie było trochę większe od garderoby, szerokie na około półtora metra i głębokie na dwa, cuchnęło olejem i wilgocią. Zardzewiała rama rowerowa z jednym kołem, para staromodnych nart, stosy kartonów sięgające pokrytego zaciekami sufitu.

Gabriel odstawił na bok zepsuty rower i narty, po czym zaczął przeszukiwać kartony. W kilku znalazł spięte pliki pożółkłych kartek i stare notatniki - okruchy życia spędzonego w salach wykładowych i bibliotekach uniwersyteckich. W niektórych kartonach były książki, które, jak sądził, Benjamin musiał uznać za nie dość ważne, by trzeba je było postawić w mieszkaniu. W jeszcze innych spoczywały egzemplarze ostatniej książki Sterna - *Spisek w Wannsee: nowe spojrzenie*.

W ostatnim pudle znajdowały się rzeczy czysto osobiste. Gabriel poczuł się jak intruz. Pomyślał, jakby on sam się czuł, gdyby to jego rzeczy przeszukiwał ktoś wysłany przez Szamrona. Co by znalazł? Tylko to, co Gabriel chciał, by zostało znalezione. Rozpuszczalniki i barwniki, pędzle i paletę, porządny zbiór monografii. Berettę przy łóżku.

Odetchnął głęboko i wrócił do pracy. W pudełku po cygarach znalazł pęczek zaśniedziałych medali na poszarpanych wstążkach i przypomniał sobie, że w szkole Benjamin był świetnym biegaczem i odnosił nawet pewne sukcesy. W kopercie spoczywały zdjęcia rodzinne. Benjamin, podobnie jak Gabriel, był jedynakiem. Jego rodzice przeżyli okropności Rygi tylko po to, by zginąć w wypadku samochodowym na drodze do Hajfy. Następnie Gabriel natrafił na stertę listów. Papeteria miała kolor miodu i wciąż pachniała bzem. Przeczytał kilka linijek i szybko odłożył listy na bok. Vera.... Jedyna miłość

Benjamina. Ileż to nocy Gabriel spędził, leżąc w jakimś cholernym „bezpiecznym mieszkaniu" i słuchając, jak to zniewalająca Vera tak opętała Benjamina, że nie zainteresował się już żadną inną kobietą. Był całkiem pewny, że sam nienawidził jej nawet bardziej niż Benjamin.

Na samym końcu natrafił na szarą teczkę na dokumenty. Otworzył ją i znalazł w środku zbiór wycinków z gazet. Przesunął wzrokiem po nagłówkach:

JEDENASTU IZRAELSKICH SPORTOWCÓW I TRENERÓW WZIĘTYCH NA ZAKŁADNIKÓW W MIASTECZKU OLIMPIJSKIM... TERRORYŚCI ŻĄDAJĄ ZWOLNIENIA PALESTYŃSKICH I NIEMIECKICH WIĘŹNIÓW... CZARNY WRZESIEŃ...

Gabriel zamknął teczkę.

Wysunęła się z niej czarno-biała fotografia. Podniósł ją. Dwaj chłopcy z plecakami ubrani w niebieskie dżinsy. Dwóch młodych Niemców spędzających wakacje na wędrówce po Europie - w każdym razie tak się wydawało. Zdjęcie zrobiono w Antwerpii, niedaleko rzeki. Ten po lewej, z pofalowaną grzywką przysłaniającą oczy i szelmowskim uśmiechem na twarzy, obejmujący ramieniem młodego mężczyznę obok, to Benjamin.

Towarzysz Benjamina był poważny i posępny. Sprawiał wrażenie, jakby nie miał czasu na rzeczy tak banalne jak robienie zdjęć. Nosił ciemne okulary, miał krótko przycięte włosy i mimo że nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat, jego skronie były przyprószone siwizną. „Znamię chłopca, który musiał sprostać męskiemu zadaniu", powiedział kiedyś Szamron. „Ślady popiołu na włosach księcia ognia".

Gabrielowi nie podobała się ta teczka zawierająca wycinki na temat masakry w Monachium, ale nie było sposobu, by wynieść coś tak dużego bez zwracania uwagi Weissa. Zdjęcie to co innego. Wsunął je do kosztownego portfela Herr Landaua, a portfel do kieszeni płaszcza. Wyszedł z piwnicy i zamknął za sobą drzwi.

Frau Ratzinger czekała na korytarzu. Gabriel zastanawiał się, od jak dawna tam stoi, ale nie odważył się zapytać. W ręce trzymała niewielką, usztywnianą kopertę na listy, zaadresowaną do Benjamina. Gabriel zauważył, że ktoś ją już wcześniej otworzył.

- Pomyślałam, że chciałby pan je zatrzymać - powiedziała po niemiecku, podając mu przesyłkę.

- Co to jest?

- Okulary pana Benjamina. Zostawił je w hotelu we Włoszech. Właściciel był tak dobry, że mu je odesłał. Niestety, przyszły za późno.

Gabriel wziął kopertę, zajrzał do środka i wyjął okulary. Były to okulary uczonego - z plastiku, niemodne, powyginane i porysowane. Oprócz nich Gabriel znalazł w środku pocztówkę. Odwrócił kopertę i kartka wysunęła mu się na dłoń. Zdjęcie przedstawiało hotel w kolorze ochry, położony nad szafirowoniebieskim jeziorem na północy Włoch. Na odwrocie znalazł kilka słów: *Powodzenia w pracy nad książką, profesorze Stan. Giancomo.*

Detektyw Weiss nalegał, by odwieźć Gabriela do hotelu. Ponieważ Herr Landau nigdy przedtem nie był w Monachium, Gabriel był zmuszony udawać podziw dla tonącego w światłach neoklasycznego centrum tego pięknego miasta. Zauważył także, że Weiss sprytnie wydłużył jazdę o pięć minut, omijając kilka oczywistych skrętów.

W końcu dotarli do Annastrasse, małej brukowanej uliczki w dzielnicy Lehel. Weiss zatrzymał się przy hotelu Opera, wręczył Gabrielowi swoją wizytówkę i po raz kolejny wyraził ubolewanie z powodu straty poniesionej przez Herr Landaua.

- Jeżeli mógłbym panu jakoś pomóc, proszę pytać bez wahania.

- Mam prośbę - powiedział Gabriel. - Chciałbym porozmawiać z dziekanem wydziału Benjamina. Czy ma pan jego telefon?

- Aha, z doktorem Bergerem. Oczywiście, mam.

Policjant wyjął z kieszeni notes elektroniczny i podyktował telefon, który Gabriel zapisał ostentacyjnie na otrzymanej od policjanta wizytówce, choć raz go usłyszawszy, od razu zapamiętał.

Gabriel podziękował i poszedł do swojego pokoju. Zamówił lekki posiłek złożony z omleta i zupy jarzynowej. Następnie wykąpał się i położył, wziąwszy do łóżka teczkę otrzymaną po południu od pracownika konsulatu. Przeczytał wszystko bardzo dokładnie, a potem leżał, wpatrując się w sufit i słuchając bębniącego w okno deszczu. Kto cię zabił, Beni? Neonazista? Nie, Gabriel w to wątpił. Podejrzewał, że Znak Odyna i Trzy Siódemki na ścianach miały tylko służyć mordercy do zrzucenia odpowiedzialności na neonazistów. Ale dlaczego Benjamin zginął? Gabriel miał już roboczą hipotezę. Benjamin wziął urlop naukowy, żeby pisać książkę, ale w mieszkaniu nie było nic, co mogłoby wskazywać, że to robił. Ani materiałów, ani notatek, ani manuskryptu. Tylko krótka informacja na odwrocie pocztówki przysłanej z hotelu we Włoszech: *Powodzenia w pracy nad książką, profesorze Stern. Giancomo.*

Gabriel otworzył portfel i wyjął zabrane z piwnicy zdjęcie. Przeklęta pamięć Gabriela nie pozwalała mu niczego zapomnieć. Widział, jak Benjamin podaje aparat ładnej Belgijce, czuł, jak ciągnie go do barierki, za którą rozpościerał się widok na rzekę. Nawet pamiętał rozmowę poprzedzającą moment, nim Benjamin obejmie go ramieniem:

„Uśmiechnij się, dupku!".

„To nie jest śmieszne, Beni".

„Wyobrażasz sobie twarz starego, gdyby dowiedział się, że pozujemy do zdjęcia?".

„Nogi by ci z dupy powyrywał".

„Nie martw się. Spalę to zdjęcie".

Pięć minut później Gabriel spalił zdjęcie w umywalce.

Detektyw Axel Weiss mieszkał w Bogenhausen, dzielnicy położonej na drugim brzegu rzeki Izary. Nie pojechał tam. Po odwiezieniu Izraelczyka do hotelu zaparkował w nieoświetlonym miejscu na przyległej ulicy i obserwował wejście do hotelu Opera. Pół godziny później wystukał na komórce rzymski numer telefonu.

- Tu szef - słowa wypowiedziano po angielsku z włoskim akcentem. Jak zawsze.

- Myślę, że możemy mieć problem.

- Mów, o co chodzi.

Detektyw dokładnie opisał wydarzenia tego popołudnia i wieczora. Miał doświadczenie w przekazywaniu informacji przez telefon i uważał, żeby nie odnosić się do niczego wprost. Poza tym jego rozmówca znał szczegóły sprawy.

- Czy masz wystarczające środki, by śledzić obiekt?

- Tak, ale jeśli to zawodowiec...

- Rób, co ci każę! - warknął mężczyzna w Rzymie. - I zdobądź zdjęcie.

Połączenie zostało przerwane.

5

Watykan

Cieszę się, Eminencjo, że was widzę.

- Wasza Świątobliwość.

Sekretarz stanu kardynał Marco Brindisi skłonił się ku podanemu mu do pocałowania pierścieniowi rybaka. Jego wargi nie pozostały na nim długo. Podniósł się i spojrzał papieżowi prosto w oczy z pewnością siebie graniczącą z bezczelnością. Brindisi zdawał się unosić nad podłogą papieskich apartamentów. Był chudy, miał szczupłą pociągłą twarz i cerę jak pergamin. Jego sutanna była szyta przez pracownię krawiecką przy Piazza della Minerva, tę samą, która szyła stroje dla papieży. Pektorał z litego złota świadczył o bogactwie i wpływach jego rodziny i protektorów. Odbicie światła na małych okrągłych okularach skrywało ponury wyraz jego bladoniebieskich oczu.

Brindisi jako sekretarz stanu zajmował się zarówno wewnętrznymi sprawami Watykanu, jak i kontaktami z rządami innych państw. Był więc praktycznie premierem Watykanu, a co za tym idzie, drugim najpotężniejszym człowiekiem w Kościele rzymskokatolickim. Wprawdzie konklawe nie potoczyło się po jego myśli, ale zachował swoje wpływy w kurii rzymskiej, miał wielu popleczników, dzięki którym jego władza mogła rywalizować nawet z papieską. Nawet papież nie był pewien, kto wyjdzie zwycięsko z tych zmagań - on czy małomówny kardynał.

Obaj mężczyźni spotykali się w każdy piątek na obiedzie. Z całego tygodnia tego momentu papież obawiał się najbardziej. Niektórzy jego poprzednicy uwielbiali zagłębiać w najdrobniejsze sprawy kurii i całymi godzinami zmagali się z ogromem papierkowej roboty. Za pontyfikatów Piusa XII i Pawła VI światła w gabinecie papieskim paliły się jeszcze długo po północy. Lucchesi uważał, że lepiej poświęcić czas na sprawy duchowe i bardzo niechętnie zajmował się codziennymi sprawami kurii. Niestety, nie ufał swojemu sekretarzowi stanu i z tego właśnie powodu nigdy nie opuszczał obiadów z kardynałem Brindisi.

Siedzieli naprzeciwko siebie w prostej jadalni mieszczącej się w apartamentach papieskich, papież w białej sutannie i białej piusce, kardynał w czarnej szacie, ze szkarłatną szarfą i w szkarłatnej piusce. Brindisi, jak zawsze, był niezadowolony z posiłku. To podobało się Jego Świątobliwości. Papież wiedział, że Brindisi jest łasuchem lubiącym spędzać wieczory na raczeniu się kulinarnymi specjałami w L'Eau Vive, dlatego też zawsze przed spotkaniem prosił zakonnice o przygotowanie czegoś szczególnie obraźliwego dla podniebienia. Tego dnia menu składało się z bulionu o trudnym do określenia pochodzeniu, nieco przypalonej cielęciny i gotowanych ziemniaków. Brindisi nazwał jedzenie „inspirującym" i dzielnie zniósł posiłek.

Przez czterdzieści pięć minut Brindisi rozwodził się nad różnymi sprawami kurii, a każda kolejna była bardziej uciążliwa niż poprzednia. Za mało personelu w Kongregacji Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. Zamieszanie w Papieskiej Radzie do spraw Duszpasterstwa Migrantów i Podróżujących. Raport z comiesięcznego spotkania pracowników Instytutu Dzieł Religijnych. Zarzuty wymierzone w księdza z Kongregacji do spraw Duchowieństwa, że nadużywa swoich uprawnień w korzystaniu ze służbowych samochodów.. Za każdym razem, gdy Brindisi przerywał, by wziąć oddech, papież mówił półgłosem: „To bardzo interesujące, Eminencjo", zastanawiając się,

po co mu informacje o jakichś problemach ze służbowymi samochodami.

- Niestety muszę poruszyć sprawę, która jest - pedantyczny kardynał odchrząknął i wytarł wargi serwetką - można powiedzieć, nieprzyjemna, Wasza Świątobliwość. Przypuszczam, że ten moment jest równie dobry jak każdy inny.

- Proszę mówić, Eminencjo - odparł szybko papież, wyczekujący jakiejkolwiek zmiany tematu, która złagodziłaby monotonię omawianych przez cały czas spraw kurii.

Brindisi odłożył widelec jak ktoś poddający się po długim oblężeniu, po czym splótł ręce pod brodą.

- Wygląda na to, że nasz stary znajomy z „La Repubbliki" znowu coś knuje. W trakcie przygotowywania opisu sylwetki Waszej Świątobliwości do wielkanocnego wydania gazety odkrył parę... - zamierzona pauza, spojrzenie w niebo jakby w poszukiwaniu natchnienia - parę nieścisłości dotyczących Waszego dzieciństwa.

- Jakich nieścisłości?

- Nieścisłości co do daty śmierci Waszej matki. Ile Wasza Świątobliwość miał lat, gdy został osierocony. Gdzie był. Kto się Waszą Świątobliwością zajmował. To bardzo śmiały reporter, od dawna jest cierniem w oku naszego sekretariatu. Udaje mu się odkryć rzeczy ukrywane przez nas z największą starannością. Powtarzam wciąż moim podwładnym, że nikomu nie wolno z nim rozmawiać bez zgody Biura Prasowego, ale mimo to...

- Ludzie z nim rozmawiają.

- Tak się w istocie wydaje, Wasza Świątobliwość.

Papież odsunął pusty talerz i westchnął głęboko. Miał zamiar wyjawić szczegóły swojego dzieciństwa niedługo po konklawe, ale byli w kurii rzymskiej i w Biurze Prasowym tacy, którzy uważali, że świat nie jest gotów na papieża-ulicznika, który jako chłopiec musiał używać pięści i sprytu, zanim nie przygarnął go Kościół. To był właśnie przykład otaczania wszystkiego tajemnicą i tego zakłamania, którymi Lucchesi tak bardzo gardził.

Jednak w pierwszych dniach swojego pontyfikatu nie chciał marnować cennego kapitału politycznego, więc, acz niechętnie, zgodził się ukryć niektóre mniej święte szczegóły z okresu swojego dorastania.

- Błędem było powiedzenie światu, że wychowywałem się w Padwie, w kochającej rodzinie oddanej służbie Chrystusowi i Panience, nim w wieku piętnastu lat wstąpiłem do seminarium. Wasz przyjaciel z „La Repubbliki" odkryje prawdę.

- Wasza Świątobliwość pozwoli, że ja zajmę się „La Repubblica". Mamy swoje sposoby na ustawienie zbłąkanych dziennikarzy z powrotem w szeregu.

- Na przykład?

- Odmowa towarzyszenia Waszej Świątobliwości w podróżach zagranicznych. Wykluczanie z konferencji prasowych. Uchylanie uprawnień w Biurze Prasowym.

- Brzmi to bardzo surowo.

- Nie sądzę, żebyśmy musieli się uciekać do tego typu środków. Z pewnością przekonamy go do zaakceptowania prawdy.

- To znaczy?

- Że Wasza Świątobliwość wychował się w Padwie, w kochającej rodzinie oddanej służbie Chrystusowi i Panience. - Brindisi uśmiechnął się i strzepnął z sutanny niewidoczny pyłek. - Ale przy tej konfrontacji bardzo pomocny byłby pełen obraz dzieciństwa Waszej Świątobliwości, żebyśmy mogli wiedzieć, czemu musimy się przeciwstawić.

- Co proponujecie?

- Krótkie memorandum. Nikt z kurii oprócz mnie go nie zobaczy, wykorzystam je tylko do przygotowania obrony - i tylko, jeśli będzie uzasadniona.

- Marco, czy nauczyłeś się takiej strategii, studiując prawo kanoniczne?

- Są rzeczy uniwersalne. Wasza Świątobliwość.

- Memorandum niedługo będzie dostępne.

Przerwali rozmowę, gdyż podeszły dwie zakonnice, aby sprzątnąć ze stołu i podać kawę. Papież wsypał do filiżanki cukier i powoli zamieszał, po czym spojrzał na Brindisiego.

- Ja również chciałbym o czymś porozmawiać. Chodzi o sprawę, o której dyskutowaliśmy parę miesięcy temu - o moją inicjatywę kontynuacji procesu pojednania między Kościołem a Żydami.

- To bardzo interesujące, Wasza Świątobliwość - Brinidisi powiedział to idealnie beznamiętnym tonem, którego nauczyły go lata wspinania się po szczeblach watykańskiej kariery.

- W ramach tej inicjatywy mam zamiar zlecić przestudiowanie reakcji Kościoła na Holocaust. Wszystkie materiały z Tajnych Archiwów Watykańskich zostaną udostępnione do wglądu, ale tym razem nie będziemy wiązać rąk wybranym przez nas historykom i ekspertom.

I tak już blada twarz kardynała Brindisi stała się całkiem bezbarwna. Złożył palce wskazujące na kształt iglicy kościoła i przycisnął je do warg, próbując się opanować, zanim podjął rzucone mu wyzwanie.

- Jak Wasza Świątobliwość dobrze pamięta, Wasz poprzednik zlecił badania i przedstawił je światu w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym. Nie widzę potrzeby powtarzania pracy Polaka, gdy jest tyle innych, i nawet ośmielę się powiedzieć, że ważniejszych, problemów stojących w chwili obecnej przed Kościołem.

- *Pamiętamy?* Ten dokument powinien nazywać się raczej *Przepraszamy* albo *Błagamy o przebaczenie*. Badania nie poszły wystarczająco daleko ani w przemyśleniach, ani w poszukiwaniu prawdy. To była jeszcze jedna obelga dla ludzi, których rany pragnęliśmy zaleczyć. Co tam było? Kościół był w porządku. Próbowaliśmy pomóc. Niektórzy z nas pomagali bardziej, inni mniej. To Niemcy zabijali, nie my, ale i tak jest nam przykro. Ten dokument jest haniebny.

- Niektórzy mogą uznać za haniebne, że Wasza Świątobliwość tak ocenia pracę swojego poprzednika.

- Nie chcę potępiać wysiłków Polaka. Jego serce było po właściwej stronie, ale podejrzewam, że nie miał pełnego poparcia w kurii - u ludzi takich jak ty, pomyślał Lucchesi - i dlatego dokument nie powiedział praktycznie nic. Z szacunku dla Polaka przedstawię nowe badania jako kontynuację jego słusznego dzieła.

- Kolejne badania zostaną uznane za krytykę, choćby Wasza Świątobliwość nie wiem jak próbował to zamaskować.

- Byliście w zespole, który opracował *Pamiętamy,* prawda?

- W rzeczy samej, Wasza Świątobliwość.

- Potrzebowaliście dziesięciu lat na napisanie czternastu stron.

- Rozwaga i precyzja wymagają czasu.

- Tak jak i tuszowanie.

- Nie mogę się zgodzić na...

Papież przerwał mu:

- Marco, sprzeciwiasz się ponownemu przebadaniu sprawy dlatego, że może to przynieść hańbę Kościołowi, czy też dlatego, że może to przekreślić twoje rachuby na zajęcie mojego miejsca, gdy odejdę?

Brindisi opuścił dłonie i podniósł na chwilę oczy ku górze, jakby przygotowywał się do czytania Ewangelii.

- Sprzeciwiam się ponownemu przebadaniu sprawy, ponieważ w ten sposób jedynie dostarczymy amunicji tym, którzy pragną nas zniszczyć.

- Nasze ciągłe oszustwa i wykręty są bardziej ryzykowne. Jeśli nie przemówimy szczerze i z mocą, nasi wrogowie odniosą zwycięstwo dzięki nam samym. Sami się zniszczymy.

- Jeśli wolno mi przemówić szczerze i z mocą, Wasza Świątobliwość, Wasza naiwność w tej sprawie jest wstrząsająca. Nic, co Kościół może powiedzieć, nigdy nie zadowoli tych, którzy chcą nas skazać na potępienie. Tak naprawdę może to tylko dolać oliwy do ognia. Nie pozwolę Waszej Świątobliwości niszczyć reputacji papieży i Kościoła w imię tak jawnej głupoty. Pius Dwunasty zasługuje na kanonizację, nie na ukrzyżowanie.

Pietra Lucchesiego nie uwiodły jeszcze uroki władzy papieskiej, ale jawna niesubordynacja widoczna w uwadze Brindisiego wzburzyła go. Zmusił się, by mówić spokojnie, ale mimo to w jego głosie pobrzmiewały tony wściekłości i protekcjonalności zarazem, obie wyraźnie słyszalne dla mężczyzny siedzącego po drugiej stronie stołu.

- Zapewniam cię, Marco, że ci, którzy chcą kanonizacji Piusa, mogą jedynie pokładać nadzieje w kolejnym konklawe.

Kardynał przesunął przypominający odnóże pająka palec po krawędzi filiżanki z kawą, przygotowując się do kolejnego ataku na szczyt. W końcu odchrząknął i powiedział:

- Polak wielokrotnie przepraszał za grzechy niektórych synów i córKościoła. Tak jak i niektórzy prałaci. Inni, jak nasi francuscy bracia, posunęli się znacznie dalej, niżbym sobie tego życzył. Ale Żydzi i ich przyjaciele w mediach nie będą usatysfakcjonowani, dopóki nie przyznamy, że się myliliśmy - że Jego Świątobliwość papież Pius Dwunasty, wielki i pobożny człowiek, mylił się. To, czego oni nie rozumieją - i o czym Wasza Świątobliwość zdaje się zapominać - to, że Kościół, jako ucieleśnienie Chrystusa na ziemi, nie może być w błędzie. Kościół jest prawdą. Jeśli przyznamy, że Kościół lub .papież się mylił... - Nie dokończył zdania. Po chwili przerwy dodał: - Błędem byłoby, gdyby Wasza Świątobliwość kontynuował swoją inicjatywę. To byłby tragiczny błąd.

- Marco, w tych murach słowo „błąd" jest bardzo znaczące. Z pewnością nie było twoim zamiarem rzucenie na mnie takiego oskarżenia.

- Nie mam zamiaru zmieniać moich słów, Wasza Świątobliwość.

- A jeśli dokumenty z Tajnych Archiwów mówią co innego?

- W takim wypadku nie mają prawa ujrzeć światła dziennego.

- Tylko ja mam władzę pozwalającą na ujawnienie dokumentów z archiwów i zdecydowałem, że właśnie to nastąpi.

Kardynał bawił się pektorałem.

- Kiedy Wasza Świątobliwość zamierzacie ogłosić ową... inicjatywę?

- W przyszłym tygodniu.

- Gdzie?

- Po drugiej stronie rzeki - powiedział papież. - W Wielkiej Synagodze.

- Wykluczone! Kuria nie miała czasu na przemyślenia i przygotowania odpowiednie do wagi sprawy.

- Mam siedemdziesiąt dwa lata i nie mam czasu czekać, aż dostojnicy z kurii przemyślą i przygotują sprawę. To najlepszy sposób, żeby cała sprawa poszła w zapomnienie. Rozmawiałem z rabinem. W przyszłym tygodniu jadę do dzielnicy żydowskiej, niezależnie od tego, czy kuria udzieli mi poparcia, czy też nie. I niezależnie od woli sekretarza stanu. Prawda nas wyzwoli, Eminencjo.

- A papież ulicznik z Veneto twierdzi, że zna prawdę.

- Tylko Bóg zna prawdę, Marco, ale święty Tomasz z Akwinu pisał o podtrzymywanej ignorancji *ignorantia affectata*. Celowe unikanie wiedzy użyte w celu uniknięcia szkody. Czas odrzucić naszą *ignorantia affectata*. Nasz Zbawiciel rzekł, że jest światłem dla świata, ale tu, w Watykanie, żyjemy w ciemnościach. Chcę je rozjaśnić.

- Moja pamięć chyba płata mi figle, Wasza Świątobliwość, ale z tego, co pamiętam, konklawe wybrało na papieża k a t o l i k a.

- Dobrze pamiętacie, Eminencjo, ale wybraliście także człowieka.

- Gdyby nie ja, Wasza Świątobliwość wciąż chodziłby w czerwieni.

- To Duch Święty wybiera papieży. My oddajemy głosy podług Jego woli.

- Kolejny przykład porażającej naiwności.

- Czy będziecie u mojego boku w przyszłym tygodniu w Trastevere?

- Obawiam się, że w przyszłym tygodniu będę chory na grypę. - Kardynał wstał gwałtownie. - Dziękuję Waszej Świątobliwości za kolejny miły posiłek.

- Czy spotkamy się w przyszły piątek?

- To się jeszcze okaże.

Papież wyciągnął rękę. Kardynał Brindisi spojrzał na błyszczący w świetle lamp pierścień rybaka, po czym odwrócił się i wyszedł, nie ucałowawszy go.

Ojciec Donati słuchał kłótni Ojca Świętego z kardynałem z przyległej spiżarni. Gdy Brindisi odszedł, wsunął się do jadalni. Papież był blady i wyglądał na zmęczonego, oczy miał zamknięte, kciukiem i palcem wskazującym ściskał grzbiet nosa. Ojciec Donati usiadł na opuszczonym przez kardynała krześle i odsunął od siebie filiżankę niedopitej kawy.

- Wiem, że to musiało być nieprzyjemne, Wasza Świątobliwość, ale na pewno konieczne.

Papież wreszcie podniósł wzrok.

- Właśnie obudziliśmy drzemiącą kobrę, Luigi.

- Tak, Wasza Świątobliwość. - Donati pochylił się do przodu i zniżył głos. - Teraz prośmy Boga, żeby rozwścieczona kobra sama się ugryzła.

6

Monachium

Większość następnego poranka Gabriel spędził na poszukiwaniu doktora Helmuta Bergera, dziekana wydziału historii współczesnej Uniwersytetu Ludwika Maksymiliana. Zostawił dwie wiadomości na automatycznej sekretarce w domu profesora, jedną na jego komórce i kolejną u gburowatej sekretarki na uczelni. Podczas lunchu na zacienionym tarasie hotelu rozważał, czyby nie zaczaić się na profesora przed wejściem do jego gabinetu. Właśnie wtedy pojawił się recepcjonista z wiadomością w ręku. Profesor zgodził się spotkać z Herr Landauem o szóstej trzydzieści w restauracji Gaststätte Atzinger przy Amalienstrasse.

Do spotkania Gabriel miał pięć godzin. Popołudnie było pogodne, choć wietrzne, więc postanowił się przejść. Opuścił hotel i ruszył wąską brukowaną uliczką prowadzącą na południowy kraniec Englischer Garten. Snuł się po alejkach nad zacienionymi strumieniami, przecinając szerokie, zalane słońcem trawniki. W pewnej odległości widać było trzystumetrową wieżę olimpijską błyszczącą na tle krystalicznie czystego nieba. Gabriel spuścił głowę i szedł dalej.

Opuścił park i przeszedł przez Schwabing. Na Adalbertstrasse pod numerem 68 zobaczył Frau Ratzinger sprzątającą schody domu. Nie miał ochoty rozmawiać ze starszą panią,

więc skręcił za róg i udał się w przeciwnym kierunku. Co parę minut podnosił wzrok i spoglądał na wciąż rosnącą wznoszącą się przed nim wieżę.

Po dziesięciu minutach znalazł się na południowym skraju wioski. Pod wieloma względami park olimpijski był właśnie wioską, dużym obszarem mieszkalnym, z własną stacją kolejową, własną pocztą i nawet własnym burmistrzem. Betonowe bungalowy i apartamentowce postarzały się zupełnie bez wdzięku. Próbowano rozjaśnić to miejsce, więc wiele domków pomalowano w jasne wzory.

Doszedł do Connollystrasse. Tak naprawdę to nie była ulica, raczej deptak z małymi trzypiętrowymi apartamentowcami po obu stronach. Zatrzymał się przy numerze 31. Na drugim piętrze nastolatek rozebrany do pasa wyszedł na balkon, żeby wytrzepać kapę. Na moment odżyły wspomnienia i Gabriel zamiast młodego Niemca zobaczył Palestyńczyka w kominiarce. Z mieszkania na parterze wyszła kobieta, pchająca dziecięcy wózek i przyciskająca dziecko do piersi. Przez moment Gabriel widział Issę, przywódcę Czarnego Września, z twarzą pokrytą czarną pastą do butów, kroczącego dumnie w swoim mundurze safari, w czapeczce do golfa.

Kobieta spojrzała na Gabriela tak, jakby była przyzwyczajona do obcych stojących przed jej domem. Owszem, zdawała się mówić, to stało się właśnie tutaj. Ale teraz to mój dom, więc proszę, odejdź stąd. Musiała wyczuć coś jeszcze w jego wzroku - coś, co wytrąciło ją z równowagi - bo szybko wsadziła dziecko do wózka i ruszyła w stronę placu zabaw.

Gabriel wspiął się na trawiasty pagórek i usiadł na chłodnej trawie. Zwykle gdy nawiedzały go wspomnienia, starał się je odepchnąć od siebie, ale tym razem otworzył drzwi i pozwolił im wejść. Romano... Springer... Spitzer... Slawin... Twarze zabitych migały mu przed oczami. W sumie jedenastu. Dwóch zabitych przy ataku. Następnych dziewięciu podczas spartaczonej próby odbicia zakładników przez Niemców na lotnisku Fürstenfeldbruck. Golda Meir chciała zemsty w biblijnych

proporcjach - oko za oko - i nakazała, aby Biuro „zleciło chłopcom" wytropienie członków Czarnego Września odpowiedzialnych za zaplanowanie ataku. Na dowódcę tej akcji wyznaczono aroganckiego oficera operacyjnego Ariego Szamrona, a jednym ze zwerbowanych przez niego chłopców był obiecujący student Jerozolimskiej Akademii Sztuk Pięknych Betsal'el, Gabriel Allon.

Jakimś sposobem Szamron natrafił na teczkę Gabriela z okresu jego przykrej obowiązkowej służby wojskowej. Gabriel, syn Żydów ocalonych z Oświęcimia, był uważany przez przełożonych za człowieka aroganckiego i samolubnego, często wpadającego w melancholię, ale także bardzo inteligentnego i zdolnego do podejmowania działania bez oczekiwania na wskazówki dowódców. Mówił też wieloma językami, co było zaletą mało przydatną w piechocie liniowej, ale pożądaną przez Ariego Szamrona. Jego wojna nie toczyła się na wzgórzach Golan czy na pustyni Synaj. To była potajemna walka prowadzona w mrocznych zakątkach Europy. Gabriel próbował się temu przeciwstawić, ale Szamron nie zostawił mu wyboru.

„Znowu Żydzi umierają na niemieckiej ziemi z rękami związanymi na plecach - powiedział wtedy Szamron. - Twoi rodzice przetrwali, ale ilu nie udała się ta sztuka? Ich braciom, siostrom? Ciotkom i wujkom? Dziadkom? Oni wszyscy odeszli, prawda? Naprawdę masz zamiar bezczynnie siedzieć w Tel Awiwie wśród pędzli i farb? Masz talent. Pozwól mi go wypożyczyć na parę miesięcy. Potem możesz zrobić ze swoim życiem, co tylko będziesz chciał".

Operacja otrzymała kryptonim Gniew Boży. W nomenklaturze oddziału Gabriel to alef, zabójca. Agent namierzający członków Czarnego Września i poznający ich zwyczaje to ajn. Kof to oficer łącznościowy. Benjamin Stern, chet, był logistykiem. Jego zadaniem było zorganizowanie transportu i noclegu w sposób wykluczający powiązanie operacji z Biurem. Czasem bywał także kierowcą podczas ucieczek. To właśnie Benjamin siedział za kierownicą zielonego fiata, który zabrał Gabriela z

Piazza Annibaliano tej nocy, kiedy zabił dowódcę Czarnego Września we Włoszech. Po drodze na lotnisko Gabriel zmusił Benjamina do zjechania na pobocze, żeby zwymiotować. Gabriel do dziś słyszy Benjamina wrzeszczącego, aby wrócił do samochodu-.

„Chwilę".

„Spóźnisz się na samolot!".

„Chwilę, powiedziałem!".

„Co z tobą? Ten drań zasłużył na śmierć!".

„Nie widziałeś jego twarzy, Beni. Nie widziałeś jego pierdolonej twarzy".

W ciągu następnych osiemnastu miesięcy oddział Szamrona zamordował dwunastu członków Czarnego Września. Gabriel osobiście zabił sześciu. Gdy było po wszystkim, Benjamin wrócił do kariery naukowej. Gabriel próbował wrócić na Akademię i zrobić to samo, ale jego zdolności malarskie zostały przegonione przez duchy ludzi, których zabił, więc zostawił Leah w Izraelu i przeniósł się do Wenecji, by studiować konserwację dzieł sztuki u Umberta Contiego. Znalazł w tym ukojenie. Conti, chociaż nic nie wiedział o jego przeszłości, zdawał się go rozumieć. Późnymi wieczorami odwiedzał Gabriela w jego pokoju w podłym pensjonacie i wyciągał go na ulice Wenecji, by oglądał dzieła sztuki. Pewnego wieczoru, gdy stali przed wielkim ołtarzem malowanym przez Tycjana w kościele Frari, ujął Gabriela za ramię.

„Człowiek zadowolony z siebie może być niezłym, ale nigdy wielkim. Tylko człowiek, który sam jest jak zniszczone płótno może być naprawdę wielkim konserwatorem. To medytacja. Rytuał. Pewnego dnia będziesz wielki. Będziesz lepszy ode mnie, jestem tego pewien".

I choć Conti nie mógł tego wiedzieć, te same słowa Gabriel usłyszał od Szamrona tej nocy, gdy został wysłany, by zabił pierwszego Palestyńczyka.

Gabriel zjawił się przed Gaststätte Atzinger równo o szóstej trzydzieści. Nim zobaczył profesora, ujrzał wpierw lampkę jego roweru unoszącą się nad Amalienstrasse. Potem dostrzegł zarys postaci, a następnie rytmicznie pedałujące nogi i siwe rzednące włosy trzepoczące jak skrzydła nad parą olbrzymich uszu. Przez plecy miał przewieszoną brązową torbę.

Urocze wrażenie, jakie sprawił profesor sposobem swego przybycia, szybko uleciało. Jak wielu niemieckich intelektualistów, Helmut Berger sprawiał wrażenie człowieka zmęczonego całodniowym zmaganiem się z istotami mniej inteligentnymi od niego. Zaznaczył, że ma czas jedynie na mały kufel piwa, ale poprosił Gabriela, by ten wybrał sobie coś z menu. Gabriel zamówił tylko wodę mineralną, co Niemiec uznał za absolutnie skandaliczne.

- Bardzo mi przykro z powodu pańskiego brata. Przepraszam, przyrodniego brata. Był bardzo wartościowym pracownikiem naszego wydziału. Jego śmierć była dla nas wstrząsem. - Wypowiedział te słowa z tak szczerym współczuciem, jakby napisał je dla niego jakiś student ostatniego roku. - W czym mogę panu pomóc, Herr Landau?

- Czy to prawda, że Benjamin był na urlopie naukowym, gdy go zamordowano?

- Tak, to prawda. Pracował nad kolejną książką.

- Czy wie pan, o czym pisał?

- Niestety nie.

- Doprawdy? - Gabriel był szczerze zdziwiony. - Czy to normalne, że ktoś opuszcza pański wydział, by pisać książkę, i nie zapoznaje pana z jej tematem?

- Nie, ale Benjamin cały czas trzymał to w tajemnicy. Gabriel postanowił więcej nie naciskać.

- Czy wie pan coś o groźbach pod adresem Benjamina?

- Było ich tyle, że można było się w tym pogubić. Jego teoria o zbiorowej winie ponoszonej przez Niemców sprawiła, że w wielu sferach stał się, powiedzmy, mocno niepopularny.

- Mam wrażenie, że nie podzielał pan poglądów Benjamina.

Profesor wzruszył ramionami.

- Parę lat temu napisałem książkę o roli niemieckiego Kościoła katolickiego w czasie wojny. Benjamin nie zgadzał się z moimi wnioskami i wyraził to publicznie. To był niemiły czas dla nas obu. - Profesor spojrzał na zegarek. - Przykro mi, ale zaraz mam kolejne spotkanie. Czy mogę jeszcze w czymś panu pomóc? Może w czymś, co miałoby bliższy związek z pańskim śledztwem?

- W zeszłym miesiącu Benjamin pojechał na wycieczkę do Włoch. Czy wie pan może w jakim celu? Czy miało to coś wspólnego z jego książką?

- Nie mam pojęcia. Widzi pan, doktor Stern nie miał zwyczaju uprzedzania mnie o swoich planach wyjazdowych. - Profesor dokończył piwo i wstał. Koniec zajęć. - Proszę jeszcze raz przyjąć wyrazy współczucia, Herr Landau. Życzę panu powodzenia w dochodzeniu prawdy.

Akurat, pomyślał Gabriel, patrząc, jak profesor Berger wychodzi i wsiada na rower.

Wracając do hotelu, Gabriel wszedł do dużej księgami studenckiej na południowym krańcu dzielnicy uniwersyteckiej. Przeglądał przez chwilę katalog, po czym wspiął się po schodach do działu podróżniczego. Na stojaku z mapami odszukał mapę północnych Włoch.

Rozłożył ją na stoliku obok, po czym sięgnął do kieszeni i wyjął pocztówkę. Hotel, w którym Benjamin się zatrzymał, był w miejscowości Brenzone. Sądząc po zdjęciu, miasteczko leżało na wybrzeżu jednego z jezior północnych Włoch. Zaczął od zachodu i powoli przesuwał się na wschód, czytając nazwy miast i wsi otaczających każde z wielkich jezior - wpierw Maggiore, potem Como, Iseo i w końcu Garda. Brenzone. Było tam, na wschodnim brzegu Lago di Garda, w połowie drogi między wybrzuszeniem na południu a ostrym jak sztylet północnym krańcem jeziora.

Gabriel złożył mapę i zaniósł ją na dół do kasy. Kiedy chwilę później wyszedł przez obrotowe drzwi z powrotem na ulicę, instynktownie przebiegł wzrokiem po chodniku, zaparkowanych samochodach i oknach okolicznych budynków.

Skręcił w lewo i skierował kroki z powrotem do hotelu, zastanawiając się, czemu detektyw Axel Weiss siedział w kawiarni po drugiej stronie ulicy przez cały czas, gdy był w księgarni - i dlaczego teraz szedł za nim przez centrum Monachium.

Gabriel był przekonany, że może z łatwością zgubić lub zdemaskować niemieckiego detektywa, ale nie chciał teraz zdradzać się z tym, że jest wyszkolonym zawodowcem. Dla Axela Weissa Gabriel był Ehudem Landauem, bratem zabitego historyka Benjamina Sterna, i nikim więcej - co czyniło jeszcze bardziej intrygującym fakt, że policjant go śledził.

Wszedł do jakiegoś hotelu przy Maximilianstrasse. Wykonał krótki telefon z budki w holu, po czym ruszył w dalszą drogę. Policjant wciąż był o pięćdziesiąt metrów za nim po drugiej stronie ulicy.

Gabriel poszedł prosto do swojego hotelu. Wziął klucz z recepcji i pojechał windą na górę. Zapakował ubranie do czarnej skórzanej torby, po czym otworzył pokojowy sejf i wyjął teczkę z dokumentami, które otrzymał od izraelskiego konsulatu, oraz kopertę z okularami Benjamina. Ułożył rzeczy w walizce i zamknął ją. Następnie zgasił światło, podszedł do okna i rozsunął zasłony. Na ulicy stał zaparkowany samochód. Gabriel dostrzegł żar papierosa kierowcy. Weiss. Gabriel zasunął firanki i usiadł na skraju łóżka, czekając, aż zadzwoni telefon.

Dwadzieścia minut później:

- Landau.

- Stoi na rogu Seitzstrasse i Unsöldstrasse, na południe od Prinzregenten. Wiesz, gdzie to jest?

- Tak. Podaj mi numery.

Dziewięć cyfr. Gabriel nie fatygował się, żeby je zapisać.

- Kluczyki?

- Tam gdzie zawsze. Tylny zderzak, od strony krawężnika.

Gabriel rozłączył się, włożył kurtkę i wziął bagaże. W holu wyjaśnił recepcjoniście z nocnej zmiany, że wymeldowuje się wcześniej, niż zamierzał.

- Życzy pan sobie taksówkę, Herr Landau?

- Nie, dziękuję, podwiozą mnie.

Wręczono mu rachunek. Gabriel zapłacił jedną z kart kredytowych od Szamrona i wyszedł. Skręcił w lewo i ruszył szybkim krokiem, z torbą w jednej ręce i walizką w drugiej. Dwadzieścia sekund później usłyszał odgłos otwieranych, a następnie zatrzaskiwanych drzwi samochodu i kroki na mokrym bruku Annastrasse. Utrzymał tempo, powstrzymując impuls nakazujący mu obejrzeć się przez ramię.

„... na rogu Seitzstrasse i Unsöldstrasse...".

Minął kościół, skręcił w lewo i zatrzymał się na małym placyku, by zorientować się, gdzie ma teraz iść. Skręcił w prawo i podążył kolejną wąską uliczką w kierunku, z którego dochodził odgłos ruchu na Prinzregentenstrasse. Weiss wciąż szedł za nim.

Przeszedł wzdłuż rzędu zaparkowanych samochodów, odczytując numery na tablicach rejestracyjnych, dopóki nie trafił na te, które usłyszał wcześniej przez telefon. Były na tablicy rejestracyjnej ciemnoszarego opla omegi. Nie zatrzymując się, zgiął się lekko w pasie i przejechał palcami pod tylnym zderzakiem, szukając kluczyków. Oderwał je ruchem ręki tak krótkim i płynnym, że Weiss chyba go nie zauważył.

Nacisnął guzik pilota. Otworzył drzwi od strony kierowcy i wrzucił bagaże na siedzenie pasażera. Spojrzał w prawo - Weiss biegł ku niemu z wyrazem paniki na twarzy. Gabriel wsiadł, włożył kluczyki do stacyjki i zapalił silnik. Wrzucił bieg, odjechał od krawężnika, skręcił ostro w prawo i zniknął w wieczornym ruchu ulicznym.

Detektyw Axel Weiss wyskoczył z samochodu tak szybko, że zapomniał o komórce. Wrócił biegiem, lecz nim wystukał numer, musiał zrobić krótką przerwę dla złapania tchu. Chwilę później przekazał mężczyźnie w Rzymie wiadomość, że Izraelczyk o nazwisku Landau mu uciekł.

- Jak?

Weiss z zażenowaniem opisał przebieg wydarzeń.

- Zrobiłeś chociaż zdjęcie?

- Wcześniej, w wiosce olimpijskiej.

- W wiosce? Co on u licha tam robił?

- Gapił się na apartamentowiec przy Connollystrasse 31.

- Czy to nie zdarzyło się właśnie tam?

- Owszem. To normalne, że Żydzi urządzają tam pielgrzymki.

- Czy to normalne, że Żydzi, jeśli są śledzeni, tak mistrzowsko się wymykają?

- Racja.

- Przyślij mi to zdjęcie. Dzisiaj.

Człowiek z Rzymu przerwał połączenie.

7

Okolice Rieti, Włochy

Villa Galantina ma w sobie niepokojący urok. To dawne opactwo Benedyktynów stoi na szczycie granitowej kolumny wystrzelającej w górę pośród wzgórz Lacjum i spogląda z dezaprobatą w dół na miasteczko położone poniżej w porośniętej lasem dolinie. W XVII wieku opactwo kupił pewien wpływowy kardynał i przekształcił je w pełną przepychu letnią rezydencję, gdzie Jego Eminencja mógł się skryć przed sierpniowym rzymskim skwarem. Jego architekt miał najwidoczniej dobry gust, bo zachował wygląd zewnętrzny budowli, więc płowa, szczerząca zęby blanków fasada stoi niezmieniona do dzisiaj. Pewnego ranka na początku marca, wysoko, na jednym z omiatanych przez wiatr balkonów, można było dostrzec jakiegoś mężczyznę. Przez ramię miał przerzucony nie łuk, lecz karabin snajperski Beretta dalekiego zasięgu. Właściciel rezydencji bardzo troszczył się o względy bezpieczeństwa. Nazywał się Roberto Pucci, był finansistą i przemysłowcem, który miał równie wielki wpływ na życie współczesnych Włoch jak potężny książę Kościoła w czasach Renesansu.

Przed stalową bramą zatrzymał się opancerzony mercedes. Powitało go dwóch ochroniarzy w jasnobrązowych mundurach. Człowiek siedzący z tyłu opuścił szybę. Jeden ze strażników przyjrzał się jego twarzy, po czym zerknął na charakterystyczne tablice rejestracyjne. SVC. Watykan. Brama do rezydencji Roberta

Pucciego otworzyła się i mercedes ruszył wysadzaną cyprysami asfaltową drogą wiodącą pod górę. Ćwierć mili dalej znajdowała się willa.

Mercedes zatrzymał się na żwirowanym podjeździe ocienionym przez sosny i eukaliptusy. Stały tu już ze dwa tuziny samochodów, otoczone przez całą armię szoferów i ochroniarzy. Pasażer wysiadł, zostawiając ochroniarza, po czym przeszedł przez dziedziniec, kierując się ku kaplicy.

Nazywał się Carlo Casagrande. Przez jakiś czas jego nazwisko było we Włoszech powszechnie znane, bo to właśnie generał Carlo Casagrande, szef wydziału antyterrostycznego policji, zmiażdżył komunistyczne Czerwone Brygady. Ze względu na własne bezpieczeństwo unikał aparatów fotograficznych i kamer i niewiele osób spoza kręgów wywiadu w Rzymie byłoby w stanie rozpoznać jego twarz.

Casagrande od dawna nie pracował w Carma policji. W 1981 roku, w tydzień po nieudanym zamachu na papieża Jana Pawła II, zrezygnował ze stanowiska i zniknął za murami Watykanu. W pewnym sensie Casagrande cały czas pracował dla ludzi ze Stolicy Apostolskiej. Przejął kontrolę nad Biurem do spraw Bezpieczeństwa i przysiągł sobie, że nigdy więcej żaden papież nie opuści placu Świętego Piotra w ambulansie, modląc się do Marii Panny o przeżycie. Jednym z jego pierwszych działań było rozpoczęcie szeroko zakrojonego śledztwa, by zdemaskować spisek i nie dopuścić do ponownego zamachu na życie papieża. Wyniki były tak zaskakujące, że Casagrande nie podzielił się nimi z nikim oprócz Ojca Świętego.

Casagrande nie był już osobiście odpowiedzialny za ochronę papieża. Przez ostatnie trzy lata wypełniał inne zadanie postawione mu przez jego umiłowany Kościół. Pozostał członkiem watykańskiego Biura do spraw Bezpieczeństwa, ale tylko żeby zachować reputację w pewnych kręgach. Teraz kierował organem o bardzo ogólnej nazwie: Wydział Specjalny. Zadania

Casagrandego były tak tajne, że tylko garstka ludzi w Watykanie wiedziała, na czym polega jego praca.

Casagrande wszedł do kaplicy. Twarz owiało mu chłodne powietrze, pachnące kadzidłem i woskiem ze świec. Przechodząc przez prezbiterium, umoczył palce w wodzie święconej i uczynił znak krzyża, po czym ruszył główną nawą w kierunku ołtarza. Nazwanie tego miejsca kaplicą było nieporozumieniem. Był to raczej duży kościół, większy niż kościoły parafialne w okolicznych miasteczkach.

Casagrande zajął miejsce w pierwszym rzędzie. Roberto Pucci, siedzący po drugiej stronie nawy, ubrany w szary garnitur i rozpiętą pod szyją białą koszulę, powitał go skinieniem głowy. Pomimo swoich siedemdziesięciu pięciu lat Pucci wciąż fizycznie był w świetnej formie. Miał siwe włosy, błyszczącą twarz, śniadą cerę. Zmierzył Casagrandego zimnym spojrzeniem swoich czarnych oczu, ledwo widocznych spod przymkniętych powiek. Spojrzenie Roberta Pucciego. Gdy Pucci patrzył na ciebie, miałeś wrażenie, że rozważa, czy pchnąć cię nożem w serce, czy poderżnąć ci gardło.

Roberto Pucci, tak jak Carlo Casagrande, był *uomo di fiducia,* mężem zaufania. Z ludzi świeckich tylko ci o wyjątkowych zdolnościach cenionych przez ludzi z Watykanu byli dopuszczani do najskrytszych pomieszczeń Stolicy Apostolskiej. Domeną Casagrandego były sprawy bezpieczeństwa i wywiad, a Pucciego pieniądze i wpływy polityczne. Był szarą eminencją włoskiego świata politycznego, człowiekiem tak wpływowym, że żaden rząd nie mógł zostać utworzony, zanim jego członkowie nie odbyli pielgrzymki do Villa Galatina po jego błogosławieństwo. Ale niewielu ludzi wiedziało, że Pucci miał również wielkie wpływy w Watykanie, potajemnie zarządzał bowiem znaczącą częścią ogromnej liczby akcji i nieruchomości należących do Kościoła. Pucci umiejętnie doprowadził do gwałtownego wzrostu wartości giełdowej watykańskich aktywów. W przeciwieństwie do swoich poprzedników udało mu się tego dokonać bez atmosfery skandalu.

Casagrande obejrzał się przez ramię. W pozostałych ławkach siedzieli: minister spraw zagranicznych Włoch, ważny biskup z Kongregacji Nauki Wiary, szef watykańskiego Biura Prasowego, wpływowy konserwatywny teolog z Kolonii, inwestor z Genewy, przywódca francuskiej skrajnej prawicy, właściciel hiszpańskiego imperium medialnego, szef jednej z największych europejskich firm samochodowych. I jeszcze kilkunastu ludzi tego samego pokroju - dogmatyczni katolicy dzierżący olbrzymią władzę, polityczną lub ekonomiczną, wszyscy oddani sprawie odzyskania przez Kościół supremacji, którą cieszył się przed katastrofą reformacji. Casagrandego trochę bawiły dywagacje nad tym, kto naprawdę rządzi w Kościele. Synod Biskupów? Kolegium Kardynałów? Sam papież? Nie, pomyślał Casagrande. Prawdziwa władza spoczywała w rękach tajemnego bractwa tutaj, w tej kaplicy na zboczu góry nieopodal Rzymu.

Do ołtarza podszedł duchowny, kardynał odziany w zwyczajny strój księdza proboszcza. Członkowie wstali i rozpoczęła się msza.

- *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancii.*

- Amen.

Kardynał sprawnie poprowadził ich przez wstęp, pokutę, Kyrie i Glorię. Odprawił mszę trydencką, bo jednym z celów bractwa było przywrócenie nabożeństw po łacinie, gdyż wierzyli w ich jednoczącą moc.

Homilia była typowym zbiorem haseł: trzeba chwycić za broń, nie wolno tracić czujności w obliczu wroga, należy uwolnić stowarzyszenie i Kościół od zgubnych wpływów liberalizmu i modernizmu. Kardynał nie wymienił nazwy bractwa. W przeciwieństwie do swoich bliskich krewnych - Opus Dei, Legionów Chrystusowych i Stowarzyszenia Świętego Piusa X - bractwo oficjalnie nie istniało. Między sobą członkowie nazywali je po prostu „Instytutem".

Casagrande, który słyszał już to kazanie wielokrotnie, pozwolił myślom płynąć swobodnie. Zwróciły się w stronę

wydarzeń w Monachium i raportu, który otrzymał od swojego podwładnego, na temat Izraelczyka o nazwisku Landau. Przeczuwał dalsze kłopoty, wielkie zagrożenie dla Kościoła i bractwa. Potrzebował błogosławieństwa kardynała i pieniędzy Roberta Pucciego, by sobie z tym poradzić.

- *Hic est enim calix sanguinis mei* - recytował kardynał. - Oto tajemnica naszej wiary. Głosimy śmierć Twoją, Panie, wyznajemy Twoje zmartwychwstanie i oczekujemy Twego przyjścia w chwale.

Po chwili Casagrande skupił się na mszy. Pięć minut później, gdy Eucharystia dobiegła końca, wstał i ustawił się za Robertem Puccim przed ołtarzem. Finansista przyjął komunię świętą, po czym przyszła kolej na Casagrandego.

Sekretarz stanu, kardynał Marco Brindisi, uniósł hostię, spojrzał Casgrandemu w oczy i rzekł po łacinie:

- Niech ciało Pana naszego Jezusa Chrystusa prowadzi twą duszę do życia wiecznego.

- Amen - wyszeptał Casagrande.

W kaplicy nigdy nie rozmawiano o interesach. Te tematy poruszano na wystawnym lunchu, podawanym w obwieszonej gobelinami galerii z widokiem na taras. Casagrande nie mógł się skupić i nie miał apetytu. Gdy walczył z Czerwonymi Brygadami, był zmuszony żyć w ukryciu, w bunkrach i koszarach, w towarzystwie oficerów sztabowych. Nigdy nie przyzwyczaił się do luksusów wynikających z przywileju życia za murami Watykanu. Nie podzielał też entuzjazmu innych gości dla potraw serwowanych na lunchu. Machinalnie przesuwał po talerzu kawałek wędzonego łososia. Zebranie prowadził kardynał Brindisi. Od zawsze obracał się w kręgach watykańskiej biurokracji, ale nie mógł ścierpieć pokrętnego rozumowania i obłudy w dyskusjach wewnątrz kurii. Kardynał był człowiekiem czynu i załatwiał kolejne punkty porządku obrad z iście dyrektorską sprawnością.

Casagrande pomyślał, że gdyby Brindisi nie został księdzem, mógłby śmiało rywalizować z Robertem Puccim.

Ludzie siedzący w sali uważali demokrację za chaotyczny i mało skuteczny sposób rządzenia, więc bractwo, tak jak sam Kościół, nie było demokratyczne. Brinidisiemu powierzono władzę, którą będzie dzierżył aż do śmierci. W hierarchii Instytutu każdy z uczestników zebrania był przewodniczącym. Po powrocie do domu każdy zwoła podobne zebranie z ludźmi mu podlegającymi. Tym sposobem z decyzjami kardynała Brindisiego zapozna się każdy członek organizacji. Kreatywność i samodzielne działanie pośredniego kierownictwa nie były tolerowane. Członkowie bractwa ślubowali absolutne posłuszeństwo.

Praca Casagrandego nigdy nie była omawiana na posiedzeniach zarządu. On sam zabierał głos tylko na posiedzeniu wykonawczym - tym razem była to przechadzka z Brindisini i Puccim po pięknych tarasowych ogrodach otaczających Villa Galantina podczas przerwy w obradach. Brindisi spacerował z podniesionym podbródkiem i dłońmi splecionymi na brzuchu. Casagrande szedł po jego lewej, a Pucci po prawej stronie. Trzej najpotężniejsi ludzie w bractwie: Brindisi, duchowy przywódca; Pucci, minister finansów; Casagrande, szef bezpieczeństwa i działań operacyjnych. Członkowie Instytutu mówili o nich „Święta Trójca".

W Instytucie nie było sekcji wywiadowczej. Casagrande miał dług wdzięczności u niewielkiej grupy watykańskich policjantów i członków Gwardii Szwajcarskiej wiernych jemu i bractwu. Jako że we włoskiej policji i służbach wywiadowczych był otoczony legendą, miał dostęp do ich zasobów. Ponadto stworzył międzynarodową siatkę oficerów wywiadu i sił bezpieczeństwa (włączając w to wysoko postawionego urzędnika w FBI), którzy byli gotowi na jego rozkazy. Axel Weiss, detektyw z Monachium, był członkiem siatki Casagrandego, podobnie jak minister spraw wewnętrznych katolickiej Bawarii. Weiss został przydzielony do sprawy Sterna z polecenia Casagrandego, on też kazał usunąć z mieszkania historyka drażliwe materiały

i nadzorował rozwój śledztwa. Zabójstwo Sterna zostało powiązane z neonazistami, tak jak tego chciał Casagrande. Teraz, gdy pojawił się Izraelczyk Landau, Carlo zaczął się niepokoić, że sytuacja w Monachium może się wymknąć spod kontroli. Przedstawił swoje wątpliwości kardynałowi Brindisiemu i Robertowi Pucciemu w ogrodzie Villa Galatina.

- Dlaczego po prostu go nie zabijesz? - spytał Pucci skrzekliwym głosem.

Tak, zabić go, pomyślał Casagrande. Metody Roberta Pucciego. Casagrande stracił już rachubę, ile morderstw przypisywano zagadkowemu finansiście. Dobierał słowa ostrożnie, bo nie miał zamiaru otwarcie krzyżować z nim szabli. Pucci zlecił kiedyś morderstwo mężczyzny, który zbyt pożądliwie patrzył na jego córkę, a wybrani przez niego zabójcy byli znacznie lepiej przeszkoleni niż fanatyczne dzieci z Czerwonych Brygad.

- Likwidując Benjamina Sterna, podjęliśmy dokładnie skalkulowane ryzyko. Zmusiły nas do tego posiadane przez niego materiały. - Casagrande starannie dobierał słowa. - Biorąc pod uwagę działania tego Landaua, możemy z całą pewnością stwierdzić, że izraelskie tajne służby nie wierzą, jakoby ich były agent został zastrzelony przez neonazistowskiego ekstremistę.

- Dlatego jeszcze raz zapytam - przerwał mu Pucci - dlaczego po prostu go nie zabijesz?

- Nie mówimy o włoskim wywiadzie, don Pucci. To są Izraelczycy. Jako odpowiadający za sprawy bezpieczeństwa mam obowiązek chronić Instytut. Według mnie angażowanie się w otwartą wojnę z izraelskimi tajnymi służbami byłoby fatalnym błędem. Mają własnych zabójców - zabójców, którzy mordowali na ulicach Rzymu i potrafili zniknąć bez śladu. - Casagrande spojrzał na kardynała, potem na Pucciego. - Zabójców, którzy potrafią przedostać się poza mury tego opactwa, don Pucci.

Kardynał Brindisi przyjął rolę mediatora.

- Więc co proponujesz, Carlo?

- Przede wszystkim bądźmy ostrożni. Jeżeli Landau naprawdę jest agentem izraelskiego wywiadu, to możemy poprosić naszych przyjaciół z europejskich służb specjalnych, żeby mu uprzykrzyli życie. Tymczasem musimy się upewnić, że nie dowie się niczego więcej. - Casagrande zrobił przerwę, po czym dodał: - Obawiam się, że mamy jeszcze jeden problem do rozwiązania. Po zbadaniu materiałów zabranych z mieszkania profesora Sterna doszedłem do wniosku, że miał współpracownika - kogoś, kto już w przeszłości wpędził nas w kłopoty.

Grymas wściekłości na moment zmącił oblicze kardynała jak kamień rzucony na taflę jeziora, ale jego twarz szybko odzyskała swój poprzedni wyraz.

- A inne aspekty twojego śledztwa? Czy udało ci się zidentyfikować członków bractwa, którzy przekazali te dokumenty profesorowi Sternowi?

Casagrande, wyraźnie zmartwiony, pokręcił głową. Ileż godzin spędził, analizując materiały zabrane z mieszkania w Monachium! Notesy, pliki z komputera, książki adresowe - Casagrande przebadał wszystko, szukając jakichkolwiek wskazówek co do tożsamości jednostek lub grupy dostarczających profesorowi informacji. Jak dotąd nie znalazł nic. Wyglądało na to, że profesor otrzymał dokumenty od ducha.

- Niestety, to pozostaje jeszcze tajemnicą, Eminencjo. Jeśli ten akt zdrady został popełniony przez kogoś z Watykanu, to możemy nigdy nie poznać prawdy. Kuria papieska jest dobrym terenem do tego typu intryg.

Ta uwaga wywołała cień uśmiechu na twarzy Brindisiego. Przez chwilę spacerowali w ciszy. Kardynał spuścił wzrok.

- Dwa dni temu jadłem obiad z Ojcem Świętym - powiedział w końcu. - Tak jak podejrzewaliśmy, Jego Świątobliwość ma zamiar ruszyć ze swoim programem pojednania z Żydami. Próbowałem go od tego odwieść, ale bez skutku. W przyszłym tygodniu wybiera się do Wielkiej Synagogi w Rzymie.

Roberto Pucci splunął na ziemię. Carlo Casagrande westchnął ciężko. Słowa kardynała nie zaskoczyły go. Casagrande i Brindisi mieli informatora wśród ludzi Ojca Świętego, sekretarza będącego członkiem bractwa, który powiadamiał ich o rozwoju wypadków wewnątrz *appartamento*. Od wielu tygodni ostrzegał, że coś takiego może mieć miejsce.

- On jest tylko tymczasowym papieżem i powinien wiedzieć, gdzie jest jego miejsce - warknął Pucci.

Casagrande wstrzymał oddech w oczekiwaniu, że Pucci zaproponuje swoje ulubione rozwiązanie, ale nawet on nie brał takiej możliwości pod uwagę.

- Ojcu Świętemu nie chodzi o wygłoszenie paru kolejnych słów skruchy na temat różnic między nami a Żydami w przeszłości. Ma zamiar otworzyć drzwi do Tajnych Archiwów.

- Chyba nie mówi tego poważnie - powiedział Casagrande.

- Obawiam się, że bardzo poważnie. Pytanie brzmi: jeżeli udostępni archiwa, to czy historycy coś w nich znajdą?

- Tajne archiwa zostały oczyszczone z jakichkolwiek odniesień do spotkania w klasztorze. Jeśli chodzi o świadków, to uporano się z nimi, a ich akta zostały zniszczone. Jeśli Ojciec Święty nalega, by przeprowadzono nowe badania, archiwa nie ujawnią żadnych informacji, które mogłyby nam zaszkodzić. Chyba że Izraelczycy zdołają odtworzyć pracę profesora Sterna. Jeśli im się to uda...

- ... to Kościół, a także Instytut znajdą się w bardzo trudnym położeniu - kardynał dokończył zdanie za Casagrandego. - Dla większej chwały Kościoła i wszystkich, którzy w Kościół wierzą, tamto porozumienie musi pozostać tym, czym jest - tajemnicą.

- Tak, Eminencjo.

Roberto Pucci zapalił papierosa.

- A może nasz przyjaciel w *appartamento* będzie w stanie przekonać Ojca Świętego, że jego droga jest błędna, Eminencjo?

- Pomyślałem i o tym, don Pucci. Według naszego przyjaciela papież nie zamierza zmienić zdania bez względu na rady sekretarzy z kurii.

- Z finansowego punktu widzenia papieska inicjatywa może mieć tragiczne skutki - powiedział Pucci, który przestał myśleć o zabijaniu i zainteresował się pieniędzmi. - Wielu ludzi chce robić interesy z Watykanem ze względu na jego dobrą reputację. Jeżeli Ojciec Święty zanurzy ją w bagnie historii...

Brindisi skinął głową potakująco.

- Prywatnie Ojciec Święty wyraża chęć powrotu do ubogiego Kościoła.

- Jeśli nie będzie ostrożny - powiedział Pucci - jego życzenie się spełni.

Kardynał Brindisi spojrzał na Casagrandego.

- A wracając do tego współpracownika profesora Sterna... Czy myślisz, że stanowi dla nas zagrożenie?

- Tak, Eminencjo.

- Czego ode mnie potrzebujesz, Carlo? Oczywiście oprócz zgody?

- Już nic, Eminencjo.

- A od don Pucciego?

Casagrande spojrzał na przymknięte oczy kardynała.

- Potrzebuję jego pieniędzy.

Część druga

Klasztor nad jeziorem

8

Jezioro Garda, Włochy

Gabriel dotarł do północnego krańca jeziora Garda wczesnym popołudniem. Podczas jazdy obserwował, jak roślinność z alpejskiej zmienia się na śródziemnomorską. Gdy opuścił szybę, twarz owiało mu chłodne powietrze. Silne o tej porze słońce słało błyski przez srebrnozielone liście drzew oliwkowych. Tafla jeziora była nieruchoma i gładka niczym wypolerowana płyta granitowa.

Miasteczko Brenzone właśnie budziło się z sennej sjesty. W barach i kafejkach na brzegu jeziora rozkładano markizy, na wąskich brukowanych uliczkach pnących się w górę stromego zbocza Monte Baldo sklepikarze wystawiali swoje towary. Gabriel jechał wzdłuż jeziora, dopóki nie znalazł Grand Hotelu, szafranowej willi na skraju miasteczka.

Gdy zaparkował na dziedzińcu, boy, z entuzjazmem pustelnika cieszącego się z towarzystwa, przybiegł ochoczo. Hol hotelu pochodził z innej epoki. Gabriel wcale by się nie zdziwił, gdyby zobaczył Kafkę siedzącego w pokrytym kurzem fotelu i piszącego coś w panującym tu półmroku. W przyległej sali dwóch znudzonych kelnerów niespiesznie nakrywało stoliki do kolacji. Senne tempo ich ruchów wskazywało, że tego wieczoru nie spodziewali się wielu gości.

Recepcjonista za kontuarem zesztywniał służbiście, widząc nadchodzącego gościa. Gabriel spojrzał na srebrno-czarną

plakietkę z nazwiskiem przypiętą do lewej piersi jego marynarki: Giancomo. Niebieskooki blondyn, z kwadratowymi ramionami nadającymi jego posturze wygląd pruskiego oficera. Popatrzył na Gabriela z umiarkowanym zainteresowaniem.

Bezbłędnie po włosku, choć z pewnym trudem dobierając słowa, Gabriel przedstawił się jako Ehud Landau z Tel Awiwu. Recepcjonista wydawał się być zadowolony z tego faktu. Gdy Gabriel zapytał o człowieka, który był w tym hotelu dwa miesiące wcześniej - o profesora Benjamina Sterna, który zostawił tu okulary - recepcjonista pokręcił głową. Jednak wsunięte w dłoń pięćdziesiąt euro najwyraźniej pobudziło jego pamięć.

- Oczywiście, Herr Stern! - Niebieskie oczy zatańczyły radośnie. ~ Pisarz z Monachium. Dobrze pamiętam, spędził u nas trzy noce.

- Profesor Stern był moim bratem.

- Był?

- Dziesięć dni temu został zamordowany w swoim mieszkaniu w Monachium.

- Szczerze panu współczuję, signor Landau. Niemniej wydaje mi się, że najpierw powinienem o tym porozmawiać z policją, a nie z jego bratem.

Gdy Gabriel oznajmił, że prowadzi dochodzenie na własną rękę, recepcjonista zamyślił się.

- Obawiam się, że nie mogę panu powiedzieć nic, co miałoby jakąś wartość, poza tym, że jestem całkowicie pewien, iż jego śmierć nie miała żadnego związku z pobytem w Brenzone. Widzi pan, pański brat większość czasu tutaj spędził w klasztorze.

- W klasztorze?

Recepcjonista wyszedł zza kontuaru.

- Proszę za mną.

Poprowadził Gabriela przez hol do przeszklonych drzwi, które wiodły na wychodzący na jezioro taras. Przystanęli przy balustradzie. W niewielkiej odległości od nich, na skale opodal skraju jeziora, stał zwieńczony blankami zamek.

- Klasztor Najświętszego Serca Jezusowego. W dziewiętnastym wieku mieściło się tam sanatorium. Siostry przejęły budynek wraz z gruntem przed pierwszą wojną światową i od tego czasu w nim mieszkają.

- Czy wie pan, co mój brat tam robił?

- Niestety nie. Ale dlaczego nie spyta pan matki Vincenzy? Jest siostrą przełożoną. Urocza kobieta. Jestem pewien, że z przyjemnością panu pomoże.

- Czy ma pan do niej telefon?

Recepcjonista pokręcił głową.

- Nie ma tam telefonu. Siostry bardzo poważnie traktują swoje odosobnienie.

Dwa strzeliste cyprysy stały niczym straż po obu stronach żelaznej bramy. Gdy Gabriel nacisnął dzwonek, zimny wiatr zerwał się znad jeziora i zatańczył na dziedzińcu, poruszając gałęziami drzew oliwnych. Chwilę później pojawił się staruszek ubrany w brudny kombinezon. Gdy Gabriel oznajmił, że pragnie zamienić parę słów z matką Vincenza, staruszek kiwnął głową i zniknął wewnątrz klasztoru. Wrócił po chwili, zdjął z bramy łańcuch i kiwnął na Gabriela, żeby szedł za nim.

Zakonnica czekała w holu wejściowym. Miała owalną twarz, była w szaro-białym habicie. Grube okulary wzmacniały stanowczość spojrzenia. Gdy Gabriel wspomniał Benjamina, jej twarz rozjaśniła się szerokim, szczerym uśmiechem.

- Tak, oczywiście, że go pamiętam - powiedziała, ujmując dłoń Gabriela. - Taki wspaniały człowiek. Taki inteligentny. Bardzo miło spędziliśmy razem czas.

Wtedy Gabriel powiedział jej, co się stało. Matka Vincenza przeżegnała się. W jej oczach wezbrały łzy. Położyła dłoń na ramieniu Gabriela.

- Proszę pójść ze mną. Musi mi pan o tym opowiedzieć.

Siostry z Brenzone złożyły śluby ubóstwa, ale ich zakon zajmował z pewnością jedną z najbardziej pożądanych posiadłości we Włoszech. Świetlica, do której Gabriel został zaprowadzony, była dużą prostokątną galerią z meblami ustawionymi w taki sposób, że tworzyły kilka zakątków, gdzie można było usiąść. Przez duże okna Gabriel widział taras i balustradę oraz jasny księżyc wschodzący nad jeziorem.

Usiedli w dwóch wytartych fotelach przy oknie. Matka Vincenza potrząsnęła małym dzwonkiem i gdy pojawiła się młoda zakonnica, matka przełożona poprosiła ją o kawę. Dziewczyna oddaliła się tak płynnie i cicho, że Gabriel zastanawiał się, czy nie miała ukrytych pod habitem rolek.

Gabriel opowiedział o zabójstwie Benjamina. Przezornie pominął pewne szczegóły tak, aby zbytnio nie zaszokować siedzącej naprzeciwko zakonnicy. Mimo to matka Vincenza co chwila wzdychała ciężko i wolno czyniła znak krzyża. Gdy Gabriel skończył, pogrążyła się w głębokiej rozpaczy. Malutka filiżanka przyniesiona przez cichą młodą zakonnicę nieco uspokoiła jej nerwy.

- Wiedziała siostra, że Benjamin był pisarzem? - spytał Gabriel.

- Oczywiście, po to przyjechał do Brenzone.

- Pracował nad jakąś książką?

- W rzeczy samej.

Matka Vincenza przerwała na moment, bo do pokoju wszedł ogrodnik, niosąc na rękach stos drewna oliwnego.

- Dziękuję ci, Licio - powiedziała. Staruszek ułożył drewno w koszyku obok kominka i wyśliznął się na zewnątrz.

- Powinien pan wiedzieć, nad czym pracował, skoro jest pan jego bratem - kontynuowała rozmowę zakonnica.

- Z jakiegoś powodu Benjamin był bardzo skryty, gdy chodziło o tę książkę. Ukrywał jej temat przed przyjaciółmi i rodziną. - Gabriel przypomniał sobie rozmowę w Monachium z profesorem Bergerem. - Nawet dziekan wydziału Benjamina na Uniwersytecie Ludwika Maksymiliana nic nie wiedział.

Matką Vincenza chyba przyjęła to wyjaśnienie, bo po chwili zamyślenia powiedziała:

- Pański brat pracował nad książką o Żydach, którzy podczas wojny schronili się na terenach należących do Kościoła.

Gabriel przez chwilę rozważał usłyszane słowa. Książka o Żydach ukrywających się w klasztorach? Teoretycznie możliwe, ale nie sądził, żeby ten temat mógł zainteresować Benjamina. Nie wyjaśniał też niezwykłej dyskrecji profesora. Jednak nie pytał dalej.

- Co go tu sprowadziło?

Matka Vincenza przyjrzała mu się sponad krawędzi filiżanki.

- Niech pan dopije kawę - powiedziała. - Pokażę panu, dlaczego pański brat przyjechał do Brenzone.

Zeszli przy świetle latarki po stromych kamiennych schodach. Ciepła ręka zakonnicy ponownie spoczęła na ramieniu Gabriela. U podstawy schodów czuć było zapach stęchlizny. Gabriel widział parę wydobywającą się z ust przy każdym oddechu. Przed nimi ciągnął się wąski korytarz z łukowatymi portalami. To miejsce miało w sobie coś z katakumb. Gabriel nagle ujrzał oczami wyobraźni nawiedzone dusze, przesuwające się w świetle pochodni i coś szepczące.

Matka Vincenza poprowadziła go korytarzem, zatrzymując się przy każdym portalu i oświetlając snopem światła latarki wnętrza ciasnych komór. Kamienie lśniły od wilgoci, zapach jeziora był wszechogarniający. Gabrielowi zdawało się, że słyszy nad głową plusk wody.

- Siostry uznały, że jedynie tutaj ukrywający się Żydzi będą bezpieczni - powiedziała zakonnica, przerywając ciszę. - Jak się pan może domyślać, zimą panował tu przejmujący chłód. Obawiam się, że strasznie cierpieli, zwłaszcza dzieci.

- Ilu ich było?

- Zwykle około tuzina. Czasem więcej, czasem mniej.

- Dlaczego mniej?

- Niektórzy przenieśli się do innych klasztorów. Jedna rodzina próbowała przedostać się do Szwajcarii. Zostali schwytani na granicy przez szwajcarski patrol i przekazani Niemcom. Słyszałam, że zginęli w Oświęcimiu. Sama w czasie wojny byłam oczywiście małą dziewczynką. Moja rodzina mieszkała w Turynie.

- Musiało to być niebezpieczne dla sióstr, które tu mieszkały.

- O tak, i to bardzo. W tamtych dniach snuły się po kraju faszystowskie bandy, szukające Żydów. Przekupywali ludzi. Żydów wydawano dla pieniędzy. Ktokolwiek ich ukrywał, narażał się na straszne represje. Dając im schronienie, siostry narażały się na wielkie ryzyko.

- Więc dlaczego to robiły?

Uśmiechnęła się ciepło i uścisnęła jego ramię.

- Kościół ma wielkie tradycje, signor Landau. Księża i zakonnice czują się w obowiązku wspierać szukających schronienia. Pomagać niesłusznie oskarżonym. Siostry z Brenzone pomagały Żydom z chrześcijańskiej dobroci. Oraz dlatego, że Ojciec Święty tak im przykazał.

- Papież Pius polecił zakonom przygarniać Żydów?

Oczy zakonnicy rozjaśniły się.

- Tak jest. Zakonom, klasztorom, szkołom, szpitalom. Wszystkie kościelne instytucje miały na oścież otworzyć drzwi dla Żydów.

Światło latarki matki Vincenzy oświetliło tłustego szczura. Miał błyszczące żółte oczy. Po chwili czmychnął, drapiąc pazurkami po kamieniach.

- Dziękuję, siostro - powiedział Gabriel. - Chyba dosyć już widziałem.

- Jak pan sobie życzy. - Zakonnica nie poruszyła się, wodząc po nim spojrzeniem. - To miejsce nie powinno pana smucić, signor Landau. Dzięki siostrom z Brenzone ludzie, którzy tu się

ukryli, przetrwali. To miejsce nie powinno wywoływać łez, lecz wzbudzać radość. Nadzieję.

Gabriel nie odpowiedział. Matka Vincenza odwróciła się i poprowadziła go schodami na górę. Gdy szła po wysypanym żwirem dziedzińcu, nocny wiatr poruszał spódnicą jej habitu.

- Zaraz siadamy do wieczornego posiłku. Może pan się do nas przyłączyć, jeżeli ma pan ochotę.

- Siostra jest bardzo miła, ale nie chciałbym przeszkadzać. Poza tym zabrałem już siostrze dość czasu.

- Ależ skąd!

Przy bramie Gabriel zatrzymał się i obrócił ku niej.

- Czy siostra zna nazwiska ludzi, którzy się tu ukrywali? - spytał znienacka.

Zakonnica zdawała się być tym zaskoczona. Patrzyła na niego przez chwilę, po czym zdecydowanie pokręciła głową.

- Niestety ich nazwiska przez te wszystkie lata zostały zapomniane.

- Szkoda.

- Tak - powiedziała, powoli kiwając głową.

- Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

- Oczywiście.

- Czy Watykan pozwolił siostrze rozmawiać z Benjaminem?

Wyzywająco podniosła głowę.

- Nie zgodzę się, żeby jakiś biurokrata z kurii rzymskiej mówił mi, kiedy mam mówić, a kiedy milczeć. To może tylko Bóg, i Bóg polecił mi porozmawiać z pańskim bratem o Żydach z Brenzone.

Matka Vincenza miała niewielkie biuro na drugim piętrze klasztoru, w przyjemnym pokoju wychodzącym na jezioro. Zamknęła drzwi na klucz, usiadła przy swoim skromnym biurku i wysunęła górną szufladę. W niej, ukryty za małym tekturowym pudełkiem pełnym ołówków i spinaczy, spoczywał

elegancki telefon komórkowy. Teoretycznie surowe reguły zakonu zakazywały posiadania tego typu urządzenia, ale człowiek z Watykanu zapewnił ją, że zważywszy na okoliczności, nie będzie to pogwałceniem żadnych zasad, ani moralnych, ani żadnych innych.

Włączyła komórkę, tak jak ją nauczył, i ostrożnie wystukała numer w Rzymie. Po paru sekundach ciszy usłyszała sygnał. To ją zdziwiło. Chwilę później, gdy usłyszała męski głos na linii, zdziwiła się jeszcze bardziej.

- Mówi matka Vincenza...

- Wiem, kto mówi - powiedział szorstko mężczyzna, stanowczym tonem człowieka interesów. Przypomniała sobie jego polecenie, by nie wymieniać przez telefon żadnych nazwisk. Poczuła się głupio.

- Miałam zadzwonić, jeżeli ktokolwiek przyjdzie do klasztoru i będzie pytał o profesora. - Zawahała się, czekając, aż człowiek po drugiej stronie coś powie, ale on milczał. - Ktoś przyszedł dzisiaj po południu.

- Jak się przedstawił?

- Landau - powiedziała. - Ehud Landau z Tel Awiwu. Powiedział, że profesor był jego bratem.

- Gdzie jest teraz?

- Nie wiem. Pewnie zatrzymał się w starym hotelu.

- Czy możesz to sprawdzić?

- Chyba mogę.

- Sprawdź i oddzwoń.

Połączenie zostało przerwane.

Matka Vincenza schował telefon na miejsce i cicho zamknęła szufladę.

Gabriel postanowił spędzić noc w Brenzone i z samego rana pojechać do Wenecji. Po wyjściu z klasztoru wrócił do hotelu

i wynajął pokój. Perspektywa zjedzenia kolacji w ponurej restauracji hotelowej nie pociągała go, więc zszedł na brzeg jeziora, nad którym wisiał chłodny marcowy wieczór, i zjadł rybę w zatłoczonej restauracji pełnej mieszkańców miasteczka. Miejscowe białe wino było bardzo zimne.

W czasie gdy jadł, przesuwały mu się przed oczami obrazy z ostatnich dni: znak Odyna i trójramienna swastyka na ścianie mieszkania Benjamina; krew na podłodze w miejscu, gdzie zginął; detektyw Weiss śledzący go na ulicach Monachium; Matka Vincenza prowadząca go po schodach do zimnej i wilgotnej piwnicy klasztoru nad jeziorem.

Gabriel był przekonany, że Benjamin został zabity, bo chciano go uciszyć. Tylko to mogło tłumaczyć, dlaczego zniknął jego komputer i dlaczego w mieszkaniu nie było żadnych śladów wskazujących na to, że cokolwiek pisał. Jeśli Gabriel zdołałby odtworzyć książkę - a przynajmniej ustalić, o czym pisał - mógłby zidentyfikować mordercę i poznać przyczynę zabójstwa. Niestety nie miał prawie nic - jedynie to, co opowiedziała mu podstarzała zakonnica - że Benjamin pisał książkę o Żydach szukających podczas wojny schronienia na terenach należących do Kościoła. Ale coś takiego nie mogło być przecież powodem jego śmierci.

Zapłacił rachunek i skierował się w stronę hotelu. Nie spieszył się, spacerując po cichych, wąskich uliczkach starego miasteczka i nie zwracając specjalnie uwagi, dokąd idzie, jednak jego głowa rejestrowała trasę wędrówki przez Brenzone. Szukał motywu zbrodni. Instynktownie podchodził do problemu jak do renowacji dzieła sztuki, tak jakby książka Benjamina była obrazem, który został tak poważnie uszkodzony, że zostało z niego niewiele więcej niż płótno z kilkoma paskami farby i kawałkiem szkicu. Gdyby Benjamin był dawnym mistrzem malarskim, Gabriel przestudiowałby wszystkie podobne namalowane przez niego obrazy. Przeanalizowałby technikę i zastanawiałby się, jakim wpływom ulegał. W skrócie rzecz ujmując,

przed rozpoczęciem pracy poznałby każdy najmniejszy szczegół z życia artysty, nieważne, jak nieistotny by się wydawał.

Na razie Gabriel miał bardzo mało danych, na których mógł oprzeć swoją pracę renowacyjną, ale teraz, spacerując uliczkami Brenzone, poznał jeszcze jeden istotny szczegół.

Po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch dni był śledzony.

Skręcił za róg i przeszedł wzdłuż rzędu pozamykanych już sklepów. Zerkając przez ramię, dostrzegł idącego w ślad za nim mężczyznę. Powtórzył manewr i znów ujrzał prześladowcę, zaledwie cień na słabo oświetlonej ulicy, chudego i zgarbionego, zwinnego jak kot.

Gabriel wsunął się do ciemnego przedsionka niewielkiej kamienicy i słuchał, jak kroki stopniowo cichną, by wreszcie zupełnie umilknąć. Chwilę później wyszedł z powrotem na ulicę i ruszył w stronę hotelu. Cień zniknął.

Gdy Gabriel wrócił do hotelu, recepcjonista Giancomo wciąż był na służbie. Klucz przesunął ku niemu w taki sposób, jakby to była bezcenna relikwia. Spytał Gabriela o posiłek.

- Dziękuję, był wspaniały.

- Może jutro wieczorem zechciałby pan przetestować naszą hotelową restaurację?

- Może - powiedział Gabriel niezobowiązująco, wkładając klucz do kieszeni. - Chciałbym obejrzeć rachunek Benjamina, szczególnie wykaz rozmów telefonicznych. To mogłoby się okazać bardzo przydatne.

- Widzę, do czego pan zmierza, signor Landau, ale obawiam się, że byłoby to naruszeniem ścisłej dyskrecji obowiązującej w naszym hotelu. Jestem pewien, że ktoś taki jak pan to zrozumie.

Gabriel rzucił uwagę, że ponieważ Benjamin już nie żyje, troska o jego prywatność jest nie na miejscu.

- Przykro mi, ale dyskrecja dotyczy także zmarłych - powiedział recepcjonista. - Chociaż jeśli to policja zwróciłaby się do nas, musielibyśmy te dane ujawnić.

- Te informacje mają dla mnie duże znaczenie - powiedział Gabriel. - Chciałbym wnieść opłatę uprawniającą mnie do zapoznania się z nimi.

- Opłatę? Rozumiem - podrapał się w głowę. - Sądzę, że opłata wynosi pięćset euro - zamilkł, pozwalając Gabrielowi przetrawić sumę. - Opłata manipulacyjna. Oczywiście płatne z góry.

- Tak, oczywiście.

Gabriel przeliczył pieniądze i położył je na kontuarze. Ręka Giancoma przesunęła się po blacie i pieniądze zniknęły.

- Proszę wejść do siebie, signor Landau. Wydrukuję wykaz i przyniosę go panu.

Gabriel poszedł do swojego pokoju. Zamknął drzwi i założył łańcuch, po czym wyjrzał przez okno. Jezioro lśniło w świetle księżyca. Na zewnątrz nie było nikogo, przynajmniej nikogo nie mógł dostrzec. Usiadł na łóżku i zaczął się rozbierać.

W szparze pod drzwiami pojawiła się koperta i przesunęła się po podłodze z terakoty. Gabriel podniósł ją, otworzył i wyjął zawartość. Zapalił lampkę nocną i przejrzał wykaz rozmów. W czasie dwudniowego pobytu Benjamin dzwonił tylko trzykrotnie. Dwa telefony do własnego mieszkania w Monachium - żeby sprawdzić wiadomości nagrane na sekretarce, jak sądził Gabriel - oraz jeden do Londynu.

Gabriel podniósł słuchawkę i wystukał numer.

Odebrała automatyczna sekretarka.

„Dodzwoniłeś się do biura Petera Malone'a. Przepraszam, ale nie mogę odebrać telefonu. Jeśli chcesz zostawić...".

Gabriel odłożył słuchawkę na widełki.

Peter Malone? Angielski dziennikarz śledczy? Czemu Beni miałby dzwonić do kogoś takiego? Gabriel złożył rachunek i wsunął z powrotem do koperty. Miał go właśnie włożyć do walizki Ehuda Landaua, gdy zadzwonił telefon.

Wyciągnął rękę, ale się zawahał. Nikt nie wie, że tu jest. Nikt oprócz recepcjonisty i człowieka, który go śledził po kolacji.

Może Malone zapisał jego numer i oddzwaniał. Lepiej wiedzieć, niż tkwić w niewiedzy, pomyślał. Schwycił słuchawkę i przyłożył do ucha, przez chwilę nic nie mówiąc.

- Tak? - powiedział wreszcie.

- Matka Vincenza okłamuje cię, tak jak okłamała twojego przyjaciela. Znajdź siostrę Reginę i Martina Luthera. Wtedy dowiesz się, co naprawdę stało się w klasztorze.

- Kto mówi?

- Nie wracaj tu. To nie jest bezpieczne miejsce.

Klik.

9

Grindelwald, Szwajcaria

Człowiek mieszkający w dużym drewnianym domu w cieniu Eigeru był osobą, nawet jak na standardy gór środkowej Szwajcarii ceniącą swoją prywatność. Lubił wiedzieć, co o nim mówiono, i miał świadomość, że w barach i kawiarniach Grindelwaldu wciąż spekulowano na temat jego zawodu. Niektórzy sądzili, że jest bankierem z Zurychu, któremu się powiodło; inni, że właścicielem dużego koncernu chemicznego z siedzibą w Zug. Byli też zwolennicy teorii, że bogactwo odziedziczył i nigdy nie pracował. Puszczano bezpodstawne plotki, że jest handlarzem bronią lub że pierze brudne pieniądze. Dziewczyna sprzątająca w jego domu opowiadała o kuchni pełnej drogich miedzianych garnków i wszelkich innych luksusowych sprzętów. Krążyła też pogłoska, że jest kucharzem lub właścicielem restauracji. Tę wersję lubił najbardziej. Uważał, że mógłby zarabiać na życie gotowaniem, gdyby nie zajmował się tym, czym się zajmował.

Rzadko przychodząca do jego domu poczta była zaadresowana do Erica Langego. Mówił po niemiecku z akcentem z Zurychu, ale z przyśpiewem mieszkańców dolin środkowej Szwajcarii. Zakupy robił w supermarkecie Migros w miasteczku i zawsze płacił gotówką. Nie przyjmował gości i pomimo że był przystojny, nie widziano go nigdy w towarzystwie kobiety. Co jakiś czas znikał na długo. Pytany o powód przebąkiwał coś o wyjeździe w interesach.

Gdy nalegano, by powiedział coś więcej, jego szare oczy stawały się naraz tak lodowate, że mało kto miał odwagę pytać dalej.

Można było odnieść wrażenie, że ma za dużo wolnego czasu. Od grudnia do marca, gdy śnieg był najlepszy, spędzał czas na stokach. Był wyśmienitym narciarzem, jeździł szybko, lecz nie brawurowo. Miał siłę i posturę zjazdowca, ale był szybki i zwinny jak slalomowiec. Jego stroje były kosztowne, ale nie krzykliwe, wybrane raczej tak, by odwracać uwagę, niż by ją przyciągać. Na wyciągach nigdy się nie odzywał. W lecie, gdy topniało wszystko prócz wiecznych śniegów, wyruszał co rano ze swojego domu i chodził po stromych stokach doliny. Zdawał się być stworzony do tego celu - był wysoki i silny, miał wąskie biodra i szerokie ramiona, umięśnione uda i łydki. Przechadzał się po skalistych ścieżkach ze zręcznością wielkiego kota i zdawało się, że nigdy się nie męczy.

Zwykle zatrzymywał się u stóp Eigeru, żeby napić się ze swojej manierki i zerknąć w górę na owiewaną wiatrami ścianę. Nigdy się nie wspinał, a ludzi porywających się na Eiger uznawał za największych głupców, jakich stworzyła natura. W niektóre popołudnia z tarasu swojego domu słyszał huk helikopterów ratowniczych i czasem za pomocą teleskopu Zeissa oglądał martwych alpinistów wiszących na linach, kręcących się pod uderzeniami fenu, osławionego wiatru wiejącego na Eigerze. Czuł olbrzymi respekt przed górą. Eiger, podobnie jak mężczyzna znany jako Eric Lange, był zabójcą doskonałym.

Tuż przed nadejściem południa Lange zszedł z wyciągu, żeby po raz ostatni tego dnia zjechać na nartach. Na dole skręcił w świerkowy zagajnik i śmigając wśród drzew, dojechał do tylnych drzwi swojego domu. Odpiął narty, ściągnął rękawiczki i wklepał kilka cyfr w klawiaturę znajdującą się na ścianie obok drzwi. Wszedł do środka, zdjął kurtkę i spodnie z pianki i powiesił narty na specjalnym wieszaku. Na piętrze wziął prysznic i włożył podróżne ubranie: sztruksowe spodnie, ciemnoszary

sweter z kaszmiru, zamszowe półbuty. Jego niewielka torba była już spakowana.

Zatrzymał się przed lustrem w łazience i przyjrzał własnemu odbiciu. Rozjaśnione słońcem blond włosy przeplatane były szarymi pasmami. Oczy miał od urodzenia bezbarwne, dobrze pasujące do soczewek kontaktowych. Rysy jego twarzy były regularnie zmieniane przez chirurga plastycznego w pewnej dyskretnej klinice na przedmieściach Genewy. Założył szylkretowe okulary, nałożył na włosy żel i zaczesał je do tyłu. Zmiana w wyglądzie była uderzająca.

Wszedł do sypialni. W sporej garderobie ukryty był otwierany szyfrem sejf. Pokręcił gałką, po czym otworzył ciężkie drzwi. Wewnątrz znajdowały się rzeczy potrzebne mu w pracy: fałszywe paszporty, sporo gotówki w różnych walutach, kilka sztuk krótkiej broni palnej. Włożył do portfela franki szwajcarskie i wybrał dziewięciomilimetrowego steczkina, swój ulubiony pistolet. Ułożył go w torbie i zamknął drzwi sejfu. Pięć minut później wsiadł do audi i ruszył w stronę Zurychu.

W brutalnej historii politycznych ekstremistów w Europie żaden terrorysta nie był podejrzewany o tyle krwawych zabójstw i zamachów co człowiek zwany Lampartem. Działający na zlecenie płatny morderca oferował swoje usługi na całym kontynencie. Wszędzie pozostawiał za sobą trupy i zniszczenia po eksplozjach bomb - od Aten do Londynu i od Madrytu po Sztokholm. Pracował dla Frakcji Czerwonej Armii w RFN, dla Czerwonych Brygad we Włoszech oraz dla Action Directe we Francji. Zabił oficera wojsk brytyjskich na zlecenie irlandzkiej IRA i hiszpańskiego ministra na zlecenie ETA, baskijskich separatystów. Długo i owocnie współpracował z palestyńskimi terrorystami. Miał na koncie serię porwań i zabójstw dla Abu Dżihada, drugiego najważniejszego człowieka w OWP, mordował też dla fanatycznego palestyńskiego dysydenta Abu Nidala.

Co więcej, uważano, że Lampart jest mózgiem równoczesnych ataków na lotniskach w Wiedniu i Rzymie w grudniu 1985 roku, w których było dziewiętnaście ofiar śmiertelnych i stu dwudziestu rannych. Minęło dziewięć lat od ostatniego przypisywanego mu zamachu, zabójstwa francuskiego przemysłowca w Paryżu. Niektórzy pracownicy zachodnioeuropejskich wywiadów i agencji bezpieczeństwa uważali, że Lampart nie żyje, że został zabity w kłótni z jednym ze swoich dawnych pracodawców. Inni nie wierzyli, że w ogóle kiedykolwiek istniał.

Gdy Eric Lange dotarł do Zurychu, była już noc. Zaparkował samochód na niezbyt sympatycznej ulicy na północ od stacji kolejowej i piechotą poszedł do hotelu Święty Gottard, opodal łuku Bahnhofstrasse, gdzie miał zarezerwowany pokój. Recepcjonista nie był zdziwiony brakiem bagażu. Ze względu na dogodne położenie oraz reputację dyskretnego hotel często był wykorzystywany jako miejsce spotkań w interesach zbyt poufnych, by można je było prowadzić nawet na terenie prywatnego banku. Podobno sam Hitler zatrzymał się w Świętym Gottardzie, gdy miał spotkać się w Zurychu ze szwajcarskimi bankierami.

Lange wjechał na piętro windą, po czym wszedł do swojego pokoju. Zaciągnął zasłony i poświęcił chwilę na przestawienie mebli. Fotel wysunął na środek pokoju, przodem do drzwi, przed nim ustawił okrągły stoliczek. Położył na nim dwa przedmioty - małą, ale silną latarkę oraz steczkina. Następnie usiadł i zgasił światło. Zrobiło się zupełnie ciemno.

Czekając na klienta, sączył niespełniające jego oczekiwań wino z barku. Jako jeden z warunków przyjęcia zlecenia stawiał brak pośredników czy kurierów. Jeśli ktoś chciał skorzystać z jego umiejętności, musiał mieć odwagę stawić się osobiście i pokazać twarz. Lange nie nalegał na to ze względu na swoje

ego, ale dla własnego bezpieczeństwa. Jego usługi były tak drogie, że tylko bardzo bogaci ludzie mogli sobie na nie pozwolić, ludzie wyszkoleni w sztuce, jaką była zdrada. Ludzie potrafiący nakłonić innych, by zapłacili za ich grzechy.

O ósmej piętnaście, dokładnie o godzinie podanej przez Langego, ktoś zapukał do drzwi. Lange wziął w jedną rękę steczkina, a w drugą latarkę i pozwolił gościowi wejść do pokoju, w którym panowały kompletne ciemności. Gdy drzwi się zamknęły, włączył latarkę, która oświetliła drobnego, dobrze ubranego mężczyznę dochodzącego siedemdziesiątki, z przyciętą jak u mnicha grzywką stalowoszarych włosów. Lange znał go: generał Carlo Casagrande, emerytowany szef formacji antyterrorystycznych *carabinieri,* obecnie strażnik sekretów Watykanu. Wielu dawnych przeciwników generała chciałoby się znaleźć na miejscu Langego w tym momencie - mierząc z załadowanej broni do wielkiego Casagrandego, pogromcy Czerwonych Brygad, zbawcy Włoch. Brygady próbowały go zabić, ale Casagrande skutecznie się przed nimi ukrywał, przemieszczając się z bunkra do bunkra, z koszar do koszar. Zamiast niego zmasakrowali jego żonę i córkę. Po tym zdarzeniu stary generał nigdy już nie był taki sam i prawdopodobnie właśnie dlatego był teraz tam, gdzie był - w zaciemnionym pokoju hotelowym w Zurychu, gdzie przyszedł wynająć płatnego mordercę.

- Jak w konfesjonale - powiedział Casagrande po włosku.

- O to chodzi - odparł Lange w tym samym języku. - Może pan klęknąć, jeśli panu zależy.

- Dziękuję, chyba jednak postoję.

- Ma pan dossier?

Casagrande uniósł trzymaną w ręku teczkę. Lange wsunął steczkina w snop światła, tak żeby człowiek z Watykanu mógł zobaczyć broń. Casagrande poruszał się z ostrożnością sapera manipulującego przy bombie. Otworzył teczkę, wyjął z niej dużą szarą kopertę i położył na stole. Lange zgarnął ją ręką trzymającą broń i wysypał zawartość na kolana. Po chwili podniósł wzrok.

- Rozczarował mnie pan. Miałem nadzieję, że zlecicie mi zabicie papieża.

- Zrobiłby pan to, prawda? Zabiłby pan swojego papieża?

- On nie jest moim papieżem, ale odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: tak, zabiłbym. A gdyby wynajęto mnie zamiast tego nawiedzonego Turka tamtego popołudnia na placu Świętego Piotra, Polak by zginął.

- Więc chyba powinienem być wdzięczny KGB, że nie wynajęli pana. Bóg świadkiem, że wykonał pan dla nich wystarczająco dużo brudnej roboty.

- KGB? Nie wydaje mi się, żeby to byli oni, i pan też tak nie myśli. KGB nie przepadało za Polakiem, ale też nie byli na tyle głupi, by go zabić. Nawet pan nie wierzy, że to było KGB. Z tego, co słyszałem, pan uważa, że spisek na życie papieża miał źródła znacznie bliżej - w samym Kościele. Dlatego ustalenia pańskiego śledztwa pozostały tajne. Perspektywa ujawnienia tożsamości spiskowców była zbyt kłopotliwa dla wszystkich zainteresowanych. A poza tym wygodnie było bez żadnych podstaw wskazywać palcem na wschód, na Moskwę, na prawdziwych wrogów Watykanu.

- Czasy, kiedy wyjaśnialiśmy dzielące nas różnice zdań, mordując papieży, minęły wraz ze średniowieczem.

- Bardzo pana proszę, generale, takie wypowiedzi nie licują z pana inteligencją i doświadczeniem. - Lange rzucił dossier na stolik. - Powiązania tego człowieka z żydowskim profesorem są zbyt mocne. Nie zrobię tego. Znajdźcie kogoś innego.

- Nie ma nikogo takiego jak pan. I nie mam czasu na szukanie kogoś innego.

- W takim razie będzie was to kosztować.

- Ile?

Przerwa, po której padła odpowiedź:

- Pięćset tysięcy, płatne z góry.

- To trochę wygórowana cena, nie sądzi pan?

- Nie;

Casagrande udał, że się zastanawia, po czym twierdząco skinął głową.

- Gdy go pan zabije, ma pan przeszukać jego biuro i usunąć wszystko, co mogłoby łączyć go z profesorem lub książką. Chcę też mieć jego komputer. Proszę przywieźć to do Zurychu i zostawić w tej samej skrytce bankowej, w której zostawił pan rzeczy z Monachium.

- Przewożenie komputera należącego do człowieka, którego się właśnie sprzątnęło, nie jest najmądrzejszą rzeczą, jaką zabójca może zrobić.

Casagrande wbił oczy w sufit.

- Ile?

- Jeszcze sto tysięcy.

- Umowa stoi.

- Gdy stwierdzę, że pieniądze są na moim koncie, przystąpię do realizacji zlecenia. Na kiedy?

- Na wczoraj.

- W takim razie powinien był pan przyjść przedwczoraj.

Casagrande odwrócił się i otworzył sobie drzwi. Eric Lang zgasił latarkę i siedział w ciemności, dopijając wino.

Casagrande szedł po Bahnhofstrasse w podmuchach wiejącego od jeziora wiatru. Czuł straszliwą potrzebę padnięcia na kolana przy konfesjonale i zrzucenia ciężaru swych grzechów. Nie mógł. Według regulaminu Instytutu mógł spowiadać się tylko przed duchownym będącym członkiem bractwa. Ze względu na delikatny charakter pracy Casagrandego jego spowiednikiem był nie kto inny ják kardynał Marco Brindisi.

Doszedł do Talstrasse, cichej uliczki, wzdłuż której stały rzędem budynki z szarego kamienia i nowoczesne biura. Casagrande szedł nią, póki nie dotarł do skromnych drzwi, obok których widniał na ścianie napis:

BECKER & PUHL
BANKIERZY
TALSTRASSE 26

Przy tabliczce był guzik, który Casagrande nacisnął kciukiem. Spojrzał w oko kamery nad drzwiami, po czym odwrócił wzrok. Chwilę później zasuwka odskoczyła i Casagrande wszedł do niedużego przedsionka.

Herr Becker czekał na niego. Sztywny, pedantyczny, kompletnie łysy Becker słynął z absolutnej dyskrecji, nawet w bardzo skrytym światku Bahnhofstrasse. Wymiana informacji, która później nastąpiła, była jedynie krótką i w dużej mierze niepotrzebną formalnością. Casagrande i Becker dobrze się znali i wspólnie przeprowadzili wiele interesów, chociaż Becker nie miał pojęcia, kim jest Casagrande ani skąd pochodzą jego pieniądze. Jak zwykle Casagrande musiał się wysilać, by słyszeć, co bankier mówi, bo jego głos był niewiele głośniejszy od szeptu nawet w normalnej rozmowie. Buty bankiera w zetknięciu z wypolerowaną marmurową posadzką nie wydawały żadnego odgłosu, gdy generał podążał za Beckerem korytarzem prowadzącym do sali z sejfami.

Weszli do sali pozbawionej okien i mebli, nie licząc jednego wysokiego stolika. Herr Becker zostawił Casagrandego samego. Wrócił po chwili z metalową skrytką.

- Proszę zostawić ją na stole, gdy pan skończy - powiedział bankier. - Będę za drzwiami, gdyby pan mnie jeszcze potrzebował.

Kiedy szwajcarski bankier wyszedł, Casagrande rozpiął płaszcz i odpiął delikatną podszewkę. Pod nią było ukrytych kilkanaście spiętych paczek banknotów. „Dziękujemy panu Robertowi Pucciemu za wsparcie". Włoch włożył je jedna po drugiej do skrytki.

Gdy skończył, zawołał Herr Beckera. Bankier odprowadził go do drzwi i życzył mu miłego wieczoru. Idąc z powrotem wzdłuż Bahnhofstrasse, Casagrande zorientował się, że recytuje dobrze mu znane i kojące słowa aktu skruchy.

10

Wenecja

Gabriel wrócił do Wenecji następnego dnia wcześnie rano. Zostawił opla na parkingu przy stacji kolejowej i popłynął wodną taksówką do kościoła San Zaccaria. Wszedł, nie witając się z innymi członkami zespołu, wspiął się na rusztowanie i ukrył za płachtą. Po trzech dniach niewidzenia Gabriel i jego Panienka byli sobie obcy, ale z upływem godzin czuli się coraz pewniej w swoim towarzystwie. Jak zawsze, Panienka sprawiła, że Gabriela opanowało poczucie spokoju, a skupienie nad pracą zepchnęło sprawę śmierci Benjamina w jakiś dalszy zakątek jego umysłu.

Zrobił przerwę, żeby uzupełnić paletę. Jego myśli odpłynęły od Belliniego i wróciły do Brenzone. Tamtego ranka po śniadaniu ponownie poszedł do klasztoru i zadzwonił do bramy, chcąc jeszcze raz spotkać się z matką Vincenza. Gdy przyszła, Gabriel spytał, czy mógłby porozmawiać z siostrą Reginą. Zakonnica wyraźnie poczerwieniała, po czym wyjaśniła, że w zakonie nie ma nikogo o tym imieniu. Gabriel więc spytał, czy siostra Regina kiedykolwiek była w tym klasztorze. Matka Vincenza pokręciła głową i poradziła, żeby signor Landau respektował odizolowany charakter klasztoru i nigdy do niego nie wracał. Nic więcej nie mówiąc, odwróciła się, przecięła dziedziniec i zniknęła w budynku. Wtedy Gabriel zobaczył Licia, ogrodnika, przycinającego winorośl. Gdy

próbował go przywołać, staruszek spojrzał na niego i szybkim krokiem odszedł do zacienionego ogrodu. W tym momencie Gabriel zorientował się, że to właśnie Licio chodził za nim poprzedniego wieczoru po ulicach Brenzone i że to on był tą tajemniczą osobą, która zadzwoniła do niego do hotelu. Najwyraźniej staruszek czegoś się bał. Gabriel postanowił nie pogarszać jego sytuacji, przynajmniej na razie. Postanowił skupić się na samym klasztorze. Jeżeli matka Vincenza mówiła prawdę i rzeczywiście w czasie wojny ukrywali się w nim Żydzi, to gdzieś musiały istnieć jakieś zapiski tego dotyczące.

Wracając do Wenecji, miał wrażenie, że śledzi go szara lancia. W Weronie opuścił autostradę i wjechał na stare miasto, gdzie wykonał serię wypróbowanych manewrów mających na celu zgubienie ogona. To samo zrobił w Padwie. Pół godziny później, gdy gnał szosą prowadzącą po grobli do Wenecji, był pewien, że jedzie sam.

Pracował nad ołtarzem aż do wieczora. O siódmej opuścił kościół i udał się do biura Francesca Tiepola w dzielnicy San Marco. Znalazł go przeglądającego stos papierów za szerokim dębowym stołem, którego używał jako biurka. Tiepolo był swego czasu dobrym konserwatorem, ale dawno temu odstawił pędzle i paletę, aby skoncentrować się na prowadzeniu dobrze prosperującej firmy renowacyjnej. Gdy Gabriel wszedł do pokoju, Tiepolo uśmiechnął się do niego zza zaplecionej czarnej brody. Turyści na ulicy często mylili go z Lucciano Pavarottim.

Nad kieliszkiem *ripasso* Gabriel oświadczył, że musi znowu na kilka dni opuścić Wenecję, żeby zająć się pewną osobistą sprawą. Tiepolo zakrył twarz dłońmi i wymamrotał parę włoskich przekleństw, nim z irytacją w oczach spojrzał na Gabriela ponownie.

- Mario, za sześć tygodni czcigodny kościół San Zaccaria ma być otwarty dla zwiedzających. Jeśli za sześć tygodni nie zostanie przywrócony do dawnej chwały, dyrekcja zawlecze mnie

do jakiejś piwnicy, w Pałacu Dożów i rytualnie wypruje ze mnie flaki. Czy wyrażam się jasno, Mario? Jeśli nie skończysz Belliniego, narazisz na szwank moją reputację.

- Niewiele mi brakuje, Francesco. Muszę po prostu uporać się z paroma osobistymi sprawami.

- Jakimi sprawami?

- Śmierć w rodzinie.

- Naprawdę?

- Nie pytaj o nic więcej, Francesco.

- Rób, co musisz, Mario. Ale pozwól, że coś ci powiem. Jeśli odniosę wrażenie, że Bellini może nie zostać skończony na czas, nie będę miał wyboru i będę musiał odsunąć cię od roboty i oddać ołtarz Antoniowi.

- Antonio nie ma odpowiednich kwalifikacji, żeby odnawiać ten ołtarz, i dobrze o tym wiesz.

- A co innego mogę zrobić? Sam go odnowić? Nie pozostawiasz mi wyboru.

Gniew Tiepola, jak zwykle, szybko wyparował. Dolał sobie *ripasso*. Gabriel spojrzał na ścianę nad biurkiem. Wśród zdjęć kościołów i *scuolas* odnowionych przez firmę Tiepola znajdowało się intrygujące zdjęcie: Tiepolo spacerujący po ogrodach Watykanu nie z kim innym, jak z papieżem Pawłem VII.

- Miałeś prywatną audiencję u papieża?

- Tak naprawdę to nie była audiencja. Nasze spotkanie miało znacznie mniej formalny charakter.

- Czy mógłbyś mi to wyjaśnić?

Tiepolo spuścił wzrok i zaczął przekładać papiery na biurku. Nie trzeba było być biegłym w przesłuchiwaniu ludzi, by się zorientować, że niechętnie udzielał odpowiedzi na pytanie Gabriela. W końcu powiedział:

- Nie mówię o tym zbyt często, ale Ojciec Święty jest moim dobrym przyjacielem.

- Naprawdę?

- Współpracowałem bardzo blisko z Ojcem Świętym, gdy był patriarchą Wenecji. Jest do pewnego stopnia historykiem sztuki.

O rany, aleśmy się kłócili! Teraz rozumiemy się doskonale. Jeżdżę do Rzymu zjeść z nim kolację przynajmniej raz w miesiącu. Upiera się i sam gotuje na tę okazję. Jego specjalnością jest spaghetti z tuńczykiem, ale dodaje do niego tyle ostrej papryki, że przez resztę nocy strasznie się pocimy. Ten człowiek jest prawdziwym wojownikiem! I do tego sadystą w kuchni.

Gabriel uśmiechnął się i wstał. Tiepolo spytał:

- Nie zawiedziesz mnie, Mario, prawda?

- Przyjaciela *il papa?* Jasne że nie. Ciao, Francesco. Do zobaczenia za parę dni.

Dawne getto zdawało się być opuszczone - na boisku nie bawiły się dzieci, w kawiarniach nie było mężczyzn, a z wysokich kamienic nie dochodziły żadne odgłosy życia. W niektórych oknach Gabriel widział światła, a w pewnej chwili nawet doszedł do niego zapach smażonego na oliwie mięsa z cebulą, ale właściwie przez cały czas czuł się jak człowiek, który wraca do domu w wymarłym mieście, do miejsca, gdzie sklepy i domy wciąż stoją, ale ich mieszkańcy dawno temu zniknęli.

Cukiernia, w której ostatnio rozmawiał z Szamronem, była zamknięta. Przeszedł kawałek dalej, do numeru 2899. Mały napis na drzwiach głosił, że to COMUNITA EBRAICA DI VENEZIA. Gabriel nacisnął dzwonek i chwilę później z niewidocznego głośniczka rozległ się kobiecy głos.

- Słucham, w czym mogę pomóc?

- Nazywam się Mario Delvecchio. Jestem umówiony z rabinem.

- Proszę chwilę zaczekać.

Gabriel odwrócił się plecami do drzwi i zlustrował plac. Chwila zamieniła się w drugą chwilę, a potem w trzecią. To z powodu wojny w kraju. Wszyscy byli z tego powodu nerwowi.

Zaostrzono środki bezpieczeństwa na terenach należących do Żydów w całej Europie. Jak dotąd Wenecja została oszczędzona, ale w Rzymie i miastach we Francji i Austrii synagogi i cmentarze były dewastowane, a Żydzi atakowani na ulicy. Gazety nazwały to najgorszą falą pospolitego antysemityzmu od czasów drugiej wojny światowej. W takich okolicznościach Gabriel z ogromną niechęcią godził się z faktem, że musi ukrywać swoje pochodzenie.

W końcu domofon zabrzęczał i automatyczny zamek odskoczył. Gabriel otworzył drzwi i znalazł się w ciemnym korytarzu, na którego końcu znajdowały się następne drzwi. Gdy się do nich zbliżył, również się otworzyły.

Znalazł się w małym, zagraconym biurze. Ze względu na obraz opuszczenia i upadku dzielnicy żydowskiej był przygotowany na spotkanie z włoską wersją Frau Ratzinger - budzącą respekt starszą kobietą owiniętą czarnym płaszczem wdowy. Ku jego zdziwieniu przywitała go wysoka piękna kobieta lat około trzydziestu. Miała ciemne, kręcone włosy, w których połyskiwały na zmianę orzechowe i kasztanowe pasma. Z trudnością powstrzymywane przez spinkę na karku rozlewały się w nieładzie po silnych ramionach. Jej oczy były karmelowe i połyskiwały złotem. Wargi wydawały się powstrzymywać uśmiech. I chyba świetnie zdawała sobie sprawę, jakie wrażenie jej wygląd zrobił na Gabrielu.

- Rabin odmawia w synagodze maariw. Poprosił mnie, bym pana zabawiała do jego powrotu. Nazywam się Chiara. Właśnie zaparzyłam kawę. Napije się pan?

- Chętnie, dziękuję.

Nalała kawy z ekspresu, dodała cukier, nie pytając, czy słodzi, i podała Gabrielowi filiżankę. Gdy brał ją do ręki, spostrzegła na jego palcach smużki farby. Przyszedł tutaj prosto z biura Tiepola i nie miał czasu porządnie się umyć.

- Jest pan malarzem?

- Konserwatorem.

- Interesujące. Gdzie pan pracuje?

- W San Zaccaria.

Uśmiechnęła się.

- O, to jeden z moich ulubionych kościołów. Który obraz? Chyba nie Bellini?

Gabriel skinął głową.

- Musi pan być dobry.

- Można powiedzieć, że Bellini to mój stary przyjaciel - odpowiedział skromnie. - Ile ludzi przychodzi na maariw?

- Zwykle paru starszych mężczyzn. Czasem więcej, czasem mniej. Zdarza się, że rabin jest sam w synagodze. Jest głęboko przekonany, że w dniu, w którym przestanie odmawiać wieczorne modły, gmina się rozsypie.

W tym momencie wszedł rabin. Gabriel znów był zaskoczony jego względnie młodym wiekiem. Był zaledwie o parę lat starszy od niego, żwawy i pełen życia, miał krótko przystrzyżoną brodę, a fedora skrywała bujne srebrne włosy. Uścisnął dłoń Gabriela i ocenił go spojrzeniem zza okularów w stalowych oprawkach.

- Jestem rabin Zolli. Mam nadzieję, że moja córka dobrze się spisała w roli gospodyni. W ciągu paru ostatnich lat spędziła za dużo czasu w Izraelu i obawiam się, że wskutek tego mogła stracić dobre maniery.

- Była bardzo miła, ale nie wspomniała, że jest pańską córką.

- Widzi pan? Zawsze coś kręci. - Rabin obrócił się do dziewczyny. - Wracaj do domu, Chiara. Posiedź trochę z matką. Nie zajmie nam to dużo czasu. Proszę za mną, signor Delvecchio. Sądzę, że w moim gabinecie będzie panu wygodniej.

Kobieta włożyła płaszcz i spojrzała na Gabriela.

- Ogromnie interesuję się renowacją dzieł sztuki. Bardzo bym chciała zobaczyć Belliniego. Czy mogłabym kiedyś wpaść i popatrzeć, jak pan pracuje?

- Znowu zaczyna swoje - powiedział rabin. - Prosto i bez ogródek. Co za maniery!

- Z przyjemnością pokażę pani ołtarz. Zadzwonię i wtedy się umówimy.

- Zawsze znajdzie mnie pan tutaj. Ciao.

Rabin Zolli zaprowadził Gabriela do pokoju zapełnionego półkami uginającymi się pod ciężarem książek. Jego kolekcja judaików była imponująca, a zaskakująca mnogość języków widocznych w tytułach kazała wnioskować, że podobnie jak Gabriel jest poliglotą. Usiedli w dwóch niepasujących do siebie fotelach i rabin przeszedł do rzeczy.

- Według pańskiego listu chciał pan porozmawiać o Żydach, którzy w czasie wojny schronili się w klasztorze Najświętszego Serca Jezusowego w Brenzone.

- Zgadza się.

- Dziwi mnie tak sformułowane pytanie.

- Dlaczego?

- Poświęciłem całe życie badaniu i ratowaniu przed zapomnieniem historii Żydów mieszkających w tej części Włoch i nigdy nie natrafiłem na cokolwiek, co wskazywałoby, że Żydzi znaleźli schronienie w tym klasztorze. Co więcej, wiele wskazuje na to, że było odwrotnie - poprosili o ukrycie, ale im odmówiono.

- Jest pan tego pewny?

- Tak pewny, jak tylko mogę być w takiej sprawie.

- Zakonnica z tego klasztoru powiedziała mi, że w czasie wojny ukrywano w nim kilkunastu Żydów. Nawet pokazała mi pomieszczenia w piwnicy, w których mieszkali.

- A jak brzmi imię tej dobrej kobiety?

- Matka Vincenza.

- Obawiam się, że matka Vincenza grubo się myli. Albo, co gorsza, celowo chce pana zwieść, choć byłbym ostrożny z zarzucaniem czegoś takiego kobiecie, która poświęciła swe życie służbie Bogu.

Gabriel pomyślał o nocnym telefonie do jego pokoju hotelowego w Brenzone: „Matka Vincenza okłamuje cię, tak jak okłamała twojego przyjaciela".

Rabin pochylił się do przodu i położył rękę na ramieniu Gabriela.

- Proszę mi powiedzieć, signor Delvecchio, dlaczego ta sprawa pana interesuje? Czy ma to związek z pracą naukową?

- Nie, mam osobiste powody.

- Czy w takim razie mogę zadać panu osobiste pytanie? Czy jest pan Żydem?

Gabriel zawahał się, po czym odpowiedział zgodnie z prawdą.

- Jak wiele pan wie o tym, co się działo na tych terenach w czasie wojny? - spytał rabin.

- Ze wstydem muszę przyznać, że moja wiedza nie jest taka, jaka być powinna.

- To dla mnie nic nowego. - Rabin uśmiechnął się ciepło. - Proszę pójść ze mną. Jest coś, co powinien pan zobaczyć.

Przeszli przez nieoświetlony plac i stanęli przed czymś, co wyglądało na zwykły budynek mieszkalny. Przez uchyloną zasłonę Gabriel zobaczył kobietę przygotowującą posiłek w niewielkiej zbiorowej kuchni. W sąsiednim pokoju trzy starsze kobiety siedziały ściśnięte wokół migoczącego telewizora. Gabriel zauważył znak nad drzwiami: CASA ISRAELITICA DI RIPOSO. To był dom spokojnej starości dla Żydów.

- Proszę przeczytać napis na tej tablicy - powiedział rabin, zapalając zapałkę.

Budynek wzniesiono dla upamiętnienia tragedii weneckich Żydów deportowanych przez Niemców podczas wojny. Rabin zgasił zapałkę machnięciem ręki i popatrzył na siedzących wewnątrz staruszków.

- We wrześniu czterdziestego trzeciego roku, niedługo po upadku reżimu Mussoliniego, Niemcy zajęli cały Półwysep Apeniński, z wyjątkiem samego południowego skraju. W przeciągu kilku dni naczelny rabin gminy weneckiej otrzymał od SS

żądanie: albo przekaże im listę wszystkich Żydów pozostających w Wenecji, albo musi liczyć się z konsekwencjami.

- Co wybrał?

- Wolał popełnić samobójstwo, niż się zgodzić. W ten sposób zaalarmował społeczność żydowską, że dłużej już nie można zwlekać. Setki uciekły z miasta. Wielu znalazło schronienie czy to w zakonach i klasztorach na północy, czy też w domach zwyczajnych Włochów. Kilku próbowało przekroczyć granicę szwajcarską, ale zostali zawróceni.

- Ale nikt nie trafił do Brenzone?

- O ile mi wiadomo, żaden Żyd pochodzący z Wenecji - czy skądkolwiek indziej - nie znalazł schronienia w Zakonie Najświętszego Serca Jezusowego. Co więcej, w naszych archiwach znajduje się pisemne zeznanie świadka, że pewnej rodzinie żydowskiej z Wenecji odmówiono pomocy w Brenzone.

- Kto został w Wenecji?

- Starzy, chorzy oraz biedni niemający za co podróżować ani czym płacić łapówek. Piątego grudnia w nocy włoska policja oraz faszystowskie bandy weszły do getta na polecenie Niemców. Tu, w Casa di Riposo, wyciągali starców z łóżek i ładowali ich na ciężarówki. Stu sześćdziesięciu trzech Żydów. Najpierw wysłano ich do obozu przejściowego w Fossoli. Potem, w lutym, przeniesiono ich do Oświęcimia. Nikt nie przeżył.

Rabin ujął Gabriela za ramię i zaczęli spacerować wokół placu.

- W Rzymie zgarnięto Żydów dwa miesiące wcześniej. Szesnastego października, o piątej trzydzieści rano, ponad trzystu Niemców w ulewnym deszczu wdarło się do getta - specjalne jednostki policyjne SS oraz oddział Waffen SS Trupie Główki. Chodzili od domu do domu, wyciągali Żydów z łóżek i ładowali ich na wojskowe ciężarówki. Zabrano ich do tymczasowego aresztu w koszarach Collegio Militare, kilkaset metrów od Watykanu. Pomimo okropieństw, jakie wyczyniali w nocy, niektórzy esesmani chcieli obejrzeć kopułę bazyliki, więc konwój nieco zmienił trasę. Gdy transport przejeżdżał przez plac Świętego

Piotra, przerażeni Żydzi w ciężarówkach zaczęli błagać papieża o ratunek. Wszystkie dowody wskazują na to, że papież bardzo dobrze wiedział, co działo się w getcie tego ranka. W końcu miało to miejsce pod samymi oknami Watykanu. Nie ruszył palcem, żeby zainterweniować.

- Ilu?

- Tamtej nocy ponad tysiąc. Dwa dni później rzymskich Żydów załadowano do wagonów na dworcu Tiburtina. Pięć dni później tysiąc sześćdziesiąt dusz zginęło w komorach gazowych w Oświęcimiu i Brzezince.

- Ale wielu przeżyło, prawda?

- Rzeczywiście, znacznej liczbie się to udało. Cztery piąte włoskich Żydów dotrwało końca wojny. Gdy Niemcy wkroczyli do Włoch, tysiące Żydów z miejsca znalazło schronienie w zakonach, klasztorach, w należących do Kościoła szpitalach i szkołach. Wielu ukryło się również u zwyczajnych Włochów. Adolf Eichmann zeznał podczas procesu, że każdy włoski Żyd, który przetrwał wojnę, zawdzięczał życie jakiemuś Włochowi.

- Czy o tym zadecydowała postawa Watykanu? Czy siostra Vincenza powiedziała prawdę o papieskiej dyrektywie?

- Kościół chce, byśmy w to uwierzyli, ale obawiam się, że nie ma dowodów potwierdzających fakt, że Watykan nakazał instytucjom kościelnym, by dawały schronienie i nadzieję Żydom uciekającym przed wywózką do obozów. Wręcz przeciwnie, są poszlaki wskazujące na to, że Watykan takiego zalecenia nie wydał.

- Jakie?

- Było wielu Żydów - i są na to dowody - którzy chcieli się ukryć na terenach kościelnych i nie zostali przyjęci. Innym powiedziano, że jeśli chcą zostać, muszą się nawrócić na wiarę katolicką. Gdyby papież wydał dyrektywę nakazującą otworzyć szeroko drzwi przed Żydami, nikt, żaden zwykły mnich czy zakonnica nie odważyliby się okazać nieposłuszeństwa. Włoscy katolicy, którzy ratowali Żydów, czynili to z dobroci i współczucia,

a nie dlatego, że działali z nakazu papieża. Gdyby na to czekali, to obawiam się, że znacznie więcej Żydów zginęłoby w Oświęcimiu czy Brzezince. Taki nakaz się nie pojawił. Pomimo wciąż ponawianych próśb aliantów oraz żydowskich przywódców z całego świata Pius XII nigdy oficjalnie nie wystąpił z protestem przeciwko masowym mordom Żydów w Europie.

- Dlaczego? Czemu milczał?

Rabin podniósł ręce w geście bezradności.

- Głosił, że skoro Kościół jest powszechny, to nie może opowiadać się po żadnej ze stron, nie może wystąpić nawet przeciwko sile tak nikczemnej jak nazistowskie Niemcy. Mówił, że jeśli potępiłby straszne uczynki Hitlera, musiałby także potępić wszelakie złe poczynania aliantów. Twierdził, że zabierając głos, jedynie pogorszyłby sytuację Żydów, choć trudno jest sobie wyobrazić, co mogłoby być gorsze od wymordowania sześciu milionów ludzi. Widział siebie jako męża stanu i dyplomatę. Chciał odegrać ważną rolę w wynegocjowaniu układu, który miał doprowadzić do powstania silnych, antykomunistycznych Niemiec w samym sercu Europy. Mam też parę własnych teorii.

- Czy mógłbym je poznać?

- Obawiam się, że pomimo publicznych zapewnień o miłości do Żydów Jego Świątobliwości nie interesował zbytnio nasz los. Proszę pamiętać, że wychował się w Kościele, który głosił antysemityzm jako część doktryny. Równał Żydów z bolszewikami, a do wszystkich dawnych powodów do nienawiści dodał zarzut, że Żydów obchodzą tylko sprawy materialne. Gdy w latach trzydziestych był sekretarzem stanu w Watykanie, gazety w Stolicy Apostolskiej były pełne tego samego antysemickiego szlamu, który można było znaleźć w „Der Stürmer". W jednym z artykułów watykańskiego dziennika „La Civiltà Cattolica" rozważał nawet możliwość wyeliminowania Żydów poprzez zagładę całego narodu. Według mnie Pius XII uważał, że Żydzi dostają to, na co zasłużyli. Dlaczego miałby wystawiać

siebie oraz, co ważniejsze, Kościół na szwank dla ratowania ludzi, którzy jego zdaniem byli winni największej zbrodni w historii - zamordowania samego Boga?

- Czemu w takim razie tylu Żydów dziękowało papieżowi po wojnie?

- Żydzi, którzy pozostali we Włoszech, woleli podać chrześcijanom rękę, niż poruszać nieprzyjemne kwestie dotyczące przeszłości. Dla nich w czterdziestym piątym roku czymś znacznie ważniejszym od poznawania prawdy było niedopuszczanie do powtórzenia Holocaustu.

Gabriel i rabin Zolli wrócili tam, skąd wyszli, do Casa Israelitica di Riposo, i znów stali ramię w ramię, patrząc przez okno na starców siedzących przed telewizorem.

- Co takiego powiedział Chrystus? *Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili.* Zobacz, co pozostało z najstarszej istniejącej nieprzerwanie gminy żydowskiej w Europie: kilka rodzin, kilku starców zbyt chorych i zbyt bliskich śmierci, by wyjechać. Zwykle odmawiam maariw samotnie. Nawet w szabas zaledwie garstka zadaje sobie trud, by przyjść. Większość z nich to przyjezdni.

Odwrócił się i patrzył uważnie na twarz Gabriela, jakby dostrzegał na niej ślady dzieciństwa spędzonego w kibucu w dolinie Ezdrelon.

- Dlaczego ta sprawa pana interesuje, signor Delvecchio? A nim pan odpowie, proszę nie zapominać, że rozmawia pan z rabinem.

- Niestety, to trudne pytanie i lepiej, żeby nie było zadawane.

- Obawiałem się, że może pan powiedzieć coś w tym rodzaju. Proszę tylko pamiętać o jednym - wspomnienia w tej części świata sięgają daleko, a w chwili obecnej sprawy nie mają się najlepiej. Wojna, samobójcze zamachy... Niedobrze by było nadepnąć na gniazdo szerszeni. Więc stąpaj ostrożnie, przyjacielu. Dla naszego dobra.

11

Rzym

L'Eau Vive była jednym z niewielu miejsc w Rzymie, gdzie Carlo Casagrande czuł się komfortowo bez ochroniarza. Wejście do tego lokalu przy Via Monterone, opodal Panteonu, były oznaczone jedynie przez dwie syczące lampy gazowe. Wszedłszy do środka, Casagrande natychmiast stanął przed dużą figurą Marii Panny. Jakaś kobieta powitała go ciepło i wzięła od niego płaszcz i kapelusz. Miała cerę koloru kawy, ubrana była w kolorową sukienkę z Wybrzeża Kości Słoniowej, jej rodzinnych stron. Jak wszyscy pracownicy L'Eau Vive była członkiem Towarzystwa Misyjnego pod Wezwaniem Niepokalanego Poczęcia, świeckiej grupy kobiet związanej z karmelitami. Większość pochodziła z Azji bądź Afryki.

- Pański gość już przybył, signor Casagrande. - Jej włoski był płynny, choć mówiła z silnym obcym akcentem. - Proszę pójść za mną.

Skromne wejście zapowiadało typowe dla Rzymu ciemne i ciasne pomieszczenie z paroma stolikami, ale sala, do której został zaprowadzony Casagrande, była duża i przestronna, miała białe ściany i wysoki belkowany sufit. Zwykle wszystkie miejsca były zajęte, ale, inaczej niż w innych rzymskich restauracjach, klientami byli tylko mężczyźni i prawie wyłącznie z Watykanu. Casagrande zauważył co najmniej czterech kardynałów. Wielu innych duchownych wyglądało na zwyczajnych

księży, ale wyszkolone oko Casagrandego z łatwością dostrzegło złote łańcuchy biskupów i purpurowe lamówki monsignori. Zresztą żaden zwyczajny ksiądz nie mógłby sobie pozwolić na obiad w L'Eau Vive, chyba że miał w rodzinnych stronach zamożnego krewnego. Posiłek w tej restauracji nadszarpnąłby również poważnie skromną watykańską pensję Casagrandego. Tego wieczoru jednak chodziło o interesy i koszty można było pokryć z konta przeznaczonego na wydatki służbowe.

Rozmowy praktycznie zamilkły, gdy Casagrande szedł w stronę stolika w rogu, przy którym zwykł siadać. Powód ku temu był prosty. Częścią jego pracy w Stolicy Apostolskiej było egzekwowanie rygorystycznego obowiązku milczenia. L'Eau Vive, pomimo reputacji miejsca dyskretnego, była głównym źródłem plotek w kurii rzymskiej. Zdarzało się, że co bardziej przedsiębiorczy dziennikarze przywdziewali habity i rezerwowali stoliki w L'Eau Vive, próbując wychwycić jakiś smakowity watykański skandal.

Widząc nadchodzącego Casagrandego, Achille Bartoletti wstał. O dwadzieścia lat młodszy od generała, człowiek u szczytu swoich zawodowych możliwości. Miał porządnie wyprasowany, elegancki, ale skromny garnitur, jego twarz była opalona i szczupła, uścisk dłoni pewny i trwający odpowiednio długo, a włosy miały akurat tyle siwizny, że wyglądał poważnie, ale nie staro. Wąskie usta oraz małe nierówne zęby wskazywały, że miało się do czynienia z kimś okrutnym. Casagrande miał świadomość, że wrażenie to nie było dalekie od prawdy. Szef watykańskiej ochrony wiedział o nim prawie wszystko. Bartoletti był człowiekiem, u którego wszystko było podporządkowane robieniu kariery. Trzymał język za zębami, unikał kontrowersji, przypisywał sobie zasługi innych i odcinał się od ich porażek. Gdyby był księdzem z kurii rzymskiej, a nie agentem tajnej policji, pewnie zostałby już papieżem. Zamiast tego, w dużej mierze dzięki poparciu udzielanemu przez Carla Casagrandego, Achille Bartoletti był dyrektorem SISDE - Servizio

per le Informazioni e la Sicurezza Democratica - czyli włoskiego wywiadu i służb bezpieczeństwa.

Gdy Casagrande usiadł, goście przy sąsiednich stolikach podjęli przerwane rozmowy.

- Potrafi pan efektownie wejść, generale.

- Bóg jeden raczy wiedzieć, o czym mówili przed moim przyjściem. Ale teraz możesz być pewny, że już nie będą tak swobodni.

- Dużo dziś czerwieni.

- O nich najmniej się martwię. To prałaci z kurii rzymskiej, zawsze otoczeni przez pokornych księży, którzy nie mówią nic oprócz: „Tak, Ekscelencjo. Oczywiście, Ekscelencjo. Czego tylko Ekscelencja sobie życzy".

- To ekscytujące, Ekscelencjo - dopowiedział Bartoletti.

Szef włoskiego wywiadu pozwolił sobie zamówić pierwszą butelkę wina. Nalał Casagrandemu kieliszek. Wina w L'Eau Vive były francuskie, tak jak i jedzenie. Bartoletti wybrał doskonałego medoca.

- Generale, czy tubylcy są bardziej ożywieni niż zwykle, czy tylko mi się wydaje?

Czy to aż tak widać? - pomyślał Casagrande. Aż tak, że ktoś z zewnątrz, na przykład Bartoletti, był w stanie wyczuć w powietrzu elektryczne trzaski niepokoju w L'Eau Vive? Uznał, że zbycie tego pytania byłoby oczywistym unikiem, a więc naruszeniem delikatnych zasad ich współpracy.

- To przez tę niepewność co do nowego pontyfikatu - powiedział Casagrande z nutką rozsądnej neutralności w głosie. - Pierścień rybaka został ucałowany, hołd złożony. Zgodnie z tradycją papież obiecał kontynuować misję swojego poprzednika, ale pamięć o Polaku szybko wygasa. Lucchesi odnowił papieskie pokoje na trzecim piętrze. Tubylcy, jak ich nazwałeś, zastanawiają się, co się teraz stanie.

- A co się stanie?

- Ojciec Święty nie wyjawił mi swoich planów, Achille.

- Tak, ale przecież ma pan doskonałe źródła informacji.

- Mogę powiedzieć tyle: odgrodził się od wielmożów z kurii i otoczył zaufanymi ludźmi z Wenecji. Wielmoże z kurii nazywają ich Radą Dziesięciu. Krążą plotki.

- Jakie?

- Że ma zamiar przeprowadzić czystki, by zmniejszyć pośmiertne wpływy Polaka. Oczekuje się dużych zmian w Sekretariacie Stanu i Kongregacji. Nauki Wiary - a to dopiero początek.

Ma także zamiar upublicznić najczarniejsze tajemnice z Tajnych Archiwów, pomyślał Casagrande, ale nie podzielił się swoją myślą z Achillem Bartolettim.

Szef włoskich służb bezpieczeństwa pochylił się w przód, chcąc usłyszeć więcej.

- Nie ma zamiaru poruszyć „świętej trójcy" niecierpiących zwłoki spraw? Antykoncepcji? Celibatu? Dopuszczenia kobiet do kapłaństwa?

Casagrande pokręcił smutno głową.

- Nie odważyłby się. To byłoby tak kontrowersyjne, że kuria zbuntowałaby się, i mogłoby to oznaczać koniec jego pontyfikatu. Ostatnio modnym określeniem w Pałacu Apostolskim stał się „związek z rzeczywistością". Ojciec Święty chce, żeby Kościół miał związek z rzeczywistością, w której żyje miliard katolików na całym świecie, wśród których wielu nie ma co jeść. Starej gwardii nie obchodzi rzeczywistość. Dla nich określenia takie jak „związek z rzeczywistością" brzmią jak głasnost i pierestrojka, i bardzo ich niepokoją. Stara gwardia lubi posłuszeństwo. Jeśli Ojciec Święty posunie się za daleko, trzeba będzie bardzo drogo za to zapłacić.

- O wilku mowa.

Sala znowu umilkła. Tym razem nie z winy Casagrandego. To kardynał Brindisi szedł w stronę prywatnych pomieszczeń znajdujących się na tyłach restauracji. Bladoniebieskie oczy Brindisiego zdawały się w ogóle nie zwracać uwagi na mamrotane pozdrowienia siedzących wokół niższych urzędników z

kurii rzymskiej, ale Casagrande wiedział, że bezbłędna pamięć kardynała Brindisiego dobrze zarejestrowała obecność każdego z nich.

Casagrande i Bartoletti nie chcieli marnować czasu na zamawianie potraw. Bartoletti przejrzał menu, jakby było raportem od zaufanego agenta. Casagrande wziął pierwsze danie, które wydawało mu się choć trochę interesujące. Przez następne dwie godziny, przy sutych porcjach jedzenia i słusznych ilościach wina, wymieniali między sobą informacje wywiadowcze, pogłoski i plotki. Był to comiesięczny rytuał, jedna z paru wielkich dodatkowych korzyści wynikających z przeprowadzki Casagrandego do Watykanu przed dwudziestu laty. Po rozbiciu Czerwonych Brygad miał tak wysoką pozycję, że jego słowa były dla włoskiego rządu jak Ewangelia. Casagrande żąda, Casagrande dostaje. Włoskie organy bezpieczeństwa narodowego stały się praktycznie ramieniem Watykanu, a pozyskanie Achilla Bartolettiego było jednym z największych osiągnięć generała. Perełki watykańskich intryg podrzucane mu przez Casagrandego były w najlepszym gatunku. Dzięki nim mógł zabawić swoich przełożonych lub im zaimponować na równi z prywatną audiencją u papieża czy biletem w pierwszym rzędzie na pasterkę w katedrze Świętego Piotra.

Ale Casagrande miał do zaoferowania coś więcej niż tylko plotki z kurii rzymskiej. Watykan posiadał jedne z najbardziej rozbudowanych i najskuteczniejszych służb wywiadowczych na świecie. Casagrande często wyłapywał rzeczy, które umykały uwadze Bartolettiego i jego służb. Na przykład to on dowiedział się, że siatka tunezyjskich terrorystów planuje we Florencji dokonanie zamachu na amerykańskich turystów w czasie świąt wielkanocnych. Informacja została przekazana Bartolettiemu i szybko ogłoszono alarm. Żaden Amerykanin nie został nawet draśnięty, a Bartoletti zdobył potężnych przyjaciół w CIA, a nawet w Białym Domu.

Przy kawie Casagrande w końcu sprowadził rozmowę na temat, który obchodził go najbardziej - Izraelczyka Ehuda Landaua, który przyjechał do Monachium, twierdząc, że jest bratem

Benjamina Sterna. Izraelczyka, który odwiedził klasztor Najświętszego Serca Jezusowego w Brenzone i zgubił śledzących go ludzi Casagrandego z taką łatwością, jakby strzepywał okruchy z białego obrusa w L'Eau Vive.

- Achille, mam poważny problem i potrzebuję twojej pomocy.

Bartoletti zwrócił uwagę na złowieszczy ton w głosie Casagrandego i odstawił filiżankę z kawą. Gdyby nie protekcja i wsparcie Casagrandego, Bartoletti wciąż byłby jedynie urzędnikiem średniego szczebla, a nie szefem włoskiego wywiadu. Nie mógł odmówić Casagrandemu, niezależnie od okoliczności. Pomimo tego generał podchodził do sprawy bardzo ostrożnie. Ostatnia rzecz, której by sobie życzył, to postawić swojego najważniejszego protegowanego w trudnej sytuacji przez stawianie mu prostackich żądań.

- Zawsze może pan liczyć na moje poparcie i lojalność, generale - odparł Bartoletti. - Jeśli pan lub Watykan jesteście w kłopocie, zrobię wszystko, by pomóc.

Casagrande sięgnął do kieszeni na piersi marynarki i wyjął zdjęcie, które położył na stole i obrócił tak, żeby Bartoletti mógł je dokładnie obejrzeć. Bartoletti podniósł fotografię i zbliżył do płomienia świecy.

- Kto to jest?

- Nie jesteśmy pewni. Wiadomo, że czasem używa nazwiska Ehud Landau.

- Ehud? Izraelczyk?

Casagrande skinął głową twierdząco.

- W czym problem? - spytał Bartoletti, nie odrywając oczu od zdjęcia.

- Sądzimy, że ma zamiar zabić papieża.

Bartoletti podniósł gwałtownie wzrok.

- Zamachowiec?

Casagrande z wolna pokiwał głową.

- Widzieliśmy go parę razy na placu Świętego Piotra; dziwnie się zachowywał podczas środowych audiencji. Zaobserwowano go też przy okazji innych publicznych wystąpień papieża,

we Włoszech i za granicą. Podejrzewamy, że miesiąc temu pojawił się w Madrycie na mszy papieskiej na świeżym powietrzu z zamiarem zabicia Ojca Świętego.

Bartoletti ujął zdjęcie w dwa palce i odwrócił je do Casagrandego.

- Skąd to macie?

Casagrande wyjaśnił, że jeden z jego ludzi zauważył zabójcę tydzień wcześniej w bazylice i zrobił zdjęcie. Oczywiście było to kłamstwo. Zdjęcie zrobił w Monachium Axel Weiss, ale Achille Bartoletti nie musiał tego wiedzieć.

- W ostatnich tygodniach otrzymaliśmy kilka listów z pogróżkami. Sądzimy, że napisał je właśnie ten mężczyzna. Według nas stanowi poważne zagrożenie dla Ojca Świętego. Oczywiście chcemy go wytropić, nim będzie miał okazję zrealizować swoje zamiary.

- Jutro z samego rana utworzę grupę dochodzeniową - zapewnił Bartoletti.

- Tylko po cichu, Achille. Ostatnia rzecz, jakiej papież sobie życzy, to mówienie o zamachu na jego życie na samym początku pontyfikatu.

- Może pan być spokojny o przebieg polowania. Będzie tak dyskretne, jakby to pan sam je urządzał.

Generał kiwnął głową, przyjmując komplement od swojego młodego protegowanego. Prawie niezauważalnym gestem poprosił o rachunek. Właśnie wtedy kelnerka, która powitała Casagrandego na początku wieczora, wyszła na środek sali z mikrofonem w ręku. Spuściła głowę, zamknęła oczy i odmówiła krótką modlitwę. Inne kelnerki ustawiły się wokół figury Marii Panny i ze złożonymi dłońmi poczęły śpiewać *Niepokalana Mario*. Wkrótce do chóru przyłączyła się cała restauracja. Nawet Bartoletti, cyniczny tajny agent, śpiewał razem ze wszystkimi.

Po chwili śpiew ucichł, a kardynałowie i biskupi wznowili rozmowy, zarumienieni od podniosłej pieśni i dobrego wina.

Kiedy przyniesiono rachunek, Casagrande wziął go do ręki, nim jego gość zdążył to zrobić. Bartoletti próbował zaprotestować.

- O ile mnie pamięć nie myli, generale, w tym miesiącu moja kolej.

- Możliwe, Achille, ale nasza dzisiejsza rozmowa była wyjątkowo owocna. Tym razem stawia Ojciec Święty.

- Proszę Ojcu Świętemu przekazać moje podziękowanie. - Bartoletti wziął ze stołu fotografię zamachowca. - A jeżeli ten człowiek zbliży się do niego na mniej niż sto kilometrów, zostanie aresztowany.

Casagrande spojrzał na swojego gościa z zafrasowaniem.

- Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby go nie aresztowano.

Bartoletti zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem, generale. Czego pan ode mnie oczekuje?

Casagrande pochylił się ponad stołem, a twarz oświetlił mu z bliska płomień świecy.

- Dla wszystkich zainteresowanych byłoby lepiej, gdyby po prostu zniknął.

Achille Bartoletti wsunął zdjęcie do kieszeni.

12

Wiedeń

Wymogi dotyczące bezpieczeństwa w noszącym enigmatyczną nazwę Biurze Roszczeń i Dochodzeń Wojennych były surowe i przestrzegano ich jeszcze na długo przed wybuchem wojny w kraju. Mieściło się w kamienicy w starej wiedeńskiej dzielnicy żydowskiej, wejście do niego było praktycznie nieoznakowane, za to dobrze opancerzone, a okna wychodzące na zaniedbane wewnętrzne podwórko miały kuloodporne szyby. Dyrektor wykonawczy tej instytucji, człowiek o imieniu Eli Lavon, nie miał paranoi, był po prostu roztropny. W poprzednich latach pomógł w namierzeniu sześciu byłych strażników z obozów koncentracyjnych i wysokiego rangą nazistowskiego funkcjonariusza, żyjących sobie wygodnie w Argentynie. W nagrodę za jego wysiłki bez przerwy grożono mu śmiercią.

Wiadomo było, że jest Żydem. Może z uwagi na jego nieniemieckie nazwisko zakładano, że pochodził z Izraela. O tym, że przez krótki czas pracował dla izraelskiego wywiadu, nie wiedział w Wiedniu nikt, i tylko paru ludzi w Tel Awiwie, z których większość przeszła już na emeryturę. Podczas operacji Gniew Boży Lavon był aijnem, tropicielem. Śledził członków Czarnego Września, poznawał ich zwyczaje i opracowywał sposoby na ich likwidację.

Zwykle nikt nie mógł wejść do Biura Roszczeń i Dochodzeń Wojennych, jeśli nie był wcześniej umówiony i póki nie

sprawdzono jego przeszłości. Dla Gabriela odstąpiono od wszelkich formalności i został poprowadzony przez młodą pracownicę prosto do biura Lavona.

Pokój był klasycznie wiedeński, zarówno pod względem proporcji, jak i umeblowania: wysoki sufit, wypolerowana drewniana podłoga, półki uginające się pod ciężarem niezliczonych tomów i teczek. Lavon klęczał na podłodze, pochylony nad stosem starzejących się dokumentów. Z wykształcenia był archeologiem i zanim poświęcił się swojej obecnej pracy, spędził wiele lat na wykopaliskach na Zachodnim Brzegu. W tej chwili patrzył na poszarpaną kartkę papieru z taką samą zadumą, z jaką badał kawałek ceramiki sprzed pięciu tysiącleci.

Gdy Gabriel wszedł do pokoju, Lavon podniósł wzrok i powitał gościa szelmowskim uśmiechem. Lavon nie przywiązywał wagi do wyglądu i, jak zawsze, wydawał się być ubrany w to, co akurat wpadło mu w rękę, gdy już wytoczył się z łóżka. Teraz miał na sobie szare sztruksowe spodnie i brązowy, poprzecierany na łokciach sweter. Potargane włosy nadawały mu wygląd kogoś, kto właśnie wyszedł z kabrioletu po szaleńczej jeździe. Lavon nie miał samochodu i prawie nic nie robił szybko. Dbał o własne bezpieczeństwo, ale chętnie jeździł wiedeńskimi tramwajami. Dobrze się czuł w publicznych środkach komunikacji. Tak jak ludzie, na których polował, był wyszkolony w sztuce niezauważalnego poruszania się po mieście.

- Niech zgadnę - powiedział do Gabriela, wrzucając papierosa do filiżanki i podnosząc się z trudem jak człowiek cierpiący na chroniczny reumatyzm. - Szamron wciągnął cię w sprawę zabójstwa Beniego. A teraz przyszedłeś tutaj, co oznacza, że znalazłeś coś ciekawego.

- Coś w tym rodzaju.

- Usiądź - poprosił Lavon - i wszystko mi opowiedz.

Rozwalony na zielonej wyścielanej kanapie, ze stopami opartymi o poręcz, Gabriel składał sprawozdanie Lavonowi z przebiegu śledztwa, zaczynając od wyjazdu do Monachium, a kończąc na spotkaniu z rabinem Zollim w weneckiej dzielnicy żydowskiej. Lavon chodził w tę i z powrotem po pokoju, zostawiając za sobą niczym parowóz smugę dymu z papierosa. Z początku chodził powoli, ale w miarę upływu czasu zwiększał tempo. Gdy Gabriel skończył, Lavon zatrzymał się i pokręcił głową.

- O rany, naprawdę się napracowałeś, chłopcze!

- Eli, powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

- Wróćmy do tego telefonu w hotelu w Brenzone. Myślisz, że kto to był?

- Gdybym miał zgadywać, rzekłbym, że ten facet z klasztoru, złota rączka, starszy gość o imieniu Licio. Wszedł do pokoju, gdy rozmawiałem z matką Vincenza, i wydaje mi się, że śledził mnie w mieście po moim wyjściu.

- Ciekawe, dlaczego przekazał ci wiadomość anonimowo, zamiast porozmawiać w cztery oczy.

- Może się bał.

- To by było logiczne wyjaśnienie. - Lavon wsunął ręce w kieszenie i patrzył w sufit. - Jesteś pewien, że to powiedział? Na pewno wymienił nazwisko Martina Luthera?

- Tak jest. „Znajdź siostrę Reginę i Martina Luthera. Wtedy dowiesz się, co naprawdę stało się w klasztorze".

Lavon nieświadomie przygładził niesforne włosy. Robił to zawsze, gdy się nad czymś zastanawiał.

- Przychodzą mi do głowy dwie możliwości. Sądzę, że możemy wykluczyć pewnego niemieckiego mnicha, który doprowadził do szewskiej pasji Kościół rzymskokatolicki. To zawęża nam pole poszukiwań do jednej osoby. Zaraz wrócę.

Zniknął w przyległym pokoju. Przez kilka następnych minut do Gabriela dochodził tylko znany mu głos przyjaciela grzebiącego w szafkach z dokumentami i klnącego w paru różnych językach.

W końcu Lavon wrócił z grubą teczką spiętą ciężką metalową klamrą. Położył ją na stoliku przed Gabrielem i obrócił tak, żeby mógł przeczytać napis na okładce: Martin Luther, Ministerstwo Spraw Zagranicznych III Rzeszy, 1938-1943.

Lavon otworzył teczkę, wyjął zdjęcie i przytrzymał je w górze, żeby Gabriel mógł na nie popatrzeć.

- Druga możliwość - powiedział - to ten Martin Luther. Rzucił liceum, zajmował się przeprowadzkami, a w latach dwudziestych wstąpił do partii nazistowskiej. Przypadkiem poznał żonę Joachima von Ribbentropa, gdy remontowano jej willę w Berlinie. Luther najpierw przypochlebiał się Frau von Ribbentrop, a potem jej mężowi. Gdy Ribbentrop w trzydziestym ósmym został ministrem spraw zagranicznych, Luther dostał pracę w ministerstwie.

Gabriel wziął zdjęcie do ręki. Patrzył na niego szczurowaty człowieczek: zaniedbana twarz, okulary powiększające parę kaprawych oczu. Oddał zdjęcie Lavonowi.

- Luther szybko robił karierę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, głównie dzięki niewolniczemu oddaniu Ribbentropowi. W roku czterdziestym został szefem Abteilung Deutschland, wydziału niemieckiego, i odpowiadał za wszystkie sprawy ministerstwa związane z działaniami partii nazistowskiej. W podlegającym Lutherowi wydziale był departament D trzy, żydowski.

- Krótko mówiąc, Martin Luther zajmował się sprawami dotyczącymi Żydów w niemieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

- Właśnie - powiedział Lavon. - Braki w wykształceniu i inteligencji nadrabiał bezwzględnością i ambicją. Interesowało go tylko jedno: trzymać w rękach jak największą władzę. Gdy stało się dla niego jasne, że głównym celem reżimu była zagłada Żydów, postarał się, żeby ministerstwo też miało w tym swój udział. Nagrodą było zaproszenie na najbardziej odrażające przyjęcie w historii.

Lavon przerwał na chwilę, by przejrzeć zawartość teczki. Po chwili znalazł dokument, którego szukał, wyjął go teatralnym gestem i położył na stoliku przed Gabrielem.

- Oto protokół z konferencji w Wannsee, przygotowany i opracowany przez jej organizatora, samego Adolfa Eichmanna. Zrobiono tylko trzydzieści kopii. Wszystkie zostały zniszczone oprócz jednej - kopii numer szesnaście. Została odkryta po wojnie przy okazji przygotowań do procesu norymberskiego i spoczywa w archiwach Ministerstwa Spraw Zagranicznych Trzeciej Rzeszy w Bonn.

To, oczywiście, jest fotokopia.

Lavon wziął do ręki dokument.

- Spotkanie odbyło się w Berlinie w willi z pięknym widokiem na Wannsee, dwudziestego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Trwało półtorej godziny. Brało w nim udział piętnaście osób. Eichmann był gospodarzem i dbał o to, by jego goście dobrze się najedli. Heydrich był mistrzem ceremonii. Wbrew obiegowej opinii to nie na konferencji w Wannsee wykluł się pomysł „ostatecznego rozwiązania". Hitler i Himmler już wcześniej zdecydowali, że europejscy Żydzi mają zostać zgładzeni. Konferencja w Wannsee była raczej biurokratycznym posiedzeniem planistycznym, dyskusją mającą na celu ustalenie, w jaki sposób różne wydziały partii nazistowskiej i niemieckiego rządu mają ze sobą współpracować, by sprawnie przeprowadzić Holocaust.

Lavon wręczył dokument Gabrielowi.

- Spójrz na listę uczestników. Znane ci jest któreś nazwisko?

Gabriel przeczytał listę obecnych na konferencji:

- Gauleiter Dr Meyer i Reichsamtleiter Dr Leibbrandt, Ministerstwo Rzeszy do spraw Okupowanych Terytoriów Wschodnich
- Staatssekretàr Dr Stuckart, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Rzeszy
- Staatssekretär Neumann, Pełnomocnik do spraw Planu Czteroletniego

- Staatssekretär Dr Freisler, Ministerstwo Sprawiedliwości Rzeszy
- Staatssekretär Dr Bühler, Rząd Generalnego Gubernatorstwa
- Unterstaatsekretär Dr Luther, Ministerstwo Spraw Zagranicznych

Gabriel spojrzał na Lavona.

- Luther był w Wannsee?

- Owszem, był. I dostał to, czego tak bardzo pragnął. Heydrich zapewnił Ministerstwu Spraw Zagranicznych odegranie w Holocauście niezwykle istotnej roli: ułatwianie deportacji Żydów z państw będących sojusznikami hitlerowskich Niemiec oraz z krajów satelickich takich jak Chorwacja czy Słowacja.

- Myślałem, że to SS zajmowało się deportacjami.

- Pozwól, że trochę się cofniemy. - Lavon pochylił się nad stolikiem i położył na nim ręce, jakby to była mapa Europy. - Większość ofiar Holocaustu pochodziła z Polski, krajów bałtyckich i zachodniej Rosji - terenów zajętych i rządzonych bezpośrednio przez Niemców. Robiono obławy na Żydów i mordowano ich bez protestów ze strony ich rządów, bo tych rządów nie było.

Lavon zrobił przerwę, jedną ręką na wyimaginowanej mapie wskazując na południe, a drugą na zachód.

- Ale Heydrich i Eichmann nie zadowolili się mordowaniem tylko Żydów podlegających bezpośrednio władzy niemieckiej.

Chcieli dostać k a ż d e g o Żyda w Europie, w sumie jedenaście milionów. Żydów na Bałkanach - Lavon postukał prawym palcem wskazującym w stolik - i Żydów z Europy Zachodniej - postukał lewym palcem wskazującym. - W większości krajów musieli pertraktować z ich rządami, żeby móc deportować i zgładzić Żydów.

Odpowiedzialny za to był wydział Ministerstwa Spraw Zagranicznych podlegający Lutherowi. Luther prowadził pertraktacje z rządami innych krajów, dbając o to, by deportacje przebiegały sprawnie i żeby przestrzegano wszelkich subtelności dyplomatycznych. I był w tym diablo dobry.

- Przyjmijmy teoretycznie, że staruszek mówił właśnie o tym Martinie Lutherze. Co niby miałby robić w klasztorze w północnych Włoszech?

Lavon wzruszył ramionami.

- Wygląda na to, że chciał ci powiedzieć o czymś, co stało się na terenie klasztoru w czasie wojny. Coś, co Matka Vincenza stara się ukryć. Coś, o czym dowiedział się Beni.

- Coś, przez co zginął?

Lavon znowu wzruszył ramionami.

- Być może.

- Kto chciałby zabić człowieka z powodu książki?

Lavon zawahał się. Przez dłuższą chwilę wkładał protokół z konferencji w Wannsee z powrotem do teczki. Wreszcie spojrzał na Gabriela spod przymkniętych powiek i wziął głęboki oddech.

- Był jeden rząd, o który w szczególności martwili się Eichmann i Luther. Utrzymywał w czasie wojny stosunki dyplomatyczne zarówno z aliantami, jak i hitlerowskimi Niemcami. Miał przedstawicieli we wszystkich krajach, w których odbywały się obławy i deportacje - i ci mogliby utrudnić sprawę, gdyby podjęli zdecydowaną interwencję. Z oczywistych względów Eichmann i Luther robili wszystko, by ten rząd nie zaprotestował. Hitler uznał problem za tak istotny, że wysłał drugą najważniejszą osobę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, barona Ernsta von Wezsäckera, jako ambasadora. Wiesz, Gabrielu, o którym rządzie mówię?

Gabriel zamknął oczy.

- O Watykanie.

- W rzeczy samej.

- Więc kim są ci pajace, którzy mnie śledzili?

- To bardzo dobre pytanie.

Gabriel przeszedł przez pokój, podszedł do biurka Lavona, podniósł słuchawkę i wystukał numer. Lavon nie musiał pytać, do kogo dzwoni. Poznał to po stanowczym ułożeniu szczęki Gabriela i po napiętych mięśniach rąk. Gdy ktoś jest tropiony

przez nieznanego wroga, dobrze jest mieć przyjaciela znającego się na brudnej robocie.

Człowiek stojący na schodach słynnego wiedeńskiego Konzerthaus promieniował czerstwą austriacką urodą i wiedeńską wytwornością. Gdyby ktoś go zagadnął, odpowiedziałby doskonałą niemczyzną, leniwym tonem dobrze sytuowanego młodego człowieka, który spędził wiele szczęśliwych godzin na delektowaniu się kulturą Wiednia. Nie był Austriakiem ani nie wychował się w Wiedniu. Nazywał się Efraim Ben-Abraham, a dzieciństwo spędził w kibucu położonym wśród piasków pustyni Negew, miejscu bardzo odległym od świata, w którym teraz przebywał.

Zerknął od niechcenia na zegarek, po czym zlustrował wzrokiem rozpościerający się przed nim Beethoven Platz. Był podenerwowany bardziej niż zwykle. Zadanie było proste: spotkać się z agentem, dowieźć go bezpiecznie do pokoju łącznościowego w ambasadzie. Ale mężczyzna, którego miał spotkać, nie był zwykłym agentem. Szef placówki wiedeńskiej, zanim wysłał Ben-Abrahama, jasno określił stawkę, o którą idzie: „Jeśli to spieprzysz, Ari Szamron znajdzie cię i udusi jednym ze swoich firmowych chwytów. I cokolwiek by się działo, nie próbuj rozmawiać z agentem. Nie należy do ludzi gadatliwych".

Ben-Abraham zapalił amerykańskiego papierosa. W tym momencie przez tańczący niebieski płomień zobaczył, że legenda wywiadu wyłania się z ciemności. Rzucił papierosa na mokry chodnik i zgasił czubkiem buta, patrząc, jak tamten dwukrotnie obchodzi plac. Nikt go nie obserwował - nikt, oprócz niechlujnie wyglądającego człowieka o rozwichrzonej czuprynie ubranego w wymięty płaszcz. On też był legendą: Eli Lavon, mistrz sztuki inwigilacji. Ben-Abraham spotkał go pewnego razu w Akademii, gdzie Lavon miał gościnny wykład na seminarium o metodach działania w mieście. Trzymał rekrutów do trzeciej nad ranem, opowiadając historie wojenne

z trudnych czasów operacji przeciwko Czarnemu Wrześniowi.

Ben-Abraham przez chwilę obserwował obu z podziwem, gdy przemykali się wśród tłumu jak pływacy synchroniczni. Postępowali ściśle według przepisów, ale z klasą i precyzją wynikającą ze współpracy w sytuacjach, kiedy jeden fałszywy krok mógł kosztować życie jednego z nich.

Wreszcie młody oficer ruszył po schodach w stronę swojego celu.

- Herr Mueller! - zawołał. Legendarny as wywiadu podniósł wzrok. - Jak to dobrze, że pana widzę!

Lavon zniknął, jakby wycofał się za kulisy. Ben-Abraham wziął legendarnego agenta pod ramię i poprowadził go w stronę zaciemnionych ścieżek Stadt Park. Krążyli przez dziesięć minut w kółko, skrupulatnie sprawdzając, czy nie mają ogona. Agent był mniejszy, niż Ben-Abraham się spodziewał, szczupły i smukły, miał sylwetkę rowerzysty. Trudno było sobie wyobrazić, że to ten sam człowiek, który zlikwidował połowę Czarnego Września - ten sam człowiek, który wszedł do willi w Tunisie i na oczach żony i dzieci zastrzelił Abu Dżihada, drugą najważniejszą osobę w OWP.

Człowiek-legenda nie powiedział nic. Zdawało się, że nasłuchuje wrogów. Jego kroki na chodniku nie wydawały odgłosu. Było to jak spacer z duchem u boku.

Samochód stał zaparkowany o jedną przecznicę od parku. Ben-Abraham usiadł za kierownicą i przez dwadzieścia minut kręcił się po centrum miasta. Szef placówki miał rację - to nie był człowiek, który wdawał się w pogaduszki. Przemówił tylko raz, grzecznie prosząc Ben-Abrahama, żeby zgasił papierosa. Jego niemiecki miał twardy berliński akcent.

Przekonany, że nikt ich nie śledzi, Ben-Abraham skręcił w wąską uliczkę o nazwie Anton Frankgasse w północnowschodniej części Wiednia. Budynek pod numerem dwudziestym, przez lata będący celem wielu zamachów terrorystycznych, był solidnie ufortyfikowany. Był też stale obserwowany

przez austriackie tajne służby. Gdy samochód zbliżał się do wjazdu na podziemny parking, człowiek-legenda skulił się pod deską rozdzielczą. Na krótki moment przycisnął głowę do nogi Ben-Abrahama. Jego czoło było rozpalone jak u człowieka nękanego śmiertelną gorączką.

Bezpieczny pokój łącznościowy mieścił się w dźwiękoszczelnym szklanym sześcianie dwa piętra pod ziemią. Połączenie rozmowy z domem Szamrona w Tyberiadzie zajęło operatorowi z Tel Awiwu parę minut. Przez urządzenie kodujące głos Szamrona brzmiał tak, jakby dobywał się z dna stalowego bębna. W tle Gabriel słyszał szum wody w zlewie i brzęk sztućców o zastawę stołową. Prawie widział cierpiącą w milczeniu żonę Szamrona, Ge'ulah, zmywającą naczynia w kuchennym zlewie. Gabriel opowiedział Szamronowi to samo co Lavonowi. Gdy skończył, Szamron spytał, co zamierza robić dalej.

- Mógłbym pojechać do Londynu i spytać Petera Malone'a, po co Beni dzwonił do niego z hotelu w Brenzone.

- Malone'a? Sądzisz, że ci powie? Peter Malone sam jest zainteresowany tą sprawą. Jeśli naprawdę coś ma, będzie tego pilnował nawet bardziej niż biedny Beni.

- Pracuję nad tym, jak go subtelnie podejść.

- A jeśli nie jest zainteresowany otwieraniem przed tobą swojego notesu?

- Wtedy podejdę go mniej subtelnie.

- Nie ufam mu.

- Jest jedynym tropem, jaki w tej chwili mam.

Szamron westchnął ciężko. Pomimo odległości i urządzenia kodującego, Gabriel słyszał grzechotanie w jego klatce piersiowej.

- Chcę, żeby to spotkanie odbyło się, jak należy - powiedział Szamron. - Nie będzie więcej działania na ślepo i bez wsparcia.

Będzie śledzony przedtem i potem albo pakujesz się i wracasz do Wenecji do swojego Belliniego.

- Skoro nalegasz.

- Pomocne rady nie są w moim stylu. Skontaktuję się z ekspozyturą w Londynie jeszcze dzisiaj w nocy i postawię przy nim człowieka. Informuj mnie o wszystkim.

Gabriel odwiesił słuchawkę i wyszedł na korytarz. Efraim Ben-Abraham czekał.

- Gdzie teraz? - spytał młody agent. Gabriel spojrzał na zegarek.

- Zawieź mnie na lotnisko.

13

Londyn

Drugiego dnia pobytu w Londynie Gabriel odwiedził o zmroku antykwariat przy Charing Cross Road i kupił książkę. Wsunął ją pod ramię i poszedł na stację metra Leicester Square. Przy wejściu zdjął mocno zużytą obwolutę i wrzucił do kosza na śmieci. Na stacji kupił w automacie bilet i zjechał długimi schodami na peron Northern Line, gdzie musiał znieść obowiązkowe dziesięciominutowe opóźnienie. Czas spędził na przeglądaniu książki. Gdy znalazł fragment, którego szukał, zakreślił go czerwonym ołówkiem i zagiął kartkę, zaznaczając w ten sposób miejsce. Wreszcie pociąg wtoczył się z pomrukiem na peron. Gabriel wcisnął się do zatłoczonego wagonu i uchwycił się metalowego słupka. Jego celem był Sloane Square, co wymagało przesiadki na stacji Embankment. Gdy pociąg ruszył z szarpnięciem, spojrzał na zatarte złote litery na grzbiecie książki: Peter Malone, *Oszuści.* Malone... Jedno z budzących największy postrach nazwisk w Londynie. Ujawniał osobiste i zawodowe przewiny, niszczył życia i kariery. Był dziennikarzem śledczym „The Sunday Times", a lista jego ofiar była długa i zróżnicowana: dwóch członków Rady Ministrów, zastępca szefa MI 5, cały tłum szemranych biznesmenów, a nawet redaktor naczelny konkurencyjnej gazety. W ciągu ostatniej dekady wydał także szereg sensacyjnych biografii oraz książek ujawniających kulisy świata polityki. *Oszustów* poświęcił wyczynom

Biura. Wywołał tą książką straszliwą burzę w Tel Awiwie, przede wszystkim dlatego, że trafił w sedno. Między innymi donosił w niej, że Ari Szamron zwerbował do współpracy wysokiej rangi oficera MI 6. Kryzys, który potem nastąpił w stosunkach między Wielką Brytanią a Izraelem, mawiał Szamron, był najgorszy od czasu zamachu bombowego w hotelu Król Dawid.

Dziesięć minut później Gabriel był już w Chelsea. Z książką Malone'a pod pachą przeszedł w zapadającym zmroku przez Cadogan Square i zatrzymał się przed eleganckim białym domem w stylu georgiańskim. W oknach na drugim piętrze paliło się światło. Wszedł po schodach do drzwi wejściowych, położył książkę na plecionej słomianej wycieraczce, po czym szybko się oddalił.

Po drugiej stronie placu stała zaparkowana furgonetka amerykańskiej produkcji. Gdy Gabriel zapukał w zaciemnione tylne okno, drzwi otworzyły się, odkrywając wnętrze oświetlone jedynie słabym odblaskiem z tablicy przyrządów. Za konsolą siedział bardzo szczupły, wyglądający jak rabin chłopak. Na imię miał Mordechaj. Podał Gabrielowi kościstą dłoń i wciągnął go do środka. Gabriel zamknął drzwi i przykucnął obok niego. Podłoga była zaśmiecona zaplamionymi tłuszczem papierkami po *panini* oraz pustymi styropianowymi kubkami. Przez ostatnie trzydzieści sześć godzin Mordechaj praktycznie mieszkał w furgonetce.

- Ile osób jest w domu? - zapytał Gabriel.

Mordechaj wyciągnął rękę i przekręcił jakąś gałkę. Przez głośniki Gabriel słyszał niewyraźny głos Petera Malone'a rozmawiającego z jedną z asystentek.

- Trzy - stwierdził Mordechaj. - Malone i dwie dziewczyny.

Gabriel wystukał numer Malone'a. Dzwonek telefonu w gabinecie dziennikarza brzmiał w głośnikach Mordechaja jak alarm pożarowy. Wywiadowca wyciągnął rękę i ściszył dźwięk. Po trzech dzwonkach reporter odebrał i przedstawił się, mówiąc z miękkim szkockim akcentem.

Gabriel odezwał się po angielsku, nawet nie próbując kryć swojej izraelskiej wymowy.

- Przed chwilą zostawiłem egzemplarz pańskiej najnowszej książki na wycieraczce pod drzwiami. Proponuję, żeby ją pan obejrzał. Oddzwonię dokładnie za pięć minut.

Gabriel rozłączył się i wytarł kawałek zaparowanej szyby. Drzwi uchyliły się na kilkanaście centymetrów i Malone jak żółw wystawił głowę na zewnątrz. Rozejrzał się, bezskutecznie szukając mężczyzny, który właśnie do niego zadzwonił. Następnie przyklęknął i podniósł książkę. Gabriel spojrzał na Mordechaja i uśmiechnął się. Zwycięstwo. Pięć minut później nacisnął w telefonie przycisk ponownego wybierania. Tym razem Malone odebrał po pierwszym dzwonku.

- Kim pan jest?

- Widział pan fragment, który zaznaczyłem w książce?

- Zabójstwo Abu Dżihada? I co w związku z tym?

- Byłem tam tamtej nocy.

- Po której stronie?

- Po właściwej.

- Więc jest pan Palestyńczykiem?

- Nie, panie Abu Malone, nie jestem Palestyńczykiem.

- Kim w takim razie?

- Agentem o kryptonimie Miecz.

- Dobry Boże - wyszeptał Malone. - Gdzie pan jest? Czego pan chce?

- Chcę z panem porozmawiać.

- O czym?

- O Benjaminie Sternie.

Długa przerwa.

- Nie mam panu nic do powiedzenia.

Gabriel postanowił przycisnąć go trochę mocniej.

- Wśród jego rzeczy znaleźliśmy numer pańskiego telefonu. Wiemy, że pomagał mu pan przy pracy nad książką. Uznaliśmy, że może pan wiedzieć, kto go zabił i dlaczego.

Kolejna długa przerwa, podczas której Malone rozważał następne posunięcie. Użycie przez Gabriela liczby mnogiej było najzupełniej celowe i odniosło zamierzony skutek.

- A jeżeli coś naprawdę wiem?

- Chciałbym porównać nasze obserwacje.

- Co dostanę w zamian? - Malone, reporter zawsze czujny, nie tracił okazji na ciekawe informacje.

- Opowiem panu o tamtej nocy w Tunisie - powiedział Gabriel, po czym dodał: - I paru podobnych.

- Czy mówi pan poważnie?

- Benjamin był moim przyjacielem. Zrobię wszystko, żeby dorwać jego zabójców.

- W takim razie umowa stoi - głos Malone'a nagle nabrał werwy. - Jak się mamy spotkać?

- Czy są pana asystentki? - spytał Gabriel, choć znał odpowiedź.

- Dwie dziewczyny.

- Proszę się ich pozbyć. Niech pan zostawi drzwi wejściowe otwarte. Gdy zobaczę, że już wyszły, wejdę do środka. Żadnych magnetofonów, żadnych kamer, żadnych popieprzonych sztuczek. Jasne?

Gabriel urwał rozmowę, nim dziennikarz mógł odpowiedzieć, po czym wsunął telefon do kieszeni. Dwie minuty później drzwi otworzyły się i dwie młode kobiety wyszły na zewnątrz. Kiedy zniknęły, Gabriel wysiadł z furgonetki i przeszedł przez plac, idąc w kierunku domu. Drzwi były otwarte, tak jak polecił. Odblokował zasuwkę i wszedł do środka.

Zmierzyli się wzrokiem, stojąc naprzeciwko siebie w wyłożonym marmurem przedpokoju, jak kapitanowie dwóch drużyn piłkarskich przed meczem. Gabriel zrozumiał, dlaczego trudno było oglądać brytyjską telewizję i nie natrafić na twarz Malone'a - i dlaczego był jedną z najlepszych partii w Londynie. Był elegancki, dobrze zbudowany i nienagannie ubrany: wełniane spodnie i rozpinany bordowy sweter. Gabriel w dżinsach

i skórzanej kurtce, z twarzą ukrytą za ciemnymi okularami i czapką bejsbolówką wyglądał przy nim jakby przyszedł z jakiejś zakazanej dzielnicy. Malone nie podał mu ręki.

- Może pan zdjąć to głupie przebranie. Nie mam zwyczaju zdradzania swoich informatorów.

- Wolałbym go nie zdejmować, jeśli nie ma pan nic przeciwko.

- Pańska wola. Kawa? Coś mocniejszego?

- Nie, dziękuję.

- Mój gabinet jest na górze. Tam będzie się nam lepiej rozmawiało.

Był to długi, prostokątny, stary salon z półkami sięgającymi sufitu, wyłożony wschodnimi dywanami. Pośrodku pokoju stały dwa stoły biblioteczne, niewątpliwie antyki, jeden dla Malone'a, drugi dla asystentek. Malone wyłączył komputer i usiadł na jednym z foteli obok piecyka gazowego, zachęcając gościa, by zrobił to samo.

- Muszę przyznać, że to dosyć dziwne uczucie być z panem w jednym pokoju. Słyszałem tyle o pana wyczynach, że mam wrażenie, jakbym pana naprawdę znał. Jest pan prawdziwą legendą. Czarny Wrzesień, Abu Dżihad, wielu innych w międzyczasie. Czy ostatnio pan kogoś zabił?

Gabriel nie połknął przynęty, więc Malone kontynuował.

- Choć jest pan postacią, która wręcz patologicznie mnie fascynuje, to jednak muszę przyznać, że to, co pan robi, z moralnego punktu widzenia jest odrażające. Według mnie rząd traktujący zabójstwa jako część polityki jest nie lepszy od wroga, którego próbuje zwalczyć. Pod wieloma względami jest nawet gorszy.

W mojej książce jest pan mordercą. Mówię to, żeby było jasne, na czym stoimy.

Gabriel zaczął się zastanawiać, czy czasem przyjście tu nie było błędem. Już dawno temu nauczył się, że tej dyskusji nie można było wygrać. Kłócił się tak zbyt wiele razy sam ze sobą. Siedział zupełnie nieruchomo ze wzrokiem utkwionym zza ciemnych okularów w Petera Malone'a czekając, aż ten przejdzie do rzeczy.

Malone skrzyżował nogi i wyrwał ze spodni jakiś kłaczek. Ten gest zdradzał niecierpliwość. To ucieszyło Gabriela.

- Może powinniśmy dogadać szczegóły naszej umowy, nim przejdziemy dalej - powiedział Malone. - Powiem panu, co wiem na temat morderstwa Benjamina Sterna. W zamian udzieli mi pan wywiadu. Oczywiście znam zasady, pisałem już wcześniej o tajnych służbach. Nie zrobię nic, co mogłoby ujawnić pana prawdziwą tożsamość czy też mogłoby zaszkodzić w przeprowadzanych obecnie operacjach. Czy możemy uznać umowę za zawartą?

- Możemy.

Malone przez chwilę wpatrywał się we wbudowane w sufit oświetlenie, po czym spojrzał z powrotem na Gabriela.

- Miał pan rację co do Benjamina. Pracowałem razem z nim nad książką. Nasza współpraca miała być tajna. Dziwię się, że udało się wam mnie znaleźć.

- Dlaczego Benjamin zgłosił się do pana?

Malone wstał i podszedł do półki z książkami. Wyjął jedną z nich i podał Gabrielowi. Miała tytuł: *Crux Vera: KGB Kościoła rzymskokatolickiego*.

- Benjamin trafił na coś dużego, coś na temat wojny i Watykanu.

- Coś związanego z Crux Vera?

Malone przytaknął.

- Pański przyjaciel był błyskotliwym naukowcem, ale nie miał bladego pojęcia o sposobach zdobywania materiałów. Zapytał mnie, czy pracowałbym dla niego jako konsultant i śledczy we wszystkich sprawach związanych z Crux Vera. Zgodziłem się i ustaliliśmy wynagrodzenie. Miał mi zapłacić połowę z góry i połowę po skończeniu i przyjęciu manuskryptu. Nie trzeba chyba mówić, że otrzymałem tylko pierwszą część.

- Co znalazł?

- Niestety, nie zostałem wtajemniczony. Pański przyjaciel wszystko trzymał w głębokiej tajemnicy. Gdybym sam nie wiedział, że jest inaczej, uznałbym go za jednego z was.

- Czego chciał od pana?

- Dostępu do materiałów zebranych przeze mnie podczas pracy nad książką o Crux Vera. Ponadto chciał, żebym spróbował odnaleźć dwóch księży, którzy w czasie wojny pracowali w Watykanie.

- Jak się nazywali?

- Monsignori Cesare Felici i Tomaso Manzini.

- Znalazł ich pan?

- Próbowałem - odparł Malone. - Dowiedziałem się, że obaj zaginęli i przypuszczalnie nie żyją. Ale jest coś jeszcze bardziej interesującego. Oficer śledczy z rzymskiej komendy, który prowadził oba dochodzenia, został przez przełożonych odsunięty od śledztwa i przeniesiony.

- Czy wie pan, jak się nazywa ten oficer?

- Alessio Rossi. Ale, na miłość boską, proszę mu nie mówić, że to ja panu podałem jego nazwisko. Muszę chronić swoją reputację.

- Skoro pan tyle wie, dlaczego nic pan nie napisał?

- To, co mam, to tylko seria zabójstw i zniknięć, według mnie powiązanych ze sobą, ale nie mam na to najmniejszych dowodów. Ostatnia rzecz, której bym chciał, to oskarżać Watykan lub kogoś zbliżonego do kręgów watykańskich o morderstwo, nie mając żadnych poważnych argumentów przemawiających za moją tezą.

- Ale ma pan jakąś teorię? Wie pan, kto może za tym stać?

- Musi pan pamiętać, że mówimy o Watykanie - odparł Malone. - Ludzie związani z tą czcigodną instytucją spiskują i intrygują od prawie dwóch tysiącleci. Znają się na tych gierkach lepiej niż ktokolwiek inny, a w przeszłości religijny zapał i walki o dogmaty skłaniały ich do popełniania śmiertelnego grzechu - morderstwa. W Kościele aż roi się od tajnych stowarzyszeń i klik, które mogłyby być w coś takiego zamieszane.

- A więc kto za tym stoi? - powtórzył swoje pytanie Gabriel.

Peter Malone poczęstował go uśmiechem rodem z telewizji.

- Moim skromnym zdaniem trzyma pan odpowiedź w ręku.

Gabriel opuścił wzrok na *Crux Vera: KGB Kościoła rzymskokatolickiego*.

Malone wyszedł z pokoju, by chwilę później pojawić się z butelką medoca i dwoma kryształowymi kieliszkami. Napełnił je hojnie i wręczył jeden z nich Gabrielowi.

- Czy mówi pan po łacinie?

- Tak się składa, że mówię innym starożytnym językiem.

Malone uśmiechnął się do Gabriela znad kieliszka i ciągnął dalej.

- „Crux Vera" znaczy po łacinie „Prawdziwy Krzyż". To także nazwa supertajnego zakonu wewnątrz Kościoła, coś w rodzaju kościoła w kościele. Jeśli zajrzy pan do Annuario Pontifico, rocznika watykańskiego, nie znajdzie pan żadnej wzmianki o Crux Vera. Jeśli spyta pan w watykańskim biurze prasowym, usłyszy pan, że to sfabrykowane informacje, krwawa zniewaga rozpowszechniana przez wrogów Kościoła, by go zniesławić. Ale jeśli spyta pan mnie o zdanie, to odpowiem, że Crux Vera istnieje naprawdę, i udowodniłem to w tej książce, niezależnie od tego, co sądzi Watykan. Myślę, że macki Crux Vera sięgają najwyższych sfer w Watykanie i że jego członkowie zajmują wpływowe i znaczące stanowiska w wielu krajach na całym świecie.

- Czym dokładnie jest to stowarzyszenie?

- Zostało założone w czasie hiszpańskiej wojny domowej przez antykomunistycznego księdza Juana Antonio Rodrigueza. Monsignor Rodriguez bardzo ostrożnie dobierał ludzi, których werbował do swojego stowarzyszenia. Olbrzymią większość stanowili ludzie świeccy. Zwykle byli albo bogaci, albo mieli koneksje: bankierzy, prawnicy, przemysłowcy, ministrowie, szpiedzy i tajni agenci. Widzi pan, Rodrigueza nigdy nie obchodził ten cały interes ze zbawianiem dusz. Jego zdaniem to można było zostawić zwyczajnym proboszczom.

Rodriguezowi chodziło o jedno: ochronę Kościoła przed śmiertelnymi wrogami.

- Czyli przed kim?

- Przed bolszewikami - odparł Malone, po czym szybko dodał: - I oczywiście przed Żydami. Stowarzyszenie Crux Vera szybko zdobywało zwolenników w Europie. W latach trzydziestych powstały placówki we Francji, Włoszech, Niemczech, na Bałkanach oraz w samej kurii rzymskiej. W czasie wojny członkowie Crux Vera pracowali w papieskiej rezydencji i w Sekretariacie Stanu. W miarę jak Crux Vera rosło w siłę, rosły też ambicje monsignora Rodrigueza. Już nie wystarczała mu sama ochrona Kościoła przed wrogami. Chciał mu przywrócić pozycję, jaką cieszył się w średniowieczu - władzę absolutną i supremację polityczną. To pozostaje nadrzędnym celem działalności Crux Vera do dzisiaj - naprawić porażki reformacji i oświecenia i ponownie zmusić rządy, by były posłuszne Kościołowi. Ludzie ci chcą też unieważnić heretyckie, jak uważają, reformy Drugiego Soboru Watykańskiego.

- Jak chcą to osiągnąć?

- Crux Vera mogło nienawidzić KGB, ale w dużej mierze było jego dokładną repliką; stąd wziął się tytuł mojej książki. Toczy potajemną wojnę z tymi, których uważa za swoich przeciwników i działa wewnątrz Kościoła jak tajna policja, wymuszając ścisłe przestrzeganie dogmatów i zwalczając odstępstwa. O tak, dysydenci i reformatorzy mogli od czasu do czasu dać upust niezadowoleniu, ale kiedy tylko zaczynali stanowić prawdziwe zagrożenie, Crux Vera wkraczało do akcji i pomagało im dojrzeć prawdę.

- A jeżeli ktoś nie chciał ich usłuchać?

- Powiedzmy po prostu, że parę osób, które naraziły się Crux Vera, zmarło w dość niejasnych okolicznościach. Prałaci, którzy ośmielili się sprzeciwić Crux Vera, padli ofiarą nagłych zawałów serca. Dziennikarze, którzy próbowali zgłębić tajemnice zakonu, znikali bez śladu bądź popełniali samobójstwo. Podobnie jak członkowie Crux Vera, którzy próbowali z organizacji odejść.

- Jak takie religijne stowarzyszenie usprawiedliwia użycie przemocy?

- Księża z Crux Vera nie uciekają się do przemocy. Księża wskazują drogę, a od brudnej roboty są ludzie świeccy. W zakonie znani są jako *milites Christi* - żołnierze Chrystusa. Są zachęcani do stosowania *pillería,* czyli nieuczciwych chwytów, jeśli tylko im to umożliwi realizowanie celów zakonu. *Pillería* mogą oznaczać wszystko - od szantażu po zabójstwo. A po fakcie są rozgrzeszani przez księży, których obowiązuje tajemnica konfesjonału. Tak przy okazji - *milites Christi* mogą spowiadać się tylko księżom z Crux Vera. W ten sposób wszystko zostaje w rodzinie.

- Jaki jest ich stosunek do obecnego papieża?

- Z tego, co słyszałem, oziębły, ostrożnie mówiąc. Papież Paweł Siódmy mówi o odrodzeniu i odnowie. Dla Crux Vera te słowa oznaczają reformy i liberalizację, więc się niepokoją.

- Dlaczego pan myśli, że Crux Vera było zamieszane w zabójstwo Benjamina?

- Mogli mieć motywy. Jeżeli jest coś, czego Crux Vera nie cierpi, to jest to wyciąganie watykańskich brudów. Stowarzyszenie widzi siebie przede wszystkim jako strażnika Kościoła. Jeśli pański przyjaciel miał dowody na coś, co mogło wyrządzić Kościołowi szkodę, podpadłby pod kategorię wroga. A Crux Vera uważałoby za swój obowiązek surowo go ukarać - oczywiście dla większej chwały Kościoła.

Malone dopił wino i ponownie sobie nalał. Kieliszek Gabriela pozostał nietknięty.

- Jeśli rozmawiał pan z ludźmi, zadawał pytania, wtykał nos w nie swoje sprawy, to jest całkiem możliwe, że Crux Vera ma już pana na radarze. Jeśli uznają, że stanowi pan dla nich zagrożenie, zabiją pana.

- Doceniam pańską szczerość.

- Zawarliśmy umowę. - Malone podniósł notes i długopis i nagle role się odwróciły. - Teraz moja kolej.

- Niech pan pamięta o zasadach. Jeśli mnie pan zdradzi...

- Proszę się nie obawiać; zdaję sobie sprawę z faktu, że Crux Vera to nie jedyna tajna organizacja stosująca *pillería*. - Malone poślinił palec, po czym otworzył notatnik. - O mój Boże, mam tyle pytań, że nie wiem, od czego zacząć.

Następne dwie godziny Gabriel spędził na niezbyt entuzjastycznym dotrzymywaniu swojej części umowy. W końcu wyszedł z domu Petera Malone'a i w padającym deszczu ruszył przez Cadogan Square. Na Sloane Street wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił do siedzącego w furgonetce Mordechaja.

- Obserwuj go dalej - powiedział Gabriel. - Jeśli wyjdzie z domu, idź za nim.

Peter Malone usiadł przed komputerem w gabinecie na drugim piętrze, i zaczął gorączkowo pracować nad notatkami. Jeszcze nie bardzo mógł uwierzyć w niespodziewany uśmiech losu. Ten wybitny dziennikarz dobrze wiedział, że do osiągnięcia sukcesu potrzebna jest ciężka praca i trochę szczęścia. Czasem wspaniała historia sama pcha się człowiekowi w ręce.

Po godzinie odręczne zapiski przybrały kształt dwóch uporządkowanych dokumentów. Pierwszy traktował o poczynaniach agenta o kryptonimie Miecz. Drugi była relacją z ich rozmowy o Benjaminie Sternie. Czy Izraelczyk tego chciał, czy nie, dał Malone'owi punkt zaczepienia do artykułu. Izraelski wywiad bada sprawę zabójstwa wybitnego historyka, Benjamina Sterna. Zadzwoni rano do Tel Awiwu, odbędzie rozmowę z tymi trutniami w dowództwie, po czym do świeżo zdobytego materiału dołączy inne znane mu tajemnicze szczegóły. Nie powiedział Izraelczykowi wszystkiego, co wiedział o zabójstwie Sterna, zresztą Izraelczyk z pewnością także nie podzielił się z nim całą swoją wiedzą. Na tym polega gra. Trzeba doświadczonego reportera, żeby odróżnić prawdę od dezinformacji, trzeba

przepłukać muł, by znaleźć grudki złota. Przy odrobinie szczęścia na weekend będzie miał gotowy tekst.

Spędził parę minut na ponownym sprawdzeniu cytatów. Postanowił zadzwonić do Toma Gravesa, swojego redaktora w „The Sunday Times", i zarezerwować miejsce na pierwszej stronie. Nim zdołał podnieść słuchawkę z widełek, uderzenie w klatkę piersiową odrzuciło go do tyłu. Spojrzał w dół i zobaczył małą, lecz gwałtownie się powiększającą krwawą plamę na koszuli. Podniósł wzrok i zobaczył mężczyznę o szaroblond włosach i bezbarwnych oczach, stojącego dwa metry od biurka. Malone był tak pochłonięty pracą, że nie usłyszał, jak intruz wchodził do domu.

- Czemu? - wyszeptał reporter, czując krew w ustach.

Zabójca przechylił głowę, jakby w zdziwieniu, i obszedł biurko.

- *Ego te absolvo a peccatis tuis* - powiedział, dotykając palcami jego czoła. - *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancii. Amen.*

Po czym przyłożył pistolet z tłumikiem do głowy Malone'a i oddał ostatni strzał.

W żargonie Biura urządzenie, które Mordechaj, mistrz inwigilacji, umieścił w gabinecie Malone'a, zwane było „szkiełkiem". Ukryte w elektronice aparatu, transmitowało rozmowy prowadzone zarówno przez telefon, jak i w pokoju. Pozwalało Mordechajowi śledzić przebieg rozmowy Gabriela z Malone'em. Słyszał także, jak Malone usiadł przy biurku po wyjściu Gabriela i zaczął stukać w klawiaturę.

Chwilę po dziewiątej Mordechaj usłyszał mamrotanie w języku, którego nie rozumiał. Przez następne pięć minut docierały do niego odgłosy otwieranych i zamykanych szuflad. Zakładał, że to był Malone, jednak gdy drzwi otworzyły się i wyszedł z nich wysoki barczysty mężczyzna, Mordechaj od razu zrozumiał, że przed chwilą stało się coś strasznego.

Mężczyzna szybko zszedł po schodach i ruszył przez plac prosto w stronę furgonetki. Mordechaj wpadł w panikę. Jego jedyną bronią był mikrofon kierunkowy i aparat Nikon z teleobiektywem. Sięgnął po nikona. Gdy mężczyzna podszedł bliżej furgonetki, Mordechaj podniósł spokojnie aparat do oka i zrobił trzy szybkie zdjęcia.

Był przekonany, że ostatnie wyszło doskonale.

14

Rzym

Watykan jest najmniejszym państwem świata, ma także najmniejszą liczbę ludności. W ciągu dnia pracuje tam ponad cztery tysiące osób, ale faktycznie mieszka tylko około czterystu. Sekretarz stanu kardynał Marco Brindisi był jednym z nich. Jego prywatny apartament w Pałacu Apostolskim był odległy tylko o jedno piętro od mieszkania Ojca Świętego. Niektórzy uważali, że mieszkać w Watykanie to jak żyć w złotej klatce, ale kardynał Brindisi czuł się tu znakomicie. Jego pokoje były wspaniałe, droga do pracy wyjątkowo krótka, a poza tym miał obsługę księży i zakonnic, zaspokajającą wszystkie jego potrzeby. Jedyną wadą była bliskość pokojów papieskich. W pałacu kardynał nie był w stanie ustrzec się przed wścibskimi spojrzeniami papieskich sekretarzy. Pokój na zapleczu L'Eau Vive doskonale nadawał się do prywatnych spotkań, ale niektóre, choćby jak to zaplanowane na dzisiejszy wieczór, musiały się odbywać w bezpieczniejszych warunkach.

Mercedes czekał na placyku San Dámaso, przed wejściem do Pałacu Apostolskiego. W przeciwieństwie do mniej znaczących kardynałów z kurii, Brindisiego nie obowiązywało każdorazowe losowanie służbowego samochodu. Miał przydzielonego na stałe mercedesa z kierowcą oraz ochroniarza z Vigilanzy. Brindisi usiadł na tylnym siedzeniu i samochód ruszył. Sunął

powoli wzdłuż Via Belvedere - obok Apteki Papieskiej i koszar Gwardii Szwajcarskiej - nim w końcu wymknął się do właściwego Rzymu przez Bramę Świętej Anny.

Samochód przeciął Piazza della Citta, po czym skręcił w kierunku wjazdu na parking podziemny. Wznoszący się nad nim apartamentowiec należał do Watykanu. Mieszkało w nim wielu kardynałów z kurii papieskiej. W Rzymie w różnych miejscach było jeszcze kilka podobnych domów.

Mercedes zahamował i stanął obok szarej furgonetki marki Fiat. Gdy Brindisi wysiadł, jej tylne drzwi otworzyły się i ze środka wyszedł mężczyzna. Podobnie jak Brindisi, ubrany był w sutannę, miał też szkarłatną piuskę i pas. Ale, w przeciwieństwie do sekretarza stanu, nie miał prawa ich nosić. Nie był kardynałem; tak naprawdę nie został nawet wyświęcony na księdza. Kardynał Brindisi nie znał nazwiska mężczyzny, wiedział tylko, że przez krótki czas przed przyjściem do Vigüanzy pracował jako aktor.

Dubler Brindisiego wyszedł z cienia i na moment zatrzymał się przed kardynałem. Jak zawsze w takich chwilach, Brindisiego przeszły ciarki. To było jak patrzenie w lustro. Rysy twarzy, okrągłe okulary, złoty pektorał - nawet piuska tamtego była równie arogancko przekrzywiona jak ta na jego głowie. Cień chłodnego uśmiechu pojawił się na twarzy sobowtóra, dokładna kopia grymasu Brindisiego.

- Dobry wieczór, Eminencjo - powiedział mężczyzna.

- Dobry wieczór, Eminencjo - kardynał Brindisi zorientował się, że powtarza słowa tamtego.

Sobowtór skinął głową, po czym usiadł na miejscu Brindisiego i służbowy samochód sekretarza stanu szybko odjechał. Ojciec Mascone, osobisty sekretarz kardynała, czekał w furgonetce.

- Proszę się pospieszyć, Eminencjo. Niebezpiecznie jest zostawać tu zbyt długo.

Ksiądz pomógł kardynałowi wejść do środka i zamknął drzwi, po czym podprowadził go do haftowanego siedzenia.

Furgonetka wjechała szybko na rampę i ruszyła na ulicę. Chwilę później pędzili przez Rzym w stronę Tybru.

Ksiądz otworzył torbę i wyjął parę sztuk ubrania: szare spodnie, golf, drogą jasnobrązową marynarkę, czarne mokasyny. Kardynał Brindisi poluzował koloratkę i zaczął się rozbierać. Po chwili nie miał na sobie nic prócz bielizny oraz kolczastego łańcucha owiniętego wokół uda.

- Może powinniście zdjąć *cilice* - powiedział ksiądz. - Może być je widać przez spodnie.

Kardynał Brindisi pokręcił głową.

- Moja wola zrzucenia odzienia sięga tylko dotąd, ojcze Mascone. Będę nosił *cilice* dziś wieczorem i nie obchodzi mnie, czy widać je przez - zawiesił głos - spodnie.

- Jak sobie życzycie, Eminencjo.

Z pomocą księdza kardynał szybko się przebrał. Potem zamienił swoje charakterystyczne okulary na inne, lekko przyciemnione. Przemiana była zupełna. Nie wyglądał już jak książę Kościoła, ale jak zamożny rzymianin podejrzanej konduity, zapewne lubiący towarzystwo młodszych kobiet.

Pięć minut później furgonetka zatrzymała się na pustym placu po drugiej stronie Tybru. Ksiądz otworzył drzwi. Sekretarz stanu kardynał Marco Brindisi uczynił znak krzyża i wysiadł.

Rzym jest pod wieloma względami miastem towarzyskim. W zwykłych okolicznościach Marco Brindisi nie mógłby przejść wzdłuż Via Veneto i pozostać nierozpoznany, nawet gdyby był ubrany w prosty czarny habit księdza proboszcza. Tego wieczoru jednak nikt nie zwracał na niego uwagi, kiedy przebijał się przez gwarny tłum, mijając wypchane po brzegi kawiarnie, tak jakby był po prostu kolejnym rzymianinem poszukującym dobrego posiłku i miłego towarzystwa.

Dni największej chwały Via Veneto dawno przeminęły. Był to wciąż uroczy bulwar porośnięty platanami, z ekskluzywnymi

sklepami i drogimi restauracjami, ale intelektualiści i gwiazdy kina dawno temu przenieśli się gdzie indziej w poszukiwaniu nowych wrażeń. Teraz tłum składał się głównie z turystów, biznesmenów i zgrabnych włoskich nastolatków poruszających się na skuterach.

Marca Brindisiego Via Veneto nigdy nie kusiła swoim dolce vita, nawet w latach sześćdziesiątych, kiedy był młodym urzędnikiem w kurii rzymskiej, który przyjechał prosto z rodzinnego miasteczka na wzgórzach Umbrii; teraz jeszcze mniej go pociągała. Docierające do jego uszu urywki prowadzonych przy stolikach rozmów wydawały mu się wyjątkowo trywialne. Wiedział, że niektórzy kardynałowie - a nawet niektórzy papieże - lubili przechadzać się po cywilnemu po Rzymie, żeby zobaczyć, jak żyje druga część miasta. Brindisi nie miał życzenia tego wiedzieć. Z paroma wyjątkami uważał jej mieszkańców za niemoralny i prostacki motłoch, któremu dobrze by zrobiło, gdyby częściej słuchał nauk Kościoła, a rzadziej ciągłego ryku telewizorów.

Atrakcyjna kobieta w średnim wieku, w wydekoltowanej sukience, rzuciła w jego stronę pełne podziwu spojrzenie. Brindisi, grając swoją rolę, uśmiechnął się w odpowiedzi. Idąc dalej, kardynał błagał Chrystusa o przebaczenie i nacisnął na *cilice,* by zwiększyć ból. Słyszał spowiedzi księży, którzy ulegli pokusom płci przeciwnej. Księży, którzy utrzymywali kochanki. Księży, którzy dopuszczali się niewyobrażalnych rzeczy z innymi księżmi. Brindisi nigdy nie zaznał takich pokus. Gdy tylko wstąpił do seminarium, oddał swe serce Chrystusowi i Marii Pannie. Myśl o księżach, którzy nie potrafili dotrzymać ślubów, przyprawiała go o mdłości. Uważał, że ksiądz, który nie potrafi żyć w celibacie, powinien zostać suspendowany. Ale był też pragmatykiem i zdawał sobie sprawę, że taka kara z pewnością zdziesiątkowałaby szeregi Kościoła.

Kardynał doszedł do skrzyżowania Via Veneto z Corso d'Italia i spojrzał na zegarek. Przyszedł dokładnie o czasie. Parę

sekund później przy krawężniku zatrzymał się samochód. Tylne drzwi otworzyły się i wysiadł z nich Carlo Casagrande.

- Proszę mi wybaczyć, że nie ucałuję pierścienia - powiedział Casagrande - ale nie sądzę, by to było właściwe, zważywszy na okoliczności. Pogoda jest dość przyjemna dziś wieczorem. Przejdziemy się po Villa Borghese?

Casagrande poprowadził kardynała przez szeroką ulicę, wystawiając drugiego najpotężniejszego człowieka w Kościele rzymskokatolickim na pastwę żądnych krwi rzymskich kierowców. Po bezpiecznym dotarciu na drugą stronę ruszyli z wolna wzdłuż żwirowanej alejki. W niedzielę park byłby pełen rozwrzeszczanych dzieci i mężczyzn słuchających przez radio meczu piłkarskiego. Ale tego wieczoru było cicho, jeśli nie liczyć szumu ruchu ulicznego na Corso. Kardynał szedł tak, jakby wciąż był ubrany w purpurę, z rękami złożonymi na plecach i ze spuszczoną głową - tak jak bogaty mężczyzna, który przepuścił pieniądze i bez specjalnej nadziei próbuje je odzyskać. Gdy Casagrande szepnął, że Peter Malone nie żyje, Brindisi zmówił krótką modlitwę, ale powstrzymał impuls, by zakończyć ją znakiem krzyża.

- Ten twój zabójca jest całkiem sprawny.

- Niestety ma wprawę.

- Opowiedz mi o nim.

- Mam was chronić przed takimi sprawami, Eminencjo.

- Nie pytam z jakiejś chorej ciekawości, Carlo. Troszczę się jedynie o to, czy sprawa jest traktowana odpowiednio poważnie.

Dotarli do Galleria Borghese. Casagrande usiadł na marmurowej ławce przed muzeum i gestem poprosił Brindisiego, by uczynił to samo. Kardynał bardzo ostentacyjnie wytarł kurz, nim ostrożnie usadowił się na zimnych kamieniach. Przez następne pięć minut Casagrande niechętnie wyliczał znane mu

fakty dotyczące zabójcy zwanego Lampartem, zaczynając od jego długich i krwawych związków ze skrajną lewicą i palestyńskimi organizacjami terrorystycznymi, a kończąc na przemianie w drogiego płatnego zabójcę. Casagrandego prześladowała uporczywa myśl, że obcowanie ze złem sprawia kardynałowi przyjemność.

- Jego prawdziwe nazwisko?

- Nie mamy co do tego pewności, Eminencjo.

- Narodowość?

- Wśród europejskich służb bezpieczeństwa przeważa pogląd, że jest Szwajcarem, ale to też poddawane jest w wątpliwość.

- Znasz tego człowieka?

- Byliśmy w tym samym pokoju, Eminencjo. Dobiliśmy interesu, ale nie powiedziałbym, że go poznałem. Wątpię, czy ktokolwiek naprawdę go poznał.

- Czy jest inteligentny?

- Bardzo.

- Wykształcony?

- Pewne dowody wskazują na to, że studiował teologię na uniwersytecie we Fryburgu, nim zwabił go zew lewicowej przemocy i terroru. Według niektórych źródeł za młodu odbywał nowicjat w Zurychu.

- Chcesz mi wmówić, że ten potwór kształcił się na księdza? - Kardynał Brindisi pokręcił wolno głową. - Nie sądzę, by wciąż uważał się za katolika?

- Lampart? Nie jestem pewien, czy wierzy w cokolwiek oprócz siebie samego.

- A teraz człowiek, który kiedyś zabijał dla komunistów, pracuje dla Carla Casagrandego, człowieka, który pomógł polskiemu papieżowi obalić Imperium Zła.

- Jak to mówią, polityka lubi dziwne układy. - Casagrande wstał. - Przejdźmy się.

Ruszyli porośniętą sosnami alejką. Kardynał był wyższy od swego towarzysza niemal o głowę. Szaty łagodziły jego wygląd.

Ubrany tak jak teraz, po cywilnemu, Marco Brindisi był człowiekiem surowym i groźnym. Człowiekiem wzbudzającym raczej strach niż zaufanie.

Usiedli na ławce z widokiem na Piazza di Siena. Casagrande pomyślał o żonie, o tym, jak siedzieli w tym miejscu, obserwując konne parady odbywające się na owalnym torze. Prawie czul zapach truskawek, które wtedy trzymała w dłoniach. Angelina uwielbiała wiosną w Villa Borghese jeść truskawki i popijać *spumanti*.

Kardynał Brindisi zakłócił dręczące Casagrandego wspomnienia, pytając o człowieka znanego jako Ehud Landau. Szef watykańskiej ochrony opowiedział kardynałowi o wizycie Landaua w klasztorze Najświętszego Serca Jezusowego w Brenzone.

- Dobry Boże - powiedział cicho kardynał. - Jak matka Vincenza sobie z tym poradziła?

- Najwyraźniej całkiem nieźle. Opowiedziała wymyśloną przez nas historyjkę i odprowadziła go do wyjścia. Ale następnego dnia wrócił do klasztoru, pytając o siostrę Reginę.

- O siostrę Reginę! To przecież katastrofa. Skąd mógł się dowiedzieć?

Casagrande pokręcił głową. Zadawał sobie to pytanie od czasu drugiego telefonu matki Vincenzy. Skąd mógł się dowiedzieć? Wszystko, co dotyczyło klasztoru, zostało usunięte z Tajnych Archiwów i zniszczone. Najwidoczniej jakiś materiał dowodowy prześliznął się przez sieć Casagrandego i wylądował w rękach jego izraelskiego przeciwnika.

- Gdzie on jest teraz? - spytał kardynał.

- Niestety nie mam pojęcia. Kazałem go śledzić jeszcze w Brenzone, ale w Weronie umknął mojemu człowiekowi. Najwyraźniej jest dobrze wyszkolonym zawodowcem. Od tego czasu ślad po nim zaginął.

- Jak masz zamiar sobie z nim poradzić?

Casagrande odwrócił wzrok od starożytnego toru wyścigowego i spojrzał w blade oczy kardynała.

- Jako sekretarz stanu powinniście wiedzieć, Eminencjo, że Biuro do spraw Bezpieczeństwa namierzyło człowieka, który, wedle naszej oceny, ma zamiar zamordować Ojca Świętego.

- Przyjmuję to do wiadomości - odrzekł oficjalnym tonem kardynał. - Jakie przedsięwzięto kroki, by temu zapobiec?

- Wprowadziłem w sprawę Achilla Bartolettiego. Zareagował tak, jak należało się spodziewać. Uformowano grupę dochodzeniową i przez dwadzieścia cztery godziny na dobę prowadzone są poszukiwania.

- Wydaje mi się, że Ojciec Święty także powinien się dowiedzieć o zagrożeniu. Być może moglibyśmy posłużyć się tą informacją, by wpłynąć na jego decyzję co do wizyty w gminie żydowskiej w przyszłym tygodniu.

- Jakbyście czytali w moich myślach, Eminencjo - przytaknął mu Casagrande. - Czy to już wszystko?

- Mam coś jeszcze - powiedział kardynał i przedstawił Casagrandemu sprawę reportera z „La Repubbliki" badającego dzieciństwo Ojca Świętego. - Ujawnienie oszustwa dokonanego przez Watykan, nawet niegroźnego, nie byłoby w tym momencie pożądane - stwierdził. - Sprawdź, czy możesz coś zrobić, by ten wścibski reporter dowiedział się, gdzie jego miejsce.

- Zajmę się tym - odparł Casagrande. - Co powiedzieliście Ojcu Świętemu, Eminencjo?

- Powiedziałem mu, że pomocne byłoby oficjalne oświadczenie dotyczące jego dzieciństwa.

- Co on na to?

- Zgodził się, ale nie zamierzam na niego czekać. Chciałbym, żebyś przeprowadził własne dochodzenie. Ważne, żebyśmy dowiedzieli się prawdy, nim zostanie ujawniona na stronach „La Repubblica".

- Niezwłocznie kogoś do tego przydzielę.

- Doskonale - odparł kardynał. - Myślę, że na tym możemy zakończyć nasze spotkanie.

- Jeden z moich ludzi będzie za wami podążał. W odpowiednim momencie podjedzie furgonetka, która zawiezie Eminencję z powrotem do Watykanu - chyba że woli Eminencja wrócić na Via Veneto. Moglibyśmy wypić szklaneczkę *frascati* i poobserwować Rzym, jakiego nie znamy.

Kardynał uśmiechnął się na tę propozycję, ale nie wydała mu się kusząca.

- Szczerze mówiąc, Carlo, wolę widok Rzymu z okien Pałacu Apostolskiego.

Powiedziawszy to, odwrócił się i odszedł. Chwilę później zniknął w ciemności.

15

Normandia, Francja

Wcześnie rano następnego dnia Eric Lange przepłynął kanał La Manche na promie kursującym z Newhaven do Dieppe. Zaparkował wynajętego peugeota niedaleko terminalu promowego i poszedł na Quai Henri IV. W kawiarni z widokiem na port zjadł rogalika, wypił *café au lait* i przeczytał poranne gazety. Nie było w nich wzmianki o zabójstwie brytyjskiego reportera Petera Malone'a, nie mówili też nic w radiu. Lange był przekonany, że ciała jeszcze nie znaleziono. Powinno się to stać około dziesiątej rano czasu londyńskiego, kiedy asystentki dziennikarza przyjdą do pracy. Policja po rozpoczęciu śledztwa nie będzie mogła narzekać na brak podejrzanych. Malone przez lata zdobył sobie wielu potężnych wrogów, a każdy z radością skróciłby mu życie.

Lange zamówił kolejnego rogalika i jeszcze jedną filiżankę kawy. Uświadomił sobie, że nigdzie się nie spieszy. Jazda w nocy zmęczyła go, a myśl o spędzeniu dnia w samochodzie w drodze do Zurychu była przygnębiająca. Pomyślał o Katrine, o jej odludnej willi na skraju gęstego normandzkiego lasu, o tym, czego mógł zaznać w jej olbrzymim łóżku z baldachimem.

Zostawił parę euro na stoliku i nabrzeżem poszedł do *Poissonerie,* najstarszej hali w Dieppe, w której odbywał się targ rybny. Chodził od stoiska do stoiska i uważnie oglądał połów, z

łatwością gawędząc płynną francuszczyzną ze sprzedawcami. Wybrał dwa wspaniałe strzępiele i mieszankę owoców morza, po czym opuścił targ i skierował swe kroki na Grand Rue, główną ulicę handlową Dieppe. Kupił w *boulangerie* bagietki i kilka świeżych serów z *charcuterie*. Na koniec wstąpił do *cave,* gdzie kupił sześć butelek wina i jedną calvadosu, słynnej normandzkiej jabłkowej brandy.

Załadował to wszystko na tylne siedzenie peugeota i ruszył w drogę. Szosa wiła się wzdłuż krawędzi klifów, wznosząc się i opadając zgodnie z ukształtowaniem brzegu. Poniżej rozpościerała się kamienista plaża. Trochę dalej rząd kutrów zawijał do portu. Przejechał przez szereg uroczych wiosek rybackich, zjadając w czasie jazdy jedną z bagietek. Gdy dojechał do Saint-Valery-en-Caux, samochód już mocno pachniał krewetkami i małżami.

Kilometr przed Saint-Pierre skręcił w wąską lokalną drogę i podążył nią w głąb lądu, mijając sady jabłoniowe i pola lnu. Kawałek za Valmont wjechał na wąską, porośniętą bukami polną drogę i jechał nią przez następny kilometr, póki nie skończyła się drewnianą bramą, za którą stała zbudowana z kamienia willa, ukryta w cieniu wysokich buków i wiązów. Czerwony jeep Katrine stał zaparkowany na wysypanym żwirem podjeździe. Pewnie wciąż jeszcze spała; rzadko potrafiła znaleźć powód, by wyjść z łóżka przed południem.

Lange wysiadł, otworzył bramę i wjechał na teren posiadłości. Chciał wejść bez pukania, ale drzwi frontowe były zamknięte na klucz. Miał dwie możliwości: walić, aż Katrine się obudzi, lub rozpocząć wizytę od drobnego psikusa. Wybrał to drugie.

Willa miała kształt litery U i była otoczona labiryntem ogrodu, który latem stanowił istną feerię barw. Teraz, w ostatnich dniach zimy, miał odcień ponurej zieleni. Tuż za jego skrajem zaczynał się las. Ogołocone z liści drzewa stały nieruchomo w ciszy poranka. Wewnątrz podkowy domu znajdował się kamienny dziedziniec. Lange szedł ostrożnie, klucząc wśród potłuczonych doniczek i uważając, by nie spowodować żadnego

hałasu. Sprawdził po kolei zasuwki wszystkich sześciu drzwi balkonowych. Piąta z kolei była otwarta. Głupia Katrine, pomyślał. Da jej nauczkę, której szybko nie zapomni.

Wsunął się do środka i cicho przemknął przez zaciemniony salon do schodów, po których wszedł do pokoju Katrine. Zajrzał do środka. Zasłony były zasunięte. W półświetle dostrzegł rozrzucone na poduszce włosy i nagie ramiona wystające spod białej kołdry. Miała oliwkową południową cerę oraz niebieskie oczy i blond włosy dziewczyny z Normandii. Rude pasemka odziedziczyła po babci Bretonce, podobnie jak wybuchowy temperament.

Lange ostrożnie podszedł do łóżka i sięgnął do miejsca, gdzie powinna być jej stopa. W chwili gdy właśnie miał ją złapać za kostkę, Katrine błyskawicznie usiadła na łóżku, z szeroko otwartymi oczami, ściskając w dłoniach dziewięciomilimetrowy pistolet Browning. Dwa razy wypaliła błyskawicznie, dokładnie tak, jak Lange ją nauczył. W zaciszu sypialni odgłos wystrzałów zabrzmiał jak armatni huk. Lange upadł na podłogę. Pociski przeleciały mu nad głową, rozbijając w drobny mak lustro w przepięknej dwustuletniej szafie.

- Katrine, nie strzelaj - powiedział Lange, skręcając się ze śmiechu. - To ja.

- Wstań! Niech cię zobaczę!

Lange powoli wstał, z rękami na widoku. Katrine zapaliła nocną lampkę i posłała mu długie, wściekłe spojrzenie, po czym zamachnęła się i rzuciła w niego pistoletem, mierząc w głowę. Lange uchylił się i browning upadł na potłuczone szkło.

- Ty zasrańcu! Masz farta, że ci łba nie odstrzeliłam!

- Nie mnie pierwszemu.

- Uwielbiałam to lustro!

- Było stare.

- To był antyk, ty dupku!

- Kupię ci nowe.

- Nie chcę nowego, chcę to!

- No to naprawimy.

- A jak niby wytłumaczę te dziury po kulach?

Lange oparł rękę na podbródku i udał, że się zastanawia.

- Tak, to rzeczywiście może być problem.

- Oczywiście, że to jest problem! Dupek! - Zakryła kołdrą piersi, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że jest naga. Wściekłość zaczynała jej przechodzić. - Co ty tu właściwie robisz?

- Byłem w okolicy.

Wpatrywała się przez chwilę w jego twarz.

- Znów kogoś zabiłeś. Widzę to po twoich oczach.

Lange podniósł browninga, zabezpieczył i położył na krawędzi łóżka.

- Pracowałem niedaleko stąd - powiedział. - Potrzebuję dnia albo dwóch, żeby odpocząć.

- Dlaczego wydaje ci się, że możesz tu wpadać, kiedy tylko chcesz? Mogłeś mnie zastać z jakimś facetem.

- Mogłem, ale to mało prawdopodobne. Widzisz, zdaję sobie sprawę z tego, że, nie licząc paru wyjątków, większość facetów śmiertelnie cię nudzi - zarówno intelektualnie, jak i w tym twoim okazałym łóżku. Zdaję sobie też sprawę z faktu, że żaden mężczyzna, którego tu przyprowadzisz, długo nie pociągnie. Dlatego uznałem, że gra jest warta świeczki.

Katrine rozpaczliwie próbowała się nie uśmiechnąć.

- Dlaczego miałabym pozwolić ci tu zostać?

- Bo będę gotował.

- W takim razie powinniśmy nabrać apetytu. Chodź do łóżka. Jest za wcześnie, żeby wstawać.

Katrine Boussard była prawdopodobnie najniebezpieczniejszą kobietą we Francji. Po ukończeniu filozofii i literatury na Sorbonie przyłączyła się do Action Directe, Akcji Bezpośredniej, ugrupowania francuskich lewicowych ekstremistów. Podczas

gdy cele polityczne organizacji gwałtownie się zmieniały, taktyka pozostawała ta sama. W latach osiemdziesiątych popełnili serię krwawych zbrodni - morderstwa, porwania i zamachy bombowe, które spowodowały kilkadziesiąt śmiertelnych ofiar i sterroryzowały naród. Wyszkolona przez Langego Katrine Boussard była jednym z najlepszych morderców w organizacji. Lange pracował z nią we Francji przy dwóch okazjach: zabójstwa wysokiego rangą urzędnika Ministerstwa Obrony w 1985 roku oraz dyrektora z branży samochodowej w 1986. W obu przypadkach to Katrine zadała ofiarom ostateczny cios.

Lange zwykle pracował w pojedynkę, ale w przypadku Katrine zrobił wyjątek. Była znakomitą agentką, zimną i bezlitosną, bardzo zdyscyplinowaną. Ona i Lange cierpieli na tę samą dolegliwość. Stres związany z akcją zwiększał ich pożądanie seksualne, więc wykorzystywali nawzajem swoje ciała ze wspaniałymi skutkami. Nie byli kochankami - oboje widzieli zbyt wiele, by wierzyć w coś tak przyziemnego jak miłość. Byli raczej jak dwoje poszukujących doskonałości rzemieślników.

Katrine została obdarzona ciałem, które dostarczało jej niebywałej rozkoszy. Odczuwała ją w niezliczonej liczbie miejsc. Jak zawsze bez trudu reagowała na pieszczoty Langego. Dopiero gdy była całkowicie zaspokojona, zajęła się Langem, wykorzystując swoje niemałe umiejętności. Będąc świetnie zgrana z jego ciałem, torturowała go. Za każdym razem, gdy już prawie tracił nad sobą kontrolę, uwalniała go i zostawiała, by cierpiał bez rozgrzeszenia. Gdy już nie mógł dłużej wytrzymać, przejął pałeczkę, chwytając Katrine za biodra i wchodząc w nią od tyłu. Przypominało to podbój bardziej, niż by tego chciał, ale właśnie tak to zaplanowała Katrine. Gdy osiągnął orgazm, odrzucił głowę do tyłu i wrzasnął w sufit jak szaleniec. Katrine patrzyła na niego przez ramię, obserwując go z głęboką satysfakcją. Znowu go pokonała.

Potem leżała z głową na jego klatce piersiowej i włosami rozsypanymi na jego brzuchu. Lange patrzył przez oszklone

drzwi na drzewa rosnące na skraju lasu. Znad Kanału nadchodziła burza i konary uginały się od wiatru. Bawił się włosami Katrine, ale ona się nie poruszyła. Ponieważ razem zabijali, Lange mógł się z nią kochać bez zahamowań i utajonego strachu, że mógłby ujawnić jakąś cząstkę siebie. Nie kochał Katrine, ale ją lubił. Tak naprawdę była jedyną kobietą, na której mu zależało.

- Tęsknię - wymruczała.

- Za czym, Katrine?

- Za walką - obróciła ku niemu twarz. - Siedzę sobie teraz w Valmont, żyjąc z funduszu powierniczego ojca, którym gardzę, i czekam, aż się zestarzeję. Nie chcę być stara. Chcę walczyć.

- Byliśmy głupimi dziećmi. Teraz zmądrzeliśmy.

- A ty oczywiście zabijasz dla każdego, kto jest w stanie zapłacić.

Lange położył palec na jej wargach.

- Nigdy nie zaznałem dobrodziejstw funduszu powierniczego, Katrine.

- Dlatego jesteś płatnym mordercą?

- Mam pewne umiejętności, umiejętności, na które jest popyt.

- Mówisz jak prawdziwy kapitalista.

- Nie wiesz, że kapitaliści wygrali? Siły dobra zostały zmiażdżone butem zysku i chciwości. Teraz możesz zjeść w McDonaldzie i zwiedzić Euro Disneyland, kiedy tylko zechcesz. Zasłużyłaś na spokojne życie i piękną willę. Usiądź wygodnie i czerp satysfakcję ze szlachetnej klęski.

- Jesteś okropnym hipokrytą - powiedziała.

- Wolę uważać się za realistę.

- Dla kogo zabijasz?

Dla ludzi, którymi niegdyś gardziliśmy, pomyślał, po czym odrzekł:

- Znasz reguły, Katrine. Zamknij oczy.

Gdy Katrine zasnęła, Lange wyślizgnął się z łóżka, po cichu włożył ubranie i wyszedł na dwór. Otworzył bagażnik peugeota

i wyjął laptopa należącego do Petera Malone'a. Wsunął go pod płaszcz i w padającym deszczu wrócił do willi. Rozpalił w kominku drewnem jabłoni i usiadł na wygodnej kanapie w salonie. Otworzył komputer, włączył zasilanie i czekał, aż się uruchomi. Zgodnie z umową zawartą z Carlem Casagrande komputer i pozostałe rzeczy zabrane z mieszkania Malone'a Lange musiał dowieźć do Zurychu i umieścić je tam w skrytce bankowej. A skoro był wciąż w posiadaniu komputera, nie miał skrupułów, by samemu rzucić na niego okiem.

Otworzył folder z dokumentami Malone'a i sprawdził daty i godziny zapisu ostatnich plików. W ostatniej godzinie życia dziennikarz utworzył dwa nowe dokumenty: jeden był zatytułowany „Izraelski zabójca", a drugi „Morderstwo Benjamina Sterna". Wiatr znad Kanału huczał na zewnątrz jak przejeżdżający superszybki pociąg.

Otworzył pierwszy plik. Był to godny uwagi dokument. Chwilę wcześniej, nim Lange wszedł do mieszkania Malone'a, reporter przeprowadził wywiad z mężczyzną, który twierdził, że jest izraelskim zabójcą. Lange przeczytał plik z pewną dozą zawodowego podziwu. Zabójca miał całkiem urozmaiconą i owocną karierę: Czarny Wrzesień, paru Libijczyków, iracki inżynier jądrowy. Abu Dżihad...

Przez oszklone drzwi Lange popatrzył na poruszane wichurą drzewa. Abu Dżihad? Czy zabójca Abu Dżihada naprawdę był w mieszkaniu Malone'a parę godzin przed Langem? Jeśli tak, co on u diabła tam robił? Lange nie należał do ludzi wierzących w zbiegi okoliczności. Sądził, że odpowiedź znajdzie w drugim pliku. Otworzył go i zaczął czytać.

Pięć minut później Lange uniósł wzrok znad komputera. Było gorzej, niż się spodziewał. Izraelski agent, który spokojnie wszedł do willi Abu Dżihada w Tunisie i zastrzelił go, prowadził teraz dochodzenie w sprawie zabójstwa profesora Benjamina Sterna. Lange zastanawiał się, dlaczego śmierć żydowskiego

profesora interesowała izraelski wywiad. Odpowiedź nasuwała się sama. Profesor musiał być kimś w rodzaju agenta.

Był wściekły na Casagrandego. Gdyby Casagrande powiedział, że Benjamin Stern ma powiązania z izraelskim wywiadem, Lange być może odmówiłby przyjęcia zlecenia. Izraelczycy niepokoili go. Grali inaczej niż zachodni Europejczycy i Amerykanie. Mieli trudne sąsiedztwo, a nad każdą podejmowaną przez nich decyzją wisiał cień Holocaustu. To sprawiało, że ze swoimi przeciwnikami rozprawiali się bezwzględnie i bez litości. Raz już ścigali Langego, po zleconej przez Abu Dżihada akcji porwania i wymuszenia okupu. Udało mu się wymknąć z sieci, ale musiał powziąć drakońskie kroki. Zabił wszystkich swoich wspólników.

Lange zastanawiał się, czy Casagrande był poinformowany o udziale Izraelczyka w całej sprawie - a jeśli, to dlaczego nie zatrudnił Langego, by się nim zajął. Może Casagrande nie wiedział, jak go znaleźć. Dzięki dokumentom w komputerze Malone'a Lange wiedział, jak to zrobić, i nie miał zamiaru czekać na rozkazy Casagrandego. Miał pewną przewagę, niewielki cień szansy, ale musiał działać szybko, bo inaczej ten cień szansy mógł się rozwiać.

Skopiował oba pliki na dyskietkę, po czym skasował je z twardego dysku. Katrine, zawinięta w kołdrę, weszła do pokoju i usiadła na drugim końcu kanapy. Lange zamknął komputer.

- Obiecałeś, że będziesz gotował - powiedziała. - Umieram z głodu.

- Muszę jechać do Paryża.

- Teraz?

Lange skinął głową.

- Czy to nie może zaczekać do rana?

Pokręcił głową.

- Co takiego jest w Paryżu?

Lange spojrzał w okno.

- Muszę się z kimś spotkać.

Rashid Husseini nie wyglądał na zawodowego terrorystę. Miał okrągłą pulchną twarz i duże brązowe oczy przymykające się pod ciężarem zmęczenia. Tweedowa marynarka i golf nadawały mu wygląd doktoranta piszącego pracę i niemogącego jej skończyć. Nie było to dalekie od prawdy. Husseini przebywał w Paryżu na wizie studenckiej, chociaż rzadko miał czas, by pojawiać się na zajęciach na Sorbonie. Uczył angielskiego w ponurej muzułmańskiej dzielnicy na przedmieściach Paryża, od czasu do czasu coś tłumaczył, a czasem pisał płomienne komentarze dla różnych francuskich lewicowych pism. Eric Lange znał jego prawdziwe źródło dochodów. Pracował dla pewnego organu władz palestyńskich, o którym wiedziało niewielu ludzi. Rashid Husseini - student, tłumacz, dziennikarz - odpowiadał za europejskie operacje służb wywiadowczych OWP. To właśnie z nim Lange chciał się spotkać w Paryżu.

Zadzwonił do Palestyńczyka, gdy ten przebywał w swoim mieszkaniu przy rue de Tournon. Spotkali się godzinę później w pustej cukierni w Dzielnicy Luksemburskiej. Husseini, świecki ortodoksyjny nacjonalista palestyński, pił czerwone wino. Alkohol sprawiał, że stawał się rozmowny. Dał Langemu wykład na temat cierpień Palestyńczyków, właściwie taki sam jak diatryba, którą Abu Dżihad próbował dwadzieścia lat wcześniej skłonić Langego do pracy na rzecz sprawy palestyńskiej. Ziemia, drzewa oliwkowe, niesprawiedliwość i upokorzenie.

- Żydzi to nowi światowi naziści - mówił Husseini. - Na Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy działają jak gestapo i SS. Premier Izraela? Jest zbrodniarzem wojennym, który zasługuje na proces w Norymberdze.

Lange mieszał kawę malutką srebrną łyżeczką i kiwał mądrze głową w odpowiednich momentach. Mimo wszystko Husseini budził w nim współczucie. Ominęła go wojna, którą kiedyś prowadzili ludzie tacy jak on, Rashid Husseini, intelektualista czytający dzieła Camusa po francusku i przelatujący głupie niemieckie dziewczyny na plaży w Saint Tropez. Ci starzy

wojownicy utuczyli się datkami od Europejczyków i Amerykanów, podczas gdy ich dzieci, cenny owoc ziemi palestyńskiej, wysadzają się w powietrze w kawiarniach i na targach Izraela.

W końcu Husseini uniósł ręce w bezradnym geście jak starzec zdający sobie sprawę, że przynudza.

- Wybacz, Eric, ale dałem się ponieść emocjom. Wiem, że nie przybyłeś tu, by słuchać o cierpieniach mojego ludu. O co chodzi? Szukasz pracy?

Lange pochylił się nad stołem.

- Zastanawiałem się, czy nie byłbyś zainteresowany odnalezieniem człowieka, który zabił naszego przyjaciela w Tunisie.

Zmęczone oczy Husseiniego gwałtownie się ożywiły.

- Abu Dżihada? Byłem tam tamtej nocy. Pierwszy wszedłem do jego gabinetu po tym, jak ten izraelski potwór dokonał swego nikczemnego dzieła. Wciąż słyszę płacz żony i dzieci Abu Dżihada. Gdybym tylko miał taką możliwość, zabiłbym go własnymi rękami.

- Co o nim wiesz?

- Naprawdę nazywa się Allon - Gabriel Allon - ale ukrywał się pod wieloma pseudonimami. Jest konserwatorem dzieł sztuki. Pod przykrywką swojej pracy dokonuje zabójstw w Europie. Mniej więcej dwanaście lat temu mój stary towarzysz Tarik al-Hourani podłożył bombę pod jego samochodem, w którym byli jego żona i synek. Chłopak zginął. Nigdy nie dowiedzieliśmy się na pewno, co stało się z żoną. Allon zemścił się na Tariku kilka lat temu na Manhattanie.

- Pamiętam - powiedział Lange. - Ta sprawa z Arafatem.

Husseini kiwnął głową.

- Wiesz, gdzie jest?

- Nie, ale chyba wiem, dokąd zmierza.

- Dokąd?

Lange powiedział mu.

- Do Rzymu? Rzym to duże miasto, przyjacielu. Musisz mi powiedzieć coś więcej.

- Prowadzi dochodzenie w sprawie śmierci swojego starego przyjaciela. Jedzie do Rzymu, żeby spotkać się z oficerem policji o nazwisku Alessio Rossi. Śledź Rossiego, a Izraelczyk sam wpadnie ci w ręce.

Husseini zapisał nazwisko w małym oprawionym w skórę notesie, po czym podniósł wzrok.

- Carabinieri? Polizia di Stato?

- To drugie - odpowiedział Lange. Husseini zapisał w notatniku: P.S.

Palestyńczyk sączył wino i przez dłuższą chwilę w milczeniu patrzył na swego rozmówcę. Lange wiedział, jakie pytania kołtują się teraz w głowie Husseiniego. „Skąd Eric Lange wie, gdzie jedzie zabójca? Dlaczego chce, aby został zabity?". Lange postanowił odpowiedzieć, nim Husseini zadał pytanie.

- Szuka mnie. To sprawa osobista. Chcę, by zginął, i ty też tego chcesz. Mamy w tym wspólny interes. Jeśli będziemy współpracować, możemy zakończyć sprawę w sposób satysfakcjonujący nas obu.

Na twarzy Husseiniego pojawił się uśmiech.

- Byłeś zawsze bardzo opanowanym facetem, co, Eric? Nigdy nie dawałeś się ponieść emocjom. Chętnie bym z tobą popracował.

- Czy masz w Rzymie środki pozwalające na inwigilację oficera policji?

- Mógłbym śledzić samego papieża. Jeśli Izraelczyk jest w Rzymie, znajdziemy go. Ale tylko tyle. Ostatnią rzeczą, której potrzebuje nasz ruch, jest ponadprogramowa działalność na europejskiej ziemi. - Mrugnął porozumiewawczo. - Pamiętaj, że zarzuciliśmy terroryzm. A poza tym Europejczycy to najlepsi przyjaciele, jakich mamy.

- Po prostu go znajdź - powiedział Lange. - Resztę zostaw mnie.

Część trzecia

Pensjonat w Rzymie

16

Rzym

Pensjonat Abruzzi powoli popadał w ruinę. Znajdował się w dzielnicy San Lorenzo, pomiędzy Stazione Termini a kościołem Santa Maria Maggiore. Fasada budynku w kolorze musztardy wyglądała tak, jakby przejechano po niej serią z karabinu maszynowego, a w holu śmierdziało kotami. Choć ten mały pensjonat sprawiał wrażenie, że się za chwilę zawali, doskonale spełniał wymagania Gabriela. O parę kroków stąd mieściła się komenda główna Polizia di Stato, a poza tym, w przeciwieństwie do większości rzymskich pensjonatów, w każdym pokoju był telefon. I co najważniejsze, jeżeli Crux Vera poszukiwało Gabriela, to ten pensjonat byłby ostatnim miejscem, w którym by się spodziewali go znaleźć.

Recepcjonista był mężczyzną o okrągłych ramionach, rumianej twarzy i miał nadwagę. Gabriel, meldując się jako Heinrich Siedler, mówił po włosku z trudnością, z tragicznym niemieckim akcentem. Recepcjonista otaksował go melancholijnym wzrokiem, po czym napisał jego nazwisko i numer paszportu do księgi gości.

Gabriel przeszedł przez zagraconą świetlicę, gdzie dwoje chorwackich nastolatków rozgrywało zażarty mecz ping-ponga. Cicho wspiął się po brudnych schodach, otworzył drzwi do pokoju i zamknął je na klucz. Poszedł do łazienki. Plamy rdzy na umywalce wyglądały jak zakrzepła krew. Umył twarz, zdjął

buty i zwalił się na łóżko. Zbyt zmęczony, by zasnąć, leżał na plecach, wsłuchując się w dochodzące z dołu pa-tam-pa-tam-pa-tam meczu tenisa stołowego, przeżywając jeszcze raz ostatnie dwadzieścia cztery godziny.

Podróżował od świtu. Zamiast polecieć bezpośrednio z Londynu do Rzymu, co wymagałoby przejścia przez kontrolę graniczną na lotnisku Fiumicino, wylądował w Nicei. Na lotnisku złożył wizytę w placówce Hertza, gdzie przyjaciel Biura, monsieur Henri, wynajął mu renaulta w taki sposób, że nie było sposobu na namierzenie wypożyczającego. Z Nicei pojechał autostradą A8. Niedaleko Monako włączył anglojęzyczne Radio Riviera, żeby usłyszeć jakieś wiadomości na temat wojny w Palestynie, a zamiast tego dowiedział się, że znaleziono Petera Malone'a zastrzelonego w swoim mieszkaniu w Londynie.

Przystanął na poboczu autostrady. Obok przemykały samochody, a Gabriel słuchał reszty informacji, zaciskając ręce coraz mocniej na kierownicy, z mocno bijącym sercem. Niczym szachowy arcymistrz przewidywał następne posunięcia i widział nadciągającą katastrofę. W domu reportera spędził dwie godziny. Malone zrobił bardzo obszerne notatki. Z pewnością londyńska policja już je znalazła. Ze względu na związek sprawy z wywiadem na pewno poinformowano już MI 5. Istniało duże prawdopodobieństwo, że w tym momencie wszystkie ważniejsze siły policyjne i służby wywiadowcze w Europie poszukują izraelskiego zabójcy o kryptonimie Miecz. Najbezpieczniejszym posunięciem byłoby teraz zadzwonić do Szamrona na awaryjny telefon, załatwić kryjówkę i siedzieć na plaży w Natanii, póki sprawa nie przyschnie. Ale to oznaczałoby zarzucenie poszukiwań morderców Benjamina. I Malone'a. Gabriel wrócił na autostradę i ruszył szybko w stronę Włoch. Na granicy senny strażnik wpuścił go do kraju leniwym machnięciem ręki.

A teraz, po niekończącej się jeździe na południe wzdłuż Półwyspu Apenińskiego, znalazł się tutaj, w zatęchłym pokoju pensjonatu Abruzzi. Odbywający się na dole mecz ping-ponga

przerodził się w coś w rodzaju nowej wojny na Bałkanach. Krzyki strony poszkodowanej wypełniły pokój Gabriela. Pomyślał o Peterze Malonie i zastanawiał się, czy ponosi odpowiedzialność za jego śmierć. Czy to on doprowadził zabójców do jego mieszkania, czy Malone po prostu miał zostać wyeliminowany? Czy Gabriel jest następny na liście? Powoli zapadając w sen, słyszał krążące mu po głowie ostrzeżenie Malone'a: „Jeśli uznają, że stanowi pan dla nich zagrożenie, zabiją pana".

Jutro rano znajdzie Alessia Rossiego. A potem wydostanie się z Rzymu tak szybko, jak tylko się da.

Gabriel spał źle. Rano obudziło go bicie kościelnych dzwonów. Otworzył oczy i zaczął mrugać pod wpływem silnego światła słonecznego. Wziął prysznic i przebrał się w świeże ubranie, po czym zszedł na dół na śniadanie. Chorwatów nigdzie nie było, spotkał tylko dwóch ostentacyjnie pobożnych amerykańskich pielgrzymów i grupę hałaśliwych studentów z Barcelony. W powietrzu wyczuwało się podniecenie. Gabriel przypomniał sobie, że jest środa, dzień, w którym Ojciec Święty witał pielgrzymów na placu Świętego Piotra.

O dziewiątej Gabriel wrócił do pokoju i zadzwonił do Alessia Rossiego z Polizia di Stato. Telefonistka przełączyła go na automatyczną sekretarkę inspektora.

- Nazywam się Heinrich Siedler - powiedział Gabriel. - Mam informacje w sprawie ojca Feliciego i ojca Manziniego. Można mnie znaleźć w pensjonacie Abruzzi.

Rozłączył się. Co teraz? Nie miał wyboru, tylko czekać i mieć nadzieję, że Rossi oddzwoni. W pokoju nie było telewizora. Stolik przy łóżku miał wbudowane radio, ale gałka do strojenia była ułamana.

Po godzinie obezwładniającej nudy po raz drugi wykręcił numer. Telefonistka znowu przełączyła go na automatyczną

sekretarkę Rossiego. Gabriel zostawił wiadomość identyczną jak pierwsza, ale z lekką nutą ponaglenia w głosie.

O jedenastej trzydzieści zadzwonił po raz trzeci. Tym razem został połączony ze współpracownikiem Rossiego, który wyjaśnił, że inspektor bada jakąś sprawę i nie wróci do biura wcześniej niż późnym popołudniem. Gabriel zostawił po raz trzeci tę samą wiadomość i rozłączył się.

Postanowił skorzystać z okazji i wyjść na miasto. Krążył po ulicach wokół kościoła Santa Maria Maggiore, rozglądając się, czy nikt go nie śledzi, ale nic nie zauważył. Poszedł wzdłuż Via Napoleone III. Marcowe powietrze było rześkie i przejrzyste, pachniało palonym drewnem. Zjadł *pasta* w restauracji niedaleko Piazza Vittorio Emanuele II. Po lunchu przeszedł się wzdłuż wyniosłej zachodniej fasady Stazione Termini, po czym spacerował wśród klasycystycznych gmachów rzymskiej dzielnicy rządowej, póki nie znalazł komendy głównej Polizia di Stato. W kawiarni naprzeciwko wypił espresso, obserwując policjantów i urzędników wchodzących do budynku i wychodzących z niego. Zastanawiał się, czy wśród nich był Rossi.

O trzeciej ruszył w drogę powrotną do pensjonatu Abruzzi. Gdy przechodził przez Piazza di Repubblica, od strony uniwersytetu weszła na plac grupa około pięciuset studentów. Na czele z agrafką na głowie szedł nieogolony chłopak. Wokół talii miał przytroczone laski sztucznego dynamitu. Za nim szli pseudożałobnicy niosący kartonową trumnę. Gdy podeszli bliżej, Gabriel zobaczył, że większość demonstrantów stanowią Włosi, włączając w to chłopaka przebranego za zamachowca-samobójcę. Skandowali „Wyzwolić Palestynę!" oraz „Śmierć Żydom!" - nie po arabsku, ale po włosku. Młoda Włoszka, mająca nie więcej niż dwadzieścia lat, wcisnęła Gabrielowi do ręki ulotkę. Przedstawiała izraelskiego premiera ubranego w mundur SS i z hitlerowskimi wąsami, miażdżącego obcasem wojskowego buta czaszkę palestyńskiej dziewczynki. Gabriel zgniótł ulotkę i cisnął ją na plac.

Minął stoisko z kwiatami. Dwóch karabinierów bezwstydnie flirtowało z pracującą tam dziewczyną. Na moment podnieśli wzrok i spojrzeli na Gabriela, nie kryjąc zainteresowania. Pewnie nic takiego, ale coś w ich spojrzeniu sprawiło, czy cały się spocił.

Szedł niespiesznie, co jakiś czas upewniając się, że nikt go nie śledzi. Po drodze minął znudzonego karabiniera siedzącego na zaparkowanym w słońcu motocyklu, obserwującego bez większego zainteresowania szaleństwo ulicznego ruchu. Gabriel zdawał się go obchodzić jeszcze mniej.

Wrócił do pensjonatu. Hiszpanie wrócili ze środowej audiencji w stanie wielkiego podniecenia. Zdaje się, że jednej ze studentek, dziewczynie z nastroszonymi włosami, udało się dotknąć ręki papieża.

W pokoju Gabriel wykręcił numer Rossiego.

- *Pronto.*
- Inspektor Rossi?
- *Si.*
- Nazywam się Heinrich Siedler. Dzwoniłem wcześniej.
- Czy wciąż pan jest w Pensione Abruzzi?
- Tak.
- Proszę tu więcej nie dzwonić. Klik.

Zapadła noc, a z nią przyszła śródziemnomorska burza. Gabriel leżał na łóżku przy otwartym oknie, słuchając deszczu tłukącego o płyty chodnikowe na dole, ale słowa z rozmowy z Alessiem Rossim wciąż dźwięczały mu w uszach, jak zapętlone nagranie.

„Czy wciąż pan jest w Pensione Abruzzi?".

„Tak".

„Proszę tu więcej nie dzwonić".

Najwyraźniej włoski policjant chciał z nim porozmawiać. Było też jasne, że nie życzy sobie więcej rozmów z Herr Siedlerem przez telefon w biurze. Gabriel nie mógł zrobić nic innego

jak czekać i mieć nadzieję, że Rossi zrobi następny ruch.

W końcu o dziewiątej odezwał się telefon. Dzwonił recepcjonista.

- Przyszedł się z panem spotkać jakiś mężczyzna.

- Jak się nazywa?

- Nie przedstawił się. Czy mam go odesłać?

- Nie, za moment zejdę.

Gabriel odwiesił słuchawkę i wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi na klucz. Na dole zastał siedzącego za kontuarem recepcjonistę. Nikogo innego nie było. Gabriel wzruszył ramionami. Tamten wskazał przypominającym parówkę palcem w stronę wietlicy. Gabriel wszedł do niej, ale byli tam tylko chorwaccy pingpongiści.

Wrócił do recepcji. Włoch uniósł bezradnie ręce i skierował wzrok na ekran czarno-białego telewizora. Gabriel wrócił na górę. Przekręcił klucz w zamku, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Zobaczył spadający cios, odbłysk światła na czarnym metalu, lecący po łuku w jego stronę, coś jakby błyszczące pasmo świeżej farby na czarnym płótnie. Zbyt późno uniósł ręce, żeby osłonić głowę. Rękojeść pistoletu trzasnęła go w podstawę czaszki za lewym uchem.

Ból przyszedł natychmiast. Widzenie rozmyło się. Nogi miał jak sparaliżowane i poczuł, jak skręcając się, upada. Napastnik schwycił go i bezszelestnie ułożył na wykładzinie. W głowie zadźwięczały mu jeszcze słowa Malone'a: „Jeśli uznają, że stanowi pan dla nich zagrożenie, zabiją pana". A potem słyszał już tylko odgłosy rozgrywanego na dole w świetlicy meczu pingponga.

Pa-tam-pa-tam-pa-tam...

Gdy odzyskał przytomność, twarz mu płonęła. Otworzył oczy i zorientował się, że patrzy w halogenową żarówkę tuż

przy jego twarzy. Ból przeszył mu tył czaszki niczym ponowny cios. Zamknął oczy i próbował obrócić głowę. Zastanawiał się, jak długo był nieprzytomny. Wystarczająco długo, żeby napastnik zdążył związać mu nadgarstki i zakleić usta taśmą do pakowania. Wystarczająco długo, żeby krew na karku wyschła.

Światło było tak blisko, że nie widział reszty pokoju. Przypuszczał, że nie opuścił pensjonatu Abruzzi. Potwierdziły to serbsko-chorwackie krzyki. Leżał na własnym łóżku.

Próbował usiąść. Ze światła wyłoniła się lufa pistoletu. Nacisnęła na jego mostek i pchnęła go z powrotem na materac. Następnie pojawiła się twarz. Głębokie cienie pod oczami, zarost na kwadratowym podbródku. Wargi poruszyły się, do uszu Gabriela doszedł głos. W tym delirycznym stanie odbierał rzeczywistość jak film ze źle zsynchronizowanym dźwiękiem, a mózg potrzebował chwili, żeby przetworzyć i zrozumieć właśnie usłyszane słowa.

- Nazywam się Alessio Rossi. Czego, kurwa, chcesz?

17

Rzym

Młodego człowieka, siedzącego okrakiem na *motorino* przy Via Gioberti otaczała aura znudzonej dumy, typowa dla rzymskich nastolatków. Nie był znudzony i nie był wcale nastolatkiem, ale trzydziestoletnim oficerem Vigilanza, przydzielonym do podlegającej Carlowi Casagrandemu sekcji specjalnej watykańskiego Biura do spraw Bezpieczeństwa. Młodzieńczy wygląd okazał się zaletą przy zleconej mu misji śledzenia inspektora Alessia Rossiego z Polizia di Stato. Mężczyzna z Vigilanzy wiedział o Rossini tylko tyle, ile musiał. Inspektor sprawiał kłopoty. Wtykał nos w nie swoje sprawy. Na koniec każdej zmiany młody policjant wracał do Watykanu i pisał szczegółowy raport, który zostawiał na biurku Casagrandego. Stary generał zawsze od razu czytał doniesienia o Rossim. Bardzo się zainteresował jego przypadkiem.

Tego dnia Rossi zachowywał się podejrzanie. Dwukrotnie - raz rano, drugi raz po południu - wyjeżdżał nieoznakowanym samochodem z komendy i jechał na Via Gioberti. Człowiek z Vigilanzy wiedział, że Rossi obserwuje pensjonat Abruzzi jak ktoś, kto podejrzewa swoją żonę o składanie wizyty mieszkającemu tam kochankowi. Oficer skontaktował się ze swoją informatorką w wydziale Rossiego, ładną, młodą dziewczyną zajmującą się odbieraniem telefonów i porządkowaniem papierów. Powiedziała mu, że inspektor otrzymał rano kilka telefonów

od gościa pensjonatu Abruzzi, który oferował informacje na temat jakiejś wygasłej sprawy. Imię gościa? Siedler, powiedziała informatorka. Heinrich Siedler. Człowiek z Vigilanzy miał przeczucie. Zsiadł z *motorino* i wszedł do pensjonatu. Kierownik zmiany spojrzał na niego znad pornograficznego pisma.

- Czy w tym hotelu mieszka człowiek o nazwisku Heinrich Siedler?

Właściciel wzruszył ociężale ramionami. Oficer przesunął po ladzie dwa banknoty i zobaczył, jak znikają w brudnej dłoni.

- Tak, z tego co wiem, mamy klienta o nazwisku Siedler. Niech sprawdzę - ostentacyjnie przejrzał księgę gości. - Aha, jest, Siedler.

Człowiek z Watykanu wyjął z kieszeni skórzanej kurtki zdjęcie i położył je na ladzie. To wywołało niezobowiązujący grymas na twarzy właściciela. Jego twarz pojaśniała na widok pieniędzy.

- Tak, to on. To Siedler.

Oficer schował zdjęcie.

- Który pokój?

Apartament na Via Pinciana był za duży dla samotnego starszego mężczyzny: wysoko sklepione pokoje, przestronny salon, duży taras z szerokim widokiem na Villa Borghese. Kiedy czasem nocą dręczyło Casagrandego wspomnienie o żonie i córce, wydawał mu się ogromny jak bazylika. Gdyby był wciąż po prostu generałem *carabinieri,* nie mógłby sobie pozwolić na takie lokum, ale ponieważ budynek należał do Watykanu, Casagrande nie płacił nic. Nie odczuwał wyrzutów sumienia, że jego wygody są opłacane z datków wiernych. Apartament służył nie tylko jako rezydencja, ale był także jego głównym biurem. W rezultacie musiał podjąć dodatkowe środki ostrożności. Przy drzwiach zawsze stał człowiek z Vigilanzy, a drugi siedział w samochodzie zaparkowanym na Via Pinciana. Raz w tygodniu ekipa z watykańskiego Biura do spraw Bezpieczeństwa sprawdzała, czy nie ma założonego podsłuchu.

Podniósł słuchawkę już po pierwszym dzwonku i od razu rozpoznał głos oficera przydzielonego do sprawy Rossiego. Wysłuchał w milczeniu raportu składanego przez mężczyznę na drugim końcu linii, a potem wystukał numer.

- Muszę rozmawiać z Bartolettim. To bardzo pilne.

- Obawiam się, że dyrektor jest chwilowo niedostępny.

- Mówi Carlo Casagrande. Proszę, żeby stał się dostępny.

- Tak jest, generale Casagrande. Proszę zaczekać.

Chwilę później Bartoletti był już na linii. Casagrande nie tracił czasu na wymianę grzeczności.

- Otrzymaliśmy informację, że zamachowiec zatrzymał się w pokoju dwadzieścia dwa w pensjonacie Abruzzi w dzielnicy San Lorenzo. Mamy podstawy, by sądzić, że jest uzbrojony i bardzo niebezpieczny.

Bartoletti rozłączył się. Casagrande zapalił papierosa i czekał.

W Paryżu Eric Lange przyłożył komórkę do ucha i usłyszał głos Rashida Husseiniego.

- Myślę, że mamy twojego człowieka.

- Gdzie jest?

- Twój włoski policjant dziwnie się zachowywał przez cały dzień. Właśnie wszedł do pensjonatu o nazwie Abruzzi, zasranej nory koło dworca.

- Przy jakiej ulicy?

- Via Gioberti.

Lange spojrzał na zegarek. Nie miał szans dostać się do Rzymu tej nocy. Musiał poczekać do rana.

- Obserwuj go - powiedział. - Zadzwoń, jeśli się ruszy z miejsca.

- Dobra.

Lange rozłączył się, po czym zadzwonił do działu rezerwacji Air France i zamówił miejsce na lot o siódmej piętnaście.

18

Rzym

Rossi przycisnął pistolet do czoła Gabriela i zerwał mu taśmę z ust.

- Kim jesteś?

Nie usłyszawszy odpowiedzi, policjant wcisnął mu boleśnie pistolet w skroń.

- Przyjacielem Benjamina Sterna.

- Chryste! To tłumaczy, czemu cię szukają.

- Kto?

- Wszyscy! Policja. Karabinierzy. Nawet wysłali za tobą SISDE.

Wciąż z bronią w garści, Rossi wyjął z kieszeni kurtki faks i podniósł go na wysokość oczu Gabriela, który zmrużył oczy. To było zdjęcie, ziarniste i najwyraźniej zrobione przez teleobiektyw, ale wystarczająco wyraźne, żeby mógł rozpoznać swoją twarz. Przyjrzał się ubraniu, które miał na fotografii, i zorientował się, że to strój Ehuda Landaua. Wysilił pamięć. Monachium... Miasteczko olimpijskie... Weiss musiał go śledzić już wtedy.

Zdjęcie uniosło się niczym kurtyna i Gabriel znowu patrzył w twarz Alessia Rossiego. Inspektor śmierdział potem i papierosami. Kołnierz koszuli miał mokry i zabrudzony. Gabriel widywał już ludzi pod presją. Rossi miał nerwy napięte do ostateczności.

- To zdjęcie zostało wysłane na każdy posterunek policji w promieniu stu kilometrów od Rzymu. Watykańskie Biuro do

spraw Bezpieczeństwa mówi, że stanowisz zagrożenie dla Ojca Świętego.

- To nieprawda.

Włoch wreszcie opuścił broń. Miejsce, gdzie lufa była przyciśnięta do skroni Gabriela, pulsowało przez kilka sekund. Rossi skierował światło na ścianę, broń trzymał w prawej ręce, opierając ją o udo.

- Skąd znasz moje nazwisko?

Gabriel odpowiedział zgodnie z prawdą.

- Malone'a też zabili - powiedział Rossi. - Jesteś następny, przyjacielu. Jeżeli cię znajdą, zginiesz.

- Kim są „oni”?

- Posłuchaj mojej rady, Herr Siedler, czy jak cię tam, kurwa, zwą, i wynoś się z Włoch. Jeśli możesz wyjechać dziś w nocy, to tym lepiej.

- Nigdzie nie pojadę, dopóki mi nie powiesz, co wiesz.

Włoch przekrzywił głowę.

- Chyba twoje położenie nie uprawnia cię do stawiania żądań, nie sądzisz? Przyszedłem tu tylko z jednego powodu - spróbować ocalić ci życie. Jeśli zignorujesz moje ostrzeżenie, to twój problem.

- Muszę dowiedzieć się, co wiesz.

- Musisz opuścić Włochy.

- Benjamin Stern był moim przyjacielem - odparł Gabriel. - Musisz mi pomóc.

Rossi patrzył przez chwilę na Gabriela pełen napięcia, po czym wszedł do łazienki. Gabriel słyszał szum wody. Rossi wrócił po chwili, przewrócił Gabriela na bok, odwiązał mu nadgarstki i podał mu zmoczony ręcznik. Gabriel wytarł krew z szyi, a Rossi podszedł do okna i rozsunął cienkie firanki.

- Dla kogo pracujesz? - spytał, patrząc na ulicę.

- Zważywszy na okoliczności, chyba będzie lepiej, jeśli nie odpowiem.

- Jezu Chryste! - wymamrotał Włoch. - W co ja się wplątałem?

Przysunął krzesło bliżej okna i po raz kolejny spojrzał na ulicę. Następnie zgasił światło, usiadł i zaczął opowiadać Gabrielowi wszystko od początku.

Monsignor Cesare Felici, stary i od dawna niepełniący posług ksiądz, zniknął pewnego czerwcowego wieczora ze swojego pokoju w Kolegium San Giovanni Evangelista. Gdy następnego dnia nie wrócił przed zmierzchem, jego koledzy zdecydowali, że czas zgłosić zaginięcie na policję. Ponieważ kolegium nie leżało na terytorium Watykanu, podlegało włoskim władzom. Do sprawy przydzielono inspektora Alessia Rossiego z Polizia di Stato. Udał się do kolegium jeszcze tego samego wieczoru.

Rossi prowadził wcześniej dochodzenia wśród duchowieństwa i widział pokoje księży. Ten należący do monsignora Feliciego wydał mu się nadzwyczaj spartański. Żadnych papierów osobistych, żadnego notatnika, listów od przyjaciół lub rodziny. Zaledwie kilka znoszonych sutann, zapasowe buty, trochę bielizny i skarpetek. Mocno wytarty różaniec. *Cilice*.

Rossi przesłuchał tamtej nocy dwadzieścia osób. Wszyscy mówili to samo. W dniu zniknięcia stary monsignor jak zwykle spacerował w ogrodzie przed pójściem do kaplicy na modlitwę i medytację. Gdy nie pojawił się na kolacji, seminarzyści i księża uznali, że pewnie był zmęczony lub źle się poczuł. Nikt nie zadał sobie trudu sprawdzenia, co się z nim dzieje, aż do późnego wieczoru, kiedy to odkryli, że zaginął.

Przewodniczący kolegium dał Rossiemu ostatnie zdjęcie monsignora razem z krótką biografią: Spędził prawie całe życie w Watykanie jako urzędnik kurii rzymskiej. Jego ostatnim stanowiskiem było, według dziekana, członkostwo w Kongregacji do spraw Mianowania Świętych. Był na emeryturze od dwudziestu lat.

Niewiele tego było, ale Rossi prowadził dochodzenia, mając jeszcze mniej danych. Następnego ranka wprowadził rysopis

zaginionego księdza do bazy danych Polizia di Stato oraz rozesłał jego zdjęcie do organów ścigania w całych Włoszech. Następnie postanowił sprawdzić, czy ostatnio nie zaginęli inni duchowni. Rossi nie miał przeczucia ani roboczej hipotezy. Chciał się tylko upewnić, czy po kraju nie krąży świr mordujący księży.

To, co odkrył, zaszokowało go. Dwa dni przed zniknięciem Feliciego zaginął w Turynie monsignor Manzini. Podobnie jak Felici Manzini odszedł ze służby w Watykanie. Ostatnio pracował w Kongregacji Nauki Wiary. Mieszkał w domu dla emerytowanych księży i podobnie jak Felici zdawał się zniknąć bez śladu.

Zniknięcie księdza Manziniego nasunęło Rossiemu szereg pytań. Czy obie sprawy były ze sobą powiązane? Czy Manzini i Felici się znali? Czy kiedykolwiek pracowali razem? Rossi uznał, że czas porozmawiać z Watykanem. Poszedł do Watykańskiego Biura do spraw Bezpieczeństwa i zażądał akt personalnych obu zaginionych księży. Watykan odrzucił jego prośbę. Zamiast tego Rossi otrzymał coś w rodzaju opinii z okresu ich pracy w kurii rzymskiej. Wynikało z niej, że obaj zajmowali niskie stanowiska, a każde było mniej znaczące od poprzedniego. Poirytowany Rossi zadał jeszcze jedno pytanie: czy się znali? Może zetknęli się przypadkiem, brzmiała odpowiedź, ale nigdy nie pracowali razem.

Rossi był pewien, że Watykan coś ukrywa. Postanowił obejść Biuro do spraw Bezpieczeństwa i samemu zdobyć akta. Jego szwagier był księdzem oddelegowanym do pracy w Watykanie. Poprosił o pomoc i duchowny, acz niechętnie, zgodził się. Tydzień później Rossi dysponował odbitkami pełnych akt osobowych obu księży.

- Znali się?

- Na to wygląda. Widzisz, Felici i Manzini pracowali w Sekretariacie Stanu podczas wojny.

- W której sekcji?

- Niemieckiej.

Rossi przerwał: przez jakiś czas uważnie obserwował ulicę. Po chwili mówił dalej.

Jakiś tydzień później otrzymał raport - była to odpowiedź na jego prośbę o przysyłanie mu meldunków o zaginionych duchownych. Ten raport wprawdzie dotyczył trochę czego innego, ale lokalna policja postanowiła mimo wszystko przesłać go Rossiemu. Niedaleko austriackiej granicy, w miasteczku Tolmezzo, zaginęła pewna starsza już wdowa. Miejscowe władze zaniechały poszukiwań i została uznana za zmarłą. Dlaczego jej zniknięcie przykuło uwagę Rossiego? Ponieważ nim wyszła za mąż, przez dziesięć lat była zakonnicą. Śluby zerwała w 1947 roku.

Rossi sporządził notatkę o swoich spostrzeżeniach i przedłożył ją szefowi wydziału, po czym poprosił o zezwolenie na wywarcie presji na Watykan - chciał, by podano mu więcej szczegółów na temat obu księży. Prośba została oddalona. Zakonnica miała we Francji córkę, mieszkającą w miasteczku Le Rouret na wzgórzach rozciągających się nad Cannes. Rossi poprosił o zezwolenie na podróż do Francji, by kobietę przesłuchać. Prośba została odrzucona. Z góry przyszła wiadomość, że sprawy te nie są ze sobą powiązane, a szperanie za murami Watykanu nic nie da.

- Kto to powiedział?

- Sam staruszek - powiedział Rossi. - Carlo Casagrande.

- Casagrande? Skąd ja znam to nazwisko?

- Generał Carlo Casagrande był szefem antyterrorystów L'arma dei Carabinieri w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. To on rozgromił Czerwone Brygady i sprawił, że Włochy znów stały się bezpieczne. Z tego powodu obwołano go niemal bohaterem narodowym. Teraz pracuje dla watykańskiego Biura do spraw Bezpieczeństwa, ale we włoskim wywiadzie i służbach bezpieczeństwa wciąż traktują go jak boga. Jest nieomylny. Gdy Casagrande mówi, wszyscy słuchają. Jeśli Casagrande chce zamknąć sprawę, sprawa będzie zamknięta.

- Kto zabija? - spytał Gabriel.

Policjant wzruszył ramionami i pomyślał: Mówimy o Watykanie, przyjacielu.

- Ktokolwiek by za tym stał, Watykan nie chce śledztwa. Reguła milczenia jest ściśle przestrzegana, a Casagrande używa swoich wpływów, żeby trzymać włoską policję na krótkiej smyczy.

- Jak nazywała się ta zakonnica, która zniknęła w Tolmezzo?

- Regina Carcassi.

„Znajdź siostrę Reginę i Martina Luthera. Wtedy dowiesz się, co naprawdę stało się w klasztorze".

- A w którym klasztorze żyła w czasie wojny, nim zerwała śluby?

- Chyba gdzieś na północy. - Rossi zawahał się przez moment, grzebiąc w pamięci. - A tak, w klasztorze Najświętszego Serca Jezusowego. Stoi nad jeziorem Garda, w miasteczku o nazwie Brenzone. Ładne miejsce.

Coś na ulicy przykuło jego uwagę. Wychylił się i rozsunął firanki, patrząc uważnie na zewnątrz. Skoczył na równe nogi i schwycił Gabriela za ramię.

- Wychodzimy! Natychmiast!

Pierwsi policjanci wpadli przez główne drzwi pensjonatu: dwóch tajniaków z Polizia di Stato, a za nimi sześciu karabinierów z przewieszonymi przez klatki piersiowe pistoletami maszynowymi. Rossi poprowadził Gabriela przez świetlicę, a potem w dół krótkim korytarzem prowadzącym do metalowych drzwi wychodzących na ciemne wewnętrzne podwórko. Gabriel słyszał, jak policja wali w drzwi jego pokoju na górze. Szczęśliwie uniknęli pierwszej fali, ale z pewnością nie był to koniec.

Po drugiej stronie placu było przejście prowadzące na ulicę równoległą do Via Gioberti. Rossi złapał Gabriela za ramię i pociągnął go w stronę wyjścia. Gabriel słyszał, jak na drugim piętrze pensjonatu karabinierzy wywalają drzwi.

Rossi znieruchomiał na widok dwóch kolejnych karabinierów wbiegających przez bramę z bronią gotową do strzału. Gabriel szturchnął go i znów zaczęli biec. Karabinierzy wpadli na podwórko, zatrzymali się i wycelowali w nich pistolety maszynowe. Gabriel widział, że poddanie się nie wchodzi w rachubę. Rzucił się na ziemię, twardo lądując na klatce piersiowej, a pierwsza seria przeszyła powietrze nad jego głową. Rossi nie był wystarczająco szybki. Trafiony w ramię, upadł na ziemię, wypuszczając z dłoni berettę. Gabriel wyciągnął ramię i przyciągnął broń do siebie. Nie zwlekając, uniósł się na łokciach i zaczął strzelać. Pierwszy karabinier padł, po nim drugi.

Gabriel podczołgał się do Rossiego. Jego rana na prawym barku mocno krwawiła.

- Gdzie się nauczyłeś tak strzelać?

- Możesz chodzić?

- Pomóż mi wstać.

Gabriel podniósł Rossiego, objął w pasie ramieniem i poprowadził w stronę przejścia. Gdy mijali martwych karabinierów, usłyszał z tyłu krzyki. Puścił Rossiego i schwycił jeden z pistoletów maszynowych, przyklęknął i przejechał serią po ścianie pensjonatu. Usłyszał wrzask i zobaczył szukających ukrycia policjantów.

Gabriel złapał zapasowy magazynek, załadował go do automatu, a dziewięciomilimetrową berettę Rossiego wsunął za pasek. Ujął inspektora pod lewe ramię i pociągnął go za bramę. Gdy już zbliżali się do ulicy, pojawiło się dwóch następnych karabinierów. Gabriel strzelił natychmiast, zwalając obydwu z nóg.

Gdy dotarli do ulicy, Gabriel zawahał się. Z lewej jechał w ich stronę samochód z błyskającymi światłami i wyjącą syreną. Z prawej nadbiegało czterech ludzi. Po drugiej stronie ulicy było wejście do trattorii.

Gdy Gabriel zrobił krok naprzód, z bramy odezwały się strzały. Rzucił się w lewo, kryjąc się pod ścianą i próbując pociągnąć za sobą Rossiego, ale Włoch dostał dwa razy w plecy.

Zastygł bez ruchu z rozrzuconymi ramionami i głową odchyloną do tyłu, gdy ostatnia seria przeszyła mu prawą stronę brzucha.

Gabriel nie mógł już nic dla niego zrobić. Pokonał sprintem ulicę i wbiegł do restauracji. Gdy wpadał do sali jadalnej z automatem w ręku, rozpętało się pandemonium.

Zaczął krzyczeć po włosku: „Terroryści! Terroryści! Uciekać! Prędko!".

Wszyscy jednocześnie zerwali się z krzeseł i rzucili się do drzwi. Biegnąc w stronę kuchni, Gabriel słyszał wściekłych karabinierów wrzeszczących na gości, by usunęli się z drogi.

Przebiegł przez malutką kuchnię obok zaskoczonych kucharzy i kopnięciem otworzył tylne wyjście. Znalazł się w wąskiej uliczce, nie szerszej niż półtora metra, zatęchłej i ciemnej jak szyb w kopalni. Zatrzasnął z hukiem drzwi i biegł dalej. Kilka sekund później drzwi otworzyły się ponownie. Gabriel odwrócił się i wypełnił serią strzałów uliczkę. Drzwi zatrzasnęły się.

Uliczka wyprowadziła go na szeroki bulwar. Na prawo miał fasadę kościoła Santa Maria Maggiore, a na lewo rozpościerał się plac Vittorio Emanuele. Rzucił za siebie automat i przeszedł przez ulicę, lawirując wśród tłumu. Ze wszystkich stron wyły syreny.

Kluczył wąskimi uliczkami, po czym przebiegł przez jeszcze jeden ruchliwy bulwar, Via Merulana, i znalazł się w parku otaczającym Koloseum. Trzymał się ciemnych alejek. Karabinierzy musieli używać latarek, dzięki czemu łatwo mógł ich unikać.

Po dziesięciu minutach Gabriel doszedł do rzeki. Z budki telefonicznej na nabrzeżu zadzwonił pod numer, którego jeszcze nigdy nie musiał wykręcać. Po pierwszym sygnale odebrała młoda kobieta o przyjemnym głosie. Zagadnęła go po hebrajsku. To był najprzyjemniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek usłyszał. Podał hasło, po czym wyrecytował szereg cyfr. Przez parę sekund dziewczyna milczała, wklepując liczby w komputer.

Potem spytała:

- Co jest nie tak?

- Mam kłopoty. Musicie mnie stąd wyciągnąć.
- Jesteś ranny?
- Lekko.
- Jesteś bezpieczny tam, gdzie stoisz?
- Przez chwilę, ale nie na długo.
- Zadzwoń za dziesięć minut. I cały czas się przemieszczaj.

19

Rzym

Via Gioberti jarzyła się niebieskimi światłami błyskających kogutów. Achille Bartoletti wyszedł z pensjonatu Abruzzi i na zatłoczonej ulicy dostrzegł samochód Carla Casagrandego. Dyrektor włoskich służb bezpieczeństwa podszedł do niego pewnym krokiem szefa i wsiadł na tylne siedzenie.

- Pański zamachowiec jest cholernie dobry, generale. Mam nadzieję, że nigdy nie uda mu się zbliżyć do Ojca Świętego.

- Ile ofiar?

- Czterech karabinierów zabitych, sześciu rannych.

- Dobry Boże... - wyszeptał Casagrande.

- Obawiam się, że jest jeszcze jedna ofiara - inspektor z Polizia di Stato, Alessio Rossi. Najwyraźniej był w pokoju zamachowca, gdy karabinierzy wkroczyli do akcji. Z jakiegoś powodu Rossi próbował uciec razem z nim.

Casagrande udał zdziwienie. Ale ton kolejnego pytania świadczył o tym, że Bartoletti nie dał się zwieść.

- Czy w tej sprawie jest coś, o czym zapomniał pan wspomnieć, generale?

Casagrande odwzajemnił zagadkowe spojrzenie Bartolettiego i powoli pokręcił głową.

- Powiedziałem wszystko, co wiem, Achille.

- Rozumiem.

Casagrande próbował szybko zmienić temat.

- W jakim stanie jest Rossi?

- Obawiam się, że także nie żyje.

- Izraelczyk?

- Nie, wygląda na to, że zastrzelili go karabinierzy.

- Czy w pokoju coś znaleziono?

- Tylko ubranie na zmianę. Żadnych papierów, nic, co pomogłoby ustalić jego tożsamość. Dobry jest.

Casagrande spojrzał w górę, na otwarte okno na drugim piętrze pensjonatu. Miał nadzieję, że sprawa zostanie załatwiona po cichu. Teraz musi obrócić zdarzenia na swoją korzyść.

- Sądząc po dzisiejszym spektaklu, wiadomo, że facet jest zawodowcem.

- Trudno z tym dyskutować, generale.

- Co do Rossiego, może był jakoś wplątany w spisek.

- Może - odparł Bartoletti bez przekonania.

- W żadnym wypadku nie wolno dopuścić, by Izraelczyk opuścił Rzym.

- Setki policjantów właśnie go szukają.

- Nie zostanie w Rzymie długo. Wyjedzie przy pierwszej nadarzającej się okazji. Na twoim miejscu zamknąłbym miasto i postawił obserwatorów na wszystkich dworcach kolejowych i autobusowych.

Wyraz twarzy Bartolettiego dawał do zrozumienia, że nie lubi być traktowany jak ktoś niekompetentny, komu trzeba mówić, jak należy prowadzić poszukiwania.

- Obawiam się, że ta sprawa ma na razie niewielki związek z Watykanem, generale Casagrande. W końcu to pięciu włoskich policjantów zostało zabitych na włoskiej ziemi. Będziemy działać w taki sposób, jaki uznamy za najstosowniejszy, i jeżeli rozwój wypadków da nam do tego podstawy, poinformujemy o wynikach watykańskie Biuro do spraw Bezpieczeństwa.

Uczeń obrócił się przeciwko mistrzowi, pomyślał Casagrande. Zawsze tak się dzieje przy tego rodzaju związkach.

- Oczywiście, Achille - powiedział z pokorą. - Nie chciałem cię urazić.

- Nie czuję się urażony, generale. Ale nie liczyłbym specjalnie na to, że ten człowiek po prostu zniknie. A jeśli chodzi o mnie, bardzo chciałbym wiedzieć, co inspektor Rossi robił u niego w pokoju. Sądzę, że pan także.

Nie czekając na odpowiedź, Bartoletti wysiadł z samochodu i odszedł szybkim krokiem. Kierowca Casagrandego spojrzał w lusterko wsteczne.

- Wracamy na Via Pinciana, generale?

Casagrande pokręcił głową.

- *Il Vaticano.*

W kiosku z pamiątkami opodal Forum Gabriel kupił ciemnoniebieską bluzę z kapturem ze zdobiącym przód napisem *Viva Roma!*. W publicznej toalecie zdjął koszulę i wepchnął ją do kosza na śmieci. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że kula zadrasnęła mu prawy bok, zostawiając pod pachą krwawą bruzdę. Papierem toaletowym wytarł krew, po czym ostrożnie włożył bluzę. Berettę Rossiego wciąż miał wetkniętą za pasek spodni. Wyszedł na dwór i ruszył na północ w stronę Piazza Navona.

Po raz drugi zadzwonił na linię awaryjną. Odebrała ta sama kobieta i kazała mu pójść do kościoła Santa Maria della Pace. W środku, obok konfesjonałów, będzie na niego czekał mężczyzna w brązowym płaszczu ze złożonym egzemplarzem „L'Osservatore Romano", który mu powie, co ma robić dalej.

Teraz podstawowym obowiązkiem Gabriela było zatroszczenie się o bezpieczeństwo ludzi, którzy ruszyli mu na ratunek. Musiał upewnić się, że nie wciąga ich w pułapkę. Klucząc przez labirynt wąskich uliczek i alejek w Centro Storico, wmieszał

się w tłum turystów i zwykłych rzymian, unikał głównych arterii. Wciąż dochodziło go wycie syren policyjnych, ale był pewien, że nikt go nie śledzi.

Piazza Navona patrolowali dwójkami karabinierzy. Gabriel naciągnął na głowę kaptur i dołączył do grupki ludzi skupionych wokół mężczyzny grającego na gitarze obok fontanny. Rozejrzał się i stwierdził, że północny kraniec placu jest wolny od policjantów. Odwrócił się, przeszedł przez plac i ruszył wąską uliczką w stronę kościoła. Na schodach siedział żebrak. Gabriel ominął go i wszedł do środka.

Powitał go zapach kadzidła. Pomyślał o Wenecji. O ciszy panującej w San Zaccaria. Teraz polował na niego każdy policjant w Rzymie. Ledwie dwa tygodnie wcześniej w spokoju odnawiał jeden z najważniejszych obrazów we Włoszech. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie mógł wrócić do normalnego życia.

Zatrzymał się przed naczyniem z wodą święconą, ale rozmyślił się i wszedł do nawy. Przed rzędem ofiarnych świeczek klęczała starsza kobieta. Naprzeciwko konfesjonału siedział mężczyzna w jasnobrązowym płaszczu. Na ławce leżał złożony na pół egzemplarz „L'Osservatore Romano". Gabriel usiadł obok.

- Krwawisz - powiedział człowiek w płaszczu. Gabriel spojrzał w dół i zobaczył, że bok bluzy rzeczywiście był nasiąknięty krwią. - Potrzebujesz lekarza?

- Nic mi nie będzie. Wynośmy się stąd.

- Ja nie. Jestem tylko posłańcem.

- Dokąd mam pójść?

- Na zewnątrz stoi zaparkowany srebrny motocykl BMW. Kierowca ma czerwony hełm.

Gabriel wyszedł. Zobaczył motocykl. Gdy się zbliżył, kierowca wcisnął starter i uruchomił silnik. Gabriel przerzucił nogę przez tył pojazdu i objął w pasie motocyklistę. Motor włączył się do ruchu i pomknął w kierunku rzeki.

Gabriel szybko zorientował się, że motocyklem kieruje kobieta: okrągłe biodra, wąska talia i smukłe, opięte dżinsami

uda, włosy wysuwające się spod kasku, kręcone i pachnące jaśminem i tytoniem. Był pewien, że rozpoznaje ten zapach.

Przemknęli wzdłuż Lungotevere. Po prawej stronie Gabriel widział kopułę Świętego Piotra, wystrzelającą ponad Wzgórze Watykańskie. Gdy przejeżdżali przez Tyber, cisnął berettę Rossiego w czarną wodę.

Wjechali na wzgórze Janikulum. Na Piazza Ceresi skręcili w ostro nachyloną ulicę mieszkalną porośniętą sosnami. Po jej bokach stały niewielkie rezydencje. Motocykl zwolnił, gdy dojeżdżali do starego pałacyku zamienionego na kompleks mieszkaniowy. Kobieta zgasiła silnik i na luzie wjechali przez bramę na ciemny dziedziniec, gdzie się zatrzymali.

Gabriel poszedł za nią do holu, a potem po schodach na drugie piętro. Otworzyła drzwi i wciągnęła go do środka. W ciemnym przedpokoju rozpięła skórzaną motocyklową kurtkę i zdjęła kask. Włosy rozsypały się jej na ramionach. Zapaliła światło.

- To ty? - powiedział Gabriel.

Dziewczyna uśmiechnęła się. To była Chiara, córka rabina z Wenecji.

Drugi raz tego wieczoru telefon komórkowy Erica Langego zaćwierkał na stoliku w pokoju hotelowym w Paryżu. Zabójca przyłożył go do ucha i słuchał w milczeniu, jak Rashid Husseini opowiada o strzelaninie w pensjonacie Abruzzi. Jasne było, że Carlo Casagrande wiedział o Allonie i że wysłał bandę niekompetentnych policjantów na robotę, którą mógł spokojnie wykonać jeden sprawny człowiek z bronią. Być może właśnie niknął cień szansy, by Lange mógł rozprawić się z Allonem własnoręcznie.

- Co teraz robicie? - spytał Lange.

- Szukamy go, podobnie jak połowa włoskiej policji. Nie ma gwarancji, że go znajdziemy. Izraelczycy są dobrzy w wyciąganiu swoich ludzi z tarapatów.

- Owszem, są - powiedział Lange. - Powiedziałbym, że rzymska placówka izraelskiego wywiadu jest dzisiejszej nocy bardzo zajęta. Znaleźli się w piekielnie trudnej sytuacji.

- To fakt.

- Czy namierzyliście kogoś z nich w Rzymie?

- Mamy dwóch czy trzech pewniaków - odparł Husseini.

- Warto byłoby ich śledzić. Przy odrobinie szczęścia doprowadzą cię prosto do niego.

- Przypominasz mi Abu Dżihada. On też był genialny.

- Będę w Rzymie rano.

- Podaj mi szczegóły. Wyślę kogoś na lotnisko.

Gabriel siedział pod prysznicem, obmywając ranę i zeskrobując krew z włosów. Gdy wyszedł, owinięty w biały ręcznik, Chiara oczyściła mu ranę i owinęła brzuch grubym bandażem. Na końcu dała mu zastrzyk z antybiotyku i wręczyła dwie żółte kapsułki.

- Co to jest?

- Coś na ból. Weź je. Będzie ci się lepiej spało.

Gabriel połknął tabletki, popijając haustem wody mineralnej z plastikowej butelki.

- Położyłam ci na łóżku czyste ubranie. Jesteś głodny?

Gabriel pokręcił głową i poszedł do sypialni, żeby się przebrać.

Kiedy uciekał, nerwy i adrenalina sprawiły, że nic nie czuł. Teraz jednak bolało go tak, jakby miał wbity w bok ostry nóż.

Chiara położyła mu na łóżku niebieski dres. Gabriel włożył go ostrożnie. Ubranie było przewidziane na kogoś o kilkanaście centymetrów wyższego, musiał więc podwinąć rękawy i nogawki. Dziewczyna siedziała w pokoju, oglądając wiadomości w telewizji. Gdy wyszedł, na chwilę oderwała wzrok od ekranu, żeby się przyjrzeć Gabrielowi. Zmarszczyła brwi.

- Jutro rano kupię ci jakieś porządne ubranie.

- Ilu zabitych?

- Pięciu - odparła. - Kilku rannych.

Pięciu zabitych... Gabriel zamknął oczy i przemógł ogarniające go mdłości. Nagły ból przeszył mu bok. Chiara, widząc, że cierpi, dotknęła dłonią jego czoło.

- Masz gorączkę - powiedziała. - Musisz się przespać.

- Zawsze miałem trudności z zasypianiem w takich sytuacjach.

- Rozumiem... Chyba. Co powiesz na kieliszek wina?

- Przy środkach przeciwbólowych?

- Może ci pomóc.

- Mały.

Poszła do kuchni. Gabriel wycelował pilota w telewizor i ekran zrobił się czarny. Chiara wróciła i podała mu kieliszek czerwonego wina.

- Ty nie pijesz? Pokręciła głową.

- Moim zadaniem jest zapewnić ci bezpieczeństwo. Gabriel łyknął trochę wina.

- Naprawdę nazywasz się Chiara Zolli? Skinęła głową.

- I naprawdę jesteś córką rabina?

- Tak, naprawdę.

- Gdzie jesteś przydzielona?

- Oficjalnie do placówki w Rzymie, ale sporo podróżuję.

- Co robisz?

- Och, no wiesz, trochę to, trochę tamto.

- A tamtej nocy?

- Szamron poprosił, żebym cię pilnowała podczas tego pobytu w Wenecji. Wyobraź sobie moje zdziwienie, gdy przyszedłeś do Comunità Ebraica, żeby spotkać się z moim ojcem.

- Co ci powiedział o naszej rozmowie?

- Że zadawałeś mu mnóstwo pytań o włoskich Żydów w czasie wojny i o klasztor Najświętszego Serca Jezusowego nad jeziorem Garda. Czemu nie opowiesz mi wszystkiego?

Bo niestarczy mi siły, pomyślał, po czym zapytał:

- Jak długo muszę tu zostać?

- Pazner powie ci wszystko jutro rano.

- Kto to jest Pazner?

Chiara uśmiechnęła się.

- Rzeczywiście wypadłeś z gry na dłuższy czas. Szymon Pazner jest szefem rzymskiej placówki. W tej chwili stara się wykombinować, jak wydostać cię z Włoch i przewieźć do Izraela.

- Nie wracam do Izraela.

- Cóż, tu nie możesz zostać. Mam włączyć telewizor? Wszyscy policjanci we Włoszech cię szukają. Ale decyzja nie należy do mnie. Jestem tylko zwykłym agentem. Pazner zadzwoni rano.

Gabriel był zbyt osłabiony, żeby się z nią sprzeczać. Połączenie wina ze środkami przeciwbólowymi sprawiło, że powieki mu opadały i w całym ciele czuł odrętwienie. Pewnie tak było lepiej. Chiara pomogła mu wstać i zaprowadziła go do sypialni. Gdy się kładł, ból przeszył mu bok. Ostrożnie ułożył głowę na poduszce. Chiara zgasiła światło i usiadła z berettą na kolanach w stojącym obok łóżka fotelu.

- Nie zasnę, jeśli tu będziesz.

- Zaśniesz.

- Idź do drugiego pokoju.

- Nie wolno mi cię zostawić.

Gabriel zamknął oczy. Dziewczyna miała rację. Po paru minutach odpłynął w nieświadomość. W jego śnie roiło się od koszmarów. Uczestniczył znowu w strzelaninie na podwórku i widział zalanych krwią karabinierów. Alessio Rossi pojawił się w jego pokoju w pensjonacie, ale był ubrany jak ksiądz, a zamiast beretty wycelował w jego głowę krucyfiks. Umierającego Rossiego, z rozrzuconymi szeroko ramionami i bokiem przebitym przez kulę, Gabriel ujrzał jako obraz Caravaggia.

Przyszła Leah. Zeszła z ołtarza i zrzuciła szaty. Gabriel pieścił jej skórę i odkrył, że jej szramy zniknęły. Jej usta smakowały

oliwkami; sutki przyciśnięte do jego klatki piersiowej były sztywne i chłodne. Wzięła go w głąb siebie i powoli doprowadziła do orgazmu. Gdy Gabriel skończył wewnątrz niej, spytała, dlaczego zakochał się w Annie Rolfe. Kocham tylko ciebie, odpowiedział. I zawsze będę kochał tylko ciebie.

Przecknął się na moment; sen był tak sugestywny, że spodziewał się zobaczyć Leah w pokoju. Ale gdy otworzył oczy, zobaczył tylko twarz Chiary siedzącej w fotelu i obserwującej go z pistoletem w dłoni.

20

Rzym

Szymon Pazner przyjechał do kryjówki Gabriela o ósmej następnego ranka. Był przysadzistym, potężnie zbudowanym mężczyzną o włosach koloru stali, ze szramami po ospie na szerokich policzkach. Po jego nieogolonej twarzy i czerwonych obwódkach wokół oczu można było wnioskować, że nie spał tej nocy. Bez słowa nalał sobie filiżankę kawy i rzucił na stół kuchenny poranną prasę. Strzelanina w dzielnicy San Lorenzo była tematem pierwszych stron wszystkich gazet. Gabriel, wciąż przymulony lekarstwami, spojrzał na leżącą na stole prasę, ale nie był w stanie zdobyć się na najmniejszy nawet grymas.

- Narobiłeś w moim mieście niezłego bałaganu. - Pazner wlał pół filiżanki kawy prosto do gardła i skrzywił się. - Wyobraź sobie moje zaskoczenie, gdy dostałem wiadomość, że wielki Gabriel Allon ucieka i trzeba się nim zająć. Chyba ktoś na Bulwarze Króla Saula powinien mieć na tyle zdrowego rozsądku, by poinformować szefa rzymskiej placówki, że Gabriel Allon jest w mieście i ma kogoś zdjąć.

- Nie przyjechałem do Rzymu, żeby kogoś zdjąć.

- Pieprzysz - wypalił Pazner. - Po prostu pieprzysz.

Pazner spojrzał na Chiarę, która weszła do kuchni. Miała na sobie szlafrok. Jej włosy, wciąż mokre po prysznicu, były zaczesane do tyłu. Nalała sobie trochę kawy i usiadła przy stole obok Gabriela.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co się stanie, jeśli Włosi dowiedzą się, kim jesteś? - powiedział Pazner. - Jak to wpłynie na nasze stosunki? Oni już nigdy nie zechcą z nami współpracować.

- Wiem. Ale nie przyjechałem tu, żeby kogokolwiek zamordować. To mnie próbowano zabić.

Pazner przyciągnął sobie krzesło i usiadł, opierając grube przedramiona na stole.

- Co robiłeś w Rzymie, Gabrielu? I proszę cię, nie chrzań głupot.

Gdy Gabriel powiedział Paznerowi, że wykonywał zadanie zlecone przez Szamrona, szef placówki odchylił okrągłą głowę do tyłu i patrząc w sufit, wypuścił powietrze z płuc.

- Szamron? To dlatego nikt przy Bulwarze Króla Saula nie wie, nad czym pracujesz. Chryste! Powinienem był się domyślić, że to on za tym stoi.

Gabriel odsunął gazety. Uznał, że Paznerowi należą się wyjaśnienia. Przyjazd do Rzymu po zabójstwie Malone'a był zuchwałością. Nie docenił możliwości swoich wrogów i zostawił Paznerowi sprzątanie koszmarnego bałaganu. Wypił filiżankę kawy na rozjaśnienie umysłu i opowiedział całą historię od początku. Chiara przez cały czas nie odrywała od niego wzroku. Paznerowi udało się zachować spokój przez dłuższy czas, ale pod koniec relacji nerwowo palił papierosa za papierosem.

- Wygląda na to, że śledzili Rossiego - powiedział. - A Rossi doprowadził ich do ciebie.

- Chyba wiedział, że jest śledzony. Siedząc w moim pokoju, nie odchodził od okna. Zobaczył, że po nas idą, ale było za późno.

- Czy w pokoju było coś, co pozwoliłoby powiązać cię z Biurem?

Gabriel pokręcił głową, po czym spytał Paznera, czy słyszał o organizacji o nazwie Crux Vera.

- Słyszy się bardzo różne plotki na temat tajnych stowarzyszeń i watykańskich intryg we Włoszech - odparł Pazner. - Pamiętasz skandal z P2 w latach osiemdziesiątych?

Słabo, pomyślał Gabriel. Zupełnie przypadkiem włoska policja natrafiła na dokument ujawniający istnienie tajnego prawicowego stowarzyszenia, które przeniknęło do najwyższych kręgów władzy, armii i wywiadu. I, najwyraźniej, do Watykanu.

- Słyszałem nazwę Crux Vera - ciągnął Pazner - ale nigdy się nią bliżej nie interesowałem. Rzecz jasna do teraz.

- Kiedy stąd wyjadę?

- Zabierzemy cię dzisiaj wieczorem.

- Dokąd?

Pazner wskazał głową na wschód, a po pewności widocznej w jego spojrzeniu dla Gabriela było jasne, że chodzi o Izrael.

- Nie chcę wracać do Izraela. Chcę się dowiedzieć, kto zabił • Benjamina.

- Nie możesz teraz podróżować po Europie. Jesteś spalony. Wracasz do Izraela, koniec, kropka. Szamron już nie dowodzi. Szefem jest Lew i nie ma zamiaru przestać nim być z powodu jakiejś awantury starego.

- Jak chcecie mnie wyciągnąć z tego kraju?

- Tak samo jak Wanunu. Łodzią.

- O ile mnie pamięć nie myli, to też była awantura Szamrona.

Mordechaj Wanunu był pracownikiem centrum atomowego w Dimonie, który ujawnił londyńskiej gazecie istnienie izraelskiego arsenału jądrowego. Agentka o nazwisku Cheryl Ben-Tow zwabiła Wanunu z Londynu do Rzymu, gdzie został porwany i przewieziony niewielką łodzią na pokład okrętu izraelskiej marynarki wojennej czekającego przy włoskim wybrzeżu. Niewielu ludzi spoza Biura znało prawdę: ucieczkę i zdradę izraelskich tajemnic przez Wanunu zaplanował Arie Szamron, on też nadzorował całą akcję. Było to ostrzeżenie dla wrogów Izraela, że nie mają szans, by kiedykolwiek dogonić ich w wyścigu zbrojeń jądrowych, a ponadto dawało rządowi okazję, by publicznie zaprzeczyć posiadaniu broni atomowej.

- Wanunu opuścił Włochy związany i i pod działaniem środków odurzających. - powiedział Pazner. - Oszczędzimy ci tej hańby, o ile będziesz się dobrze sprawował.

- Skąd wypływamy?

- Niedaleko Fiumicino jest doskonale nadająca się do tego celu plaża. Odpłyniesz z niej motorówką o dziewiątej. Pięć mil od brzegu będzie na ciebie czekał jacht, z jednym tylko członkiem załogi. Ten człowiek pracuje dla Biura, ale przez wiele lat był kapitanem kanonierki. Zabierze cię do Tel Awiwu. Kilka dni na morzu dobrze ci zrobi.

- Kto przewiezie mnie na jacht?

Pazner spojrzał na Chiarę.

- Wychowała się w Wenecji. Cholernie dobrze radzi sobie z łódką.

- Świetnie kieruje motocyklem - powiedział Gabriel. Pazner pochylił się nad stołem.

- Szkoda, że nie widziałeś jej z berettą.

Eric Lange przyleciał na lotnisko Fiumicino o dziewiątej tego samego ranka. Po przejściu przez kontrolę celną i paszportową zauważył człowieka Rashida Husseiniego, stojącego w hali przylotów - trzymał brązową tekturową tablicę z napisem *Transeuro Technologies - p. Bowman*. Poszli razem na zewnątrz, na kryty parking, gdzie czekał samochód, zdezelowana beżowa lancia. Człowiek Husseiniego kierował nią z nieuzasadnioną ostrożnością. Przedstawił się jako Aziz. Mówił po angielsku z lekkim brytyjskim akcentem i, podobnie jak Husseini, miał wygląd naukowca.

Zawiózł Langego do zszarzałej kamienicy u stóp Wzgórza Awentyńskiego i poprowadził go rozsypującymi się schodami na ponure piętro. W mieszkaniu nie było mebli, jeśli nie liczyć telewizora podłączonego do umieszczonej na balkonie anteny satelitarnej. Aziz dał Langemu broń, dziewięciomilimetrowego makarowa z przykręconym do lufy tłumikiem, po czym w

kuchennej części pokoju zaparzył kawę po turecku. Przez następne trzy godziny siedzieli na podłodze ze skrzyżowanymi nogami jak Beduini. Pijąc kawę, oglądali wojnę na ziemiach palestyńskich w telewizji Al-Dżazira. Palestyńczyk wyjął paczkę amerykańskich papierosów. Gdy pokazywano jakikolwiek akt przemocy, wyrzucał z siebie wiązankę arabskich przekleństw.

O drugiej po południu zszedł na dół kupić chleb i ser w sklepie spożywczym. Wróciwszy, zastał Langego zafascynowanego programem kulinarnym na amerykańskiej kablówce. Ponownie zaparzył kawę i bez pytania o pozwolenie przełączył telewizor z powrotem na Al-Dżazirę. Lange zjadł niewielki lunch, po czym zrobił z płaszcza poduszkę i wyciągnął się na podłodze, by uciąć sobie drzemkę. Obudziło go brzęczenie komórki Aziza. Arab słuchał z uwagą i zapisywał coś na papierowej torbie.

Aziz rozłączył się i wrócił do oglądania telewizji. Spiker właśnie komentował z przejęciem fragment nagrania wideo pokazujący izraelskich żołnierzy strzelających do grupy palestyńskich chłopców.

Aziz zapalił kolejnego papierosa i spojrzał na Langego.

- Chodźmy zabić drania.

O zmierzchu rana bolała Gabriela mniej i wrócił mu apetyt. Chiara ugotowała *fettucini* z grzybami i śmietaną, a potem obejrzeli wieczorne wiadomości. Pierwsze dziesięć minut serwisu poświęcone było poszukiwaniom zamachowca. Pokazywano uzbrojone po zęby włoskie służby bezpieczeństwa patrolujące krajowe lotniska i granice, a korespondent opisywał ich wysiłki jako jedne z największych łowów w historii Włoch. Gdy na ekranie pojawiło się zdjęcie Gabriela, Chiara ścisnęła jego rękę.

Po kolacji zmieniła Gabrielowi opatrunek i dała mu kolejny zastrzyk antybiotyku. Gdy zaproponowała mu coś od bólu, odmówił. O piątej trzydzieści przebrali się w nowe rzeczy.

Prognoza pogody mówiła o deszczu i burzliwym morzu, założyli więc bieliznę z polaru, wodoodporne kombinezony, ocieplane skarpetki i gumowe buty. Pazner dał Gabrielowi fałszywy kanadyjski paszport i dziewięciomilimetrową berettę. Gabriel schował dokument w zapinanej na suwak kieszeni kurtki i wsunął do kieszeni pistolet tak, żeby dał się łatwo wyjąć.

Pazner przyjechał o szóstej. Na jego szerokiej twarzy malowało się skupienie, ruchy miał energiczne i pewne. Pijąc ostatnią filiżankę kawy, spokojnie zapoznał Chiarę i Gabriela ze szczegółami operacji. Wyjaśnił, że wyjazd z Rzymu będzie jej najtrudniejszą częścią. Policja zorganizowała ruchome punkty kontrolne i losowo zatrzymywała pojazdy w całym mieście. Spokój Paznera udzielił się Gabrielowi.

O siódmej wyszli z mieszkania. Gdy schodzili po schodach, Pazner ostentacyjnie głośno wypowiedział parę słów w doskonałym włoskim. Na parkingu stała zaparkowana ciemnoszara furgonetka marki Volkswagen. Pazner usiadł z przodu, obok kierowcy, a Gabriel i Chiara wgramolili się przez boczne drzwi do części bagażowej. Kierowca uruchomił silnik i włączył wycieraczki. Ubrany był w niebieski kombinezon, a jego dłonie ściskające kierownicę przypominały ręce pianisty. Pazner mówił do niego Reuwen.

Furgonetka ruszyła gwałtownie i wyjechała na dziedziniec, po czym skręciła w prawo i przyspieszywszy, włączyła się do ruchu. Leżąc na podłodze, Gabriel nie widział nic oprócz nocnego nieba i refleksów przesuwających się obok świateł samochodów. Wiedział, że kierują się na zachód. Chcieli uniknąć kontroli na głównych arteriach i na autostradzie, więc Pazner wytyczył trasę nad morze bocznymi uliczkami i mniej ważnymi drogami.

Gabriel spojrzał na Chiarę i oczy ich się spotkały. Jednak szybko odwróciła wzrok. Oparł głowę o ściankę furgonetki i zamknął powieki.

Aziz przedstawił Langemu sytuację podczas krótkiej jazdy ze Wzgórza Awentyńskiego do starego pałacu pod szczytem Janikulum. Palestyński wywiad od paru lat wiedział, że Szymon Pazner jest agentem izraelskiego wywiadu. Śledzili wszystko, co robił, monitorowali przebieg jego kariery. W Rzymie był pod ciągłą obserwacją, bo uznano, że szefuje tutejszej placówce. Tego dnia Pazner dwukrotnie odwiedził mieszkanie w przebudowanym pałacu na Janikulum. Wywiad OWP od dawna podejrzewał, że służy ono Izraelczykom za bezpieczną kryjówkę. Istniały tylko poszlaki, ślady były wątłe, ale zważywszy na okoliczności, można było z rozsądnym prawdopodobieństwem przyjąć, że Gabriel Alton, zabójca Abu Dżihada, jest w tym mieszkaniu.

Lange i Aziz siedzieli w samochodzie zaparkowanym na ulicy o sto metrów od wejścia do starego pałacu i obserwowali budynek. Tylko w dwóch mieszkaniach od strony ulicy paliły się światła, na drugim piętrze i na samej górze. W tym ostatnim zasłony były zupełnie zasunięte. Lange zapamiętał przybywających tu lokatorów: dwóch chłopaków na *motorino;* kobieta w małym, dwuosobowym fiacie; mężczyzna w średnim wieku w płaszczu z paskiem, który przyjechał miejskim autobusem. Ciemnoszara furgonetka Volkswagen, która skręciła na plac przed pałacem. Z przodu siedział mężczyzna w niebieskiej wiatrówce.

Lange zerknął na zegarek.

Dziesięć minut później furgonetka wyjechała na dziedziniec i skręciła w ulicę. Gdy przemykała koło nich, Lange zauważył, że z przodu siedzi jeszcze jeden mężczyzna. Silnym szturchnięciem w żebra dał znak Azizowi. Palestyńczyk uruchomił silnik, odczekał chwilę, po czym zawrócił i ruszył za furgonetką.

Po pięciu minutach od opuszczenia kryjówki zadzwoniła komórka Szymona Paznera. Za nimi jechał drugi samochód, z inną grupą agentów, którzy mieli obserwować, czy furgonetki

nikt nie śledzi. Telefon od nich mógł w tym momencie oznaczać dwie rzeczy. Żadnych śladów pościgu, jedźcie na plażę według planu. Albo: są kłopoty, róbcie unik.

Pazner wcisnął guzik i podniósł telefon do ucha. Przez chwilę słuchał bez słowa, po czym powiedział cicho:

- Pozbądźcie się ich przy pierwszej okazji.

Kiedy skończył rozmawiać, spojrzał na kierowcę.

- Mamy towarzystwo, Reuwen. Beżowa lancia, dwa samochody za nami.

Kierowca przycisnął gaz do dechy i furgonetka wystrzeliła do przodu. Gabriel sięgnął do kieszeni, chcąc poczuć uspokajający kształt beretty.

Dla Langego gwałtowne przyspieszenie furgonetki było potwierdzeniem, że siedzi w niej Gabriel Allon. Znaczyło to także, że zostali zauważeni i stracili przewagę zaskoczenia, i że jeśli chcą dopaść Aliona, muszą się liczyć z pościgiem na pełnej prędkości i nieuchronną strzelaniną. To było sprzeczne ze wszystkimi zasadami walki Langego. Zabijał potajemnie i z zaskoczenia, pojawiając się tam, gdzie się go najmniej spodziewano, i wymykając się po cichu. Strzelanina była dla komandosów i szaleńców, a nie zawodowych morderców. Ale nie zamierzał pozwolić Allonowi wymknąć się tak łatwo. I wprawdzie niechętnie, ale rozkazał Azizowi podjąć pościg. Palestyńczyk zmienił bieg i wcisnął mocno pedał gazu, nie chcąc tracić tamtych z oczu.

Dwie minuty później wnętrze lancii niespodziewanie wypełniło się oślepiającym światłem halogenowych reflektorów. Lange szybko spojrzał przez ramię i zobaczył łatwe do rozpoznania światła mercedesa znajdującego się o kilkanaście centymetrów od ich tylnego zderzaka. Mercedes przesunął się w lewo, tak że jego prawy przedni zderzak był na jednej linii z lewym tylnym zderzakiem lancii.

Lange zaparł się o deskę rozdzielczą. Mercedes gwałtownie przyspieszył. Lancia zatrzęsła się od uderzenia i zaczęła gwałtownie kręcić się wokół własnej osi. Aziz krzyknął i rozpaczliwie wbił dłonie w kierownicę. Lange schwycił poręcz fotela i oczekiwał dachowania.

To jednak nie nastąpiło. Po czasie, który zdawał się być wiecznością, lancia zatrzymała się, obrócona w przeciwną stronę. Lange odwrócił się akurat w sam raz, by przez tylną szybę zobaczyć, jak furgonetka i mercedes znikają za szczytem wzgórza.

Półtorej godziny później furgonetka zatrzymała się na parkingu przy smaganej wiatrem plaży. Ociężały huk jumbo jeta ginący na czarnym niebie wskazywał, że znajdują się blisko końca ruchliwego pasa startowego lotniska Fiumicino. Chiara wysiadła i zeszła na brzeg morza, żeby sprawdzić, czy plaża jest pusta. Furgonetka chwiała się pod uderzeniami wiatru. Dwie minuty później dziewczyna wsunęła głowę przez drzwi i kiwnęła głową twierdząco. Pazner uścisnął dłoń Gabriela i życzył mu powodzenia. Potem spojrzał na Chiarę.

- Zaczekamy tutaj. Spiesz się.

Gabriel ruszył za dziewczyną po kamienistej plaży. Doszli do łodzi, trzyipółmetrowego zodiaka, i spuścili ją na lodowate fale. Silnik zapalił od razu. Przysadzisty dziób łodzi wznosił się ponad fale, gdy Chiara sprawnie wyprowadzała ją w morze, podczas gdy Gabriel obserwował odpływający ląd i znikające światła nabrzeża. Włochy - kraj, który kochał, miejsce, które dało mu spokój po operacji Gniew Boży. Zastanawiał się, czy będzie mógł kiedykolwiek tu wrócić.

Chiara wyjęła z kieszeni kurtki krótkofalówkę i wypowiedziała cicho parę słów do mikrofonu. Chwilę później zamigotały przed nimi światła pozycyjne jachtu.

- Tam - powiedziała, wskazując na prawo. - Oto twój transport powrotny.

Zmieniła kurs i zwiększyła obroty silnika, sunąc po białych grzbietach fal w stronę czekającej łodzi. Pięćdziesiąt metrów od jachtu zgasiła silnik i zaczęła zbliżać się do rufy. Wtedy po raz pierwszy spojrzała na Gabriela.

- Płynę z tobą.

- O czym ty mówisz?

- Płynę z tobą - powtórzyła z naciskiem.

- Wracam do Izraela.

- Wcale nie. Płyniesz do Prowansji, żeby odszukać córkę Reginy Carcassi. A ja płynę z tobą.

- Wsadzisz mnie na pokład tego jachtu, a potem zawrócisz.

- Nawet z kanadyjskim paszportem nie możesz teraz podróżować po Europie. Nie możesz wynająć samochodu, nie możesz wsiąść do samolotu. Potrzebujesz mnie. A jeśli Pazner kłamał? Jeśli na pokładzie tego jachtu czeka na ciebie ktoś jeszcze?

Gabriel musiał przyznać, że ma rację.

- Głupio robisz, Chiara. Zniszczysz swoją karierę.

- Wcale nie - odparła. - Powiem im, że wbrew mojej woli zmusiłeś mnie do współpracy.

Gabriel spojrzał na szybko powiększającą się sylwetkę jachtu. Chodziło o honor. Chiara zastawiła na niego perfekcyjną pułapkę.

- Czemu? - zapytał. - Czemu chcesz to zrobić?

- Czy mój ojciec powiedział ci, że jego dziadkowie byli wśród starców, których zabrano z tego domu w dzielnicy żydowskiej i wywieziono do Oświęcimia? Czy mówił ci, że zginęli tam razem z innymi?

- Nie, nie wspominał o tym.

- A wiesz dlaczego? Bo nawet teraz, po tych wszystkich latach, nie może o tym mówić. Potrafi wymienić nazwiska wszystkich Żydów weneckich, którzy zginęli w Oświęcimiu, ale nie jest w stanie mówić o swoich własnych dziadkach. - Wyjęła berettę z kieszeni kurtki i odbezpieczyła ją. - Płynę z tobą, żeby znaleźć tę kobietę.

Zodiak otarł się o rufę jachtu. Nad nimi, na pokładzie, pojawiła się sylwetka mężczyzny patrzącego na nich ponad barierką. Gabriel odwiązał linę i przytrzymał łódkę, a Chiara wciągnęła się po drabince. Po chwili podążył za nią. Gdy wszedł na pokład, kapitan stał z rękami w górze z wyrazem kompletnego osłupienia na twarzy.

- Przykro mi - powiedział Gabriel. - Obawiam się, że nastąpiła drobna zmiana w planie podróży.

Chiara wzięła ze sobą strzykawkę i butelkę środka usypiającego. Gabriel zaprowadził kapitana do jednej z kabin pod pokładem i związał mu ręce i nogi kawałkiem liny. Mężczyzna szamotał się, gdy Chiara podciągała rękaw jego koszuli, ale gdy Gabriel przycisnął mu gardło ramieniem, uspokoił się po kilku sekundach i pozwolił Chiarze zrobić zastrzyk. Gdy zasnął, Gabriel sprawdził więzy - wystarczająco ciasne, żeby kapitan nie mógł się uwolnić, ale dostatecznie luźne, żeby nie odciąć dopływu krwi do rąk i nóg.

- Ile czasu ten środek ma działać?

- Dziesięć godzin, ale facet jest duży. Dam mu następną porcję za osiem.

- Tylko nie zabij biedaka. Jest po naszej stronie.

- Nic mu nie będzie.

Chiara poszła na mostek, a Gabriel za nią. Na stole leżała rozpostarta mapa zachodniego wybrzeża Włoch. Sprawdziła położenie na wyświetlaczu GPS-u i szybko naszkicowała kurs. Następnie uruchomiła silniki i obróciła jacht w odpowiednią stronę. Chwilę później żeglowali na północ, w kierunku cieśniny między Elbą a Korsyką.

Odwróciła się w stronę patrzącego za nią z podziwem Gabriela i powiedziała:

- Przydałaby się nam kawa. Myślisz, że podołasz takiemu wyzwaniu?

- Zrobię, co w mojej mocy.
- Dobrze by byto przed jutrem.
- Tak jest, kapitanie.

Szymon Pazner stal bez ruchu na plaży. Z rękami opartymi o biodra, butami pełnymi morskiej wody i przemoczonymi po kolana spodniami wyglądał niczym zatopiony przed laty posąg z wolna odkrywany przez cofającą się wodę. Przyłożył mikrofon krótkofalówki do ust i po raz ostatni spróbował wywołać Chiarę. Cisza.

Powinna była wrócić godzinę temu. Były dwie możliwości, obie nieprzyjemne. Pierwsza? Coś poszło nie tak i stracili z nimi kontakt? Druga? Allon...

Pazner z wściekłością cisnął krótkofalówkę do morza. Na jego twarzy rysowała się czysta nienawiść. Wolnym krokiem ruszył z powrotem do furgonetki.

Eric Lange miał akurat tyle czasu, żeby zdążyć na nocny pociąg do Zurychu. Tak pokierował Aziza, że znaleźli się w cichej bocznej uliczce biegnącej wzdłuż torów wychodzących z dworca Termini i kazał mu zgasić silnik. Aziz wydawał się zdziwiony.

- Dlaczego chcesz wysiąść tutaj?

- W tej chwili każdy policjant w Rzymie szuka Gabriela Aliona. Z pewnością obserwują dworce i lotniska. Lepiej się tam nie pokazywać, o ile nie jest to absolutnie konieczne.

Palestyńczyk chyba przyjął to wytłumaczenie. Lange widział pociąg wysuwający się z dworca. Nie spieszył się z wysiadaniem, cierpliwie czekał na odpowiednią chwilę.

- Powiedz Husseiniemu, że skontaktuję się z nim w Paryżu, gdy sprawy trochę przycichną - powiedział Lange.

- Przykro mi, że dziś się nie udało.

Lange wzruszył ramionami.

- Przy odrobinie szczęścia trafi się następna okazja.

Nagle pociąg znalazł się tuż koło nich, wypełniając samochód metalicznym chrzęstem. Lange dostrzegł okazję. Otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Aziz przechylił się ponad siedzeniem pasażera i coś krzyknął, ale jego słowa utonęły w hałasie.

- Co? - spytał Lange, osłaniając ucho ręką. - Nie słyszę.

- Pistolet - powtórzył Aziz. - Zapomniałeś oddać mi pistolet.

- Prawda.

Lange wyjął z kieszeni kurtki steczkina z tłumikiem i skierował go w stronę w Aziza. Palestyńczyk wyciągnął rękę. Pierwsza kula przeszyła mu dłoń, nim wbiła się w klatkę piersiową. Druga zostawiła równe kółko nad jego prawym okiem.

Lange rzucił pistolet na siedzenie pasażera i poszedł na dworzec. Pociąg do Zurychu stał na peronie. Odszukał swój przedział w wagonie sypialnym pierwszej klasy i rozciągnął się na leżance. Dwadzieścia minut później, gdy pociąg sunął przez północne przedmieścia Rzymu, zamknął oczy i natychmiast zasnął.

21

Tyberiada, Izrael

Telefon od Lwa nie obudził Szamrona. Tak naprawdę nie zmrużył oka od czasu, gdy dotarły do niego wieści o zaginięciu Gabriela i dziewczyny. Teraz też nie spał. Leżał w łóżku z telefonem o parę centymetrów od ucha i słuchał odgrywanej przez Lwa komedii, podczas gdy śpiąca obok Ge'ulah lekko poruszała się przez sen. Upokorzenia starości, pomyślał. Jeszcze niedawno to on krzyczał, a ten żółtodziób Lew musiał go słuchać. Teraz nie miał innego wyjścia, niż milczeć i czekać na właściwy moment.

Gdy Lew skończył swoją tyradę, połączenie zostało przerwane. Szamron opuścił nogi na podłogę, naciągnął na siebie szlafrok i wyszedł na taras, z którego miał widok na jezioro. Niebo na wschodzie rozjaśniało się coraz bardziej, ale ponad pasmem wzgórz nie było jeszcze widać słońca. Zaczął grzebać w kieszeniach szlafroka w poszukiwaniu papierosów, mając cichą nadzieję, że Ge'ulah ich nie znalazła. Gdy jego zgrubiałe palce natrafiły na zgniecioną paczkę, przepełniło go uczucie wielkiego osobistego zwycięstwa. Zapalił papierosa i delektował się ostrym smakiem mocnego tureckiego tytoniu. Uniósł wzrok i przez chwilę pozwolił mu swobodnie wędrować po krajobrazie. Nigdy mu się nie nudził ten widok z okna w jego prywatnym zakątku Ziemi Obiecanej. Nie przypadkiem okno wychodziło na wschód. Dzięki temu Szamron, wieczny wartownik, mógł obserwować wrogów Izraela.

W powietrzu czuć było nadciągającą burzę. Niedługo miały nadejść deszcze i tę ziemię po raz kolejny zaleje powódź. Ile jeszcze powodzi miał ujrzeć? W chwilach gdy ogarniał go najgorszy pesymizm, Szamron zastanawiał się, ile jeszcze dzieci Izraela będzie je oglądać. Jak większość Żydów, uporczywie nawiedzał go strach, że jego pokolenie będzie ostatnie. Pewien człowiek znacznie od niego mądrzejszy nazwał Żydów wiecznie umierającym narodem, ludem będącym zawsze na skraju zagłady. Życiową misją Szamrona było uwolnienie jego narodu od tego strachu, owinięcie go zasłoną bezpieczeństwa, zapewnienie mu spokoju. Wciąż nawiedzało go uczucie, że zawiódł.

Spojrzał niespokojnie na zegarek ze stali nierdzewnej. Gabriel i dziewczyna zaginęli osiem godzin temu. To była sprawa Szamrona, ale cięgi miał zebrać Lew. Gabriel był coraz bliżej zidentyfikowania morderców Benjamina Sterna, ale Lwa to nie obchodziło. Mały Lew, pomyślał z przekąsem Szamron. Tchórzliwy biurokrata. Człowiek, którego wrodzona ostrożność była tak wielka jak odwaga i zuchwałość Szamrona.

- Na co mi to, Ari? - wrzeszczał Lew. - Europejczycy oskarżają nas, że zachowujemy się wobec Palestyńczyków jak naziści, a teraz jeden z twoich starych morderców jest oskarżony o próbę zabójstwa p a p i e ż a ! Gadaj, gdzie go mogę znaleźć. Pomóż mi go dorwać, zanim ta cała sprawa rozwali to twoje ukochane Biuro raz na zawsze.

Może Lew miał rację, chociaż samo rozważanie takiej myśli bolało Szamrona. Izrael miał w tym momencie dosyć kłopotów. Palestyńscy zamachowcy urządzali krwawe jatki na bazarach. Złodziej z Bagdadu wciąż próbował wykuć swój jądrowy miecz. To pewnie nie był najlepszy moment na podejmowanie walki z Kościołem rzymskokatolickim. Pewnie lepiej było nie mącić morza dawnych spraw. Morze było brudne i pełne niewidocznych zagrożeń, dziur i skał, wodorostów, w które można się było zaplątać i pójść na dno.

Przed oczami stanął mu pewien obraz. Polska. Nędzne miasteczko nieopodal Krakowa. Rozszalały tłum. Rozbite witryny sklepowe. Podpalone domy. Mężczyźni pobici kijami do krwi. Zgwałcone kobiety. „Zabójcy Chrystusa! Żydowskie śmieci! Zabić Żydów!". Miasteczko dzieciństwa, wspomnienia małego chłopca. Chłopiec został wysłany do krewnych w Palestynie, mieszkających w kibucu w Górnej Galilei. Rodzice zostali. Chłopiec wstąpił do Hagany i walczył w izraelskiej wojnie o odrodzenie. Gdy nowo powstały kraj formował służby wywiadowcze, zaproponowano chłopcu, wtedy będącemu już młodym mężczyzną, by się przyłączył. Stał się postacią prawie legendarną po tym, gdy na brudnych przedmieściach Buenos Aires schwycił za gardło człowieka, który wysłał jego rodziców, i sześć milionów innych Żydów, do obozów śmierci.

Przyszły mu na myśl słowa T.S. Eliota: *W mym początku jest mój koniec*.

Eichmann... Jak to było możliwe, że ten lalkarz w teatrze śmierci, ten urzędnik-morderca pilnujący, by pociągi zagłady odjeżdżały punktualnie, żył sobie po tym wszystkim spokojnie na ubogich przedmieściach Buenos Aires? Szamron oczywiście znał odpowiedź, bo każda strona dokumentów dotyczących Eichmanna wryła się w jego pamięć. Jak setki innych morderców, Eichmann uciekł „szlakiem zakonnym", który tworzyła sieć klasztorów i instytucji kościelnych, rozciągająca się od Niemiec po włoski port Genuę. W Genui udzielili mu schronienia franciszkanie, tam poprzez pozostające pod auspicjami Kościoła organizacje charytatywne otrzymał fałszywe papiery uchodźcy.

14 czerwca 1950 roku opuścił klasztor franciszkanów, żeby wsiąść na pokład zmierzającego do Buenos Aires statku „Giovanna C". Płynąc nim ku nowemu życiu w Nowym Świecie, pomyślał Szamron. Przywódca Kościoła nie potrafił znaleźć słów, by potępić wymordowanie sześciu milionów ludzi, ale jego biskupi i księża zapewnili spokój i schronienie największemu zbrodniarzowi wojennemu w historii. Tego Szamron

nigdy nie potrafił pojąć. Za taką winę nie może być rozgrzeszenia.

Przypomniał sobie wrzask Lwa po drugiej stronie bezpiecznej linii z Tel Awiwem. Nie, pomyślał Szamron, nie pomogę Lwu dorwać Gabriela. Wręcz przeciwnie, postanowił pomóc Gabrielowi dowiedzieć się, co się stało w klasztorze nad jeziorem - i kto zabił Benjamina Sterna.

Opuścił taras i pewnym, szybkim krokiem poszedł do sypialni. Ge'ulah leżała na łóżku i oglądała telewizję. Szamron zaczął się pakować. Co parę sekund jego żona odrywała wzrok od ekranu i patrzyła na niego, ale nic nie mówiła. Tak było przez ostatnie czterdzieści parę lat. Gdy walizka była już spakowana, Szamron usiadł na łóżku obok Ge'ulah i wziął ją za rękę.

- Będziesz uważał, dobrze, Ari?
- Oczywiście, kochanie.
- Nie będziesz palił, prawda?
- Nigdy!
- Wróć szybko.
- Wrócę - powiedział Szamron i pocałował ją w czoło.

Wizyty na Bulwarze Króla Saula wpędzały Szamrona w przygnębienie. Musiał wpisać się do książki wejść i wyjść na posterunku w holu wejściowym i przypiąć do kieszeni koszuli laminowany identyfikator. Nie mógł już teraz korzystać ze swojej prywatnej windy - była teraz zarezerwowana dla Lwa. Jeździł zwyczajną, zawsze pełną pracujących w biurze agentów i urzędników.

Wjechał na czwarte piętro. Nie był to koniec jego upokorzeń. Lew powitał go soczystą wiązanką wyrzutów. Nie było nikogo, kto przyniósłby Szamronowi kawę, musiał więc zadowolić się kubkiem cienkiej lury z automatu. Następnie wrócił do swojego „gabinetu” - pokoju niewiele większego od schowka na narzędzia, w którym znajdowały się jedynie: biurko z

sosnowego drewna, składane stalowe krzesło i porysowany, cuchnący środkiem dezynfekującym telefon.

Szamron usiadł, otworzył walizkę i wyjął zdjęcie - to, które zrobił Mordechaj przed domem Petera Malone'a w Londynie. Siedział pochylony nad fotografią przez kilka minut, z łokciami opartymi o stół i wciśniętymi w skronie dłońmi. Co parę sekund jakaś głowa wychylała się zza drzwi i dwoje oczu wpatrywało się w niego, jakby był jakąś egzotyczną bestią. „Tak, to prawda. Stary znów przechadza się po korytarzach". Szamron na nic nie zwracał uwagi. Interesowała go jedynie twarz mężczyzny na zdjęciu.

Wreszcie podniósł słuchawkę i wykręcił wewnętrzny do archiwum. Odebrała dziewczyna, której głos brzmiał tak, jakby ledwo co opuściła bramy liceum.

- Mówi Szamron.

- Kto?

- S z a m r o n ! - powiedział z irytacją w głosie. - Potrzebuję akt sprawy porwania na Cyprze. O ile dobrze pamiętam, to było w osiemdziesiątym szóstym. Pewnie jeszcze wtedy ciebie nie było na świecie, ale postaraj się je odnaleźć.

Trzasnął słuchawką i czekał. Po pięciu minutach w drzwiach nędznego biura Szamrona pojawił się chłopak o imieniu Jossi. Oczy miał zaczerwienione od niewyspania.

- Pan wybaczy, szefie, ale dziewczyna jest nowa. - Uniósł spięty plik papierów. - Chciał pan to obejrzeć?

Szamron wyciągnął rękę niczym żebrak.

To nie był chwalebny moment w karierze Szamrona. Latem 1986 roku izraelski minister sprawiedliwości wypłynął prywatnym jachtem z Tel Awiwu w trzytygodniowy rejs po Morzu Śródziemnym z dwunastoma gośćmi i pięcioosobową załogą. Dziewiątego dnia w porcie Larnaka jacht został opanowany przez oddział terrorystów. Oświadczyli, że reprezentują grupę o

nazwie Palestyńskie Komórki Bojowe. Odbicie zakładników nie wchodziło w grę, a poza tym Cypryjczycy chcieli, żeby cała sprawa została rozwiązana tak szybko i cicho, jak tylko to było możliwe. Izraelskiemu rządowi nie pozostało nic poza negocjacjami, więc Szamron nawiązał kontakt z mówiącym po niemiecku przywódcą oddziału. Po trzech dniach osiągnięto porozumienie. Zakładnicy zostali uwolnieni, terrorystom zapewniono swobodną ewakuację, a miesiąc później kilkunastu ważnych zabójców z OWP wypuszczono z izraelskich więzień.

Publicznie Izrael wszystkiemu zaprzeczył, chociaż nikt nie wierzył w szczerość oświadczenia. Dla Szamrona była to wyjątkowo gorzka pigułka do przełknięcia, a teraz, przerzucając kolejne kartki z teczki, przeżywał wszystko raz jeszcze. Dotarł do zdjęcia przywódcy grupy, jedynego, jakie udało się zrobić. Właściwie było bezużyteczne: z dużej odległości, ziarniste i rozmyte, twarz ukryta za okularami przeciwsłonecznymi i kapeluszem.

Położył je obok tego zrobionego w Londynie i przez kilka minut porównywał obie fotografie. Ten sam człowiek? Niepodobna było stwierdzić. Podniósł słuchawkę i znów wybrał numer archiwum. Tym razem odebrał Jossi.

- Tak, szefie?

- Przynieś mi akta Lamparta.

Był enigmą, hipotezą, teorią. Niektórzy mówili, że jest Niemcem. Inni, że Austriakiem. Jeszcze inni, że to Szwajcar. Lingwista analizujący rozmowy, które Szamron prowadził z nim po angielsku, wysunął teorię, że pochodził z Alzacji-Lotaryngii. To zachodnioniemieckie służby nadały mu kryptonim Lampart; dokonał u nich wielu zabójstw i to oni najbardziej chcieli go dostać. Najemnik. Człowiek gotów pracować dla każdej organizacji, o ile jej ideologia była zbieżna z jego poglądami: komunistycznymi, antyzachodnimi, antysyjonistycznymi. Sądzono, że to Lampart stał za porwaniem jachtu na

Cyprze, ale także i za zabójstwem trzech Izraelczyków w Europie wykonanym na zlecenie bojówki OWP Abu Dżihad. Szamron chciał, by Lampart zginął. Jego życzenie nie spełniło się. Przekartkował teczkę, beznadziejnie cienką. Raport od służb francuskich, meldunek Interpolu, niepotwierdzona informacja o jego pobycie w Stambule. Były też trzy zdjęcia, ale nie wiadomo, czy którekolwiek przedstawiało jego. Jedno zrobione na jachcie na Cyprze, drugie w Bukareszcie, trzecie na lotnisku Charles'a de Gaulle'a. Szamron położył zdjęcie z Londynu obok nich i spojrzał na patrzącego mu przez ramię Jossiego.

- To i to, szefie.

Szamron wyjął zdjęcie z Bukaresztu i położył obok londyńskiego. Ten sam kąt, od przodu, podbródek lekko odchylony w lewo, pół twarzy niewidoczne.

- Mogę się mylić, Jossi, ale chyba jest możliwe, że to ten sam mężczyzna.

- Ciężko stwierdzić, szefie, ale może komputer nas upewni.

- Wrzuć je - powiedział Szamron, po czym wziął z biurka teczkę. - Chciałbym to zatrzymać.

- Musi pan podpisać pokwitowanie.

Szamron spojrzał na Jossiego znad okularów.

- Podpiszę je za pana - powiedział Jossi.

- Dobry chłopiec.

Szamron po raz ostatni sięgnął po telefon i zadzwonił do działu podróży. Gdy wszystko już ustalił, włożył akta do walizki i zszedł na dół. Idę do ciebie, Gabrielu, pomyślał. Ale gdzie jesteś, na Boga?

22

Morze Śródziemne

O świcie ujrzeli skały Cap Corse. Chiara ostrożnie opłynęła wyspę i ustawiła kurs na północny zachód. Przed nimi rozciągał się wał ciemnoszarych, napęczniałych od deszczu chmur. Siła wiatru wzrosła o kilka węzłów i nagle zrobiło się znacznie zimniej.

- Mistral - powiedziała Chiara. - Mocno dzisiaj wieje. Obawiam się, że reszta podróży nie będzie miła.

Na bakburcie pojawił się prom wypływający z L'Ile Rousse i kierujący się w stronę francuskiego wybrzeża.

- Płynie do Nicei - powiedziała. - Możemy popłynąć jego kursem i odbić na Cannes, gdy zbliżymy się do brzegu.

- Ile to potrwa?

- Pięć do sześciu godzin, może dłużej ze względu na mistral. Przejmij na trochę ster. Zejdę do kambuza i poszukam czegoś na śniadanie.

- Sprawdź, czy Śpiąca Królewna wciąż jest tam, gdzie powinna.

- Dobrze.

Śniadanie składało się z kawy, tostów i kostki twardego sera. Ledwo je zdążyli zjeść, bo pół godziny od chwili, kiedy opłynęli Cap Corse, nadszedł sztorm. Przez następne cztery godziny w łódź bez przerwy tłukły pędzone przez wiatr, przychodzące od północy fale, a zasłona deszczu zmniejszyła widoczność do

mniej niż stu metrów. W pewnym momencie stracili prom z oczu. Nie miało to jednak znaczenia; Chiara miała do dyspozycji kompas i GPS, sama wyznaczała kurs.

Deszcz skończył się koło południa, ale wiatr wiał bez przerwy. W miarę jak zbliżali się do wybrzeża, zdawał się wzmagać. Po burzy napłynęło przejmująco zimne powietrze, a przez ostatnią godzinę żeglugi słońce na zmianę wychylało się i chowało za chmurami, świecąc w jednej minucie, znikając w następnej. Co chwila zmieniała się też barwa wody z szarozielonej na ciemnoniebieską.

Wreszcie, prosto na kursie - Cannes: charakterystyczny rząd połyskujących bielą hoteli i kamienic wzdłuż La Croisette. Ale Chiara skierowała łódź w stronę położonego na drugim końcu miasta Starego Portu. W sezonie letnim na promenadach wokół Vieux Port tłoczyliby się turyści, a port nie byłby w stanie pomieścić luksusowych jachtów. Teraz jednak większość restauracji była szczelnie pozamykana, a przy kei nie brakowało wolnych miejsc.

Chiara zostawiła Gabriela w łodzi i poszła wynająć samochód na rue d'Antibes, odległą o parę przecznic od portu. Pod jej nieobecność Gabriel zdjął więzy z rąk i nóg kapitana, który cztery godziny wcześniej dostał zastrzyk, co oznaczało, że obudzi się dopiero za kilka godzin.

Gabriel wrócił na pokład i czekał na Chiarę. Parę minut później na miejsce parkingowe przy Quai Saint-Pierre zajechał peugeot. Chiara wysiadła na moment, pomachała do Gabriela i przesiadła się na miejsce dla pasażera. Gabriel zszedł z łodzi i usiadł za kierownicą.

- Jakieś kłopoty? - zapytał.

Pokręciła przecząco głową.

- Potrzebujemy ubrań.

- Ojej, zakupy na Croisette. Właśnie tego mi trzeba po całej nocy i połowie dnia spędzonej na tej cholernej łodzi. Nie wiem, co wybrać: Gucciego czy Versace.

- Myślałem o czymś zwyczajniejszym. Może któreś z tych miłych miejsc na bulwarze Carnot, gdzie robią zakupy zwykli ludzie.

- Och, to takie pospolite.

- Właśnie.

Gabriel, lawirując, przejechał przez stare miasto i parę minut później podążali na północ wzdłuż bulwaru Carnot, głównej arterii łączącej wybrzeże Cannes z miasteczkami położonymi w głębi lądu. Mistral wył; ledwie kilku śmiałków było na ulicy, zgarbieni, przytrzymywali rękami kapelusze. W powietrzu fruwały papiery i tumany kurzu. Po przejechaniu kilku przecznic Gabriel zauważył obok przystanku autobusowego dom towarowy. Chiara skrzywiła się. Zaparkował, dał jej plik banknotów i podał swoje wymiary. Chiara wysiadła i przeszła piechotą resztę drogi.

Gabriel zostawił silnik włączony i słuchał wiadomości. Wciąż żadnych śladów człowieka podejrzewanego o chęć zamordowania papieża. Włoska policja zwiększyła środki bezpieczeństwa na krajowych lotniskach i przejściach granicznych. Wyłączył radio.

Chiara wyszła ze sklepu dwadzieścia minut później, niosąc w obu rękach wypchane torby. Wiatr wiał jej w plecy, zwiewając włosy na twarz. Nie mogła ich odgarnąć, bo ręce miała zajęte.

Rzuciła zakupy na tylne siedzenie i wsiadła. Gabriel pojechał dalej bulwarem Carnot. Po dziesięciu minutach dotarł do dużego ronda i podążył za znakami na Grasse. Przed nimi ciągnęła się czteropasmowa autostrada wznosząca się zboczami wzgórz ku Alpom Nadmorskim. Chiara odchyliła fotel, ściągnęła bluzę z polaru i wyśliznęła się z ciężkich wodoodpornych spodni. Przekopała się przez torby z ubraniami, póki nie znalazła kupionych przez siebie czystych majtek i stanika.

- Nie patrz.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

- Naprawdę? Czemu?

- Po prostu pospiesz się i załóż coś. Proszę.

- Pierwszy raz słyszę coś takiego z ust faceta.

- Chyba wiem dlaczego.

Trzepnęła go w ramię i szybko założyła dżinsy, gruby golf i modne skórzane buty z kwadratowymi czubkami i wysokimi obcasami. Była teraz bardzo podobna do tej atrakcyjnej, młodej dziewczyny, którą zobaczył pierwszy raz w weneckiej dzielnicy żydowskiej. Gdy skończyła, usiadła prosto.

- Twoja kolej. Zatrzymaj się, to siądę za kółkiem i poprowadzę, a ty się będziesz przebierał.

Gabriel posłuchał Chiary. Ale w jego przypadku efekt był znacznie gorszy: kiedy założył luźne, niebieskie bawełniane spodnie z gumką w pasie, gruby rybacki sweter, jasnobrązowe espadryle, które drapały go w stopy, poczuł się jak człowiek, który całe życie spędził bezczynnie, grając w bule na rynku miejskim.

- Wyglądam śmiesznie.

- Raczej wyglądasz na przystojniaka. A co ważniejsze, mógłbyś przespacerować się przez dowolne miasteczko w Prowansji i wszyscy myśleliby, że jesteś miejscowy.

Przez dziesięć minut jechali drogą wijącą się wśród drzew oliwkowych i eukaliptusów, która doprowadziła ich do średniowiecznego miasta Valbonne. Teraz Gabriel polecił jej kierować się na północ. Minęli miasteczko o nazwie Opio i wreszcie dojechali do Le Rouret. Chiara zaparkowała na zewnątrz *tabac* i została w aucie, a Gabriel wszedł do środka. Za ladą siedział mężczyzna o algierskich rysach. Miał ciemną karnację i czarne, mocno skręcone włosy. Gdy Gabriel spytał, czy zna Włoszkę o nazwisku Carcassi, sprzedawca wzruszył ramionami i zaproponował mu, by porozmawiał z Markiem, barmanem z baru obok *brasserie*.

Marc właśnie polerował szklanki brudną ścierką. Gdy Gabriel zadał mu to samo pytanie, barman pokręcił głową. Nie znał nikogo o nazwisku Carcassi w miasteczku, ale jest tu jedna Włoszka, mieszka niedaleko wejścia do rezerwatu przyrody. Przerzucił ścierkę przez ramię i wyszedł na dwór, żeby pokazać Gabrielowi właściwy kierunek. Gabriel podziękował i wrócił do Chiary.

- Tędy - powiedział. - Musimy zjechać w boczną drogę, minąć posterunek żandarmerii, a potem pod górę po zboczu wzgórza.

Ta boczna droga była właściwie utwardzoną ścieżką, a podjazd pod górę okazał się bardzo stromy. Wśród drzew oliwkowych stały domy. Niektóre - zapewne należące do miejscowych - wyglądały całkiem skromnie, inne były luksusowe, dobrze utrzymane, otoczone żywopłotami i wysokimi kamiennymi murami.

Ten, w którym mieszkała Włoszka, podpadał raczej pod tę drugą kategorię. Była to okazała posiadłość z wieżyczką wznoszącą się nad głównym wejściem, z przepięknym tarasowym ogrodem, otoczonym kamiennym murem. Na budzącej respekt żelaznej bramie nie było nazwiska.

Gdy Gabriel nacisnął guzik domofonu, zaczęły szczekać psy. Parę sekund później zza domu, wściekle ujadając, wypadły z wyszczerzonymi kłami dwa belgijskie owczarki. Dopadły bramy i zaczęły przez kratę kłapać na Gabriela. Zrobił szybki krok do tyłu i położył ręce na klamce drzwi do samochodu. W ogóle nie lubił psów, a nie tak dawno miał starcie z wilczurem, które skończyło się złamaną ręką i kilkudziesięcioma szwami. Ostrożnie, tak żeby jak najmniej denerwować psy, przesunął się do przodu i po raz kolejny nacisnął guzik domofonu. Tym razem usłyszał kobiecy głos, ledwo słyszalny przez wściekłe ujadanie.

- *Oui?*

- Madame Carcassi?

- Teraz mam na nazwisko Huber. Carcassi to moje panieńskie nazwisko.

- Czy Regina Carcassi z Tolmezzo na północy Włoch była pani matką?

Moment wahania, po czym:

- Przepraszam, kto mówi?

Psy, słysząc nutę niepokoju w głosie właścicielki, zaczęły szczekać jeszcze zajadlej. Przez całą noc Gabriel starał się wymyślić sposób na podejście córki Reginy Carcassi. Teraz, gdy

owczarki chciały rozszarpać mu nogi i gdy z Alp wiał na niego porywisty wiatr, nie miał cierpliwości na wybiegi i opowiadanie bajeczek. Wyciągnął rękę i po raz kolejny wcisnął guzik.

- Nazywam się Gabriel - powiedział, przekrzykując szczekanie psów. - Pracuję dla rządu izraelskiego. Sądzę, że wiem, kto zabił pani matkę, i wydaje mi się, że wiem dlaczego.

Z domofonu nie słychać było odpowiedzi, psy nadal wściekle ujadały. Gabriel obawiał się, że ujawnił wszystko o wiele za szybko. Jeszcze raz wyciągnął rękę w stronę guzika, ale zatrzymał ją, widząc, że otwierają się drzwi frontowe i na dziedziniec wychodzi kobieta. Przystanęła na chwilę. Jej czarne włosy rozwiewał wiatr, ręce miała złożone na brzuchu. Następnie przeszła powoli przez dziedziniec i przyjrzała się Gabrielowi przez bramę. Usatysfakcjonowana, spojrzała na psy i skarciła je po francusku. Przestały szczekać i potruchtały za dom, znikając im z oczu. Sięgnęła do kieszeni płaszcza, wyjęła pilota do bramy i przycisnęła go kciukiem. Brama z wolna się otworzyła i kobieta gestem zaprosiła ich do środka.

Podała kawę i gorące mleko w prostokątnym pokoju z terakotą na podłodze i meblami krytymi adamaszkiem. Prowadzące na taras oszklone drzwi trzęsły się od uderzeń mistralu. Gabriel parokrotnie złapał się na tym, że patrzy na nie, sprawdzając, czy nikt nie próbuje dostać się do środka, ale widział tylko uginające się od wiatru drzewa w zadbanym ogrodzie.

Nazywała się Antonella Huber. Była Włoszką, która wyszła za niemieckiego biznesmena mieszkającego na południu Francji, który należał do wędrownej kasty europejskich bogaczy. Oboje czuli się swobodnie w wielu krajach i w wielu kulturach. Ona miała około czterdziestu pięciu lat i była atrakcyjną kobietą. Jej ciemne włosy sięgały ramion, skóra była mocno opalona. Oczy, prawie zupełnie czarne, promieniowały inteligencją. Patrzyła rozmówcy prosto w oczy, w jej wzroku nie wyczuwało się

obawy. Gabriel zauważył, że palce miała pobrudzone gliną. Rozejrzał się po pokoju i zobaczył, że jest udekorowany ceramiką. Antonella Huber była zdolną garncarką.

- Przepraszam za psy - powiedziała. - Mój mąż często wyjeżdża, więc dużo czasu spędzam tu sama. Przestępstwa na Lazurowym Wybrzeżu są bardzo dużym problemem. Kilka razy nas okradziono, zanim kupiliśmy psy. Ostatnio nie mieliśmy żadnych kłopotów.

- Nie dziwię się.

Wysiliła się na krótki uśmiech. Gabriel wykorzystał przerwę w rozmowie, żeby przejść do sedna sprawy. Pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i, omijając pewne fakty, przedstawił Antonelli Huber ciąg wypadków, który go tu doprowadził. Powiedział, że jego przyjaciel Benjamin Stern odkrył, że coś tajemniczego stało się w klasztorze Najświętszego Serca Jezusowego w Brenzone w czasie wojny - w tym samym klasztorze, gdzie przebywała jej matka, nim zerwała śluby; i że jego przyjaciela zabił człowiek, który chce, by to coś pozostało tajemnicą; że jej matka nie była jedyną osobą, która zaginęła we Włoszech bez śladu. Dwóch księży, Felici i Manzini, zniknęło mniej więcej w tym samym czasie. Włoski oficer śledczy, Alessio Rossi, uważał, że zniknięcia były powiązane, ale nakazano mu przerwanie śledztwa, gdy na włoską policję wywarł nacisk człowiek o nazwisku Carlo Casagrande, pracujący dla watykańskiego Biura do spraw Bezpieczeństwa. Kiedy Gabriel mówił, Antonella Huber, siedząc z rękami złożonymi na kolanie, nie poruszyła się ani razu, nie spuszczała z niego oczu. Miał nieodparte wrażenie, że nie powiedział niczego, czego by już nie wiedziała albo nie podejrzewała.

- Pani matka nie zerwała ślubów tylko dlatego, że chciała wyjść za mąż, prawda?

Długa cisza, po czym:

- Nie, nie tylko.

- W klasztorze stało się coś, przez co straciła wiarę.

- Tak, to prawda.

- Czy rozmawiała o tym z Benjaminem Sternem?

- Tak, rozmawiała z nim, choć błagałam ją, by tego nie robiła. Zignorowała moje ostrzeżenie.

- Czego się pani obawiała?

- Że spotka ją krzywda. I okazało się, że miałam rację.

- Rozmawiała pani z włoską policją?

- Gdyby miał pan jakieś pojęcie o włoskiej polityce, wiedziałby pan, że włoskiej policji nie wolno ufać w sprawach takich jak ta. Czy Alessio Rossi nie był jednym z ludzi zastrzelonych w Rzymie przedostatniej nocy? Zabójca papieża? - Wolno pokręciła głową. - O Boże, posuną się do ostateczności, żeby tylko uchronić swoje brudne tajemnice.

- Czy wie pani, dlaczego zabili pani matkę?

Skinęła głową i powiedziała:

- Tak, wiem. Wiem, co się stało w tamtym klasztorze. Wiem, dlaczego moja matka zerwała śluby i odrzuciła wiarę i dlaczego ją zabito.

- Powie mi pani?

- Będzie lepiej, jeśli panu pokażę - wstała. - Proszę chwilę zaczekać. To nie potrwa długo.

Poszła na górę. Gabriel przechylił głowę do tyłu i zamknął oczy. Chiara, siedząca obok na kanapie, położyła mu rękę na ramieniu.

Antonella Huber wróciła z plikiem pożółkłych kartek w ręce.

- Moja matka napisała to w nocy przed swoim ślubem - powiedziała, unosząc papiery tak, żeby Gabriel i Chiara mogli na nie spojrzeć. - Kopię tego dała Benjaminowi Sternowi. Oto powód, dla którego wasz przyjaciel zginął.

Usiadła, położyła papiery na kolanach i zaczęła czytać na głos.

Nazywam się Regina Corcassi, urodziłam się w Brunico, w górskiej wiosce niedaleko austriackiej granicy. Jestem najmłodsza z siedmiorga dzieci i jedyną dziewczynką. Dlatego

z góry niemal było ustalone, że zostanę zakonnicą. W 1937 roku wstąpiłam do zakonu urszulanek i złożyłam śluby zakonne. Zostałam wysłana do klasztoru Najświętszego Serca Jezusowego w miasteczku Brenzone nad jeziorem Garda, gdzie zostałam nauczycielką w miejscowej katolickiej szkole dla dziewcząt. Miałam wtedy osiemnaście lat.

Byłam bardzo zadowolona z przydziału. Klasztor był uroczy, mieścił się w stojącym na brzegu jeziora starym zamku. Po wybuchu wojny nasze życie niewiele się zmieniło. Co miesiąc otrzymywałyśmy zaopatrzenie i zawsze miałyśmy co jeść. Zwykle zostawało nam trochę, by rozdać potrzebującym w Brenzone. Dalej wypełniałam swoje nauczycielskie obowiązki, udzielałam też pomocy nieszczęśnikom dotkniętym przez wojnę.

Pewnego wieczoru w marcu 1942 roku Matka Przełożona wygłosiła po wieczornym posiłku przemówienie. Poinformowała nas, że za trzy dni nasz klasztor będzie miejscem spotkania przedstawicieli władz Watykanu z ważną delegacją z Niemiec. Klasztor Najświętszego Serca Jezusowego został wybrany ze względu na odosobnienie i piękno architektury. Powiedziała, że wszystkie powinnyśmy być dumne, iż tak ważne zebranie odbędzie się w naszym domu, i w rzeczy samej bardzo się z tego cieszyłyśmy. Matka Przełożona powiedziała też, że przedmiotem spotkania jest inicjatywa Ojca Świętego mająca na celu przyspieszenie zakończenia wojny. Jednakże poinstruowano nas, by nikomu spoza klasztoru nie wspominać o tym nawet słowem. Zabronione nam nawet było rozmawiać na ten temat między sobą. Nie trzeba chyba dodawać, że żadna z nas nie zaznała zbyt wiele snu tej nocy. Wszystkie byłyśmy bardzo podniecone tym, co miały przynieść nadchodzące dni.

Ponieważ wychowałam się przy austriackiej granicy, płynnie mówiłam po niemiecku i znałam niemiecką kuchnię i niemieckie zwyczaje. Matka Przełożona poprosiła mnie, żebym doglądała przygotowań do konferencji, na co ochoczo przystałam. Powiedziano mi, że goście wspólnie spożyją

posiłek, po czym przejdą do omawiania spraw, które ich tu ściągnęły. Moim zdaniem nasza jadalnia była zbyt skromna jak na taką okazję, przeto pomyślałam, że posiłek i konferencja powinny mieć miejsce w świetlicy. To była urocza sala, z dużym kamiennym kominkiem i pięknym widokiem na jezioro i Dolomity - wyjątkowo inspirujące tło. Matka Przełożona zgodziła się i pozwoliła mi ustawić meble tak, jak uznam za stosowne. Obiad miano spożyć przy dużym okrągłym stole pod jednym z okien. Na obrady ustawiono przed kominkiem inny stół - długi, prostokątny, ciemno wykończony. Chciałam, by wszystko wyszło jak najlepiej, i gdy skończyłam, sala wyglądała doprawdy cudownie. Przeszywał mnie dreszczyk emogi na samą myśl, że swoją pracą przyczyniłam się w jakimś stopniu do ratowania ludzi przed śmiercią i do ograniczenia zniszczeń powodowanych przez wojnę.

Na dzień przed spotkaniem dostarczono do klasztoru dużo jedzenia: szynki ¿kiełbasy, chleby ¿makarony, puszki kawioru, butelki dobrego wina i szampana - rzeczy, które większość z nas rzadko widywała w swoim życiu, a z pewnością nie widziała ich od początku wojny. Następnego dnia z pomocą dwóch innych sióstr przygotowałam posiłek, który moim zdaniem mógł być godny podniebienia ludzi z Rzymu i gości z Berlina.

Delegacje miały zgodnie z planem przyjechać o szóstej wieczorem, ale owego dnia padał gęsty śnieg i wszyscy przybyli spóźnieni. Przedstawiciele Watykanu pojawili się pierwsi, o ósmej trzydzieści. Było ich trzech: biskup Sebastiano Lorenzi z Sekretariatu Stanu oraz jego dwóch młodych asystentów, ojciec Felici i ojciec Manzini. Biskup Lorenzi obejrzał salę, w której miało się odbyć zebranie, po czym poprowadził nas do kaplicy, gdzie odprawił mszę. Nim opuścił kaplicę, powtórzył instrukcje Matki Przełożonej - aby nigdy nikomu nie wspominać o spotkaniu, które miało się tego wieczoru odbyć w klasztorze. Powiedział także, że złamanie tego zakazu przez kogokolwiek grozi ekskomuniką. Nie potrzebowałam tego ostrzeżenia, bo żadna z nas i bez tego nigdy nie przeciwstawiłaby się żądaniu tak wysokiego rangą duchownego

z Watykanu, ale zdawałam sobie sprawę, że członkowie kurii rzymskiej bardzo poważnie traktują obowiązek zachowania tajemnicy.

Niemcy przybyli po dziesiątej. Ich też było trzech: kierowca, który nie brał udziału w spotkaniu, Herr Beckmann i przewodniczący delegacji, przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeszy, sekretarz stanu Martin Luther. Nigdy nie zapomnę tego nazwiska. Pomyśleć tylko - Martin Luther odwiedzający rzymskokatolicki klasztor Najświętszego Serca Jezusowego w Brenzone! To było naprawdę niezwykłe. Tak jak i przyjazd sekretarza stanu. Był małym, chorowicie wyglądającym mężczyzną w grubych okularach, zniekształcających zarys jego oczu. Prawdopodobnie był strasznie przeziębiony, bo wciąż wycierał nos w białą chusteczkę.

Od razu usiedli do kolacji. Herr Luther i Herr Beckmann z uznaniem wypowiedzieli się o urządzeniu sali, co wywołało we mnie uczucie dumy. Podałam jedzenie i otworzyłam pierwsze butelki wina. Panowała miła atmosfera, a siedzący przy stole mężczyźni dużo się śmiali, bardzo się też ze sobą spoufalili. Odniosłam wrażenie, że Herr Luther i biskup Lorenzi dobrze się znają. Najwyraźniej Matka Przełożona zapomniała powiedzieć im, że pochodzę z Brunico, położonego daleko na północy, bo rozmawiali swobodnie po niemiecku nawet wtedy, gdy byłam w sali, z pewnością wychodząc z błędnego założenia, że nie rozumiem tego języka. Usłyszałam wiele interesujących plotek o wydarzeniach w Berlinie.

Konferencja rozpoczęła się o północy. Biskup Lorenzi powiedział do mnie po włosku: „Mamy dużo pracy, siostro. Proszę wciąż donosić kawę. Jeśli zobaczysz pustą filiżankę, napełnij ją". Wszystkie siostry udały się już na spoczynek. Siedziałam na zewnątrz świetlicy, w przedpokoju. Po paru chwilach przyszedł ubrany w piżamę nasz kuchcik, chłopiec który był sierotą mieszkającym w klasztorze. Siostry przezwały go Ciciotto, Grubaskiem. Obudziły go złe sny. Poprosiłam, żeby posiedział ze mną. Żeby go uspokoić, odmawiałam razem z nim różaniec.

Gdy tylko weszłam do sali, stało się dla mnie jasne, że mężczyźni wcale nie rozmawiają na temat porozumienia mającego zakończyć wojnę. Sekretarz stanu Martin Luther właśnie wręczał pozostałym czterem osobom memoranda. Kiedy nalewałam kawę, miałam okazję przyjrzeć się im dokładnie. Miało dwie kolumny rozdzielone pionową linią. Po lewej byty nazwy państw i obszarów geograficznych, po prawej liczby. Na dole strony było podsumowanie liczb.

Herr Luther właśnie mówił:

- Realizacja planu mającego doprowadzić do ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej w Europie jest na najlepszej drodze i ma szansę, by zakończyć się sukcesem. Dokument, który panowie mają przed sobą, został mi przedstawiony w styczniu na konferencji w Berlinie, jak widzicie, według naszych ostrożnych szacunków w Europie jest obecnie jedenaście milionów Żydów. Ta liczba obejmuje Żydów żyjących na terenach kontrolowanych przez Rzeszę i jej sprzymierzeńców oraz w krajach neutralnych bądź wrogich.

Herr Luther przerwał i spojrzał na biskupa Lorenziego.

- Czy ta dziewczyna mówi po niemiecku?

- Nie, nie, Herr Luther. To biedna dziewczyna z regionu Garda. Zna tylko włoski, a i nim włada jak chłopka. Może pan mówić otwarcie w jej obecności.

Odwróciłam się i wyszłam z pokoju, udając, że nie słyszę wyjątkowo obraźliwych słów, które prałat wypowiedział po niemiecku pod moim adresem. Na mojej twarzy musiało się zapewne malować zażenowanie, bo gdy weszłam do przedpokoju, Ciciotto spytał:

- Czy coś się stało, siostro Regino?

- Nie nie, wszystko w porządku, jestem tylko trochę zmęczona.

- Czy możemy dalej odmawiać różaniec, siostro?

- Ty mów, moje dziecko. Tylko cicho, proszę.

Chłopiec zaczął odmawiać modlitwę, ale po paru chwilach zasnął z głową na moich kolanach. Otworzyłam lekko drzwi, tak że mogłam słyszeć, co mówiono w świetlicy. Herr Luther wciąż przemawiał.

Oto co usłyszałam tamtej nocy, odtworzone tak dokładnie, jak pozwalają na to moja pamięć i umiejętności.

- Pomimo naszych najlepszych starań o utrzymanie deportacji w tajemnicy pewne wiadomości o tym zaczynają niestety przeciekać na zewnątrz. Jak dowiaduję się od naszego ambasadora w Watykanie, niektóre z tych doniesień docierają do uszu Ojca Świętego.

- W rzeczy samej, sekretarzu Luther - odparł biskup Lorenzi. - Obawiam się, że wieści o deportacjach rzeczywiście doszły do Watykanu. Brytyjczycy i Amerykanie wywierają na Ojca Świętego olbrzymią presję, żeby przemówił.

- Czy mogę mówić szczerze, biskupie?

- Taki był cel tego zebrania, czyż nie?

- Realizacja planu ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej jest w toku. Cała maszyneria została już puszczona w ruch i Jego Świątobliwość nie może nic zrobić, żeby ją zatrzymać. Może tylko pogorszyć sytuację Żydów, a wiem, że to ostatnia rzecz, jakiej chce Ojciec Święty.

- Tak jest w istocie, Herr Luther. Ale jak protest mógłby sprawy pogorszyć?

- Kluczową sprawą jest, by zatrzymania i deportacje przebiegały sprawnie, przy minimalnym zamieszaniu. Element zaskoczenia jest tu najważniejszy. Jeśli Ojciec Święty wyda oświadczenie zawierające protest i jednoznaczną informację, co naprawdę oznaczają dla Żydów deportacje na wschód, wtedy zatrzymania staną się trudne i hałaśliwe. Poza tym wielu Żydów ukryje się i umknie naszym siłom.

- Logika pańskiej argumentacji nie podlega dyskusji, Herr Luther.

W tym momencie stwierdziłam, że już pora zaproponować delegatom kawę. Zsunęłam głowę chłopca z moich kolan, zapukałam do drzwi i zaczekałam, aż biskup Lorenzi poprosi mnie, bym weszła.

- Podać kawę, Wasza Eminencjo?

- Dziękuję, owszem, siostro Regino.

Rozmowa została przerwana. Napełniłam filiżanki i wyszłam z sali. Wtedy Herr Luther zaczął mówić dalej. Znowu zostawiłam drzwi uchylone, żeby słyszeć, co mówią. Pierwszy odezwał się Herr Luther:

- Istnieje jeszcze jeden powód, dla którego jest bardzo istotne, żeby Ojciec Święty nie zaprotestował. Wielu z tych, którzy pomagają nam w tych niezbędnych działaniach, to dobrzy katolicy. Jeśli papież napiętnuje ich postępowanie lub zagrozi im ekskomuniką, zaczną się zastanawiać, czy dobrze postępują.

- Może pan być spokojny, Herr Luther. Ostatnią rzeczą, jaką by zrobił Ojciec Święty w tej chwili, to nałożenie ekskomuniki na katolików.

- Nie śmiałbym dawać Kościołowi rad, jak ma zajmować się swoimi sprawami, ale są powody, dla których milczenie papieża w tej sprawie byłoby najlepsze dla wszystkich zainteresowanych, włączając w to Stolicę Apostolską.

- Chętnie wysłucham pańskiej opinii na ten temat, Herr Luther.

- Proszę spojrzeć na liczby, które panom przedstawiłem. Proszę sobie to wyobrazić - jedenaście milionów Żydów! Liczba absolutnie nie do pojęcia! Zajmujemy się nimi tak szybko i wydajnie, jak to tylko możliwe, ale przed Rzeszą stoi trudne zadanie. A co by się stało, gdyby, broń Boże, Niemcy przegrały wojnę ze Stalinem i jego bandą żydowskich bolszewików? Proszę sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby pod koniec wojny w Europie byty miliony przesiedlonych Żydów, żywych i pozbawionych własności, głośno domagających się prawa emigracji do Palestyny. Żydzi kontrolowaliby Nazaret. Żydzi kontrolowaliby Betlejem. Żydzi kontrolowaliby Jerozolimę. Żydzi kontrolowaliby wszystkie święte miejsca! Gdyby mieli własne państwo, mieliby prawo, podobnie jak Watykan, do wysyłania w świat swoich dyplomatów. Judaizm, odwieczny wróg Kościoła, znalazłby się na równi ze Stolicą Apostolską. Żydowskie państwo stałoby się podstawą do żydowskiej dominacji na świecie. Dla Kościoła rzymskokatolickiego byłaby to katastrofa, na niewyobrażalną skalę, a ta

groźba wisi już nad nami, chyba że doprowadzimy do końca dzieło unicestwienia europejskich Żydów.

Zapadła długa cisza. Nie widziałam, co się dzieje w środku, ale wyobrażałam sobie tę scenę. Byłam pewna, że biskup Lorenzi wprost gotuje się z wściekłości na tak absurdalne i straszne argumenty i za chwilę zmiażdży człowieka z Berlina żarliwym potępieniem nazistów i ich wojny z Żydami. Oto słowa, które zamiast tego usłyszałam tamtej nocy przez niedomknięte drzwi:

- Jak pan wie, Herr Luther, my, członkowie Crux Vera, gorąco popieramy narodowy socjalizm i jego krucjatę przeciwko bolszewikom. Robimy, co możemy, zachowując pełną dyskrecję, by polityka Watykanu zmierzała, zgodnie z naszym wspólnym celem, do uwolnienia świata od zagrożenia bolszewizmem. Nie mogę poinstruować papieża, co ma powiedzieć w tej sprawie. Mogę mu tylko dać pochodzącą zgłębi serca radę i z całych sił starać się go do niej przekonać, żywiąc nadzieję, że ją przyjmie. Powiem panu tyle: w tej chwili jest skłonny nie zabierać głosu w tej sprawie. Sądzi, że jego protest tylko pogorszyłby sytuację niemieckich katolików. Co więcej, nie darzy Żydów miłością i uważa, że w dużym stopniu sami ściągnęli na siebie katastrofę. A pańskie przemyślenia na temat przyszłej sytuacji w Palestynie dostarczają mi potężnych argumentów, jestem pewien, że Jego Świątobliwość chętnie wysłucha, co mam dopowiedzenia. Ale proszę również, żebyście nie działali w taki sposób, że będzie zobligowany do działania wbrew swoim intencjom. Stolica Apostolska nie chciałaby być zmuszona do wypowiedzenia słów potępienia dla waszych działań.

- Bardzo mnie cieszą pańskie słowa, biskupie Lorenzi. Udowodnił pan, że rzeczywiście jest pan prawdziwym przyjacielem narodu niemieckiego i zaufanym sprzymierzeńcem w naszej walce z bolszewizmem i Żydami.

- A na pańskie szczęście, Herr Luther, w Watykanie jest jeszcze jeden prawdziwy przyjaciel narodu niemieckiego i znaczy on dużo więcej niż ja. Wysłucha mnie. Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko temu, że się ich pozbędziemy.

- Mam nadzieję, że przewidziano toast.

- Ja również. Siostro Regino?

Weszłam do pokoju, kolana uginały się pode mną.

- Przynieś nam butelkę szampana - powiedział do mnie biskup po włosku, po czym dodał: - Nie, siostro, dwie butelki. Dzisiejszej nocy mamy co świętować.

Chwilę później wróciłam z dwoma butelkami. Korek Jednej z nich wystrzelił, gdy Ją otwierałam, a szampan polał się na mój habit i na podłogę.

- Mówiłem panu, że to chłopka - powiedział biskup. - Musiała go wstrząsnąć po drodze.

Reszta wybuchła śmiechem, moim kosztem, ale po raz kolejny musiałam się uśmiechnąć i udawać, że nie zrozumiałam. Nalałam szampana i chciałam wyjść, ale biskup Lorenzi wziął mnie za ramię.

- Siostro Regino, nie wypiłabyś z nami kieliszka?

- Nie śmiałabym, Wasza Eminencjo. Nie wypada.

- Nonsens! - Odwrócił się do Herr Luthera i po niemiecku zapytał, czy ma coś przeciwko temu, żebym wypiła kieliszek szampana po mojej ciężkiej pracy.

- Ja, Ja! - *zawołał Herr Luther. - Nalegam.*

I tak stałam tam, w poplamionym habicie, pijąc ich szampana. I udawałam, że nie rozumiem, gdy gratulowali sobie udanego pracowitego wieczoru. A gdy wychodzili, uścisnęłam rękę mordercy o nazwisku Luther i ucałowałam podany mi pierścień jego wspólnika, biskupa Lorenziego. Wciąż czuję na ustach gorycz tego pocałunku.

W mojej celi szczegółowo spisałam usłyszaną debatę. Potem leżałam w łóżku, nie zmrużywszy oka aż do świtu. To była noc koszmarnych mąk.

Te słowa piszę wrześniowego wieczoru 1947 roku. Jest wigilia mojego ślubu, którego nigdy nie chciałam. Mam właśnie poślubić człowieka, którego lubię, ale nie darzę prawdziwą miłością. Robię to, bo w ten sposób jest łatwiej. Jak mogłabym podać im prawdziwy powód mojego odejścia? Kto uwierzyłby w tę historię?

Nie mam zamiaru nikomu mówić o tamtej nocy, nie mam zamiaru nikomu pokazywać tego pamiętnika. To pamiętnik hańby. Śmierć sześciu milionów ludzi ciąży mi na sumieniu. Wiedziałam, ale milczałam. Czasem przychodzą do mnie nocą wyniszczeni, w obozowych pasiakach, i pytają mnie, czemu nie stanęłam w ich obronie. Nie mam na to odpowiedzi. Byłam jedynie prostą zakonnicą z północnych Włoch. Tamci byli najpotężniejszymi ludźmi na świecie. Cóż mogłam uczynić? Co ktokolwiek z nas mógł uczynić?

Chiara chwiejnym krokiem wyszła do toalety. Chwilę później Gabriel usłyszał, jak wymiotuje gwałtownie do muszli klozetowej. Antonella Huber siedziała cicho, jej oczy były wilgotne i puste, wyglądała przez oszklone drzwi na zwijające się pod uderzeniami wiatru gałęzie drzew w ogrodzie. Gabriel patrzył na leżące na jej kolanach pożółkłe kartki; zapisane starannym pismem siostry Reginy Carcassi. Słuchanie tego było straszne, ale jednocześnie wypełniła go duma. Treść tego dokumentu była zdumiewająca. Wszystko zgadzało się z tym, czego sam się wcześniej dowiedział. Czyż Licio, staruszek z klasztoru, nie wspominał mu o Martinie Lutherze? Czyż Alessio Rossi nie powiedział mu o tajemniczym zniknięciu dwóch księży z sekcji niemieckiej Sekretariatu Stanu, ojców Feliciego i Manziniego? Czyż Regina Carcassi nie wymieniła obu księży jako asystentów biskupa Sebastiana Lorenziego, przedstawiciela Sekretariatu Stanu, członka Crux Vera, przyjaciela Niemiec?

„A na pańskie szczęście, Herr Luther, w Watykanie jest jeszcze jeden prawdziwy przyjaciel narodu niemieckiego i znaczy on dużo więcej ode mnie".

Tu leżało wyjaśnienie niewytłumaczalnego. Dlaczego Pius XII zachował milczenie wobec największego masowego mordu w historii? Czy dlatego, że Martin Luther przekonał wysokiego urzędnika Sekretariatu Stanu, członka tajnego stowarzyszenia

znanego jako Crux Vera, iż papieskie potępienie Holocaustu doprowadziłoby w końcu do powstania żydowskiego państwa w Palestynie i żydowskiej kontroli nad świętymi miejscami chrześcijaństwa? Tłumaczyłoby to, czemu Crux Vera robiło wszystko, by tajemnica spotkania w Brenzone nie wyszła na jaw - ponieważ to spotkanie łączyło stowarzyszenie, a co za tym idzie, także i Kościół, z wymordowaniem sześciu milionów Żydów w Europie.

Chiara wyszła z łazienki z wilgotnymi i zaczerwienionymi oczami i usiadła obok Gabriela. Antonella Huber odwróciła wzrok od ogrodu i jej czarne oczy spoczęły na twarzy Chiary.

- Jest pani Żydówką, prawda?

Chiara skinęła głową i uniosła głowę.

- Jestem z Wenecji.

- W Wenecji działy się przerażające rzeczy, prawda? Gdy moja matka siedziała bezpiecznie za murami klasztoru Najświętszego Serca Jezusowego, hitlerowcy i ich przyjaciele polowali na weneckich Żydów. - Odwróciła się od Chiary i spojrzała na Gabriela. - A pan?

- Moja rodzina pochodziła z Niemiec.

Nie powiedział nic więcej. Nie trzeba było mówić nic więcej.

- Czy moja matka mogła zrobić coś, żeby im pomóc? - Znowu spojrzała na ogród przez oszklone drzwi. - Czy ja też jestem winna? Czy noszę w sobie grzechy matki?

- Nie uznaję zbiorowej odpowiedzialności - odparł Gabriel. - Jeśli chodzi o pani matkę, to nic nie mogła zrobić. Nawet gdyby sprzeciwiła się rozkazom biskupa i zdradziła informację o spotkaniu w Brenzone, nic by się nie zmieniło. Herr Luther miał rację. Maszyny poszły w ruch, zabijanie się rozpoczęło i nic oprócz klęski hitlerowskich Niemiec nie mogło tego powstrzymać. Poza tym nikt by jej nie uwierzył.

- Może teraz też nikt jej nie uwierzy.

- To dokument o ogromnej sile rażenia.

- To wyrok śmierci - powiedziała. - Odrzucą go jako fałszerstwo. Powiedzą, że chcecie zniszczyć Kościół. Oto co zrobią. Oto co zawsze robią.

- Mam wystarczająco dużo dowodów na poparcie prawdziwości tego dokumentu, żeby uniemożliwić uznanie go za mistyfikację. Pani matka mogła być bezsilna w czterdziestym drugim roku, ale nie teraz. Proszę pozwolić mi go wziąć - ten napisany jej własną ręką. Ważne jest, żebym miał oryginał.

- Może go pan wziąć pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Że rozprawi się pan z ludźmi, którzy zamordowali moją matkę.

Gabriel wyciągnął rękę.

23

Le Rouret, Francja

Kiedy odjeżdżali spod domu Antonelli Huber, zapadał już zmrok. Towarzyszyło im zaciekłe ujadanie belgijskich owczarków. Chiara ściskała w garści dokument. U stóp wzgórza Gabriel skręcił na dwupasmową drogę szybkiego ruchu i ruszył na zachód w stronę Grasse. Ostatnie światło dnia kładło się na lini grzbietowej odległych wzgórz niczym szkarłatna rana.

Pięć minut później zauważył ciemnoszarego fiata. Człowiek siedzący za kierownicą był przesadnie ostrożny. Cały czas trzymał się swojego pasa i nawet kiedy Gabriel zwolnił znacznie poniżej normy, fiat pozostał o kilka długości za jego zderzakiem. Nie, pomyślał Gabriel, za kółkiem nie siedzi zwykły francuski kierowca-samobójca.

Autostradą dojechali do granic Grasse, po czym skręcili ze wzgórza w stronę centrum starego miasta, które zostało dawno temu opanowane przez imigrantów z Bliskiego Wschodu, i przez moment Gabriel mógł się poczuć jak w Algierze lub Marrakeszu.

- Schowaj dokument.
- Co się stało?
- Jesteśmy śledzeni.

Gabriel wykonał serię szybkich skrętów i przyspieszeń.

- Wciąż jest?
- Tak.

- Co robimy?

- Zabierzemy go na przejażdżkę.

Gabriel wyjechał ze starego miasta i wspiąwszy się znowu na wzgórze, wrócił na główną drogę. Fiat wciąż się trzymał tuż za nim. Przemknął przez centrum miasta, po czym skręcił na N85, biegnącą z Grasse w głąb Alp Nadmorskich. Dziesięć sekund później zobaczył fiata we wstecznym lusterku. Gabriel docisnął do dechy pedał gazu i zaczął podjeżdżać pod strome zbocze.

Grasse stopniowo się oddalał. Droga była kręta, pełna serpentyn i ciasnych skrętów. Po prawej mieli pokryte krzakami zbocze góry, po lewej przepaść opadającą w stronę morza. Peugeot miał mniejszą moc, niż Gabriel by tego chciał, bo niezależnie od tego, jak mocno wciskał pedał gazu, fiat bez trudu dotrzymywał im tempa. Gdy tylko Gabriel miał przed sobą prosty odcinek drogi, podnosił wzrok i patrzył we wsteczne lusterko, sprawdzając, gdzie jest fiat; ciągle trzymał się o parę długości za nimi. Raz wydało mu się, że widzi, jak kierowca rozmawia przez telefon komórkowy. „Dla kogo pracujesz? Do kogo dzwonisz? I jak nas, u diabła, znalazłeś?". Antonella Huber... Zabili jej matkę. Pewnie obserwowali jej dom.

Dziesięć minut później pojawiło się przed nimi ciche i puste miasteczko Saint-Vallier. Gabriel zjechał w centrum na bok i zamienił się miejscami z Chiara. Fiat zaparkował po drugiej stronie placu i czekał. Gabriel kazał Chiarze jechać D5 w stronę Saint-Cézaire i wyjął otrzymaną w Rzymie od Szymona Paznera dziewięciomilimetrową berettę. Fiat ruszył za nimi.

Zjazd był długi, kręty i trudny na niektórych odcinkach, prosty i szybki na innych. Chiara kierowała tak samo, jak prowadziła jacht - z niewymuszoną pewnością siebie, co Gabriel mimo woli uznał za pociągające.

- Miałaś w Akademii lekcje defensywnego prowadzenia samochodu?

- Pewnie.

- Czegoś się nauczyłaś?

- Byłam pierwsza w grupie.

- Pokaż mi.

Zmieniła bieg i ostro wcisnęła gaz. Peugeot wystrzelił do przodu z wyjącym silnikiem. Została na niższym biegu, z nogą dociśniętą do podłogi, póki strzałka nie weszła w czerwone pole, po czym znowu zmieniła bieg. Gabriel spojrzał na prędkościomierz - wskazówka przesuwała się pomalutku ku cyfrze 180. Gwałtowne przyspieszenie musiało zaskoczyć kierowcę fiata, ale szybko się pozbierał i wkrótce był na swoim miejscu, dwadzieścia metrów za ich tylnym zderzakiem.

- Nasz przyjaciel wrócił.

- Co mam zrobić?

- Niech się pomęczy. Chcę, żeby zaczęły mu wysiadać nerwy.

Na długim, prostym zjeździe Chiara zmusiła peugeota do przekroczenia dwóch setek. Wjechała na kręty odcinek, z wprawą redukując biegi i hamując na zakrętach. Rzeczywiście nie leniła się w Akademii. Mężczyzna w fiacie miał problemy z utrzymaniem tempa. Dwukrotnie na zakrętach prawie stracił panowanie nad kierownicą.

Przy tej szybkości dojechanie do Saint-Cézaire nie zajęło wiele czasu. Było to średniowieczne miasteczko, w niektórych miejscach otoczone murami, przecięte na pół D5. Chiara zwolniła. Gabriel krzyknął, aby przyspieszyła.

- A co jeśli ktoś będzie przechodził przez tę pierdoloną drogę?

- Nie obchodzi mnie to! Szybciej, do jasnej cholery!

- Gabriel!

Przemknęli przez ciemne miasteczko niczym błyskawica. Kierowca fiata nie miał odwagi pójść ich śladem i zwolnił. Kiedy wyłonił się z miasteczka, był o trzysta metrów za nimi.

- Ty pieprzony wariacie! Mogliśmy kogoś zabić!

- Nie pozwól mu się zbliżyć.

Droga przeszła w czteropasmową autostradę. Po lewej mieli duży rezerwat przyrody, słynący z jaskiń, a przed sobą odległy grzbiet górski, widoczny w jasnym świetle księżyca.

- Skręć tutaj!

Chiara dała po hamulcach, wchodząc w kontrolowany poślizg. Następnie równocześnie zrzuciła bieg i wcisnęła pedał gazu, wjeżdżając na nierówną drogę gruntową. Gabriel obejrzał się i przez dłuższą chwilę patrzył przez ramię. Fiat też skręcił i gnał za nimi.

- Zgaś światła!

- Nic nie będę widzieć.

- Zgaś!

Wyłączyła światła i instynktownie puściła gaz, ale Gabriel ponaglał ją krzykiem, więc dalej zagłębiali się w błyszczącą księżycową poświatę. Wjechali w zagajnik sosen i karłowatych dębów. Droga gwałtownie zakręcała w prawo. Świateł fiata nie było widać.

- Stój!

- Tutaj?

- Stój!

Nacisnęła hamulce. Gabriel gwałtownie otworzył drzwi. Powietrze było pełne krztuszącego pyłu.

- Jedź dalej - powiedział, po czym wyskoczył na zewnątrz i zatrzasnął drzwi.

Chiara zrobiła, co jej kazał, jadąc dalej w kierunku łańcucha górskiego. Po paru sekundach Gabriel usłyszał fiata jadącego szybko w jego stronę. Zszedł z drogi i przykląkł za dębem, trzymając w wyciągniętych rękach berettę. Gdy fiat wjechał w zakręt, Gabriel kilka razy wystrzelił, mierząc w opony.

Przynajmniej dwie pękły. Kierowca stracił kontrolę nad pojazdem, którym zaczęło rzucać i siła odśrodkowa przewróciła go na bok i przetoczyła. Gabriel stracił rachubę, ile razy samochód przekoziołkował, nim znieruchomiał. Podszedł powoli do pogiętej kupy stali, trzymając przy boku berettę. Gdzieś dzwoniła komórka.

Fiat leżał na zmiażdżonym dachu, kołami do góry. Schyliwszy się, Gabriel zajrzał do środka i zobaczył kierowcę leżącego na czymś, co kiedyś było sufitem. Jego nogi były groteskowo wygięte, zmiażdżona klatka piersiowa obficie krwawiła. Mimo

to nie stracił przytomności, a jego ręka zdawała się sięgać po leżącą o kilkanaście centymetrów od palców broń. Panował nad oczami, ale ręka nie chciała słuchać rozkazów mózgu. Miał złamany kark, ale nie zdawał sobie z tego sprawy.

Wreszcie jego wzrok oderwał się od broni i skoncentrował na Gabrielu.

- Głupio zrobiłeś, że nas ścigałeś - powiedział spokojnie Gabriel. - Jesteś amatorem. Twój szef wysłał cię na misję samobójczą. Kim on jest? To on ci to zrobił, nie ja.

Mężczyźnie nie udało się wydać z siebie nic poza rzężeniem. Patrzył na Gabriela, ale chyba go nie widział. Nie pozostało mu wiele życia.

- Nie jesteś bardzo ciężko ranny - powiedział łagodnie Gabriel. - Parę ran i zadrapań. Może jedna czy dwie złamane kości. Powiedz mi, dla kogo pracujesz, to będę mógł zadzwonić po karetkę.

Wargi mężczyzny rozchyliły się i wydały jakiś dźwięk. Gabriel nachylił się bliżej, żeby lepiej słyszeć.

- Cassssssss... Cassssssssssss... Sssssss...

- Casagrande? Carlo Casagrande? Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć?

- Cassssssss...

Gabriel sięgnął do kurtki umierającego i ostrożnie ją obmacywał, póki nie znalazł portfela. Był przesiąknięty krwią. Gdy wrzucił go do kieszeni, usłyszał po raz kolejny komórkę. Musiała wylądować gdzieś na tylnym siedzeniu, sądząc po odgłosie. Zajrzał przez otwór, który był kiedyś tylną szybą, i zobaczył migające światełko telefonu, leżącego na ziemi pod bagażnikiem. Wyciągnął rękę i podniósł aparat. Nacisnął guzik rozmowy i przyłożył telefon do ucha.

- *Pronto.*

- Co tam się dzieje? Gdzie on jest?

- Jest tutaj - powiedział spokojnie Gabriel po włosku. - Co więcej, właśnie z tobą rozmawia.

Cisza.

- Wiem, co się stało w tamtym klasztorze - mówił Gabriel dalej. - Wiem o Crux Vera. Wiem, że zabiliście mojego przyjaciela. A teraz idę po was.

- Gdzie mój człowiek?

- Nie czuje się najlepiej. Chcesz zamienić z nim słowo?

Gabriel położył telefon na ziemi, o parę centymetrów od ust umierającego. Gdy wstał, zobaczył przybliżające się światła peugeota, podskakującego na drodze. Chiara zahamowała kilka metrów od miejsca, gdzie stał. Wracając do samochodu, Gabriel słyszał tylko:

- Cassssssssss... Cassssssssss... Sssssssss...

24

Saint-Cézaire, Prowansja

Przy zielonkawym świetle deski rozdzielczej Gabriel przeszukał portfel zabitego. Nie znalazł prawa jazdy ani niczego innego, co pozwoliłoby określić tożsamość mężczyzny. Wreszcie natrafił na wizytówkę, złożoną na pół i wetkniętą za zdjęcie dziewczyny w sukience na ramiączkach. Kartonik był tak stary, że musiał włączyć lampkę, żeby odczytać zatarty napis: *Paulo Olivero, Ufficio Sicurezza di Vaticano*. Pokazał wizytówkę Chiarze. Zerknęła na nią, na moment odrywając wzrok od drogi.

- Co tam jest napisane?

- Że człowiek, którego zabiłem, był najprawdopodobniej watykańskim gliną.

- Świetnie.

Gabriel zapamiętał numer telefonu na wizytówce, po czym podarł ją na strzępy i wyrzucił za okno. Dojechali do autostrady. Gdy Chiara zwolniła, by zorientować się, gdzie mają jechać, Gabriel wskazał kierunek na zachód, w stronę Aix-en-Provence. Zapaliła papierosa samochodową zapalniczką. Jej ręka drżała.

- Może mógłbyś mi powiedzieć, dokąd jedziemy?

- Musimy opuścić Prowansję tak szybko, jak to możliwe - odpowiedział. - Jeszcze nie podjąłem decyzji co dalej.

- Czy wolno mi wyrazić swoją opinię?

- Czemu nie.

- Czas wracać do domu. Wiesz, co stało się w klasztorze, i wiesz, kto zabił Benjamina. Nie osiągniesz nic więcej, wpadniesz tylko w jeszcze gorsze bagno.

- Jest coś jeszcze - powiedział Gabriel. - Musi być coś jeszcze.

- O czym ty mówisz?

Patrzył nieobecnym wzrokiem w okno. Pustą okolicę owiewał wiatr, w powietrzu unosił się czerwony pył. Nie widział tego. Zobaczył matkę Vincenze, siedzącą dokładnie w tym samym miejscu, w którym Martin Luther i biskup Lorenzi przypieczętowali kontrakt na ludobójstwo, mówiącą mu, że Benjamin przyjechał do klasztoru Najświętszego Serca Jezusowego, żeby dowiedzieć się czegoś o Żydach szukających tam schronienia. Zobaczył Alessia Rossiego, śmierdzącego strachem, z paznokciami obgryzionymi do krwi, opowiadającego, jak Carlo Casagrande zmusił go do zarzucenia śledztwa w sprawie zaginionych księży. Zobaczył siostrę Reginę Carcassi, słuchającą, jak Luther i Lorenzi spokojnie omawiają powody, dla których papież Pius XII powinien zachować milczenie w obliczu zagłady, podczas gdy na jej kolanach spało dziecko z różańcem owiniętym wokół dłoni.

I w końcu zobaczył Benjamina, dwudziestoletniego chłopca, krótkowzrocznego, o zaokrąglonych ramionach, bystrego, mającego wszelkie szanse zdobycia akademickiej sławy. Chciał zostać członkiem drużyny Gniew Boży tak bardzo, jak Gabriel chciał być z niej zwolniony. Benjamin chciał nawet być alefem, zabójcą, ale jego metodyczny umysł nie dawał mu umiejętności potrzebnych do wymierzenia beretty w twarz stojącego w ciemnej uliczce mężczyzny i pociągnięcia za spust. Dawał mu za to wszystkie narzędzia niezbędne do bycia świetnym agentem wsparcia; nigdy też nie popełnił najmniejszego błędu - nawet pod koniec, gdy czuli na karku oddech Czarnego Września i europejskich służb bezpieczeństwa. Takiego Benjamina widział teraz Gabriel, Benjamina, który nigdy nie naraziłby na szwank swojego autorytetu, opierając się na pojedynczym źródle lub dokumencie, choćby nie wiem jak istotnym.

- Benjamin nie napisałby książki wplątującej Kościół w Holocaust, gdyby za jedyny dowód miał list siostry Reginy. Musiał mieć coś jeszcze.

Chiara zjechała na pobocze i zahamowała.

- Czyli?

- Pracowałem z Benjaminem w terenie. Wiem, jak on działał, jak pracował jego umysł. Był ostrożny aż do bólu. Miał plany awaryjne planów awaryjnych. Benjamin wiedział, że książka jest niebezpieczna. Dlatego jej treść trzymał w takiej tajemnicy. Kopie swoich ważnych materiałów schowałby w takim miejscu, gdzie nie szukaliby ich jego wrogowie. - Gabriel zawahał się, po czym dodał: - Ale nie jego przyjaciele.

Chiara zgasiła papierosa w popielniczce.

- Gdy byłam w Akademii, uczono nas, jak wejść do pokoju i znaleźć setki kryjówek na różne przedmioty. Papiery, broń, cokolwiek.

- Robiłem ten kurs z Benjaminem.

- To dokąd jedziemy?

Gabriel uniósł rękę i wskazał przed siebie.

Prowadzili na zmianę - mniej więcej dwie godziny za kierownicą i dwie godziny przerwy. Chiarze udawało się zasypiać, kiedy nie siedziała za kółkiem, ale Gabriel leżał z otwartymi oczami na odchylonym do tyłu siedzeniu, z rękami za głową, patrząc w górę przez przyciemnioną szybę w dachu. Godziny upływały mu na przeszukiwaniu w myślach mieszkania Benjamina. Otwierał książki, biurka, szuflady, kredensy i szafki na dokumenty. Planował wyprawy na niezbadane tereny.

Nadszedł świt, szary i złowrogi, raz uderzający ulewnym deszczem, raz lawiną przejmującego wiatru z doliny Renu. Zdawało się, że dzień jeszcze nie wstał na dobre, więc światła peugeota były włączone przez cały ranek. Na niemieckiej granicy Gabriel poczuł falę gorąca, gdy celnik przez dłuższą chwilę

przyglądał się fałszywemu kanadyjskiemu paszportowi od Paznera.

Przemknęli przez podmokłe, płaskie tereny uprawne Szwabii, jadąc z prędkością obowiązującą na autostradzie. W miasteczku o nazwie Memmingen Gabriel zatrzymał się, żeby zatankować. Obok było centrum handlowe z niewielkim domem towarowym. Wysłał tam Chiarę z listą zakupów. Tym razem poszczęściło mu się lepiej niż w Cannes: dwie pary szarych spodni, dwie koszule, czarny sweter, czarne buty na podeszwie z krepy, pikowany płaszcz z nylonu. W drugiej torbie były dwie latarki i paczka baterii oraz śrubokręty, obcęgi i klucze.

Gabriel przebierał się w samochodzie, Chiara usiadła za kierownicą. Od Monachium dzieliło ich już niewiele kilometrów. Przybyli na miejsce po południu. Nisko przeciągały ciężkie chmury, deszcz padał bez przerwy. Pogoda operacyjna, jakby powiedział Szamron. Dar od bogów wywiadu. Gabrielowi głowa pękała ze zmęczenia, miał piasek pod powiekami. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz porządnie się wyspał. Spojrzał na Chiarę. Tak mocno trzymała się kierownicy, jakby to była jedyna rzecz, dzięki której jeszcze mogła siedzieć prosto. Hotel nie wchodził w grę. Chiara miała pomysł.

Kawałek za centrum starego miasta, niedaleko Reichenbachplatz, stoi dość ponury, płaski budynek. Nad podwójnymi szklanymi drzwiami znajduje się napis: *Jüdisches Einkaufszentrum von München* Monachijskie Centrum Społeczności Żydowskiej. Chiara zaparkowała naprzeciwko głównego wejścia i szybkim krokiem weszła do środka. Wróciła po pięciu minutach, podjechała za róg i zaparkowała przy bocznym wejściu. Jakaś dziewczyna przytrzymywała otwarte drzwi. Była w wieku Chiary, miała szerokie biodra i kruczoczarne włosy.

- Jak to zrobiłaś? - spytał Gabriel.

- Zadzwonili do mojego ojca w Wenecji. Poręczył za nas.

Wnętrze centrum było nowoczesne, oświetlały je ostre fluorescencyjne lampy. Podążyli za dziewczyną po schodach na ostatnie piętro, gdzie wskazano im mały pokój z podłogą z linoleum i dwoma identycznymi łóżkami, zaścielonymi beżową pościelą. Gabrielowi przypominał salę szpitalną.

- Trzymamy to dla gości oraz na sytuacje awaryjne - powiedziała dziewczyna. - Możecie państwo z niego skorzystać na parę godzin. Za tymi drzwiami jest łazienka z prysznicem.

- Muszę skorzystać z faksu - powiedział Gabriel.

- Jest na dole. Zaprowadzę pana.

Gabriel podążył za nią do małego biura obok recepcji.

- Macie kserokopiarkę?

- Oczywiście. Tam.

Gabriel wyjął z kurtki list siostry Reginy Carcassi i skopiował go. Następnie napisał parę słów na osobnym skrawku papieru i wszystko dał dziewczynie. Wyrecytował numer z pamięci i dziewczyna włożyła kartki do faksu.

- Wiedeń? - spytała.

Gabriel skinął głową twierdząco. Usłyszał trzeszczenie, gdy faks połączył się z biurem Eliego Lavona, i patrzył, jak kartki po kolei wychodzą z podajnika. Po dwóch minutach maszyna zadzwoniła i wypluła pojedynczą kartkę z dwoma pospiesznie napisanymi słowami: „Dokumenty przyszły".

Gabriel rozpoznał charakter pisma. Należał do Lavona.

- Czy potrzebuje pan jeszcze czegoś?

- Tylko paru godzin snu.

- Tu nie mogę panu pomóc. - Po raz pierwszy uśmiechnęła się do niego. - Znajdzie pan drogę z powrotem na górę?

- Jasne.

Zasłony w pokoju gościnnym były zaciągnięte. Chiara leżała na jednym z łóżek zwinięta w kłębek. Już spała. Gabriel rozebrał się i wsunął pod koc na drugim łóżku, cicho układając się

na trzeszczących sprężynach tak, żeby nie obudzić dziewczyny, po czym zamknął oczy i zapadł w sen bez marzeń.

Eli Lavon, z papierosem w ustach, stał nad faksem, spoglądając na kartki, które trzymał koniuszkami pożółkłych od nikotyny palców. Wrócił do tonącego w przedwieczornym mroku gabinetu, w którym siedział jakiś mężczyzna. Lavon pomachał kartkami.

- Nasz bohater i nasza bohaterka ujawnili się.

- Gdzie są? - spytał Ari Szamron.

Lavon spojrzał na faks i znalazł numer aparatu, z którego został nadany.

- Wygląda na to, że w Monachium.

- Gdzie w Monachium?

Lavon jeszcze raz popatrzył na kartkę i tym razem, gdy podniósł wzrok, uśmiechał się.

- Wygląda na to, że nasz chłopak znalazł sposób, by wrócić na łono swojego ludu.

- A dokument?

- Obawiam się, że włoski nie jest jednym ze znanych mi języków, ale sądząc po pierwszej linijce, odszukał siostrę Reginę.

- Pokaż mi to.

Lavon podał kartki z faksu Szamronowi, który zaczął je czytać na głos. - *„Mi chiamo Regina Carcassi…”*. - Przerwał i spojrzał na Lavona.

- Znasz kogoś, kto mówi po włosku?

- Mogę znaleźć.

- Natychmiast, Eli!

Gdy Gabriel się obudził, w pokoju panowała zupełna ciemność. Zbliżył przegub ręki do oczu i spojrzał na fosforyzującą

tarczę zegarka. Dziesiąta. Sięgnął do podłogi i zaczął niespokojnie grzebać w ubraniu. Kiedy znalazł list siostry Reginy, odetchnął z ulgą.

Chiara leżała obok niego. W jakimś momencie wstała i jak małe dziecko przyszła do jego łóżka. Była odwrócona do Gabriela plecami, a jej włosy były rozrzucone po poduszce. Gdy dotknął jej ramienia, obróciła się twarzą do niego. Miała wilgotne oczy.

- Co się stało?

- Po prostu rozmyślałam.

- O czym?

Długa cisza, przerwana rykiem klaksonu na zewnątrz.

- Wpadałam czasem do kościoła San Zaccaria, gdy pracowałeś. Widziałam cię, jak siedziałeś na rusztowaniu, ukryty za zasłoną. Czasem zaglądałam głębiej i widziałam, jak wpatrujesz się w twarz Panienki.

- Najwidoczniej muszę sobie kupić większą zasłonę.

- To ona, prawda? Gdy patrzysz w twarz Panienki, widzisz twarz swojej żony. Widzisz jej blizny. - Gdy Gabriel nie odpowiedział, Chiara oparła głowę na łokciu i zaczęła się przyglądać jego twarzy, przesuwając palec wskazujący wzdłuż nosa, jakby to była rzeźba. - Tak mi cię żal.

- Nie mogę obwiniać nikogo oprócz siebie samego. Bez potrzeby zabrałem ją wtedy ze sobą.

- Właśnie dlatego mi cię żal. Gdybyś mógł zwalić winę na kogoś innego, byłoby ci łatwiej.

Oparła głowę na jego piersi i przez chwilę nic nie mówiła.

- O Boże, jak ja nienawidzę tego miejsca. Monachium. To tu się wszystko zaczęło. Wiesz, że Hitler miał kwaterę o parę ulic stąd?

- Wiem.

- Myślałam, że wszystko zmieniło się na lepsze. Pół roku temu ktoś ustawił trumnę przed synagogą mojego ojca. Na wieku była wymalowana swastyka. W środku kartka: „To jest trumna dla weneckich Żydów! Dla tych, których nie wykończyliśmy za pierwszym razem!”.

- To nie było na serio - powiedział Gabriel. - Nie było zagrożenia.

- Starsi się przestraszyli. Widzisz, oni pamiętają, kiedy to było na serio. - Podniosła rękę do twarzy i otarła łzę z policzka. - Naprawdę myślisz, że Beni miał coś więcej?

- Jestem gotów założyć się o własną głowę, że tak.

- Czego jeszcze nam trzeba? Biskup z Watykanu w czterdziestym drugim roku usiadł z Martinem Lutherem i udzielił mu błogosławieństwa na wymordowanie sześciu milionów ludzi. Sześćdziesiąt lat później Crux Vera zabiło twojego przyjaciela i wiele innych osób, żeby tajemnica nie wyszła na jaw.

- Nie chcę, żeby Crux Vera zatriumfowało. Chcę ujawnić ich tajemnicę, a żeby to uczynić, potrzebuję mieć coś więcej niż list siostry Reginy.

- Czy wiesz, co się wtedy stanie z Watykanem?

- To nie moje zmartwienie.

- Zniszczysz go - powiedziała. - Po czym wrócisz do tego kościoła San Zaccaria i skończysz konserwować swojego Belliniego. Jesteś pełen sprzeczności.

- Tak mi mówiono.

Uniosła głowę, opierając podbródek na jego piersi, i spojrzała mu w oczy. Włosy opadły jej na policzki.

- Dlaczego oni nas nienawidzą, Gabrielu? Co myśmy im zrobili?

Peugeot stał tam, gdzie go zostawili, zaparkowany przed wejściem, lśniąc w żółtym świetle latarni. Gabriel jechał ostrożnie przez mokre ulice. Ominął centrum obwodnicą Thomasa Winnera, szeroką arterią okrążającą serce starego Monachium, po czym ruszył po Ludwigstrasse w kierunku Schwabingu. Obok wejścia na stację metra zobaczył przyciśnięty czerwoną cegłą stos niebieskich ulotek. Chiara wyskoczyła na zewnątrz, schwyciła papiery i przyniosła je do samochodu.

Gabriel przejechał dwukrotnie przed domem przy Adalbertstrasse 68, nim się nie upewnił, że jest bezpiecznie i mogą zacząć działać. Zaparkował za rogiem, na Barerstrasse, i zgasił silnik. Obok ze zgrzytem przejechał tramwaj. Był pusty, jeśli nie liczyć smutnej staruszki patrzącej w okno.

Gdy szli w stronę kamienicy, Gabriel przypomniał sobie, co mu powiedział Axel Weiss podczas ich pierwszej rozmowy. Tutejsi lokatorzy niefrasobliwie wpuszczają obcych do domu. Jeśli ktoś wciśnie guzik domofonu i powie „Ulotki", prawie na pewno wejdzie.

Gabriel zawahał się na moment, po czym wcisnął dwa guziki naraz. Chwilę później zaspany głos spytał:

- *Ja?*

Gabriel wymamrotał hasło. Zamek zatrzeszczał i odskoczył. Weszli do środka, a drzwi same zamknęły się za nimi. Gabriel otworzył je i zamknął po raz drugi, na wypadek gdyby ktoś nasłuchiwał. Następnie położył plik ulotek na ziemi i przeszedł przez hol do klatki schodowej - szybko, bo może stara dozorczyni jeszcze nie spała.

Cicho wspięli się po schodach na drugie piętro. Drzwi do mieszkania Benjamina wciąż były oznaczone policyjną taśmą, a oficjalnie wyglądająca kartka na drzwiach informowała o zakazie wstępu. Kwiaty zostały usunięte, zniknął też napis ze ściany.

Chiara przyklękła i zaczęła manipulować przy zamku cienkim metalowym narzędziem. Gabriel obrócił się do niej tyłem i obserwował klatkę schodową. Pół minuty później usłyszał, że zamek ustępuje. Przyklęknęli i pod taśmą policyjną przedostali się do środka. Gabriel zamknął drzwi i zapalił latarkę.

- Rób to szybko - powiedział. - Nie martw się, że robisz bałagan.

Zaprowadził ją do dużego pokoju wychodzącego na ulicę, który służył Benjaminowi jako gabinet. Promień latarki Chiary oświetlił neonazistowskie napisy na ścianach.

- Mój Boże... - wyszeptała.

- Zacznij z tej strony - powiedział Gabriel. - Przeszukamy każdy pokój razem, po czym przejdziemy do następnego.

Pracowali cicho, ale bardzo sprawnie. Gabriel rozkładał biurko na kawałki, Chiara wyciągała po kolei wszystkie książki z półki i przerzucała kartki. Nic. Następnie Gabriel wziął się za resztę mebli, prując obicie, rozrywając poduszki. Nic. Odwrócił do góry nogami niewielki stoliczek i odkręcił nogi, szukając pustych komór. Nic. Zwinęli dywan i szukali skrytki, w której mogły być schowane dokumenty. Nic. Gabriel na czworakach sprawdził, czy jakaś klepka w podłodze nie jest obluzowana. Chiara zdjęła pokrywy z kratek centralnego ogrzewania.

Jasna cholera!

Z drugiej strony pokoju były drzwi, prowadzące do drugiej niewielkiej sypialni, którą Benjamin przekształcił na magazyn. Gabriel i Chiara przeszukali i to pomieszczenie, ale nic nie znaleźli.

Kiedy już wychodzili i zamykali drzwi, Gabriel zwrócił uwagę na ledwo słyszalny dźwięk, coś niezwyczajnego; nie było to skrzypienie nienaoliwionego zawiasu, ale raczej grzechot. Położył rękę na klamce, po czym otworzył i zamknął parokrotnie drzwi. Otwarte, zamknięte, otwarte, zamknięte, otwarte...

Drzwi wydawały dźwięk, jakby tam w środku coś było.

Odwrócił się do Chiary.

- Podaj mi śrubokręt.

Przyklęknął i poluzował śruby trzymające zamek. Gdy skończył, wyjął mechanizm. Do jednej ze śrub przyczepiona była nylonowa nitka, zwisająca do wewnątrz. Gabriel delikatnie ją wyciągnął. Na jej końcu wisiała zamykana na zamek błyskawiczny plastikowa torebka. Wewnątrz znajdował się ciasno złożony plik papierów.

- O Boże! - powiedziała Chiara. - Nie wierzę, że naprawdę to znalazłeś.

Gabriel otworzył torebkę, ostrożnie wyjął i rozłożył papiery przy świetle latarki. Zamknął oczy, zaklął cicho i podał je Chiarze. To była kopia listu siostry Reginy.

Gabriel wstał powoli. Zajęło im ponad godzinę znalezienie czegoś, co już mieli. Ile czasu zajmie im odszukanie tego, czego jeszcze nie mieli? Wziął głęboki oddech i odwrócił się.

W tym momencie zobaczył cień postaci stojącej wśród bałaganu pośrodku pokoju. Sięgnął do kieszeni, zacisnął palce na rękojeści beretty i szybkim ruchem wyciągnął broń. Gdy jego ramię unosiło się do strzału, Chiara oświetliła cel promieniem latarki. Na szczęście Gabrielowi udało się powstrzymać palec od pociągnięcia za spust. Trzy metry przed nim, zasłaniając oczy ręką, stała odziana w różowy szlafrok staruszka.

W mieszkaniu Frau Ratzinger panował wprost patologiczny porządek, który Gabriel rozpoznał od razu. Kuchnia sterylnie czysta, naczynia w kredensie pedantycznie posegregowane. Patrząc na bibeloty na stoliku w salonie, można by pomyśleć, że wciąż na nowo ustawiał je pacjent szpitala psychiatrycznego.

- Gdzie pani była? - spytał łagodnie, jakby zwracał się do małego dziecka.

- Najpierw w Dachau, potem w Ravensbrück, w końcu w Rydze. - Przerwała na chwilę. - Moi rodzice zginęli w Rydze. Zastrzeliły ich *Einsatzgruppen,* ruchome oddziały śmierci SS. Pochowano ich razem z dwudziestoma siedmioma tysiącami innych w rowie wykopanym przez rosyjskich jeńców.

Podciągnęła rękaw, żeby pokazać Gabrielowi numer - wyglądał tak samo jak ten, który jego matka desperacko próbowała ukryć. Nawet w prażącym upale lata w dolinie Ezdrelon wolała nosić bluzę z długimi rękawami, niż pozwolić, aby ktoś obcy zobaczył tatuaż. Znak jej hańby, jak go nazywała. Piętno żydowskiej słabości.

- Benjamin bał się, że go zabiją - powiedziała. - Dzwonili do niego o każdej porze i mówili przez telefon najokropniejsze rzeczy. Stali nocą przed domem, żeby go nastraszyć. Powiedział, że jeżeli coś mu się stanie, przyjdą ludzie z Izraela.

Otworzyła szufladę w kredensie i wyciągnęła biały lniany obrus. Z pomocą Chiary rozwinęła go. W środku była spora koperta, której skrzydełko i brzegi zaklejone były grubą plastikową taśmą.

- Tego szukaliście, prawda? - Wzięła do ręki kopertę. - Gdy zobaczyłam pana za pierwszym razem, pomyślałam, że to może być pan, ale nie wiedziałam, czy mogę panu zaufać. W tym mieszkaniu działy się dziwne rzeczy. Ludzie przychodzili nocą. Policja wywoziła rzeczy Benjamina. Bałam się. Jak pan sobie pewnie wyobraża, wciąż nie ufam Niemcom w mundurach.

Jej smutne oczy spoczęły na twarzy Gabriela.

- Nie jest pan jego bratem, prawda?

- Nie jestem, Frau Ratzinger.

- Tak też sądziłam. Dlatego dałam panu okulary. Wiedziałam, że jeśli pan jest człowiekiem, o którym mówił Benjamin, podąży pan za wskazówkami i w końcu znowu się tu pojawi. Musiałam mieć pewność, że pan jest właściwym człowiekiem. Czy pan jest właściwym człowiekiem, Herr Landau?

- Nie nazywam się Landau, ale jestem właściwym człowiekiem.

- Pański niemiecki jest bardzo dobry - powiedziała. - Pan jest z Izraela, prawda?

- Wychowałem się w dolinie Ezdrelon - odparł Gabriel, niespodziewanie przechodząc na hebrajski. - Benjamin był mi tak bliski jak brat. Jestem tym, kto zgodnie z jego życzeniem powinien zobaczyć, co jest w tej kopercie.

- W takim razie to należy do pana - odpowiedziała po hebrajsku. - Niech pan skończy dzieło swojego przyjaciela. Ale pod żadnym pozorem proszę tu nie wracać. To nie jest dla pana bezpieczne miejsce.

Następnie ostrożnie włożyła kopertę w rękę Gabriela i dotknęła jego twarzy.

- Idźcie już - powiedziała.

Część czwarta

Synagoga nad rzeką

25

Watykan

Benedetto Foà stawił się do pracy w czteropiętrowym budynku biurowym obok wejścia na plac Świętego Piotra o dziesiątej trzydzieści. Jak na Rzym była to godzina zupełnie przyzwoita. W mieście pełnym elegancko ubranych mężczyzn Foà był oczywistym wyjątkiem. Jego spodnie dawno straciły kanty, czubki czarnych skórzanych butów były porysowane, a kieszenie sportowej kurtki zniekształcone na skutek zwyczaju, by pakować do nich notatniki, dyktafony i pliki papierów. Ten watykański korespondent „La Repubbliki" nie wierzył nikomu, kto nie może zmieścić swojego dobytku w kieszeniach.

Przeszedł wśród tłoczących się na parterze turystów oblegających sklepy z pamiątkami i chciał wejść do głównego holu. Zatrzymał go strażnik w błękitnym mundurze. Foà ciężko westchnął i zaczął grzebać po kieszeniach. Robił to tak długo, póki nie znalazł karty akredytacyjnej. Cały ten rytuał był niepotrzebny, bo Benedetto Foà, jeden z *vaticanisti,* był znany ochronie Biura Prasowego równie dobrze, jak zarządzający tym miejscem austriacki despota. Zmuszanie Foi do okazywania karty było rodzajem łagodnej kary, podobnie jak odmówienie mu miejsca na pokładzie samolotu lecącego z papieżem na pielgrzymkę do Argentyny i Chile w przyszłym miesiącu. Foà był niegrzecznym chłopcem. Foà jest teraz poddawany próbie. Foà był łamany kołem, ale dostał szansę na okazanie skruchy.

Jeszcze jeden fałszywy krok, a ułożą go na stosie i zapalą zapałkę.

Sala Stampa della Santa Sede, czyli watykańskie Biuro Prasowe, była wyspą nowoczesności w morzu renesansu. Foà przeszedł przez automatyczne szklane drzwi, przemierzył posadzkę z gładkiego czarnego marmuru i wsunął się do swojego boksu w sali prasowej. Watykan wymusił śluby ubóstwa na tych wszystkich, którzy uważali się za godnych otrzymania stałej akredytacji. Foà miał tylko małe laminowane biurko, na którym stał telefon i faks psujący się zawsze w najgorszym momencie. Jego sąsiadką była kształtna blondynka z magazynu „Inside the Vatican" o imieniu Giovanna. Uważała go za heretyka i odrzucała ponawiane wciąż zaproszenia na wspólny lunch.

Usiadł ciężko na krześle. Na jego biurku leżał egzemplarz „L'Osservatore Romano", watykański odpowiednik „Prawdy", obok stos depesz Watykańskiej Agencji Prasowej, watykańskiego odpowiednika agencji TASS. Z ciężkim sercem, jak sowietolog szukający ukrytego znaczenia w informacji, że pewien członek Politbiura cierpiał na nieżyt dróg oddechowych, Foà zaczął czytać biuletyn. Standardowe brednie. Foà odsunął od siebie papiery i zaczął się zastanawiać, gdzie zjeść lunch.

Spojrzał na Giovannę. Może to właśnie dziś uda mu się przełamać jej obojętność. Przecisnął się do jej boksu. Siedziała pochylona nad *bolktino,* oficjalnym komunikatem prasowym. Gdy Foà spojrzał jej przez ramię, zasłoniła notkę ręką jak uczennica na klasówce zakrywająca swoją pracę przed chłopcem z sąsiedniej ławki.

- Co to jest, Giovanna?

- Właśnie je rozdają. Idź, weź sobie sam i przeczytaj.

Wypchnęła go do holu. Wciąż czując dotyk jej ręki na swoim biodrze, udał się w stronę tego krańca sali, gdzie za drewnianym biurkiem siedziała groźnie wyglądająca zakonnica. Nieprzyjemnie kojarzyła się Foi z nauczycielką, która biła go laską. Niechętnie, jak strażnik więzienny wydający karne racje

żywnościowe, wręczyła mu. dwa *bolletini*. Tylko po to, żeby ją zdenerwować, Foà przeczytał notatki przy biurku.

Pierwsza dotyczyła mianowania nowych pracowników Kongregacji Nauki Wiary. Raczej nic, co mogłoby zainteresować czytelników „La Repubbliki". Foà miał zamiar zostawić to Giovannie i kohortom jej podobnych z Katolickiej Agencji Prasowej. Druga była dużo bardziej interesująca. Została przedstawiona jako poprawka do papieskiego rozkładu dnia na piątek. Ojciec Święty odwołał audiencję delegacji z Filipin, a zamiast tego zamierzał złożyć krótką wizytę w rzymskiej synagodze, skąd miał przemówić do wiernych.

Foà uniósł wzrok i zmarszczył brwi. Podróż do synagogi ogłoszona na dwa dni przed? Niemożliwe! Wydarzenie takie jak to powinno było pojawić się w papieskich planach całe tygodnie temu. Nie potrzeba było człowieka doświadczonego w sprawach Watykanu żeby wiedzieć, że coś się za tym kryje.

Foà popatrzył w głąb wyłożonego marmurową posadzką korytarza, na którego końcu znajdowały się drzwi do przesadnie eleganckiego gabinetu. Za wypolerowanym biurkiem siedział tam Rudolf Gertz, powszechnie nielubiany dyrektor Watykańskiego Biura Prasowego, niegdyś austriacki dziennikarz pracujący dla telewizji. Na przekroczenie progu korytarza potrzebne było specjalne zezwolenie. Foà zdecydował się na samobójczy bieg. Gdy zakonnica nie patrzyła, jak gazela popędził korytarzem. Tuż przed samym progiem gabinetu Gertza jakiś krzepki ksiądz złapał Foę za kołnierz i podniósł go do góry. Foi udało się nie wypuścić z rąk *bolletino*.

- Co ty sobie wyobrażasz, Rudolf? Masz nas za idiotów? Jak śmiesz rzucać nam to na dwa dni przed faktem? Powinieneś nas poinformować! Po co on tam idzie? Co ma zamiar powiedzieć?

Gertz spokojnie uniósł wzrok. Miał opaleniznę narciarza. Zdążył się przygotować do wieczornego wydania wiadomości. Foà wisiał bezradnie, czekając na odpowiedź, choć wiedział, że

jej nie otrzyma, bo podczas podróży z Wiednia do Watykanu Rudolf Gertz stracił zdolność wypowiadania się.

- Nie wiesz, po co on idzie do synagogi, prawda, Rudolf? Papież ma sekrety przed Biurem Prasowym. Coś się kroi, a ja chcę się dowiedzieć co!

Gertz uniósł brwi. „Życzę powodzenia". Potężny ksiądz potraktował to jako sygnał do wyprowadzenia Foi do sali prasowej i umieszczenia go w jego boksie.

Foà zgarnął swoje rzeczy do kieszeni kurtki i zszedł po schodach na dół. Ruszył Via della Conciliazione w stronę rzeki, wciąż trzymając *bolletino* w garści. Wiedział, że to zapowiedź nadchodzącego kataklizmu. Nie wiedział tylko jakiego. Wbrew zdrowemu rozsądkowi pozwolił się wykorzystać w starej jak świat grze: watykańskiej intrydze, w której jedną frakcję kurii papieskiej szczuje się przeciwko drugiej. Podejrzewał, że niespodziewane ogłoszenie wizyty w Wielkiej Synagodze jest punktem kulminacyjnym tej rozgrywki. Był wściekły, że został zaskoczony tak jak wszyscy inni. A on przecież zawarł umowę. I ta umowa jego zdaniem została złamana.

Zatrzymał się na placu obok murów Castel Sant'Angelo. Musiał wykonać telefon, ale nie mógł dzwonić ze swojego boksu w Sala Stampa. Z budki telefonicznej wykręcił numer pewnego lokatora wewnątrz Pałacu Apostolskiego. Prywatny numer pewnego człowieka znajdującego się bardzo blisko Ojca Świętego. Odebrał tak szybko, jakby spodziewał się telefonu od Foi.

- Mieliśmy umowę, Luigi - powiedział bez żadnego wstępu Foà. - Złamałeś ją.

- Uspokój się, Benedetto. Nie rzucaj oskarżeń, których możesz potem żałować.

- Zgodziłem się na twoją gierkę z dzieciństwem Ojca Świętego w zamian za coś szczególnego.

- Wierz mi, Benedetto, na coś bardzo szczególnego będziesz czekał krócej, niż mógłbyś się spodziewać.

- Jeszcze trochę i na zawsze wyrzucą mnie z Sala Stampa przez to, że ci pomogłem. Mogłeś przynajmniej uprzedzić mnie, że zbliża się wizyta w synagodze.

- Nie mogłem tego zrobić z przyczyn, które staną się dla ciebie aż nadto jasne w najbliższych dniach. Jeśli chodzi o twoje problemy w Sala Stampa, to także kwestia czasu.

- Dlaczego udaje się do synagogi?

- Musisz poczekać do piątku, jak wszyscy.

- Jesteś skończonym draniem, Luigi.

- Pamiętaj, proszę, że rozmawiasz z księdzem.

- Nie jesteś księdzem. Jesteś bandytą w sutannie.

- Pochlebstwami nic nie osiągniesz, Benedetto. Przykro mi, ale Ojciec Święty ma do mnie sprawę.

Połączenie urwało się. Foà walnął słuchawką w widełki i zmęczonym krokiem ruszył z powrotem do Biura Prasowego.

Niedaleko stamtąd, w zamkniętej i dobrze strzeżonej dzielnicy dyplomatycznej, do której prowadziła wysadzana drzewami ślepa uliczka Via Michle Mercati, Aaron Sziloch, izraelski ambasador w Stolicy Apostolskiej, przeglądał w swoim biurze poranną korespondencję z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Tel Awiwie. Drobna kobieta o krótkich, ciemnych włosach - Jael Rawona, sekretarka ambasadora Szilocha, zapukała we framugę drzwi i nie czekając na pozwolenie, weszła do gabinetu, położyła pojedynczą kartkę papieru na biurku. Była to informacja od Watykańskiej Agencji Prasowej.

- Właśnie przysłali to faksem.

Ambasador szybko przeczytał depeszę i uniósł wzrok.

- Synagoga? Czemu nas o tym nie uprzedzili? To bez sensu.

- Sądząc z tonu komunikatu, Biuro Prasowe i Watykańska Agencja Prasowa zostały tym zupełnie zaskoczone.

- Połącz mnie z Sekretariatem Stanu. Powiedz, że chcę rozmawiać z kardynałem Brindisim.

- Tak, panie ambasadorze.

Jael Rawona wyszła. Ambasador podniósł słuchawkę i wykręcił numer w Tel Awiwie. Chwilę później powiedział cicho:

- Muszę porozmawiać z Szamronem.

W tej samej chwili Carlo Casagrande siedział na tylnym siedzeniu swojego służbowego samochodu, który pędził krętą autostradą S4 prowadzącą przez góry rozciągające się na północny wschód od Rzymu. Powód jego niezaplanowanej podróży krył się w leżącej na siedzeniu obok zamkniętej dyplomatce. Był to dostarczony mu wcześniej tego ranka raport agenta, któremu zlecił zbadanie dzieciństwa Ojca Świętego. Agent musiał popełnić przestępstwo - włamał się do mieszkania Benedetta Foi. Szybkie przeszukanie archiwum dziennikarza dostarczyło materiału do notatek, których streszczenie znajdowało się w raporcie.

Ukazała się Villa Galatina, przykucnięta na samotnej górze, gniewnie spoglądająca na rozciągającą się poniżej dolinę. Casagrande dojrzał stojącego wysoko na blankach jednego ze strażników Pucciego z karabinem przerzuconym przez ramię. Główna brama była otwarta. Ochroniarz w jasnobrązowym mundurze spojrzał na watykańską rejestrację samochodu i machnięciem ręki pozwolił mu wjechać.

Roberto Pucci przywitał Casagrandego w holu wejściowym. Ubrany był w spodnie jeździeckie oraz skórzane buty z cholewami sięgającymi kolan i pachniał prochem. Najwyraźniej spędził poranek na polowaniu. Don Pucci często powtarzał, że bardziej od kolekcjonowania broni palnej kocha jedynie robienie pieniędzy - i Kościół, rzecz jasna. Finansista poprowadził Casagrandego długą, ponurą galerią do przestronnej sali wychodzącej na ogród. Kardynał Marco Brindisi już czekał - przycupnięty na brzegu krzesła przed kominkiem, trzymając w ręku filiżankę balansującą chwiejnie na okrytym sutanną udzie. Światło odbijało się od małych okrągłych okularów kardynała,

zmieniając je w białe, zasłaniające oczy dyski. Casagrande przyklęknął i ucałował podany mu pierścień. Brindisi wyprostował dwa palce prawej ręki i uroczyście pobłogosławił generała. Kardynał ma przepiękne ręce, pomyślał Casagrande.

Casagrande usiadł, otworzył odpowiednią kombinacją zamki swojej dyplomatki i podniósł wieko. Brindisi wyciągnął rękę i otrzymał pojedynczą kartkę maszynopisu na papierze firmowym watykańskiego Biura do spraw Bezpieczeństwa. Spuścił wzrok i zaczął czytać. Casagrande złożył ręce na kolanach i cierpliwie czekał. Roberto Pucci przechadzał się tam i z powrotem niczym niespokojny myśliwy czatujący na przypadkową ofiarę.

Chwilę później kardynał Brindisi wstał i chwiejnym krokiem podszedł do kominka. Wrzucił raport w płomienie i przyglądał się, jak zwija się i znika, po czym obrócił się twarzą do Casagrandego i Pucciego, z oczami ukrytymi za dwoma białymi dyskami. Jego *uomini di fiducia* - zaufani ludzie - oczekiwali na decyzję, chociaż dla Casagrandego sytuacja była pozbawiona napięcia, gdyż wiedział, co postanowi Brindisi. Kościół jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Trzeba podjąć drastyczne kroki.

Robertem Puccim od dawna interesowały się włoskie służby wywiadowcze, a Villa Galatina od wielu dni nie była sprawdzana na obecność urządzeń podsłuchujących. Nim kardynał Brindisi otworzył usta, by ogłosić wyrok śmierci, Casagrande przyłożył palec do ust i podniósł wzrok ku górze. Pomimo padającego zimnego deszczu wyszli do ogrodu don Pucciego. Spacerowali z parasolami w rękach, jak żałobnicy podążający za ciągniętą przez konie trumną. Dół sutanny kardynała szybko nasiąkł wodą. Casagrandemu zdawało się, że wszyscy trzej brodzą we krwi.

- Nasz papież przypadkowo rozpoczął bardzo niebezpieczną grę - powiedział kardynał Brindisi. - Jego inicjatywa, żeby Tajne Archiwa stanęły otworem, jest jedynie wybiegiem, żeby

można było ujawnić rzeczy, o których on już i tak wie. Obawiam się, że to wyjątkowo lekkomyślne postępowanie. Według mnie jest bardzo możliwe, że Ojciec Święty ma urojenia bądź jest psychicznie niezrównoważony. Mamy obowiązek, więcej, boskie zezwolenie, by go usunąć. Roberto Pucci odchrząknął.

- Usunięcie go, a zabicie, to dwie różne rzeczy, Eminencjo.

- Niezupełnie, don Pucci. Konklawe uczyniło go władcą absolutnym. Nie możemy tak po prostu poprosić króla, żeby ustąpił. Tylko śmierć może zakończyć jego pontyfikat.

Casagrande uniósł wzrok i popatrzył na rząd cyprysów kołyszących się na porywistym wietrze. Zabić papieża? Szaleństwo. Spojrzał na Brindisiego. Kardynał przyglądał mu się uważnie. Pociągła twarz, okrągłe okulary - Casagrande miał wrażenie, jakby taksował go wzrokiem sam Pius XII.

Brindisi odwrócił wzrok.

- „Czy nikt nie uwolni mnie od tego wścibskiego księdza?". Czy wiesz, Carlo, kto wyrzekł te słowa?

- Król Henryk Drugi, o ile się nie mylę. A wścibskim księdzem, o którym mówił, był Tomasz Becket. Chwilę po tym, gdy wypowiedział te słowa, czterech rycerzy wtargnęło do katedry w Canterbury i usiekło Tomasza mieczami.

- Imponujące - odparł kardynał. - Papież z przypadku i święty Tomasz mają wiele wspólnego. Tomasz był próżnym, pretensjonalnym człowiekiem, który sam na siebie ściągnął zgubę. Z pewnością to samo można powiedzieć o Ojcu Świętym. Nie miał prawa pomijać kurii i podejmować działań z własnej inicjatywy. Za swoje grzechy, za swoją próżność musi podzielić los Tomasza. Wyślij swoich rycerzy, Carlo. Niech go usieką.

- Jeśli Ojciec Święty umrze gwałtowną śmiercią, zostanie męczennikiem jak święty Tomasz.

- Tym lepiej. Jeśli jego śmierć zostanie odpowiednio zaaranżowana, cała ta nieczysta sprawa może skończyć się w sposób całkiem odpowiadający naszym celom.

- Jak, Eminencjo?

- Czy potrafisz sobie wyobrazić gniew, który spadnie na głowy Żydów, jeśli Ojciec Święty zostanie zabity w synagodze? Z pewnością zabójca o takich kwalifikacjach jak twój przyjaciel może dokonać czegoś takiego. Gdy będzie po wszystkim, zorganizujemy śledztwo przeciwko naszemu zabójcy, Izraelczykowi, który osiedlił się wśród nas i odnawiał nasze cenne dzieła sztuki, czekając równocześnie na okazję do zamordowania Ojca Świętego. To będzie godna uwagi historia, Carlo. Światowe media z pewnością się nią zainteresują.

- Jeśli w nią uwierzą, Eminencjo.

- Tak, jeśli skrupulatnie wypełnisz swoje zadanie.

Milczenie zawisło w powietrzu, przerywane tylko chrzęstem ich kroków na żwirowej dróżce. Casagrande miał wrażenie, że jego stopy nie dotykają ziemi. Wydawało mu się, że unosi się w powietrzu, oglądając całą scenę z lotu ptaka: starodawne opactwo, labirynt ogrodów, trzej ludzie, święta trójca Crux Vera, spokojnie debatujący nad zabiciem papieża. Ścisnął rączkę parasola, zastanawiając się, czy jest prawdziwa, czy tylko mu się śni. Chciał, żeby jak czarodziejska różdżka zabrała go stamtąd i przeniosła w inne czasy - wtedy jeszcze wiara i obsesja zemsty nie sprawiły, że zaczął postępować równie okrutnie i niemoralnie jak jego wrogowie. Zobaczył Angelinę siedzącą na kocu w cieniu rozłożystych sosen w Villa Borghese. Pochylił się, żeby ją pocałować, spodziewając się poczuć na jej wargach smak truskawek, ale zamiast tego poczuł krew. Usłyszał głos. Ale nie była to Angelina mówiąca mu, że chce spędzić wakacje w górach na północy. Naprawdę był to kardynał Brindisi argumentujący dalej, dlaczego zabicie papieża byłoby korzystne dla Crux Vera i Kościoła. Z jaką łatwością kardynał mówi o morderstwie, pomyślał Casagrande. I wtedy wszystko stało się dla niego jasne. Kościół pogrążył się w chaosie. Czas na sprawdzone przywództwo. Po śmierci Ojca Świętego Brindisi dostałby to, czego mu odmówiono na ostatnim konklawe.

Casagrande zebrał się w sobie i ostrożnie kontynuował rozmowę.

- Jeśli wolno mi podejść do sprawy z operacyjnego punktu widzenia, Eminencjo, zabicie papieża nie jest czymś, czego można dokonać pod wpływem impulsu. Zaplanowanie czegoś takiego zajmuje miesiące, a może i lata - przerwał, spodziewając się, że Brindisi coś powie, ale kardynał szedł naprzód krokiem człowieka, który ma jeszcze przed sobą długą drogę. Casagrande ciągnął dalej: - Gdy Ojciec Święty opuści teren Watykanu, będzie pod ochroną policji i służb bezpieczeństwa. A teraz są szczególnie czujni z powodu naszego zmyślonego zamachowca. Ojciec Święty będzie otoczony murem nie do przebycia.

- To wszystko prawda, Carlo. Ale są dwa ważne czynniki przemawiające zdecydowanie na naszą korzyść. Pracujesz dla watykańskiego Biura do spraw Bezpieczeństwa. Możesz umożliwić komuś zbliżenie się do Ojca Świętego, kiedy tylko sobie zażyczysz.

- A drugi czynnik?

- Człowiekiem, któremu umożliwisz zbliżenie się do Ojca Świętego, będzie Lampart.

- Wątpię czy nawet Lampart przyjmie takie zlecenie, Eminencjo.

- Zaoferuj mu pieniądze. Istoty takie jak on właśnie na nie reagują najlepiej.

Casagrande miał wrażenie, że wali głową w mury starego opactwa. Postanowił przypuścić jeszcze jeden, ostateczny atak.

- Kiedy przeszedłem do Watykanu ze służby w *carabinieri,* złożyłem świętą przysięgę, że będę chronił papieża. Teraz prosicie mnie o złamanie tej przysięgi, Eminencjo.

- Złożyłeś także świętą przysięgę przed Crux Vera i przede mną samym, przysięgę zobowiązującą cię do bezwzględnego posłuszeństwa.

Casagrande zatrzymał się i stanął twarzą w twarz z kardynałem. Jego okulary były mokre od deszczu.

- Miałem nadzieję, że któregoś dnia spotkam żonę i córkę w Królestwie Niebieskim, Eminencjo. Z pewnością jedyne, co może czekać człowieka, który wykona to zadanie, to potępienie.

- Nie martw się, że będziesz musiał zmierzyć się z ogniem piekielnym, Carlo. Udzielę ci rozgrzeszenia.

- Czy naprawdę, Eminencjo, macie wystarczającą moc? Moc, by oczyścić duszę człowieka, który zamorduje papieża?

- Oczywiście, że mam! - wypalił Brindisi takim tonem, jakby uważał pytanie za bluźniercze. Zaraz jednak jego postawa i głos złagodniały. - Jesteś zmęczony, Carlo. Cała ta sprawa ciągnie się zbyt długo i jest trudna dla nas wszystkich. Ale istnieje wyjście i niedługo będzie po wszystkim.

- Jaką cenę przyjdzie za to zapłacić, Eminencjo? Nam? Kościołowi?

- On chce zniszczyć Kościół. Ja chcę go ocalić. Po czyjej stronie stoisz?

Po chwili wahania Casagrande odpowiedział:

- Stoję po Waszej stronie, Eminencjo. I po stronie Najświętszego Kościoła.

- Tego też się po tobie spodziewałem.

- Mam jeszcze jedno pytanie. Czy zamierzacie towarzyszyć Ojcu Świętemu w synagodze? Nie chciałbym, żebyście byli obok papieża, gdy popełniony zostanie ten straszny czyn.

- Jak już powiedziałem Ojcu Świętemu, gdy zadał mi to samo pytanie, mam zamiar mieć w piątek grypę, która uniemożliwi mi wychodzenie z domu.

Casagrande chwycił dłoń kardynała i gorączkowo ucałował jego pierścień. Prałat wyciągnął rękę i uczynił znak krzyża nad głową generała. W jego oczach nie było miłości, tylko chłód i bezwzględna determinacja. Casagrande odebrał to tak, jakby kardynał namaścił trupa.

Kardynał Brindisi pierwszy ruszył w drogę powrotną do Rzymu. Casagrande i Roberto Pucci zostali w ogrodzie.

- Nie trzeba być wyjątkowo spostrzegawczym. Carlo, by się zorientować, że nie jesteś całym sercem po naszej stronie.

- Tylko szaleniec mógłby upajać się możliwością zabicia papieża.

- Co masz zamiar zrobić?

Casagrande przesunął odrobinę żwiru czubkiem buta, po czym spojrzał na uginające się na wietrze cyprysy. Wiedział, że właśnie wchodzi na drogę prowadzącą go ku zgubie.

- Jadę do Zurychu - powiedział Casagrande. - Wynająć mordercę.

26

Wiedeń

Gabinet Eliego Lavona wyglądał jak bunkier sztabu wycofującej się armii. Na stolikach walały się otwarte teczki, wisząca na ścianie mapa była przekrzywiona. Z popielniczek wysypywały się niedopałki, a w koszach na śmieci leżały niedojedzone resztki jakiegoś paskudnego dania na wynos. Na szczycie stosu książek balansowała niebezpiecznie filiżanka z zimną kawą. W rogu pokoju migotał telewizor z wyłączonym głosem.

Lavon najwyraźniej ich oczekiwał. Otworzył gwałtownie drzwi, nim Gabriel zdążył nacisnąć guzik domofonu, i wciągnął ich do środka, jak gości spóźnionych na wydawane na ich cześć przyjęcie. Prowadząc ich korytarzem, machał faksem z listem siostry Reginy i zasypywał Gabriela pytaniami: „Gdzieżeś to znalazł? Coś ty robił w Monachium? Wiesz, ile mamy przez ciebie problemów? Pół Biura cię szuka! O Boże, Gabriel, ale nas nastraszyłeś!".

Szamron cały czas milczał. Przeżył wystarczająco wiele katastrof, żeby zdawać sobie sprawę, że dowie się wszystkiego, co chciał wiedzieć, w odpowiednim czasie. Podczas gdy Lavon gromił Gabriela, Szamron przechadzał się w tę i z powrotem przed oknem wychodzącym na wewnętrzny dziedziniec. W kuloodpornej szybie widać było jego odbicie. Gabriel miał wrażenie, że widzi tutaj innego Szamrona. Młodszego i zwinniejszego. Niezwyciężonego.

Gabriel usiadł ciężko na kanapie Lavona, a Chiara obok niego. Wyjął otrzymaną w Monachium od Frau Ratzinger kopertę i położył na zawalonym teczkami stoliku. Lavon założył okulary do czytania i ostrożnie wyjął jej zawartość: dwie skserowane strony napisanego na maszynie tekstu. Popatrzył na nie uważnie i zaczął czytać. Po chwili jego twarz zrobiła się biała jak pergamin, a papiery zaczęły mu się trząść w rękach. Spojrzał na Gabriela i wyszeptał:

- Niewiarygodne.

Lavon podał kartki Szamronowi.

- Myślę, szefie, że powinieneś to przeczytać.

Szamron potrzymał je przez chwilę, przeczytał nagłówek, po czym wznowił spacer.

- Przeczytaj mi to, Eli - powiedział. - Po niemiecku. Chcę to usłyszeć po niemiecku.

MINISTERSTWO SPRAW ZAGRANICZNYCH RZESZY

DO: SS-OBERSTURMBANFÜHRER ADOLF EICHMANN, RSHA IV B4

OD: UNTERSTAATSEKRETÄR MARTIN LUTHER, ABTEILUNG DEUTSCH-

LAND, W SPRAWIE POLITYKI STOLICY APOSTOLSKIEJ WOBEC KWESTII

ŻYDOWSKIEJ. BERLIN, 30 MARCA 1942 R. 64-34 25/1

MOJE SPOTKANIE Z JEGO EKSCELENCJĄ BISKUPEM SEBASTIANEM LORENZIM W KLASZTORZE NAJŚWIĘTSZEGO SERCA JEZUSOWEGO W PÓŁNOCNYCH WŁOSZECH ZAKOŃCZYŁO SIĘ PEŁNYM SUKCESEM. JAK PANU WIADOMO, BISKUP LORENZI JEST SPECJALISTĄ WATYKAŃSKIEGO SEKRETARIATU STANU W ZAKRESIE KONTAKTÓW NIEMIEC ZE STOLICĄ APOSTOLSKĄ. JEST TAKŻE CZŁONKIEM ORTODOKSYJNEGO KATOLICKIEGO STOWARZYSZENIA ZNANEGO JAKO CRUX VERA, KTÓRE OD SAMEGO POCZĄTKU SILNIE WSPIERAŁO NARODOWY SOCJALIZM. BISKUP LORENZI JEST OSOBĄ POZOSTAJĄCĄ W BLISKIM KONTAKCIE Z OJCEM ŚWIĘTYM I CODZIENNIE Z NIM ROZMAWIA. RAZEM STUDIOWALI NA

Uniwersytecie Gregorianum, a ponadto biskup odegrał kluczową rolę podczas negocjowania konkordatu zawartego między Rzeszą a Stolicą Apostolską w 1933 roku.

Przez pewien czas blisko współpracowałem z biskupem Lorenzim. Moim zdaniem całkowicie zgadza się on z naszą polityką wobec Żydów, choć z oczywistych przyczyn nie może tego otwarcie powiedzieć. Swoje zdanie w kwestii Żydów formułuje przy użyciu terminów teologicznych, ale w przebłyskach szczerości zdradza przekonanie, że nie tylko stanowią oni społeczne i ekonomiczne zagrożenie, ale są heretykami i śmiertelnymi wrogami Kościoła.

W trakcie naszego spotkania, które odbyło się w pięknie położonym klasztorze nad brzegiem jeziora Garda, przedyskutowaliśmy wiele aspektów naszej polityki wobec Żydów i zgodziliśmy się co do tego, że wszelkie opóźnienia nie są wskazane. Wielkie wrażenie na biskupie Lorenzim zdawała się wywrzeć moja uwaga, że jeśli kwestia żydowska nie zostanie rozwiązana we właściwym czasie, możliwe jest powstanie żydowskiego państwa w Ziemi Świętej. Żeby poprzeć swoje argumenty, przytoczyłem wiele cytatów z Pańskiego opublikowanego w 1938 roku memorandum w tej sprawie, w którym dowodził Pan, że żydowskie państwo w Palestynie, nawet najmniejsze, umożliwiłoby Żydom odgrywanie jeszcze większej roli w zakresie prawa i stosunków międzynarodowych, ponieważ wtedy mogliby wysyłać ambasadorów i delegatów do krajów na całym świecie, by wspierali ich dążenie do globalnej dominacji. W tym względzie Żydzi staliby się równorzędnym konkurentem Watykanu. A temu biskup Lorenzi chciałby za wszelką cenę zapobiec. Ani on, ani papież, nie chcą oglądać świętych dla chrześcijaństwa miejsc Ziemi Świętej w rękach Żydów.

Przedstawiłem nasze stanowisko jasno, mówiąc, że papieski protest przeciw zatrzymaniom i deportacjom byłby jawnym pogwałceniem konkordatu.

RÓWNOCZEŚNIE ŻYWO ARGUMENTOWAŁEM ZA MOIM STWIERDZENIEM, ŻE PAPIESKI PROTEST MIAŁBY GŁĘBOKI I KATASTROFALNY WPŁYW NA NASZĄ POLITYKĘ WOBEC ŻYDÓW. LORENZI LEPIEJ NIŻ INNI ZDAJE SOBIE SPRAWĘ, JAK OGROMNE ZNACZENIE MA W TEJ KWESTII POSTAWA STOLICY APOSTOLSKIEJ, I JEST GOTÓW UCZYNIĆ WSZYSTKO, ŻEBY PAPIEŻ ZACHOWAŁ MILCZENIE. WIERZĘ, ŻE Z POMOCĄ BISKUPA LORENZIEGO OJCIEC ŚWIĘTY OPRZE SIĘ KIEROWANEJ DO NIEGO PRZEZ NASZYCH WROGÓW NAWALE PRÓŚB I ZACHOWA ŚCIŚLE NEUTRALNE STANOWISKO. MOIM ZDANIEM NASZE INTERESY W WATYKANIE SĄ ZABEZPIECZONE I MOŻEMY OCZEKIWAĆ, ŻE ŻADNEGO ZNACZĄCEGO SPRZECIWU ZE STRONY STOLICY APOSTOLSKIEJ I KATOLIKÓW POZOSTAJĄCYCH POD KONTROLĄ RZESZY W KWESTII NASZEJ POLITYKI W STOSUNKU DO ŻYDÓW NIE BĘDZIE.

Szamron przestał chodzić po gabinecie i zdawał się studiować odbicie swojej twarzy w szybie. Zapalenie kolejnego papierosa zajęło mu sporo czasu. Gabriel widział, że głęboko się zastanawia, planując cztery ruchy naprzód.

- Minęło trochę czasu, odkąd ostatni raz rozmawialiśmy - powiedział Szamron. - Nim pójdziemy dalej, sądzę, że powinieneś wyjaśnić, jak wszedłeś w posiadanie tych dokumentów.

Gdy Gabriel rozpoczął swoją relację, Szamron znowu zaczął wędrować pod oknem. Gabriel powiedział mu o swoim spotkaniu z Peterem Malone'em w Londynie i że następnego dnia, we Francji, dowiedział się o zabójstwie dziennikarza. Opowiedział mu też o spotkaniu z inspektorem Alessiem Rossim w pensjonacie Abruzzi i o strzelaninie, w której zginął Rossi i czterej inni ludzie. I o swojej decyzji, by porwać jacht i kontynuować śledztwo.

- Zapomniałeś jednak o czymś - wtrącił Szamron. Mówił z nietypową dla siebie łagodnością, jakby zwracał się do małych dzieci.

- Czytałem raport operacyjny Szymona Paznera. Według niego śledzono was, gdy opuściliście kryjówkę - dwóch mężczyzn

w beżowej lancii. Druga ekipa zajęła się lancią i potem już bez trudu dojechaliście do punktu ewakuacyjnego na plaży. Czy tak było?

- Nie widziałem naszego ogona. Słyszałem tylko to, co powiedział mi Pazner. Ludzie w lancii mogli nas śledzić, ale mogli to być tylko jadący na kolację dwaj zwykli rzymianie, których spotkała największa niespodzianka w życiu.

- Może i tak, ale wątpię w to. Widzisz, niedługo potem beżowa lancia znalazła się obok dworca kolejowego. Za kierownicą siedział Palestyńczyk Marwan Aziz, agent wywiadu OWP. Dostał trzy kule z pistoletu. Trup na miejscu. A lewy tylny zderzak lancii został uszkodzony. Marwan Aziz był jednym z tych, którzy cię śledzili. Zastanawiam się, gdzie się podział ten drugi człowiek. Może to on zabił Aziza. Ale zbaczam z tematu.

Gabriela zaintrygowały te informacje, ale mówił dalej. Podróż łodzią do Cannes. Spotkanie z Antonella Huber, podczas którego oddała im list swojej matki, kiedyś siostry Reginy Carcassi. Umierający człowiek zostawiony przez nich na polnej drodze opodal Saint-Cézaire. Nocne przeszukiwanie mieszkania Benjamina i omal tragiczne w skutkach spotkanie z dozorczynią, Frau Ratzinger. Szamron zatrzymał się tylko jeden raz, kiedy Gabriel przyznał się, że groził Carlowi Casagrandemu. Zrozumiała reakcja, mówiło spojrzenie starego człowieka, ale takiego zachowania trudno byłoby się spodziewać po agencie tak wyszkolonym i doświadczonym jak Gabriel.

- Co stawia nas przed kolejnym pytaniem - stwierdził Szamron.

- Czy dokument jest prawdziwy? Czy też jest watykańskim odpowiednikiem pamiętników Hitlera?

Lavon wziął do ręki papiery.

- Widzisz te znaki? Zgadzają się z oznaczeniami archiwów KGB. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że Rosjanie trafili na ten dokument, gdy oczyszczali swoje archiwa po rozpadzie imperium. W jakiś sposób dotarł do rąk Benjamina.

- Ale czy jest sfałszowany?

- Potraktowany osobno, mógłby zostać łatwo odrzucony jako fałszywka, spreparowana przez KGB w celu zdyskredytowania Kościoła. W końcu skakali sobie do gardeł przez większość zeszłego stulecia, zwłaszcza podczas pontyfikatu Wojtyły i kryzysu w Polsce.

Gabriel pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

- Ale jeżeli weźmiemy pod uwagę list Reginy Carcassi i wszystko to, czego się dowiedziałem?

- To jest to najbardziej obciążający dokument, z jakim się w życiu spotkałem. Wysoki rangą przedstawiciel Watykanu dyskutujący z Martinem Lutherem przy kolacji o planie masowej zagłady? Pakt nad jeziorem Garda? Nic dziwnego, że ludzie giną z tego powodu. Jeśli ta sprawa wyjdzie na jaw, będzie to równoznaczne z wybuchem bomby atomowej na placu Świętego Piotra.

- Czy możesz potwierdzić jego autentyczność?

- Mam kilka kontaktów w starym KGB. Ma je też ten cichy człowieczek stojący przy oknie. Nie lubi się tym chwalić, ale jego przyjaciele z placu Dzierżyńskiego robili z nim przez lata wiele interesów. Założę się, że mógłby wyjaśnić tę sprawę w kilka dni, gdyby się postarał.

Szamron spojrzał na Lavona tak, jakby chciał powiedzieć, że nie zabierze mu to więcej niż jedno popołudnie.

- Więc co z tym zrobimy? - spytał Gabriel. - Przeciek do „New York Timesa"? Nazistowski raport, przekazany przez izraelski wywiad via KGB? Kościół zaprzeczy, że spotkanie miało kiedykolwiek miejsce, i zaatakuje posłańca. Bardzo mało ludzi nam uwierzy. Zatrujemy poza tym stosunki między Izraelem a Watykanem. Wszystko, co Jan Paweł Drugi uczynił, żeby naprawić stosunki między katolikami a Żydami legnie w gruzach.

Na twarzy Lavona pojawiła się irytacja.

- Postawa papieża Piusa Dwunastego i Watykanu podczas wojny jest przedmiotem zainteresowania rządu izraelskiego, W Kościele są ludzie, którzy pragną, aby Pius Dwunasty został

ogłoszony świętym. Rząd Izraela nie może dopuścić, by doszło do kanonizacji, nim wszystkie dokumenty Tajnych Archiwów nie zostaną ujawnione i przebadane. Te materiały powinny zostać przekazane rządowi w Tel Awiwie i dalsze działania powinny opierać się na nich.

- Powinny, Eliaszu - powiedział Szamron - ale obawiam się, że Gabriel ma rację. Ten dokument jest zbyt niebezpieczny, by można go było ujawnić. Jak myślisz, co powie Watykan? „Jak to się mogło stać? Strasznie nam przykro". Nie, nie tak postąpią. Zaatakują nas i dadzą nam popalić. Nasze stosunki z Watykanem można w najlepszym razie określić jako napięte. Wielu urzędników Sekretariatu Stanu użyłoby dowolnej wymówki, włączając w to nasz udział w całej sprawie, żeby je zerwać. Jeśli ma z tego wyniknąć coś dobrego, trzeba zająć się wszystkim delikatnie i po cichu od wewnątrz.

- Zająć się? Kto, ty? Wybacz, szefie, ale słowa „delikatnie" i „po cichu" nie przychodzą mi do głowy, gdy myślę o tobie. Lew dał ci pozwolenie na przeprowadzenie dochodzenia w sprawie śmierci Beniego, a nie wywołanie kataklizmu w naszych stosunkach ze Stolicą Apostolską. Powinieneś przekazać materiał do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i wrócić do Tiberiady.

- W zwyczajnych okolicznościach posłuchałbym twojej rady, ale obawiam się, że sytuacja się zmieniła.

- O czym ty mówisz, szefie?

- O telefonie, jaki otrzymałem dzisiaj rano od Aarona Szilocha, naszego ambasadora w Stolicy Apostolskiej. Wygląda na to, że w planach Ojca Świętego nastąpiła niespodziewana zmiana.

- Co sprawia, że wracamy do tych panów, którzy śledzili was, gdy opuściliście kryjówkę w Rzymie. - Szamron usiadł naprzeciwko Gabriela i położył na stoliku zdjęcie. - To zdjęcie zrobiono piętnaście lat temu w Bukareszcie. Poznajesz go?

Gabriel skinął głową. Mężczyzna na zdjęciu był zabójcą i terrorystą o nieustalonej tożsamości, znanym jedynie pod kryptonimem Lampart.

Szamron położył na stole drugie zdjęcie.

- To zdjęcie zrobił w Londynie Mordechaj w parę minut po zabójstwie Petera Malone'a. Nasi ludzie przepuścili te fotografie przez program do identyfikacji twarzy. To ten sam człowiek. Petera Malone'a zamordował Lampart.

- A Beniego? - spytał Gabriel.

- Jeżeli wynajęli Lamparta, żeby zabić Malone'a, to jest całkiem prawdopodobne, że wynajęli go także do zastrzelenia Beniego, ale nie możemy tego wiedzieć na pewno.

- Widać, że masz swoją teorię na temat martwego Palestyńczyka w Rzymie.

- Mam - odparł Szamron. - Wiemy, że Lampart długo i owocnie współpracował z palestyńskimi grupami terrorystycznymi. Operacja na Cyprze jest tego dowodem. Wiemy także, że dobił interesu z Abu Dżihadem i miał dokonać kilku kolejnych aktów terroru wymierzonych w obywateli Izraela. Na szczęście przerwałeś wspaniałą karierę Abu Dżihada i te operacje Lamparta nie zostały przeprowadzone.

- Myślisz, że Lampart wznowił swoją współpracę z Palestyńczykami, żeby mnie znaleźć?

- Obawiam się, że to jest całkiem możliwe. Ci z Crux Vera, tak jak i wielu ludzi z palestyńskiego ruchu oporu, chcą cię widzieć martwego. Jest bardzo prawdopodobne, że drugim mężczyzną w tamtej lancii był Lampart - i że to właśnie on zabił Marwana Aziza.

Gabriel wziął do ręki zdjęcia i przyjrzał im się uważnie, jakby to były dwa płótna, z których autentyczność jednego została potwierdzona, a drugie, jak przypuszczano, mogło zostać namalowane przez tego samego artystę. Nie sposób było tego stwierdzić gołym okiem, ale już dawno się przekonał, że ich

program do identyfikacji twarzy rzadko się mylił. Zamknął oczy i zobaczył różne twarze - twarze martwych osób: Felici... Manzini... Carcassi... Beni... Rossi... Wreszcie zobaczył mężczyznę w białej sutannie, wchodzącego do rzymskiej synagogi nad rzeką. Sutanna była splamiona krwią. Otworzył oczy i spojrzał na Szamrona.

- Musimy poinformować papieża, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo.

Szamron splótł ręce na piersi i spuścił głowę. - Ale jak niby mamy to zrobić? Zadzwonić do informacji w Rzymie i poprosić o domowy telefon papieża? Wszystko odbywa się według określonych procedur, a kuria rzymska słynie z powolności. Jeśli nasz ambasador będzie chciał się z nim skontaktować przez Sekretariat Stanu, zorganizowanie audiencji zajmie tygodnie. Jeśli spróbujemy przez Watykańskie Biuro do spraw Bezpieczeństwa, wpadniemy prosto w ramiona Carla Casagrandego i jego zbirów z Crux Vera. Musimy znaleźć kogoś, kto wpuści nas do Pałacu Apostolskiego tylnym wejściem, abyśmy mogli spotkać się z papieżem osobiście. I musimy to zrobić przed piątkiem. W przeciwnym razie Jego Świątobliwość może nie wyjść z Wielkiej Synagogi w Rzymie żywy.

W pokoju zapadła długa cisza. Przerwał ją Gabriel.

- Znam kogoś, kto może nas zaprowadzić na spotkanie z papieżem - powiedział spokojnie. - Ale musicie mnie przerzucić do Wenecji.

27

Zurych

Carlo Casagrande szybkim krokiem przeszedł przez oświetlony żyrandolami korytarz na czwartym piętrze hotelu Święty Gothard i stanął pod drzwiami pokoju numer 423. Spojrzał na zegarek - siódma dwadzieścia. Dokładnie o tej godzinie miał się stawić. Zapukał dwa razy. Pewnie, wystarczająco silnie, żeby dać o sobie znać, nie zakłócając spokoju lokatorów w sąsiednich pokojach. Zza drzwi odezwał się ktoś po włosku, nakazujący Casagrandemu wejść do pokoju. Jak na obcokrajowca mówił po włosku dobrze. Fakt, że w głosie nie było nawet śladu niemieckiego akcentu, spowodował u Casagrandego nagły wzrost poziomu kwasów żołądkowych.

Otworzył drzwi, zrobił krok do środka i przystanął na progu. Wiązka światła z żyrandola na korytarzu oświetliła fragment pokoju i Casagrande dostrzegł zarys postaci siedzącej w fotelu. Gdy drzwi się zamknęły, już nic nie widział. Casagrande przesuwał się naprzód centymetr po centymetrze, aż dotknął nogą stolika. Przez kilka bolesnych sekund musiał stać w kompletnych ciemnościach. Wreszcie, niczym reflektor na wieży strażniczej, rozbłysła potężna lampa i zaświeciła mu prosto w twarz. Uniósł dłoń i próbował osłonić oczy przed blaskiem. Czuł się, jakby wbijano mu igły w rogówki.

- Dobry wieczór, generale - powiedział ciepły, uwodzicielski głos. - Czy przyniósł pan dossier?

Casagrande podniósł do góry swoją walizkę. W świetle pojawiła się ręka trzymająca steczkina z tłumikiem i dała Carlowi znak, by kontynuował. Casagrande wyjął teczkę i położył ją na stoliku, jakby kładł datek na tacę. Promień światła obniżył się trochę i ręka z pistoletem sięgnęła po akta. Światło... Casagrande stoi na chodniku przed swoim mieszkaniem w Rzymie, patrząc przy świetle latarki karabinierów na okaleczone ciała Angeliny i swojej córki. „Śmierć była natychmiastowa, generale Casagrande. Przynajmniej może pan znaleźć pociechę w fakcie, że pana ukochane nie cierpiały".

Światło gwałtownie powędrowało w górę. Za późno Casagrande próbował osłonić oczy - promień dotarł do siatkówki i przez parę sekund generał miał wrażenie, że pochłania go olbrzymia, wibrująca, pomarańczowa kula.

- Tyle zachodu, żeby położyć kres średniowieczu - powiedział zabójca. Dossier przejechało po stoliku w stronę Casagrandego. - Jest zbyt dobrze chroniony. To zlecenie dla męczennika, a nie zawodowca. Znajdźcie kogoś innego.

- Potrzebuję pana.

- Skąd mam wiedzieć, że nie zrobicie ze mnie kozła ofiarnego, jak z tamtego idioty ze Stambułu? Ostatnia rzecz, jakiej chcę, to spędzić resztę życia, gnijąc w jakimś włoskim więzieniu i błagając papieża o przebaczenie.

- Daję panu moje słowo, że nie zostanie pan kozłem ofiarnym ani pionkiem w jakiejś większej grze. Wykona pan dla mnie to zadanie, a potem, z moją pomocą, będzie mógł pan uciec.

- Słowo mordercy. Czuję się uspokojony. Dlaczego miałbym panu wierzyć?

- Bo nigdy bym pana nie zdradził.

- Doprawdy? Gdy zlecał mi pan zabójstwo Benjamina Sterna, wiedział pan, że był agentem izraelskiego wywiadu?

O mój Boże, skąd on to wie? Casagrande pomyślał o zaletach kłamstwa, ale się rozmyślił.

- Nie - powiedział. - Nie wiedziałem, że profesor był z nimi w jakikolwiek sposób powiązany.

- A powinien pan. - Głos tamtego stał się nagle ostry jak bagnet. - A czy wie pan, że agent o nazwisku Gabriel Allon prowadzi dochodzenie w sprawie jego śmierci i działań pańskiej trzódki?

- Nie znałem tego nazwiska aż do tej chwili. Jak widzę, przeprowadził pan swoje własne dochodzenie.

- W moim interesie jest się dowiedzieć, że ktoś na mnie poluje. Wiem także, że Allon był w pensjonacie Abruzzi w Rzymie na spotkaniu z Alessiem Rossim, gdy wysłał pan armię swoich karabinierów, by go zabili. Powinien pan był przyjść do mnie ze swoimi problemami, generale. Allon byłby już trupem.

Skąd ten potwór może wiedzieć o Izraelczyku i o Rossim? Jak to w ogóle możliwe? To zbir, pomyślał Casagrande, a zbiry lubią, kiedy chce się ich udobruchać. Postanowił odegrać rolę człowieka ugodowego. Nie przychodziło mu to z łatwością.

- Ma pan rację - powiedział pojednawczo. - Powinienem był przyjść do pana. Jasne jest, że tak byłoby lepiej dla nas obu. Czy mogę usiąść?

Światło jeszcze przez kilka sekund pozostawało na jego twarzy, po czym przesunęło się na fotel stojący o kilkanaście centymetrów od miejsca, gdzie stał Casagrande. Usiadł i położył ręce na kolanach. W oczach wciąż czuł blask.

- Pytanie tylko, generale, czy mogę panu na tyle zaufać, żeby ponownie wykonać dla was robotę, szczególnie przy takim zleceniu?

- Spróbuję zdobyć pańskie zaufanie.

- Jak?

- Oczywiście pieniędzmi.

- Potrzeba by do tego bardzo dużo pieniędzy.

- Miałem na myśli bardzo znaczącą sumę - powiedział Casagrande. - Sumę, którą większość ludzi uznałaby za wystarczającą na utrzymanie przez bardzo długi czas.

- Słucham.

- Cztery miliony dolarów.

- Pięć milionów - odparował zabójca. - Połowa teraz, połowa po wykonaniu zlecenia.

Casagrande ścisnął kolana, próbując ukryć narastające w nim napięcie. To było coś innego niż spieranie się z kardynałem Brindisini. Zdał sobie sprawę, ze warunki Lamparta są ostateczne.

- Pięć milionów - zgodził się Casagrande. - Ale dam panu tylko milion zaliczki. Jeśli zdecyduje się pan ukraść moje pieniądze i nie dopełnić umowy, to pańska sprawa. Jeśli chce pan dostać pozostałe cztery miliony... - Casagrande zawiesił głos. - Obawiam się, że obu stronom brak zaufania.

Nastąpiła długa, nieprzyjemna cisza, wystarczająco długa, żeby Casagrande pochylił się do przodu i przygotował do wyjścia. Znieruchomiał, gdy zabójca przemówił.

- Proszę powiedzieć, jak mam to zrobić.

Przez następną godzinę mówił Casagrande - policyjny weteran zdający sprawę z dosyć prozaicznej serii pospolitych zbrodni. Przez cały czas światło wwiercało mu się w twarz. Jego marynarka przesiąkła potem i kleiła mu się do pleców jak mokry koc. Marzył, żeby zabójca wyłączył to cholerstwo. Wolałby raczej siedzieć z nim po ciemku, niż patrzeć dłużej w światło.

- Czy przyniósł pan zaliczkę?

Casagrande poklepał bok walizki.

- Proszę pokazać.

Casagrande położył walizkę na stoliku, otworzył ją i przekręcił, żeby morderca mógł zobaczyć pieniądze.

- Wie pan, co się stanie, jeśli mnie pan zdradzi?

- Naprawdę mogę to sobie wyobrazić - odparł Casagrande. - Ale z pewnością zaliczka tej wielkości świadczy, że przyszedłem tu w dobrej wierze.

- W dobrej wierze? Czy właśnie to skłania pana do popełnienia tego czynu?

- Są rzeczy, których nie wolno panu wiedzieć. Przyjmuje pan zlecenie?

Zabójca zamknął walizkę. Po chwili zniknęła w ciemności.

- Ostatnia rzecz - powiedział Casagrande. - Będzie pan potrzebował identyfikatora Biura do spraw Bezpieczeństwa, żeby ominąć Gwardię Szwajcarską i karabinierów. Czy przyniósł pan zdjęcie?

Casagrande usłyszał jakiś szmer i w kręgu światła pojawiła się ręka trzymająca paszportową fotografię. Kiepskiej jakości. Casagrande przypuszczał, że zrobiono ją w automacie. Patrzył na zdjęcie i zastanawiał się, czy rzeczywiście jest to fotografia maszyny do zabijania znanej jako Lampart. Morderca zdawał się wyczuwać jego myśli, bo po paru chwilach znowu pojawił się steczkin. Był wycelowany dokładnie w serce Casagrandego.

- Czy chciałbyś może zadać mi jakieś pytanie?

Casagrande pokręcił głową.

- To dobrze - powiedział zabójca. - Wynoś się.

28

Wenecja

Acqua alta chlupotała na stopniach kościoła San Zaccaria, gdy Francesco Tiepolo ubrany w sztormiak i sięgające kolan kalosze brnął w zapadającym mroku przez zalany plac. Wszedł do świątyni i zgoła niekościelnie krzyknął, że już czas zamknąć kościół na noc. Adriana Zinetti wprost spłynęła ze swojej ławeczki stojącej wysoko na szczycie głównego ołtarza. Antonio Politi ziewnął szeroko i wykonał serię akrobatycznych ćwiczeń z zakresu jogi, aby uświadomić Francescowi, jaki fatalny wpływ miał dzisiejszy dzień na jego młode ciało. Tiepolo spojrzał na Belliniego. Zasłona wisiała wciąż na miejscu, ale fluorescencyjne lampy były zgaszone. Z olbrzymim wysiłkiem powstrzymał nagłą chęć wrzaśnięcia.

Antonio Politi przystanął obok Tiepola i położył pomazaną farbą rękę na jego potężnym ramieniu.

- Kiedy, Francesco? Kiedy wreszcie wbijesz sobie do głowy, że on nie wróci?

Właśnie, kiedy? Chłopak nie był gotowy do pracy nad arcydziełem Belliniego, ale Tiepolo nie miał wyboru, jeśli kościół miał być ponownie otwarty dla publiczności na wiosenny sezon turystyczny.

- Daj mu jeszcze jeden dzień - powiedział, wciąż wpatrując się w pociemniały obraz. - Jeśli nie wróci do jutrzejszego popołudnia, pozwolę ci dokończyć obraz.

Właśnie zamierzał dać upust swej radości, kiedy zauważył wysoką, uderzająco piękną istotę przemierzającą z niepokojem nawę. Miała czarne oczy i wyjątkowo bujne włosy. Tiepolo znał się na twarzach. Na rysach. Założyłby się o całą swoją zapłatę za pracę w San Zaccaria, że jest Żydówką. Zdawało mu się, że ją skądś zna. Pomyślał, że mógł ją widzieć raz albo dwa w kościele, przyglądającą się pracy konserwatorów.

Antonio ruszył w jej stronę. Tiepolo wyrzucił przed siebie potężne ramię, blokując mu drogę, i przywołał na twarz słaby uśmiech.

- Czy mogę w czymś pomóc, signorina?

- Szukam Francesca Tiepola.

Zawiedziony Antonio czmychnął. Tiepolo położył rękę na piersi. „Znalazłaś go, skarbie".

- Jestem przyjaciółką Maria Delvecchia.

Uwodzicielskie spojrzenie Tiepola nagle stało się lodowate. Złożył ręce na swojej olbrzymiej klatce piersiowej i spojrzał na dziewczynę spod przymrużonych oczu.

- Gdzie on jest, na Boga?

Kobieta nie odpowiedziała, wyciągnęła jedynie rękę i wręczyła mu kartkę. Rozłożył ją i przeczytał: *Twój przyjaciel w Watykanie jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Potrzebuję twojej pomocy, żeby uratować mu życie.*

Uniósł wzrok i spojrzał na nią niedowierzająco.

- Kim jesteś?

- To nie ma znaczenia, signor Tiepolo.

Uniósł sękatą łapę, w której trzymał kartkę.

- Gdzie on jest?

- Pomoże mu pan uratować życie swojego przyjaciela?

- Wysłucham, co ma mi do powiedzenia. Jeśli mój przyjaciel rzeczywiście jest w niebezpieczeństwie, oczywiście pomogę.

- W takim razie musi pan iść ze mną.

- Teraz?

- Proszę, signor Tiepolo. Obawiam się, że nie mamy wiele czasu.

- Dokąd idziemy?

Ale ona tylko złapała go za łokieć i pociągnęła w stronę drzwi.

Cannaregio pachniał solą i mułem. Kobieta poprowadziła Tiepola przez most przerzucony nad Rio di Ghetto Nuovo, a potem do oślizłego, mrocznego *sottoportego*. Na drugim końcu podziemnego przejścia zamajaczyła w żółtej poświacie lampy sodowej sylwetka niewysokiego mężczyzny z rękami w kieszeniach kurtki. Tiepolo zatrzymał się.

- Może zechciałbyś mi powiedzieć, co tu się, kurwa, dzieje?

- Widzę, że dostałeś mój liścik.

- Bardzo ciekawy. Ale muszę przyznać, że trochę za mało w nim szczegółów, zwłaszcza zaś brak jednej bardzo ważnej informacji. Skąd niby ty, konserwator dzieł sztuki, miałbyś wiedzieć, że życie papieża jest w niebezpieczeństwie?

- Stąd, że konserwacja zabytków jest dla mnie tylko czymś w rodzaju hobby. Mam inną pracę, o której wie bardzo niewiele osób. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć, Francesco?

- Dla kogo pracujesz?

- To nieważne.

- To jest cholernie ważne, jeżeli mam pomóc ci dostać się do papieża.

- Pracuję w służbach wywiadowczych. Nie zawsze, tylko w szczególnych sytuacjach.

- Takich jak śmierć w rodzinie.

- Owszem.

- Dla jakich służb pracujesz?

- Wolałbym nie odpowiadać na to pytanie.

- Wierzę, że byś wolał, ale jeśli chcesz, żebym porozmawiał z papieżem, musisz odpowiedzieć na moje pytania. Powtarzam: dla jakich służb pracujesz? SISDE? Watykański wywiad?

- Nie jestem Włochem, Francesco.

- Nie jesteś Włochem! Bardzo śmieszne, Mario.

- Nie mam na imię Mario.

Chodzili wokół placu, Gabriel i Tiepolo ramię w ramię, Chiara o parę kroków za nimi. Tiepolowi zajęło dużo czasu przetrawienie tego, co właśnie usłyszał. Był bystrym człowiekiem, światłym wenecjaninem, miał rozległe polityczne i towarzyskie kontakty, ale sytuacja, w której się znalazł, przekraczała wszystko, czego kiedykolwiek doświadczył. To było mniej więcej tak, jakby ktoś mu powiedział, że ołtarz Tycjana we Frari był namalowaną przez jakiegoś Rosjanina kopią. W końcu wziął głęboki oddech, niczym tenor przygotowujący się do odśpiewania kulminacyjnego fragmentu arii, i odwrócił głowę w stronę Gabriela.

- Pamiętam, jak przyszedłeś tutaj jako chłopiec. To był siedemdziesiąty czwarty albo piąty, prawda? - oczy Tiepola patrzyły na Gabriela, ale jego myśli były w Wenecji dwadzieścia pięć lat wcześniej, w małym warsztacie pełnym rwących się do pracy młodych ludzi. - Pamiętam twoją praktykę u Umberta Contiego. Już wtedy miałeś talent. Byłeś lepszy niż inni. Wiedziałem, że pewnego dnia będziesz wielki. Umberto też to wiedział. - Tiepolo pogłaskał zaplecioną brodę swoją olbrzymią ręką. - Czy Umberto znał prawdę o tobie? Czy wiedział, że jesteś izraelskim agentem?

- Umberto o niczym nie wiedział.

- Zwodziłeś Umberta Contiego? Powinieneś się wstydzić. On wierzył w Maria Delvecchia. - Tiepolo przerwał, powściągnął swój gniew, zniżył głos. - Wierzył, że Mario Delvecchio będzie jednym z największych konserwatorów w historii.

- Zawsze chciałem powiedzieć mu prawdę, ale nie mogłem. Mam wrogów, Francesco. Ludzi, którzy zniszczyli moją rodzinę. Ludzi, którzy chcą mnie wciąż zabić za rzeczy, które zdarzyły się trzydzieści lat temu. Jeśli myślisz, że Włosi są pamiętliwi, powinieneś pomieszkać na Bliskim Wschodzie. To u nas wynaleziono vendete, nie na Sycylii.

- Kain zabił Abla i został wygnany na wschód od Edenu. A ty zostałeś wygnany tutaj, na naszą bagnistą wysepkę w zatoce, żeby leczyć obrazy.

To była propozycja zawarcia pokoju. Gabriel przyjął ją z pojednawczym uśmiechem.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że popełniłem właśnie śmiertelny w moim zawodzie grzech? Ujawniłem się przed tobą - ponieważ sądzę, że twój przyjaciel jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Naprawdę myślisz, że chcą go zabić?

- Już zabili wielu ludzi. Zabili mojego przyjaciela.

Tiepolo rozejrzał się po pustym *campo*.

- Znałem także Jana Pawła Pierwszego - Alberta Luciani. Miał zamiar oczyścić Watykan. Sprzedać majątek Kościoła, pieniądze oddać biednym. Zrewolucjonizować Kościół. Zmarł po trzydziestu trzech dniach pontyfikatu. Watykan powiedział, że na zawał serca.

- Tiepolo pokręcił głową. - Z jego sercem było wszystko w porządku. Miał serce lwa. Odwagę też. Zmiany, które planował przeprowadzić w Kościele, rozzłościłyby wielu ludzi. I w ten sposób...

Wzruszył olbrzymimi ramionami, wyjął komórkę i szybko, z pamięci, wystukał numer. Przyłożył telefon do ucha i czekał. Gdy ktoś odebrał, przedstawił się i spytał o ojca Luigiego Donatiego. Zasłonił mikrofon i szepnął do Gabriela:

- Osobisty sekretarz papieża. Przez wiele lat był z nim tutaj, w Wenecji. Wyjątkowo dyskretny. Bezwzględnie lojalny.

Najwyraźniej Donati pojawił się na linii, bo przez kolejne pięć minut Tiepolo prowadził ożywioną rozmowę, pełną protekcjonalnych uwag o Rzymie i kurii rzymskiej. Gabriel widział

wyraźnie, że Tiepolo od swojego przyjaciela papieża dowiedział się niejednego o sprawach dotyczących polityki Kościoła. Gdy w końcu doprowadził rozmowę do sedna sprawy, zrobił to subtelnie i z wielką gracją, jakby chodziło o sprawę błahą, ale zarazem niecierpiącą zwłoki. Artystyczny światek Wenecji dał Tiepolowi wiele użytecznych lekcji. Był w stanie prowadzić dwie rozmowy naraz. Wreszcie przerwał połączenie i wsunął telefon do kieszeni.

- I? - spytał Gabriel.

- Ojciec Donati porozmawia z papieżem.

Ojciec Luigi Donati przez dłuższą chwilę wpatrywał się w telefon, nim zdecydował się na dalsze działania. Słowa Tiepola wciąż dźwięczały mu w uszach. „Muszę spotkać się z Ojcem Świętym. Ważne jest, żeby przed piątkiem". Tiepolo nigdy w ten sposób nie mówił. Z Ojcem Świętym łączyły go stosunki czysto koleżeńskie *-pasta,* czerwone wino i wesołe anegdoty, przypominające papieżowi dobre czasy w Wenecji, nim stał się więźniem Pałacu Apostolskiego. Dlaczego przed piątkiem? Co ma z tym wspólnego piątek? W piątek Ojciec Święty miał odwiedzić synagogę. Czy Tiepolo chciał mu powiedzieć, że był jakiś problem?

Donati wstał gwałtownie i ruszył w stronę papieskich apartamentów. Przeszedł bez słowa obok dwóch opiekujących się mieszkaniem papieża zakonnic i wszedł do sali jadalnej. Ojciec Święty gościł delegację biskupów z amerykańskiego Środkowego Zachodu, a rozmowa zeszła na temat zdaniem Jego Świątobliwości odrażający. Zdawał się odczuć ulgę, widząc wkraczającego do sali Donatiego, choć ksiądz miał posępną i zafrasowaną twarz.

Donati stanął obok przełożonego i schylił się lekko, tak, żeby mówić wprost do jego ucha. Biskupi wyczuli napięcie w zachowaniu księdza i odwrócili wzrok. Gdy Donati skończył, papież odłożył sztućce i na chwilę zamknął oczy. Następnie podniósł wzrok, skinął głową i poświęcił swoją uwagę gościom.

- A więc na czym skończyliśmy? - powiedział, gdy Donati opuścił salę.

Przemierzyli kilka razy plac, czekając na telefon. Chcąc czymś wypełnić te denerwujące minuty, Tiepolo zasypał Gabriela gradem pytań - o jego pracę dla izraelskiego wywiadu, o jego życie i rodzinę, o to, jak to jest być Żydem, mając wokół siebie chrześcijańską symbolikę. Gabriel odpowiedział na te, na które mógł, delikatnie zbywając te, które zahaczały o drażliwe dla niego sprawy. Wciąż sceptyczny co do tego, że Gabriel nie jest Włochem, Tiepolo sprowokował go do wypowiedzenia paru słów po hebrajsku. Przez następne parę minut Gabriel i Chiara prowadzili ożywioną rozmowę, żartując sobie z Tiepola, którą przerwał im dzwonek komórki Włocha. Francesco przyłożył telefon do ucha, przez chwilę milczał, po czym powiedział:

- Rozumiem, ojcze Donati.

Przerwał połączenie i wsunął telefon do kieszeni.

- Udzielił ci odpowiedzi? - spytał Gabriel.

Tiepolo tylko się uśmiechnął.

29

Rzym

W północnej części Rzymu, niedaleko zakrętu leniwie płynącego Tybru, gdzie rzadko zapuszczają się turyści, znajduje się niewielki, schludny placyk. Jest przy nim kościół z popękaną dzwonnicą oraz przystanek autobusowy, z którego korzysta bardzo niewiele osób. Jest także kawiarnia i mała piekarnia, więc wcześnie rano zapach mąki i drożdży miesza się z bagnistym zapachem rzeki. Naprzeciwko piekarni stoi waląca się kamienica z dwoma drzewkami pomarańczowymi w donicach przed wejściem. Na ostatnim piętrze znajduje się duże mieszkanie, z którego widać odległą kopułę Bazyliki Świętego Piotra. Mieszkanie wynajmuje człowiek, który sam rzadko z niego korzysta. Wyświadcza tylko przysługę swoim przełożonym z Tel Awiwu.

W budynku nie było windy, więc żeby dotrzeć do mieszkania, trzeba było przebyć cztery ponure piętra. Chiara szła przodem, a za nią Gabriel i Francesco Tiepolo. Nim zdążyła wsunąć klucz w zamek, drzwi otworzyły się i pojawiła się w nich kwadratowa postać Szymona Paznera. Pamięć o ucieczce Chiary i Gabriela była aż nadto widoczna w wyrazie jego twarzy. Gabriel był pewien, że gdyby dwa metry za nim nie stali Ari Szamron i Eli Lavon, Pazner rzuciłby się na niego. Opanował się jednak i nie powiedział ani słowa, gdy Gabriel przechodził obok niego i witał się z Szamronem. Nie będzie kłótni rodzinnej dziś

wieczorem, nie przy kimś z zewnątrz. Ale któregoś dnia, gdy Szamron już odejdzie, Pazner na pewno się zemści. Tak zawsze wyglądały sprawy w Biurze. Gabriel zajął się przedstawianiem.

- To jest Francesco Tiepolo. Francesco, to są chłopaki. Nie będę cię obrażał i nie wymienię ich nazwisk, bo i tak nie byłyby prawdziwe.

Tiepolo wydawał się rozbawiony tymi słowami. Szamron zrobił krok naprzód i przejął procedury powitalne. Uścisnął dłoń Tiepola i przez dłuższą chwilę patrzył mu prosto w oczy. Tiepolo wiedział, że w ten sposób sprawdzana była jego lojalność, ale nie dał po sobie poznać, że poczuł się tym dotknięty.

- Brak mi słów, aby wyrazić swoją wdzięczność, że zechciał pan nam pomóc, signor Tiepolo.

- Ojciec Święty jest moim bliskim przyjacielem. Nie mógłbym sobie wybaczyć, gdyby kiedykolwiek stało mu się coś złego, zwłaszcza gdybym miał możliwość temu zapobiec.

- Zapewniam pana, że my myślimy dokładnie tak samo. - Szamron puścił wreszcie rękę Tiepola i spojrzał na Szymona Paznera. - Przynieś mu kawy. Nie widzisz, że miał długą podróż?

Pazner rzucił Gabrielowi lodowate spojrzenie i pomaszerował do kuchni. Szamron zaprowadził Tiepola do salonu. Wenecjanin usadowił się na brzegu kanapy, pozostali skupili się wokół niego. Szamron nie tracił czasu na pogawędki.

- O której wchodzi pan do Watykanu?

- Oczekują mnie przy Brązowych Wrotach o szóstej dzisiaj wieczorem. Zwykle spotykam się tam z ojcem Donatim, który prowadzi mnie na trzecie piętro do pokoi papieskich.

- Jest pan pewien, że Donatiemu można ufać?

- Znam ojca Donatiego od tak dawna jak Ojca Świętego. Jest absolutnie lojalny.

Szymon Pazner wszedł do pokoju i podał Tiepolowi filiżankę kawy.

- Ważne, żeby papież i jego współpracownicy czuli się swobodnie - wznowił rozmowę Szamron. - Spotkamy się z Jego Świątobliwością w takim czasie i w takim miejscu, w jakim będzie sobie życzył. Oczywiście wolelibyśmy, żeby to było jakieś miejsce bezpieczne, gdzie nasza obecność nie zostałaby zauważona przez pewnych członków kurii rzymskiej. Rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć, signor Tiepolo?

Tiepolo uniósł kawę do ust i energicznie pokiwał głową.

- Wiadomość, którą chcemy przekazać Ojcu Świętemu, jest bardzo delikatnej natury. Jeśli to konieczne, spotkamy się z jego zaufanym przedstawicielem, ale sądzimy, że byłoby lepiej, gdyby papież sam ją usłyszał.

Tiepolo wypił espresso jednym haustem i ostrożnie postawił filiżankę na spodku.

- Bardzo by mi pomogło, gdybym wiedział coś więcej.

Szamron pozwolił sobie okazać zakłopotanie, po czym pochylił się do przodu.

- Chodzi o pewne działania Watykanu w czasie drugiej wojny światowej i o spotkanie, które odbyło się dawno temu w klasztorze nad jeziorem Garda. Mam nadzieję, że mi pan wybaczy, signor Tiepolo, jeśli nie powiem nic ponadto.

- A zagrożenie jego życia?

- Sądzimy, że pochodzi z wewnątrz, z Kościoła. Właśnie dlatego powinien przedsięwziąć dodatkowe kroki służące zapewnieniu bezpieczeństwa jemu i ludziom z jego otoczenia.

Tiepolo wziął głęboki oddech.

- Jedna rzecz działa na waszą korzyść. Ojciec Donati mówił mi wielokrotnie, że obawia się o bezpieczeństwo Ojca Świętego. Więc to nie będzie dla niego zaskoczenie. Jeśli chodzi o wojnę... - Tiepolo zawahał się. Widać było, że ostrożnie dobiera słowa. - Pozwólcie, panowie, że powiem jedynie, iż Ojciec Święty poświęcił tej sprawie wiele uwagi. Nazywa to skazą na ciele Kościoła. Skazą, którą za wszelką cenę chce usunąć.

Szamron uśmiechnął się.
- Jesteśmy tu, rzecz jasna, żeby mu w tym pomóc.

O piątej czterdzieści pięć po południu przed wejście do kamienicy zajechał czarny fiat. Po chwili na balkonie pojawili się Szamron i Szymon Pazner, odprowadzając wzrokiem samochód posuwający się wzdłuż rzeki w stronę majaczącej w oddali kopuły.

Kwadrans później Tiepolo wysiadł z fiata przy wejściu na plac Świętego Piotra. Prześliznął się między metalowymi ochronnymi barierkami i ruszył wzdłuż kolumnady Berniniego w momencie, gdy dzwony bazyliki wybijały szóstą. Przy Brązowych Wrotach przedstawił się strażnikowi Gwardii Szwajcarskiej i pokazał mu włoski dowód osobisty. Strażnik zajrzał do swojego notatnika, po czym porównał twarz Tiepola z tą w dowodzie. Usatysfakcjonowany, pozwolił Tiepolowi wejść do Pałacu Apostolskiego.

Ojciec Donati czekał u stóp Scala Regia. Jak zwykle miał ponury wyraz twarzy, jak ktoś wiecznie spodziewający się złych wieści. Z rezerwą uścisnął dłoń Tiepola i poprowadził go na górę do papieskich apartamentów.

Tiepolo wszedł do papieskiego gabinetu, którego wygląd zawsze go zaskakiwał. Był to bardzo prosty pokój - zbyt ascetyczny jak na tak wielką osobistość, pomyślał, ale doskonale pasujący do skromnego duchownego, którego znał i podziwiał w Wenecji. Papież Paweł VII stał w oknie z widokiem na plac Świętego Piotra - biała sylwetka na tle karmazynowych zasłon. Odwrócił się, gdy Tiepolo i ojciec Donati wkroczyli do pokoju, i mimo zmęczenia zdobył się na uśmiech. Tiepolo upadł na kolana i ucałował pierścień rybaka. Papież ujął go pod ramiona i pomógł mu wstać. Następnie schwycił wenecjanina za bicepsy i ścisnął je, jakby w ten sposób czerpał siłę od tego potężnego mężczyzny.

- Dobrze wyglądasz, Francesco. Najwyraźniej życie w Wenecji wciąż ci służy.

- Aż do wczoraj, Wasza Świątobliwość, kiedy to się dowiedziałem, że Wasze życie jest w niebezpieczeństwie.

Ojciec Donati usiadł, ostrożnie założył nogę na nogę i wygładził kant spodni - zajęty dyrektor wielkiej firmy, chcący przyśpieszyć procedurę powitalną.

- Dobra, Francesco - powiedział. - Wystarczy tych ceremonii.

Siadaj i mów, co się, na Boga, dzieje.

Zgodnie z planem papież Paweł VII miał tego wieczoru zjeść kolację z delegacją biskupów z Argentyny. Ojciec Donati zadzwonił do przewodniczącego delegacji, prałata z Buenos Aires, i powiedział mu, że niestety Jego Świątobliwość źle się czuje i nie będzie w stanie ich gościć. Biskup obiecał modlitwę w intencji rychłego wyzdrowienia Ojca Świętego.

O dziewiątej trzydzieści ojciec Donati wyszedł na korytarz przed papieskim gabinetem i przystanął przed trzymającym wartę strażnikiem Gwardii Szwajcarskiej.

- Ojciec Święty życzy sobie pospacerować po ogrodzie, by tam pomedytować - zakomunikował mu bez wstępów. - Wyjdzie za parę chwil.

- Myślałem, że Jego Świątobliwość źle się czuje - powiedział, niewiele myśląc, strażnik.

- Samopoczucie Jego Świątobliwości nie jest twoją sprawą.

- Tak, ojcze Donati. Poinformuję wartowników w ogrodzie, żeby oczekiwali Ojca Świętego.

- Nic takiego nie zrobisz. Jego Świątobliwość chce medytować w spokoju.

Strażnik zesztywniał.

- Tak jest, ojcze Donati.

Ksiądz wrócił do gabinetu, w którym papież właśnie zakładał przy pomocy Tiepola długi płowy płaszcz i kapelusz z szerokim rondem. Spod zapiętego płaszcza wystawał jedynie rąbek białej sutanny.

W Watykanie były tysiące pokoi i niezliczone kilometry korytarzy i schodów. Ojciec Donati postawił sobie niegdyś za zadanie, że musi poznać każdy ich centymetr. Poprowadził papieża obok wartownika, a następnie przez dziesięć minut kluczyli, schodząc w dół, przez labirynt korytarzy starego pałacu - tu mroczny tunel na szerokość ramion z ociekającym wodą sklepieniem, tam kamienne schody, zaokrąglone przez czas, śliskie jak lód.

Wreszcie dotarli do nieoświetlonego podziemnego garażu. Czekał tam nieduży fiat. Watykańska rejestracja SCV została zastąpiona zwykłymi włoskimi numerami. Francesco Tiepolo pomógł papieżowi usiąść z tyłu i usadowił się obok niego. Ojciec Donati zajął miejsce za kierownicą i włączył silnik.

Papież nie potrafił ukryć przerażenia takim obrotem rzeczy.

- Kiedy ostatnio prowadziłeś samochód, Luigi?

- Szczerze mówiąc, Wasza Świątobliwość, nie pamiętam. Z pewnością nim przybyliśmy do Wenecji.

- Przecież to było osiemnaście lat temu!

- Niech Duch Święty ma nas w swojej opiece.

- I wszyscy święci i aniołowie - dodał papież.

Donati wrzucił bieg i powoli poprowadził samochód krętym, ciemnym podjazdem. Chwilę później wyjechali w noc. Ksiądz z wahaniem wcisnął gaz i Via Belvedere dojechał do bramy Świętej Anny.

- Proszę się schylić, Wasza Świątobliwość.

- Luigi, czy to na pewno jest konieczne?

- Francesco, pomóż Jego Świątobliwości się ukryć.

- Przykro mi, Wasza Świątobliwość.

Potężny wenecjanin chwycił papieża za poły płaszcza i ściągnął go na swoje kolana. Fiat przemknął obok Apteki Papieskiej i Instytutu Dzieł Religijnych. Gdy zbliżali się do bramy, ojciec Donati włączył światła i zatrąbił. Zaskoczony wartownik odskoczył sprzed pędzącego samochodu. Ojciec Donati przeżegnał się, gdy samochód przemknął przez bramę i wyjechał na ulice Rzymu.

Papież spojrzał w górę na Tiepola.

- Czy mogę teraz usiąść, Francesco? Ta pozycja jest wielce haniebna.

- Ojcze Donati?

- Tak, myślę, że już jest bezpiecznie.

Tiepolo pomógł papieżowi usiąść i wygładził mu płaszcz.

To Chiara, stojąca na tarasie mieszkania będącego ich kryjówką, zauważyła wjeżdżającego na plac fiata. Samochód zatrzymał się przed domem i wysiadło z niego trzech mężczyzn. Chiara cofnęła się do salonu.

- Przyjechali - powiedziała. - Tiepolo i dwóch innych mężczyzn. Myślę, że jeden z nich to on.

Chwilę później usłyszeli mocne pukanie. Gabriel szybko przemierzył pokój i otworzył szeroko drzwi. Ujrzał Francesca Tiepolo i księdza w sutannie, stojących po obu stronach małego człowieka w długim płaszczu i fedorze. Gabriel usunął się na bok. Tiepolo i ksiądz wprowadzili mężczyznę do mieszkania.

Gabriel zamknął drzwi. Gdy się odwrócił, zobaczył, że drobny mężczyzna zdjął fedorę i podał ją księdzu. Na głowie miał białą piuskę. Następnie zdjął płowy płaszcz i zobaczyli śnieżnobiałą sutannę.

Jego Świątobliwość papież Paweł VII powiedział:

- Słyszałem, że panowie mają mi do przekazania pewne ważne informacje. Zamieniam się w słuch.

30

Rzym

Wystarczyło popchnąć drzwi, by się otworzyły. Tak jak powiedział Włoch. Lange zamknął je za sobą, przesunął zasuwkę i dopiero wtedy zapalił światło. Był to mały pokój z gołą podłogą i zaciekami na ścianach. Stało tam żelazne łóżko, a raczej leżanka z cienkim jak opłatek materacem. Żadnej poduszki, szorstki, wełniany koc leżący w nogach, plamy. Szczyny? Nasienie? Lange mógł tylko zgadywać. Pokój był podobny do tego w Trypolisie, gdzie kiedyś spędził męczące dwa tygodnie w oczekiwaniu na przewodnika z libijskich służb specjalnych, który miał go zabrać do obozów szkoleniowych na południu. Tam jednak nie było wiszącego nad łóżkiem dużego, wystruganego z drewna krucyfiksu, udekorowanego różańcem i suchym liściem palmowym.

Obok łóżka stała niewielka komoda. Lange bez pośpiechu wysunął szuflady. Znalazł bieliznę, zwinięte w kulkę czarne skarpetki i brewiarz z pozaginanymi rogami kartek. Z pewnym niepokojem wszedł do łazienki: poplamiona rdzą umywalka z dwoma kurkami, ledwo odbijające cokolwiek lustro, sedes bez klapy.

Otworzył szafę. Wisiały w niej dwie sutanny. Na podłodze stały czarne buty, mocno znoszone, ale wypolerowane, buty biednego człowieka, który troszczy się o swój wygląd. Lange

wypchnął buty czubkiem swojego mokasyna i zauważył obluzowaną płytkę podłogową. Schylił się i podważył ją.

Sięgnął do niewielkiego otworu i wyciągnął wodoodporną szmatkę. Rozwinął ją: steczkin, tłumik, dwa magazynki dziewięciomilimetrowej amunicji. Lange wsunął jeden z magazynków w rękojeść i wcisnął broń za pasek spodni. Tłumik i drugi magazynek zawinął z powrotem.

Sięgnął do skrytki po raz drugi i wyjął dwa kolejne przedmioty: kluczyki do motocykla zaparkowanego przed domem oraz skórzany portfel. Otworzył go. W środku był identyfikator Watykańskiego Biura do spraw Bezpieczeństwa, najwyraźniej prawdziwy. Lange spojrzał na nazwisko - Manfred Beck, Wydział Specjalny - oraz na zdjęcie. Fotografia, którą dał Casagrandemu w Zurychu. Oczywiście to nie był on, ale przy drobnym retuszu jakieś podobieństwo można będzie odnaleźć.

Manfred Beck, Wydział Specjalny...

Wrzucił portfel z powrotem do skrytki, po czym włożył płytkę na miejsce i postawił na niej buty. Rozejrzał się po pustym pomieszczeniu. Tak wygląda pokój księdza. Naszło go naraz wspomnienie: kręta, brukowana uliczka we Fryburgu, młody mężczyzna w sutannie snujący się w mgle podnoszącej się znad rzeki Saane. Młody mężczyzna przeżywający katusze. Mężczyzna rozdarty. Mężczyzna, który nie mógł znieść myśli o przeraźliwej samotności w perspektywie czekającego go życia. Mężczyzna o wielkich ambicjach. Czyż to nie dziwne, że w konsekwencji decyzji, którą wtedy podjął, jego udziałem stało się życie w jeszcze większym osamotnieniu, niż gdyby został księdzem proboszczem. Czyż to nie dziwne, że los chciał, aby z powrotem znalazł się tutaj, w tym koszmarnym pokoju w Rzymie.

Podszedł do okna i otworzył je. Twarz owiało mu wilgotne nocne powietrze. W pewnej odległości, około półtora kilometra od niego, majaczył Stazione Termini. Na wprost, po drugiej

stronie ulicy, rozciągał się gęsty, zapuszczony park. Po pełnym kałuż chodniku szła jakaś kobieta. Latarnia na moment oświetliła jej rude, bretońskie pasemka we włosach. Coś sprawiło, że spojrzała w górę, w otwarte okno. Wyszkolenie. Instynkt. Strach. Widząc jego twarz, uśmiechnęła się i przecięła ulicę.

31

Rzym

Ari Szamron stwierdził, że nie będą zwodzić Namiestnika Chrystusowego. Gabriel miał powiedzieć wszystko, nie ochraniając źródeł ani metod operacyjnych. Szamron podpowiedział Gabrielowi, by zdawał relację w porządku chronologicznym, bo jako osoba, która składała raporty sześciu premierom, wiedział, jak istotny jest sam sposób narracji. Uważał, że brudne szczegóły dotyczące zdobywania informacji uwiarygodniały wnioski w oczach słuchaczy - w tym wypadku zwierzchnika Kościoła rzymskokatolickiego.

Usadowili się w salonie. Papież spoczął wygodnie w fotelu, nogi trzymał razem, ręce złożył na kolanach. Ojciec Donati usiadł obok niego z otwartym notatnikiem na kolanach. Gabriel, Szamron i Eli Lavon siedzieli ściśnięci na kanapie, oddzieleni od papieża i jego sekretarza niskim stoliczkiem i dzbankiem z herbatą, której nikt nie tknął. Chiara i Szymon Pazner trzymali wartę na balkonie. Francesco Tiepolo, wykonawszy swoje zadanie, ucałował papieski pierścień i wyruszył w drogę powrotną do Wenecji na tylnym siedzeniu samochodu należącego do Biura.

Gabriel rozmawiał z papieżem w jego ojczystym języku, podczas gdy ojciec Donati pilnie notował. Co parę minut Donati przerywał Gabrielowi, unosił swój srebrny długopis i patrzył na niego znad półokrągłych okularów. Następnie zmuszał

go, żeby się cofnął, by wyjaśnić jakiś szczegół, bądź też czynił drobne zarzuty co do tłumaczenia. Jeśli coś nie zgadzało się w jego zapiskach, ostentacyjnie wykreślał niesforny fragment. Gdy Gabriel zdawał relację ze swojej rozmowy z Peterem Malone'em i gdy po raz pierwszy pojawiła się nazwa Crux Vera, Donati posłał papieżowi porozumiewawcze spojrzenie, celowo przez Ojca Świętego zignorowane.

Papież słuchał w milczeniu. Czasem skupiał wzrok na splecionych palcach; czasem zamykał oczy, jakby był pogrążony w modlitwie. Tylko gdy Gabriel mówił o zabójstwach, zdawał się budzić z zadumy. Słysząc o każdej kolejnej śmierci - Benjamina Sterna, Petera Malone'a, Alessia Rossiego i czterech karabinierów w Rzymie, agenta Crux Vera na południu Francji - czynił znak krzyża i wypowiadał cicho kilka słów modlitwy. Ani razu nie spojrzał na Gabriela ani na ojca Donatiego. Jedynie na twarzy Szamrona jego spojrzenie zatrzymywało się na dłuższy czas. Papież zdawał się odczuwać jakąś braterską więź ze starszym mężczyzną. Być może dlatego, że byli niemal rówieśnikami, a może Ojciec Święty dostrzegał w zmarszczkach i bruzdach na surowej twarzy Szamrona coś, co dodawało mu otuchy. Co jakiś czas obaj patrzyli na siebie ponad stolikiem, jakby to była dzieląca ich przepaść czasu i historii.

Gabriel podał księdzu list siostry Reginy. Ojciec Donati przeczytał go na głos. Twarz papieża zdradzała smutek, powieki miał zaciśnięte. Jakby odezwał się w nim dojmujący ból, pomyślał Gabriel, ból świeżo otwartej starej rany. Tylko raz otworzył oczy, przy tym fragmencie listu, w którym siostra Regina napisała o śpiącym na jej kolanach chłopcu. Spojrzał ponad przepaścią na Szamrona, skupiając na chwilę jego wzrok, by po chwili zamknąć oczy i wrócić do swojej własnej męki.

Skończywszy czytać, ojciec Donati oddał list Gabrielowi. Gabriel opowiedział o swoim wyjeździe do Monachium w celu ponownego przeszukania mieszkania Benjamina i o dokumencie, który profesor dał na przechowane starej dozorczyni Frau Ratzinger.

- Jest po niemiecku - powiedział. - Czy mam go przetłumaczyć, Wasza Świątobliwość?

Zamiast papieża odpowiedział ojciec Donati.

- Ojciec Święty i ja płynnie władamy niemieckim. Może pan swobodnie przeczytać dokument w języku oryginału.

Raport Martina Luthera przesłany Adolfowi Eichmannowi zdawał się wywołać u papieża fizyczny ból. W pewnym momencie schwycił dłoń ojca Donatiego, jakby szukając wsparcia. Gdy Gabriel skończył, pochylił głowę i skrzyżował ręce pod pektorałem. Po jakiejś chwili spojrzał na Szamrona trzymającego w dłoniach relację siostry Reginy ze spotkania w klasztorze.

- Godny uwagi dokument, prawda, Wasza Świątobliwość? - spytał Szamron po niemiecku.

- Użyłbym tu innego określenia - odparł papież w tym samym języku. - Haniebny. To pierwsze słowo, które przychodzi mi do głowy.

- Ale czy siostra Regina wiernie przedstawiła wszystko, co się wydarzyło w tamtym klasztorze w czterdziestym drugim roku?

Gabriel spojrzał wpierw na Szamrona, potem na papieża. Ojciec Donati otworzył usta, by wyrazić swój sprzeciw, ale papież uciszył go, kładąc delikatnie dłoń na ramieniu sekretarza.

- Wiernie, poza jednym szczegółem - powiedział papież Paweł VII. - Tak naprawdę to nie spałem na kolanach siostry Reginy. Po prostu już nie chciałem odmawiać kolejnej cząstki różańca.

I wtedy opowiedział im historię chłopca z biednego miasteczka w górach północnych Włoch. Chłopca osieroconego w wieku dziewięciu lat, niemającego krewnych, od których mógłby oczekiwać wsparcia. Chłopca, który przedostał się do klasztoru nad jeziorem, gdzie znalazł pracę w kuchni i zaprzyjaźnił się z siostrą Reginą Carcassi. Zakonnica zastąpiła mu matkę. Nauczyła go czytać i pisać. Nauczyła go doceniać sztukę i muzykę.

Nauczyła go miłować Boga i mówić po niemiecku. Przezwała go Ciciotto, Grubaskiem. Po wojnie, gdy siostra Regina zerwała śluby i opuściła klasztor, chłopiec też odszedł. Jego zaufanie do Kościoła, podobnie jak siostry Reginy Carcassi, zachwiały wydarzenia z czasów wojny. Przedostał się do Mediolanu, gdzie żył na ulicy, okradając przechodniów i sklepy. Wielokrotnie był łapany i bity przez policjantów. Pewnej nocy banda rzezimieszków omal nie zatłukła go na śmierć - zostawili go na schodach kościoła parafialnego, by skonał. Rano znalazł go ksiądz i zawiózł do szpitala. Odwiedzał go codziennie i płacił rachunki. Odkrył, że brudny ulicznik spędził trochę czasu w klasztorze, że umie czytać i pisać i że wiele wie o Biblii i Kościele. Przekonał chłopca, by wstąpił do seminarium i kształcił się na księdza, by uciec od życia w biedzie i występku. Chłopiec przystał na propozycję i jego życie zupełnie się odmieniło. Gabriel, Szamron i Eli Lavon słuchali papieża jak zauroczeni, siedząc bez ruchu. Ojciec Donati patrzył na swój notes, jego ręce cały ten czas nawet nie drgnęły. Gdy Ojciec Święty skończył, w pokoju zapadła głęboka cisza, przerwana w końcu przez Szamrona.

- Wasza Świątobliwość musi wiedzieć, że naszym celem nie było zdobycie i ujawnienie informacji o spotkaniu w klasztorze nad jeziorem Garda czy o Waszej przeszłości. Chcieliśmy tylko się dowiedzieć, kto zabił Benjamina Sterna i dlaczego.

- Nie mam wam za złe, że mi o tym wszystkim powiedzieliście, panie Szamron. Choć wiedza wynikająca z tych dokumentów jest bardzo bolesna, muszą one zostać upublicznione, tak by mogli się z nimi zapoznać historycy, a także zwykli katolicy i Żydzi.

Szamron położył dokumenty przed papieżem.

- Nie mamy życzenia ich ujawniać. Zostawiamy je w rękach Waszej Świątobliwości, by zdecydować, co z nimi zrobić.

Papież pochylił się nad papierami, ale patrzył na nie nieobecnym wzrokiem, głęboko zamyślony.

- Papież Pius Dwunasty nie był tak nikczemny, jak go przedstawiają nasi wrogowie. Ale niestety nie był też tak cnotliwy,

jak utrzymują jego obrońcy, włączając w to Kościół. Miał swoje powody, by milczeć: obawa przed podzieleniem się niemieckich katolików, strach przed zemstą Niemców na Watykanie, chęć odegrania dyplomatycznej roli rozjemcy. Ale musimy przyjąć do wiadomości smutny fakt, że alianci chcieli, by publicznie wystąpił przeciwko Holocaustowi, a Adolf Hitler, by milczał. Jakakolwiek była tego przyczyna - nienawiść względem komunizmu, sympatie proniemieckie, fakt, że w swojej stolicy był otoczony przez Niemców - Pius wybrał drogę, której chciał Hitler, a cień tego wyboru wisi nad nami do dzisiaj. Chciał być mężem stanu, choć świat najbardziej potrzebował księdza - człowieka w sutannie, który krzyknie na morderców, ile sił w płucach, by przestali robić to, co robili w imię Boga i wszystkiego, co uczciwe.

Papież podniósł wzrok i przyjrzał się otaczającym go twarzom: najpierw Lavonowi, potem Gabrielowi, a wreszcie Szamronowi. Na nim jego wzrok pozostał najdłużej.

- Musimy pogodzić się z przykrym faktem, że milczenie Kościoła było bronią w rękach Niemców. Dzięki niemu mogli kontynuować zatrzymania i deportacje, nie napotykając na większy opór. Były setki, a może i tysiące katolików, którzy mieli swój udział w ratowaniu Żydów. Ale gdyby europejscy księża i zakonnice otrzymali od papieża instrukcje, żeby przeciwstawić się Holocaustowi, czy nawet dostali tylko błogosławieństwo dla takiego działania, o wiele więcej katolików udzieliłoby schronienia Żydom i w efekcie o wiele więcej Żydów przetrwałoby wojnę. Gdyby niemiecki episkopat wystarczająco wcześnie wyraził sprzeciw wobec mordowania Żydów, być może Holocaust nie przybrałby tak zastraszających rozmiarów. Papież Pius Dwunasty wiedział, że zaplanowano wymordowanie wszystkich Żydów w Europie, ale wolał zachować tę tajemnicę dla siebie. Dlaczego nie powiedział o tym światu? Dlaczego nie powiedział tego nawet biskupom w krajach, gdzie trwały deportacje Żydów? Czy dotrzymywał zawartego nad jeziorem paktu z diabłem?

Papież sięgnął po stojący na środku stołu dzbanek. Gdy ojciec Donati pochylił się, by mu pomóc, podniósł dłoń, jakby chciał powiedzieć, że Jego Świątobliwość ciągle potrafi nalać sobie filiżankę herbaty, dolać do niej mleka i wsypać cukier. Nim zaczął mówić dalej, przez chwilę mieszał herbatę w zadumie.

- Obawiam się, że zachowanie Piusa Dwunastego to tylko jeden z licznych aspektów wojny wymagających zbadania. Musimy przyjąć do wiadomości przykrą prawdę, że wśród katolików więcej było morderców niż tych, którzy ratowali ludzkie życie. Katoliccy księża pełnili obowiązki duszpasterskie w niemieckich jednostkach dokonujących mordów na Żydach. Wysłuchiwali ich spowiedzi i udzielali im sakramentu Komunii Świętej. W części Francji pozostającej pod władzą Vichy katoliccy księża pomagali francuskim i niemieckim wojskom chwytać Żydów wysyłanych potem na śmierć. Na Litwie hierarchia kościelna zakazała księżom pomagania Żydom. Na Słowacji, kraju rządzonym przez księdza, rząd posunął się do tego, że płacił Niemcom za wywożenie Żydów do obozów śmierci. W katolickiej Chorwacji duchowni nawet osobiście brali udział w mordach. Franciszkanin o przydomku Brat Szatan kierował chorwackim obozem koncentracyjnym, w którym zabito dwadzieścia tysięcy Żydów. - Papież przerwał, by pociągnąć łyk herbaty, jakby chciał usunąć z ust gorzki smak. - Musimy także zaakceptować fakt, że po wojnie Kościół pobłażliwie potraktował morderców i setkom z nich pozwolił uciec przed sprawiedliwością.

Szamron niespokojnie się poruszył, ale nic nie powiedział.

- Jutro w Wielkiej Synagodze Kościół rzymskokatolicki po raz pierwszy uczciwie powie o tych sprawach.

- Wasze słowa mają niezwykłą wagę, Wasza Świątobliwość - powiedział Szamron - ale zapuszczanie się na drugą stronę rzeki i wypowiedzenie ich głośno w synagodze, by usłyszał je świat, może być dla Was niebezpieczne.

- Synagoga to jedyne miejsce, w którym można je wypowiedzieć; zwłaszcza ta synagoga, która stoi na terenie dawnego

rzymskiego getta, gdzie Żydów ładowano na samochody pod samymi oknami papieskiego domu, z którego nie padło choćby słowo protestu. Mój poprzednik udał się tam raz, by rozpocząć tę podróż. Miał dobre serce, ale niestety nie miał dostatecznego poparcia kurii rzymskiej i jego wędrówka skończyła się, nim osiągnął cel. Dokończę ją za niego jutro w miejscu, gdzie rozpoczął.

- Wygląda na to, że jeszcze jedno Was łączy z Waszym poprzednikiem, Wasza Świątobliwość - powiedział Szamron. - Są w Kościele pewni ludzie - najprawdopodobniej tutaj, w Rzymie - którzy nie chcą dopuścić do ujawnienia pełnej prawdy o tym, jaką rolę w Holocauście odegrał Watykan. Udowodnili już, że są w stanie zabić, żeby zataić przeszłość, więc trzeba zakładać, że życie Waszej Świątobliwości jest także w niebezpieczeństwie.

- Czy ma pan na myśli Crux Vera?

- Czy w Kościele istnieje takie stowarzyszenie?

Papież i ojciec Donati wymienili długie spojrzenia. Ojciec Święty ponownie skierował wzrok na Szamrona.

- Tak, panie Szamron, Crux Vera rzeczywiście istnieje. Stowarzyszeniu pozwolono rozkwitnąć w latach trzydziestych i podczas zimnej wojny, bo okazało się skutecznym narzędziem do walki z bolszewizmem. Za wiele okrucieństw popełnionych w imię tej walki ponosi odpowiedzialność Crux Vera i jego sprzymierzeńcy.

- A teraz, gdy zimna wojna się skończyła?

- Crux Vera dostosowało się do nowych czasów. Okazało się użyteczne do utrzymywania dogmatycznej dyscypliny. W Ameryce Łacińskiej Crux Vera zwalczało wyznawców teologii liberalnej, czasem uciekając się do okrutnej przemocy, żeby utrzymać buntowniczych księży w ryzach. Wytoczyło nieustającą wojnę liberalizmowi, relatywizmowi i założeniom Drugiego Soboru Watykańskiego. W efekcie wielu ludzi Kościoła, wspierających dążenia Crux Vera, przymyka oczy na karygodne postępowanie członków tej organizacji.

- Czy Crux Vera jest zaangażowane w działania mające na celu niedopuszczenie do ujawnienia haniebnych tajemnic Kościoła?

- Nie ma co do tego cienia wątpliwości - odparł ojciec Donati.

- Czy Carlo Casagrande jest członkiem Crux Vera?

- Sądzę, że w waszej terminologii byłby dyrektorem operacyjnym.

- Czy w Watykanie są inni członkowie tej organizacji?

Tym razem to papież odpowiedział na pytanie Gabriela.

- Sekretarz stanu, kardynał Marco Brindisi, jest przywódcą Crux Vera.

- Skoro wiadomo, że Brindisi i Casagrande są członkami Crux Vera, dlaczego pozostają na swoich stanowiskach?

- Czy to nie Stalin powiedział, żeby przyjaciół trzymać blisko siebie, ale wrogów jeszcze bliżej? - Przez twarz papieża przemknął uśmiech, który jednak szybko zniknął. - Poza tym kardynał Brindisi jest nietykalny. Gdybym chciał go usunąć, zbuntowaliby się jego sprzymierzeńcy w kurii i Kolegium Kardynałów i Kościół zostałby beznadziejnie podzielony. Obawiam się, że muszę żyć z nim i z jego poplecznikami.

- Wracamy więc do punktu wyjścia, Wasza Świątobliwość. Nad Waszym bezpieczeństwem czuwają Wasi wrogowie i wrogowie Waszej misji. W tych okolicznościach uważam, że mądrze byłoby odłożyć wizytę w synagodze i poczekać na dogodniejszą okazję.

W tym momencie Szamron położył na stole teczkę i otworzył ją - dossier zabójcy o kryptonimie Lampart, które przywiózł z Bulwaru Króla Saula.

- Sądzimy, że ten człowiek pracuje dla Crux Vera. Bez wątpienia jest jednym z najniebezpieczniejszych morderców na świecie. Jesteśmy zupełnie pewni, że to on zabił Petera Malone'a w Londynie. Podejrzewamy go także o zamordowanie Benjamina Sterna. Musimy założyć, że teraz chce zabić Waszą Świętobliwość.

Papież spojrzał najpierw na zdjęcia, a potem na Szamrona.

- Musi pan pamiętać, panie Szamron, że ci ludzie chronią mnie niezależnie od tego, gdzie jestem, wewnątrz murów

Watykanu czy poza nimi. Zagrożenie jest takie samo, kiedy jestem w Wielkiej Synagodze, jak i wtedy, gdy jestem w swoich apartamentach.

- Rozumiemy, Wasza Świątobliwość.

Ojciec Donati pochylił się do przodu.

- Gdy tylko Wasza Świątobliwość wyjedzie poza mury Watykanu, jego bezpieczeństwa dodatkowo strzeże włoska policja, a z uwagi na rzekomy spisek na życie Waszej Świątobliwości - intryga ukartowana przez Carla Casagrandego - ochrona podczas jutrzejszego spotkania w synagodze będzie nadzwyczaj czujna. Uważamy, że będzie na tyle bezpiecznie, by Wasza Świątobliwość mógł wystąpić publicznie.

- A co jeśli zamachowiec znajdzie się w bezpośredniej ochronie Papieża?

- Duch Święty będzie czuwał nade mną.

- Z całym szacunkiem, Wasza Świątobliwość, byłoby lepiej, gdyby ktoś jeszcze czuwał nad Wami.

- Czy ma pan jakąś propozycję, panie Szamron?

- Owszem, Wasza Świątobliwość. - Szamron położył rękę na ramieniu Gabriela. - Chciałbym, żeby Gabriel towarzyszył wam i ojcu Donatiemu w drodze do synagogi. Jest doświadczonym agentem, który zna się trochę na tych sprawach.

Papież spojrzał na ojca Donatiego.

- Luigi? Z pewnością możemy coś takiego załatwić?

- Tak, Wasza Świątobliwość. Ale jest pewien problem.

- Masz na myśli to, że za sprawą Carla Casagrandego pan Allon uchodzi za zamachowca?

- Tak, Wasza Świątobliwość.

- Jasne, że sprawę trzeba będzie potraktować bardzo ostrożnie, ale jeżeli Gwardia Szwajcarska będzie się kogokolwiek słuchać, będę to ja - spojrzał na Szamrona. - Odbędę swoją pielgrzymkę do synagogi zgodnie z planem, a wy będziecie przy moim boku, chroniąc mnie, tak jak my powinniśmy byli stanąć przy was sześćdziesiąt lat temu. Całkiem dobrze się to ułożyło, czyż nie, panie Szamron?

Szamron lekko skinął głową i uśmiechnął się powściągliwie. Rzeczywiście, dobrze się ułożyło.

Dwadzieścia minut później, gdy ustalono wszystkie szczegóły na następny dzień, ojciec Donati i papież opuścili bezpieczne mieszkanie i pomknęli wzdłuż rzeki w stronę Watykanu. Przy Bramie Świętej Anny samochód zahamował. Gdy strażnik Gwardii Szwajcarskiej wyszedł ze swojej budki, ojciec Donati opuścił szybę.

- Ojciec Donati? Co tu się...

Wartownik zamilkł i stanął na baczność, gdy w oknie pojawiła się głowa papieża.

- Wasza Świątobliwość!

- Nikt nie może się o tym dowiedzieć - powiedział spokojnie papież. - Rozumiesz?

- Oczywiście, Wasza Świątobliwość!

- Jeśli powiesz komukolwiek, nawet przełożonym, że widziałeś mnie dzisiejszej nocy, będę musiał sam z tobą porozmawiać. I zapewniam, że to nie będzie miłe doświadczenie.

- Nie powiem ani słowa, Wasza Świątobliwość, przysięgam.

- Mam nadzieję, młody człowieku. Dla twojego dobra.

Papież z powrotem usiadł wygodnie w swoim fotelu. Ojciec

Donati zasunął szybę i samochód pomknął w stronę Pałacu Apostolskiego.

- Nie jestem pewien, czy ten biedak kiedykolwiek się z tego wygrzebie - powiedział ksiądz, powstrzymując śmiech.

- Czy to było naprawdę konieczne, Luigi?

- Obawiam się, że tak, Wasza Świątobliwość.

- Niech Bóg nam wybaczy - odparł papież. Po czym dodał: - Wszystkie nasze uczynki.

- Już niedługo będzie po wszystkim, Wasza Świątobliwość.

- Modlę się, żebyś miał rację.

32

Rzym

Eric Lange źle spał tej nocy. Wyrzuty sumienia, nieczęste u niego? Nerwy? A może gorące jak piec ciało przytulonej do niego Katrine, leżącej obok niego na wąskim łóżku? Jakikolwiek byłby tego powód, obudził się o trzeciej trzydzieści i leżał z otwartymi szeroko oczami, póki pierwsze szare przebłyski światła nie wpadły przez okno odrażającego pokoju Carla Casagrandego.

Spuścił nogi na ziemię i po cichu przeszedł po gołej podłodze do okna, rozsunął firanki i spojrzał na ulicę w dole. Jego motor wciąż tam stał, zaparkowany przed wejściem do kamienicy. Nic nie wskazywało, żeby był śledzony. Puścił firanki, które zasunęły się z powrotem. Katrine poruszyła się, naciągnęła na siebie koc, przewróciła się na drugi bok i ponownie zasnęła.

Na elektrycznej kuchence zaparzył kawę w ekspresie i wypił kilka filiżanek, po czym wszedł do łazienki. Spędził tam następną godzinę. Przyciemnił farbą włosy, zmienił kolor oczu z szarych na brązowe przy użyciu szkieł kontaktowych. Wreszcie założył wyglądające na tanie okulary z czarnymi oprawkami - okulary księdza. Gdy skończył, z zaparowanego lustra patrzyła na niego obca twarz. Porównał ją ze zdjęciem na identyfikatorze przygotowanym przez Casagrandego: „Manfred Beck, Wydział Specjalny, Watykańskie Biuro do spraw Bezpieczeństwa". Zadowolony wrócił do pokoju.

Katrine wciąż spała. Lange, owinięty ręcznikiem, cicho przeszedł przez pokój i otworzył szufladę w komodzie. Założył bieliznę i przetarte skarpetki, po czym otworzył szafę. Czarna koszula z koloratką, czarne spodnie, czarna marynarka. Na koniec włożył buty i zawiązał sznurowadła.

Wrócił do łazienki i przez dłuższy czas wpatrywał się w lustro, z wolna przemieniając się w mężczyznę w czarnym ubraniu niczym wcielający się w graną rolę aktor. Zabójca ubrany w strój księdza; człowiek, którym mógł być, ukrywający człowieka, którym był. Wsunął steczkina za pasek spodni i po raz ostatni spojrzał na swoją twarz. Ksiądz. Rewolucjonista. Zabójca. Kim jesteś, stary?

Wlał resztę kawy do filiżanki i usiadł na krawędzi łóżka. Katrine otworzyła oczy i wzdrygnęła się, a jej ręce odruchowo zaczęły szukać broni. Gdy Lange delikatnie dotknął jej nogi, zastygła z ręką na piersi, próbując się pozbierać.

- O Boże, Eric! Nie poznałam cię.

- O to chodzi, kochanie. - Lange wręczył jej filiżankę kawy.

- Ubieraj się, Katrine. Mamy mało czasu.

Chiara parzyła kawę w kuchni, gdy zadzwonił telefon. Rozpoznała głos ojca Donatiego.

- Będę za parę minut. Niech zejdzie na dół.

Chiara rozłączyła się w momencie, gdy do pokoju wszedł Gabriel. Miał na sobie szary garnitur, białą koszulę i ciemny krawat, wszystko dzięki uprzejmości rzymskiej placówki Szymona Paznera. Chiara strzepnęła pyłki z jego rękawa.

- Wyglądasz bardzo dobrze - powiedziała. Po czym dodała:

- Trochę jak grabarz, ale przystojny.

- Boże broń. Kto dzwonił?

- Ojciec Donati. Już jedzie.

Gabriel wypił filiżankę kawę i włożył jasnobrązowy płaszcz. Pocałował Chiarę w policzek i przez chwilę trzymał ją w ramionach.

- Będziesz ostrożny, prawda, Gabriel?

Na zewnątrz odezwał się klakson. Gdy Gabriel miał już wyjść, Chiara mocno się do niego przytuliła, jakby chcąc go zatrzymać. Ojciec Donati zatrąbił po raz drugi, tym razem bardziej ponaglająco. Gabriel pocałował ją po raz ostatni.

Wsunął berettę do noszonej pod pachą kabury i zszedł na dół. Przed wejściem stał szary fiat z watykańską rejestracją. Za kierownicą siedział ojciec Donati ubrany w strój duchownego i czarny płaszcz. Gabriel usiadł obok niego i zamknął drzwi. Donati ruszył w stronę nabrzeża Tybru.

Ranek był szary, chmury niskie i ciemne, porywisty wiatr tworzył na rzece fale z grzywami. Ksiądz siedział pochylony nad kierownicą z szeroko otwartymi oczami, a gaz wciskał ostro. Gabriel ścisnął ręką oparcie fotela, myśląc, że papież cudem wrócił poprzedniej nocy żywy do Watykanu.

- Często pan prowadzi, ojcze Donati?

- Ostatniej nocy był pierwszy raz od osiemnastu lat.

- W życiu bym nie pomyślał.

- Bardzo kiepsko pan kłamie, panie Allon. Myślałem, że w pańskiej pracy trzeba być dobrym w zwodzeniu innych.

- Jak ma się Ojciec Święty?

- Naprawdę dobrze. Pomimo wydarzeń ostatniej nocy udało mu się przespać parę godzin. Nie może się doczekać podróży na drugą stronę rzeki.

- Będę szczęśliwy, gdy będzie po wszystkim, a on znajdzie się z powrotem w swoich apartamentach.

- To jest nas dwóch.

Gdy mknęli wzdłuż Tybru, ojciec Donati zapoznał Gabriela ze szczegółami dotyczącymi ochrony papieża. Papież uda się do synagogi swoją opancerzoną limuzyną marki Mercedes w towarzystwie Gabriela i Donatiego. Będzie otoczony ciasnym pierścieniem ubranych po cywilnemu funkcjonariuszy Gwardii Szwajcarskiej. Jak zawsze włoska policja i służby bezpieczeństwa

utworzą drugi kordon ochronny. Droga z Watykanu do dzielnicy żydowskiej będzie obsadzona przez karabinierów z drogówki i zamknięta dla ruchu.

Wyrosła przed nimi kwadratowa sylwetka Wielkiej Synagogi, wyniosłej budowli z szarego kamienia i aluminium. W jej architekturze widać było wpływy perskie i babilońskie. Nadzwyczajna wysokość i unikalna fasada sprawiały, że budynek zdecydowanie wyróżniał się wśród otaczających go barokowych budowli koloru ochry. Efekt był zamierzony. Społeczność, która sto lat wcześniej zbudowała synagogę, chciała, by była ona dobrze widoczna dla ludzi po drugiej stronie Tybru - ludzi żyjących za starymi murami Watykanu.

Sto metrów od synagogi był punkt kontrolny. Ojciec Donati opuścił szybę, mignął swoją legitymacją watykańską i zamienił ze strażnikiem kilka słów po włosku. Chwilę później wjechali na plac i zatrzymali się. Nim ojciec Donati zdążył zgasić silnik, zaczepił ich karabinier z pistoletem maszynowym przerzuconym przez ramię. Gabriel był zadowolony z tego, co do tej pory zobaczył.

Wysiedli z fiata. Gabriel nie mógł się oprzeć wrażeniu, że historia kładzie się cieniem nad tym miejscem. Rzym był najstarszym siedliskiem diaspory w Europie Zachodniej, Żydzi mieszkali tu, w centrum, od ponad dwóch tysięcy lat. Przybyli do Rzymu na długo przed rybakiem Piotrem z Galilei. Widzieli zabójstwo Juliusza Cezara, byli świadkami powstania chrześcijaństwa i upadku Imperium Rzymskiego. Oszkalowani przez papieży jako mordercy Boga, zostali zamknięci w getcie na brzegu Tybru, upokorzeni i pozbawieni praw obywatelskich. A pewnej październikowej nocy w 1943 roku zostali wyciągnięci z domów i wysłani do komór gazowych i pieców Oświęcimia, podczas gdy papież patrzący na to zza rzeki nie powiedział ani słowa. Za parę godzin papież Paweł VII, świadek grzechów ludzi z Watykanu, miał przybyć w to miejsce, by odpokutować za przeszłość. Jeśli będzie żył wystarczająco długo, by wypełnić swoją misję.

Ojciec Donati zdawał się czytać w myślach Gabriela, bo położył mu delikatnie rękę na ramieniu. Następnie wskazał ręką w stronę rzeki.

- Protestujący będą stać za barierkami o tam, przy nabrzeżu.

- Protestujący?

- Nie spodziewamy się żadnych ekscesów. Ten sam tłum co zawsze. - Donati bezradnie wzruszył ramionami. - Zwolennicy antykoncepcji i kapłaństwa kobiet. Geje i lesbijki. Nic specjalnego.

Wspięli się po schodach do synagogi i weszli do środka. Ojciec Donati wydawał się zupełnie spokojny. Wyczuł, że Gabriel na niego patrzy, i uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Gdy przebywałem w Wenecji, jednym z moich zadań było dbanie o jak najlepsze stosunki między patriarchą a tamtejszą społecznością żydowską. W synagodze, panie Allon, czuję się całkiem swobodnie.

- Widzę - odparł Gabriel. - Proszę mi powiedzieć, jak będzie przebiegała ceremonia.

Ojciec Donati wyjaśnił, że papieski orszak uformuje się przed wejściem do synagogi. Papież w towarzystwie naczelnego rabina przejdzie główną nawą i usiądzie obok niego na *bimah* na pozłacanym krześle. Donati i Gabriel, cały czas podążający za Ojcem Świętym, zajmą miejsca w sektorze dla VIP-ów, o parę metrów od papieża. Najpierw parę słów powie rabin, po czym ma przemówić Ojciec Święty. Tekst wystąpienia papieża - wbrew protokołowi - nie zostanie wcześniej przekazany akredytowanym w Watykanie dziennikarzom. Przewiduje się, że wywoła ono gwałtowną reakcję dziennikarzy, ale nikomu nie będzie wolno wstać z miejsca, nim papież nie skończy mówić i nie opuści synagogi.

Podeszli do miejsca, gdzie mieli stać podczas papieskiego przemówienia. Karabinier z psem na smyczy, wyszkolonym do szukania ładunków wybuchowych, powoli przeczesywał lewą stronę synagogi. Drugi taki zespół pracował po stronie przeciwnej. Kilku kamerzystów z telewizji pod czujnym spojrzeniem

uzbrojonego ochroniarza ustawiało sprzęt na podeście o parę metrów od *bimah*.

- Co z innymi wejściami do synagogi, ojcze Donati?

- Wszystkie zostały zapieczętowane. Teraz jest tylko jeden sposób, żeby wejść lub wyjść: przez główne wejście. - Donati spojrzał na zegarek. - Obawiam się, panie Allon, że mamy już niewiele czasu. Jeśli jest pan usatysfakcjonowany, wracamy do Watykanu.

- No to ruszamy.

Przy Bramie Świętej Anny ojciec Donati pokazał strażnikowi Gwardii Szwajcarskiej swój identyfikator. Nim wartownik zdążył zadać pytanie o tożsamość mężczyzny siedzącego obok kierowcy, ksiądz nacisnął pedał gazu do oporu i pomknął wzdłuż Via Belvedere w stronę Pałacu Apostolskiego.

Ojciec Donati zaparkował samochód na dziedzińcu San Dámaso. Omijając punkty kontrolne, przeszmuglował Gabriela do środka i poprowadził na górę do papieskich apartamentów. Stopy lekko niosły Gabriela po marmurowej posadzce, serce biło mu szybko. Pomyślał o Szamronie stojącym w półmroku na Campo di Ghetto Nuovo, wzywającym go do wytropienia morderców Benjamina Sterna. Poszukiwania doprowadziły go tutaj, do samego epicentrum Kościoła rzymskokatolickiego.

Przemknęli się obok strażnika Gwardii Szwajcarskiej stojącego przy wejściu do papieskich apartamentów. Ojciec Donati wpuścił Gabriela do gabinetu, w którym papież ślęczał nad stosem porannej korespondencji. Ojciec Święty spojrzał na Gabriela, gdy ten wszedł do pokoju, i uśmiechnął się ciepło.

- Dobrze, że pan przyszedł, panie Allon. - Końcem pióra wskazał mu miejsce przy kominku. - Proszę się rozgościć. Ojciec Donati i ja mamy jeszcze parę spraw do załatwienia przed wyjściem.

Gabriel usiadł. Sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął zdjęcia Lamparta i obejrzał je wszystkie dokładnie. Gabriel zaczął przeglądać je od początku. Na każdym morderca wyglądał całkiem inaczej. Niektóre zmiany były skutkiem operacji plastycznej, inne wynikały z użycia bardziej prozaicznych środków, takich jak kapelusze, peruki i okulary bądź szkła kontaktowe.

Włożył zdjęcia z powrotem do kieszeni i spojrzał na siedzącego w gabinecie, pochylonego nad stosem papierów drobnego, ubranego na biało człowieka i poczuł, że duch w nim upada. Jeśli Lampart przybył do Rzymu, aby zabić papieża, zatrzymanie go będzie praktycznie niemożliwe. Sądząc po fotografiach, które przed chwilą oglądał, Gabriel był prawie pewien, że nie rozpozna go, gdy będzie się zbliżał do papieża.

W czasie gdy Katrine brała prysznic i ubierała się, Lange czyścił mieszkanie. Mokrą szmatką wytarł skrupulatnie każdą powierzchnię, której dotknął. Klamki, wierzch komody, sprzęty w łazience, kuchenkę elektryczną, ekspres do kawy. Swoje stare ubranie włożył razem z przyborami toaletowymi do plastikowej torby na śmieci. Zadowolony, że zatarł za sobą wszystkie ślady, usiadł na brzegu łóżka, uważając, by niczego nie dotknąć.

Katrine wyszła z łazienki. Miała na sobie niebieskie dżinsy, sznurowane buty i krótką skórzaną kurtkę. Włosy miała ściągnięte mocno do tyłu, oczy zakrywały jej ciemne okulary. Wyglądała pięknie. Jej obecność rozproszy uwagę każdego karabiniera. Na to liczył Lange.

Wstał, wsunął steczkina za pasek spodni i zapiął marynarkę. Naciągnął na grzbiet tani czarny płaszcz z nylonu, taki, jaki nosiła połowa rzymskiego duchowieństwa, i wziął torbę ze śmieciami.

Zeszli po schodach na dół. Lange niósł w jednej ręce śmieci, a drugą przytrzymywał ciasno kołnierz płaszcza, żeby ukryć strój duchownego.

Wsiadł na motocykl i uruchomił silnik. Katrine usadowiła się za nim i objęła go w pasie. Pochylił się do przodu, obrócił motor na wschód, ku staremu centrum Rzymu, i ruszył przed siebie. Po drodze wrzucił klucze od mieszkania do ścieku. Torbę z odpadkami wręczył śmieciarzowi, który cisnął ją na tył ciężarówki i życzył Langemu miłego poranka.

33

Watykan

Według planu papież miał rozpocząć przemówienie o jedenastej rano. O dziesiątej trzydzieści opuścił gabinet w towarzystwie Gabriela i ojca Donatiego. W korytarzu przy papieskich apartamentach czekał już oddział ubranych po cywilnemu funkcjonariuszy Gwardii Szwajcarskiej. Dowodził nimi zwalisty Helwet Karl Brunner. Tego momentu Gabriel obawiał się najbardziej, pierwszego zetknięcia ze szwajcarskimi arystokratami, którzy przysięgli poświęcić życie w obronie papieża, gdyby zaszła taka potrzeba.

Gdy Brunner ujrzał Gabriela, wsunął rękę do kieszeni swojej niebieskiej marynarki i wyciągnął pistolet. Rzucił się naprzód, odpychając papieża na bok, i złapał Gabriela za gardło. Gabriel stłumił swój instynkt samozachowawczy i pozwolił Szwajcarowi obalić się na ziemię. Zresztą i tak nie mógł temu zapobiec. Karl Brunner, cięższy od niego o przynajmniej dwadzieścia kilo, był zbudowany jak rugbista. Dłoń zaciskająca się na gardle Gabriela była jak stalowe imadło. Gabriel upadł na plecy, z Brunnerem na klatce piersiowej. Rozłożył ręce i pozwolił ochroniarzowi wyciągnąć berettę z kabury pod pachą. Brunner odrzucił broń na bok, po czym wycelował własny pistolet prosto w twarz Gabriela, którego dwóch innych członków oddziału przycisnęło do podłogi.

Reszta oddziału uformowała wokół papieża osłonę, pośpiesznie odciągając go w głąb korytarza. Nakazał im się zatrzymać i podszedł do Karla Brunnera. Brunner odepchnął papieża i krzyknął, żeby się cofnął.

- Pozwól mu wstać, Karl - powiedział papież.

Brunner wstał, ale jego ludzie nadal przyciskali Gabriela do podłogi. Sięgnął do kieszeni, wyjął kopię informacji o zagrożeniu bezpieczeństwa papieża ze zdjęciem Gabriela i pokazał ją Ojcu Świętemu.

- To zamachowiec, Wasza Świątobliwość. Przybył tu, by was zabić.

- Jest naszym przyjacielem i przybył tu, by mnie chronić. To nieporozumienie. Ojciec Donati wszystko ci wyjaśni. Uwierz mi, Karl. Pozwól mu wstać.

Konwój wyjechał przez Bramę Świętej Anny, po czym skręcił w Via della Conciliazione, kierując się w stronę rzeki. Papież zamknął oczy. Gabriel spojrzał na ojca Donatiego, który pochylił się i szeptem powiedział mu, że Jego Świątobliwość, jadąc w konwoju, zawsze się modli.

Eskortujący ich motocyklista zbliżył się do samochodu i jechał w odległości niewiele większej niż metr od okna, przy którym siedział papież. Gabriel uważnie popatrzył na jego okoloną kaskiem twarz, na szczękę i kształt kości policzkowych. W myśli porównywał jego rysy z twarzą mężczyzny na zdjęciach, tak jakby stwierdzał autentyczność obrazu, porównując machnięcia pędzla mistrza z właśnie odnalezioną pracą. Twarze były do siebie na tyle podobne, że Gabriel sięgnął pod marynarkę i położył rękę na kolbie beretty. Zauważył to ojciec Donati. Papież, wciąż modlący się z mocno zaciśniętymi oczami, nie był niczego świadom.

Gdy konwój skręcił w Lungotevere, motocyklista odjechał parę metrów do tyłu. Gabriel poczuł ulgę. Ulica została

zamknięta dla ruchu, a nad rzeką stalo ledwie kilka grupek obserwatorów. Widać było, że w tej części Rzymu przejazd papieskiego konwoju nie wzbudza emocji.

Podróż przebiegła sprawnie - według szacunku Gabriela zajęła trzy minuty. Pojawiła się przed nimi kopuła synagogi i po chwili jechali wzdłuż tłumu protestujących. Konwój zatrzymał się na skraju dziedzińca. Gabriel wysiadł pierwszy, zasłaniając na wpół otwarte drzwi własnym ciałem. Naczelny rabin stał na schodach synagogi, otoczony przez delegację rzymskiej gminy żydowskiej. Wokół limuzyny stali ochroniarze: włoscy i watykańscy, niektórzy po cywilnemu, inni w mundurach. Na prawo od schodów, napierając na żółty sznur, tłoczyli się dziennikarze. Powietrze wypełniał grzmot motocykli.

Gabriel przyjrzał się najpierw ochroniarzom, potem fotografom i reporterom. Każdy spośród kilkunastu mógł być zamachowcem. Wetknął głowę z powrotem do samochodu i spojrzał na ojca Donatiego.

- Ten moment niepokoi mnie najbardziej. Załatwmy to szybko.

Gdy wyprostował się, zobaczył przed sobą surową twarz Karla Brunnera.

- Teraz ja odpowiadam za bezpieczeństwo papieża - powiedział Brunner. - Proszę zejść mi z drogi.

Gabriel zrobił, jak mu kazano. Brunner pomógł papieżowi wysiąść z samochodu. Podeszła reszta eskorty Gwardii Szwajcarskiej. Gabriel znalazł się w morzu ciemnych garniturów z olśniewająco białą sutanną papieża pośrodku.

Motocykle umilkły. Na schodach synagogi papież uściskał naczelnego rabina i kilku przedstawicieli gminy żydowskiej. Było cicho, jeśli nie liczyć skandowania protestujących i przypominającego dzwonienie cykad terkotu kamer telewizyjnych. Gabriel stał za Karlem Brunnerem, którego ręka spoczywała na drobnych plecach papieża. Rozejrzał się dookoła czujnym

wzrokiem, szukając czegokolwiek odbiegającego od normy. Mężczyzny przepychającego się do przodu. Wyciąganej ręki.

Za nimi wybuchło jakieś zamieszanie. Gabriel odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć, jak trzej karabinierzy przyciskają do ziemi mężczyznę, ale był to tylko uczestnik demonstracji, trzymający transparent z hasłem: „Uwolnić chińskich katolików!".

Papież także się odwrócił. Gabriel zdołał zwrócić na siebie jego uwagę.

- Proszę wejść do środka, Wasza Świątobliwość - powiedział.

- Tu jest za dużo ludzi.

Papież skinął głową i odwrócił się w stronę gospodarza.

- Cóż, rabinie, czy możemy już przejść do rzeczy?

- Tak, Wasza Świątobliwość. Zapraszam do środka. Pozwólcie, że pokażę Wam naszą świątynię.

Rabin poprowadził papieża po stopniach ku wejściu. Chwilę później, ku wielkiej uldze Gabriela i ojca Donatiego, przywódca miliarda katolików przekroczył bezpiecznie drzwi synagogi.

Zatrzymali się przed wejściem na plac Świętego Piotra. Eric Lange zsiadł z motocykla, a Katrine przesunęła się do przodu i przejęła kierownicę. Lange ruszył przed siebie.

Plac był pełen pielgrzymów i turystów. Karabinierzy przechadzali się wzdłuż kolumnady. Lange skierował się ku Pałacowi Apostolskiemu zdecydowanym krokiem, szybko, ale bez przesady. Przechodząc obok strzelistego egipskiego obelisku, wziął kilka głębokich oddechów, żeby spowolnić bicie serca.

O parę kroków od pałacu zagrodził mu drogę karabinier.

- Dokąd pan idzie? - spytał Langego po włosku, a jego brązowe oczy przypatrywały mu się uważnie.

- *Portone di Bronzo* - odparł Lange.

- Czy ktoś tam pana oczekuje?

Lange wyjął portfel i pokazał swój identyfikator. Karabinier zrobił krok do tyłu.

- Bardzo przepraszam, ojcze Beck, nie wiedziałem.

Lange schował portfel.

- Powiedz mi, jak się nazywasz, młody człowieku?

- Mateo Galeazzi.

Lange spojrzał policjantowi w oczy.

- Nie omieszkam o tobie wspomnieć w pałacu. Wiem, że generał Casagrande ucieszy się, słysząc, że karabinierzy utrzymują, jak należy, porządek na placu.

- Dziękuję, ojcze.

Karabinier nawet skłonił głowę i wyciągnął rękę, wskazując ojcu Beckowi, by szedł dalej. Langemu niemal zrobiło się żal chłopaka. Za kilka minut będzie błagał na kolanach o przebaczenie, że pozwolił mordercy wejść do pałacu.

Przy Brązowych Wrotach Lange znów został zatrzymany, tym razem przez strażnika Gwardii Szwajcarskiej w paradnym renesansowym stroju. Na ramiona miał zarzucony granatowy płaszcz. Po raz kolejny Lange wyjął odznakę. Wartownik polecił mu zgłosić się do oficera wydającego przepustki, w pałacu, zaraz po prawej. Tam Lange pokazał odznakę kolejnemu żołnierzowi.

- Z kim pan ma się spotkać?

- To nie twój interes - powiedział Lange lodowatym tonem. - Kontrola bezpieczeństwa. Jeśli czujesz, że to naprawdę konieczne, powiedz Casagrandemu, że wszedłem do pałacu. Jeśli powiesz komukolwiek innemu - na przykład swoim kolegom stojącym na warcie - osobiście się tobą zajmę.

Strażnik przełknął ślinę i kiwnął głową. Lange odwrócił się. Scala Regia stały przed nim dostojnie, oświetlone przez olbrzymie żelazne lampy. Lange zaczął powoli wchodzić po schodach jak ktoś, kto jest w trakcie wykonywania obowiązków służbowych, ale w głębi duszy nie cierpi swojego zawodu. Zatrzymał się tylko raz, żeby spojrzeć na oficera wydającego

przepustki, który uważnie mu się przypatrywał. U szczytu schodów doszedł do szklanych drzwi, gdzie został po raz kolejny zatrzymany. Nim wartownik zdołał powiedzieć choć słowo, Lange wyciągnął odznakę. Strażnik spojrzał na nią i omal się nie przewrócił, ustępując mu z drogi.

Zadziwiające, pomyślał Lange. Plan Casagrandego działał lepiej, niż to sobie wyobrażał.

Znalazł się teraz na ciemnym wewnętrznym dziedzińcu, znanym jako Cortile di San Dámaso. Nad nim wznosiły się loggie Pałacu Apostolskiego. Przeszedł pod kamiennym łukiem i dotarł do schodów. Zaczął się wspinać na górę. Jego kroki na marmurze wzbudzały echo. Po drodze minął trzech kolejnych wartowników, ale żaden nie zagadnął go. Tak głęboko wewnątrz pałacu strój duchownego i koloratka stanowiły wystarczający dowód tożsamości.

Wszedł na ostatnie piętro i skierował się ku wejściu do papieskich apartamentów. Stał tam strażnik z halabardą w ręku, który mu zastąpił drogę. Lange wyjął odznakę.

- Muszę spotkać się z ojcem Donatim.

- Nie ma go tu.

- Gdzie jest?

- Jest z Ojcem Świętym. - Zawahał się, po czym dodał: - W synagodze.

- Ach tak, oczywiście. Z pewnością ojciec Donati będzie bardzo zadowolony, gdy się dowie, że komuś zupełnie ci nieznanemu powiedziałeś, gdzie jest.

- Przepraszam, ojcze, ale...

Lange przerwał mu.

- Muszę zostawić coś dla ojca Donatiego. Zaprowadzisz mnie do jego biura?

- Jak pan wie, ojcze Beck, pod żadnym pozorem nie wolno mi opuścić stanowiska.

- Bardzo dobrze - powiedział Lange, uśmiechając się pojednawczo. - Przynajmniej jedną rzecz udało ci się załatwić poprawnie. Proszę, wskaż mi gabinet dobrego ojca Donatiego.

Strażnik zawahał się, straciwszy pewność siebie, ale po chwili wskazał Langemu drogę. Papieskie apartamenty były puste, jeśli nie liczyć wymachującej miotełką do kurzu zakonnicy w szarym habicie. Uśmiechnęła się do Langego, a on minął wejście do gabinetu ojca Donatiego i wszedł do pokoju obok.

Zamknął za sobą drzwi i stał przez chwilę nieruchomo, przyzwyczajając wzrok do ciemności. Grube story były zaciągnięte, zasłaniając widok na plac Świętego Piotra, i pokój pogrążony był w mroku. Lange przeszedł przez prosty wschodni dywan, podszedł do drewnianego biurka i uważnie mu się przyglądał, stojąc obok krzesła z wysokim oparciem i wodząc ręką po jasnym pluszowym obiciu. Biurko było za skromne jak na tak potężnego człowieka. Zbyt surowe. Bibuła, cylindryczny pojemnik na pióra, notatnik z papierem w linie służący do zapisywania myśli. Biały telefon ze staroświecką tarczą. Gdy podniósł wzrok, ujrzał portret Panienki. Zdawała się patrzeć na niego w ciemności.

Sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął kopertę i upuścił ją na bibułę. Upadając, wydała stłumiony metaliczny dźwięk. Po raz ostatni ogarnął wzrokiem gabinet, odwrócił się i szybko wyszedł.

Opuszczając *appartamento,* zatrzymał się i posłał wartownikowi surowe spojrzenie.

- Jeszcze się usłyszymy - rzucił, po czym odwrócił się i ruszył korytarzem.

Biurko w gabinecie sekretarza stanu Marca Brindisiego bardzo się różniło od ascetycznego biurka w pokoju papieża. Był to duży, renesansowy mebel, z rzeźbionymi nogami i złotą intarsją. Ci, którzy przed nim stali, czuli się onieśmieleni, co bardzo odpowiadało Brindisiemu.

W tej chwili był sam, ręce skrzyżował na piersi i patrzył gdzieś przed siebie nieobecnym wzrokiem. Parę minut wcześniej

widział, jak papieski konwój jedzie w stronę rzeki wzdłuż Via della Conciliazione. Teraz był już pewnie wewnątrz synagogi.

Wzrok kardynała spoczął na zestawie monitorów na ścianie naprzeciwko biurka. Wprawdzie celem Marca Brindisiego było przywrócenie Kościołowi potęgi, jaką cieszył się w średniowieczu, ale był on człowiekiem bardzo nowoczesnym. Minęły czasy, gdy urzędnicy watykańscy pisali memoranda na pergaminie, używając piór i atramentu. Brindisi wydał wiele milionów na modernizację wyposażenia Sekretariatu Stanu, chcąc, by kościelny urząd działał tak, jak powinno działać centrum dowodzenia nowoczesnego państwa. Włączył kanał BBC International. Powódź w Bangladeszu, tysiące ofiar śmiertelnych, setki tysięcy pozbawionych dachu nad głową. Zanotował sobie w pamięci, żeby przez watykańskie organizacje charytatywne ofiarować znaczną sumę pieniędzy na rzecz poszkodowanych, by im ulżyć w cierpieniu. Drugi telewizor włączył na RAI, główną sieć włoską. Trzeci odbiornik nastawił na CNN International.

Spełnił swoją groźbę, że nie będzie towarzyszył papieżowi w jego haniebnej podróży. W konsekwencji tej decyzji powinien teraz - jak tego oczekiwano - siedzieć nad pismem ze swoją rezygnacją, formułując ją tak, by nie wprowadziła w zakłopotanie Stolicy Apostolskiej i nie sprowokowała tej dziennikarskiej hołoty do stawiania niewygodnych pytań na łamach swoich infantylnych gazet. Gdyby naprawdę miał zamiar odejść, w swej pisemnej rezygnacji musiałby podkreślać gorącą chęć powrotu do obowiązków duszpasterskich, doglądania trzody, chrzczenia dzieci i namaszczania chorych. Każdy z *vaticanisti* z odrobiną rozumu zorientowałby się, że to oszustwo na wielką skalę. Marca Brindisiego wychowywano, wykształcono i wypielęgnowano po to, by dzierżył urzędniczą władzę w kurii papieskiej. Pomysł, że mógłby dobrowolnie zrezygnować ze stanowiska, był czystym absurdem. Nikt by mu nie uwierzył, zresztą kardynał nie miał wcale zamiaru tej rezygnacji składać. Poza wszystkim innym, pomyślał, człowiek, który polecił mu to zrobić, miał wkrótce umrzeć.

Gdyby złożył rezygnację, to po zabójstwie papieża zaczęto by stawiać kłopotliwe pytania. Czy dwaj najpotężniejsi ludzie w Kościele ostatnio się poróżnili? Czy sekretarz stanu kardynał Marco Brindisi mógł coś zyskać na śmierci papieża? Nie ma rezygnacji, nie ma pytań. Przeciwnie, dzięki przeciekom do odpowiednich gazet kardynał Brindisi zostanie przedstawiony jako najbliższy przyjaciel papieża i reprezentant jego interesów w kurii, jako ktoś, kto podziwiał Ojca Świętego i był przez niego kochany. Takie artykuły powinny być dostrzeżone przez zbierających się na kolejne konklawe kardynałów. Tak jak i fakt, że Marco Brindisi będzie sprawnie i odpowiedzialnie zarządzał sprawami Kościoła w tragicznych dniach po zamachu na papieża. W takiej sytuacji konklawe niechętnie zdecydowałoby się na kogoś z zewnątrz. Następnym papieżem będzie ktoś z kurii rzymskiej, a popieranym przez kurię kandydatem będzie sekretarz stanu Marco Brindisi.

Marzycielski trans przerwał obraz na RAI - papież Paweł VII właśnie wchodził do Wielkiej Synagogi w Rzymie. Brindisi przywołał przed oczy inny obraz: zobaczył Becketta stojącego przy ołtarzu w Canterbury. Śmierć wścibskiego księdza.

„Wyślij swoich rycerzy, Carlo. Niech go usieką".

Kardynał Marco Brindisi podkręcił głos i czekał na wiadomość o śmierci papieża.

34

Rzym

Główna rzymska synagoga: w stylu wschodnim, bogato zdobiona, pulsujące niepokojem wyczekiwanie. Gabriel stał niedaleko papieża; prawe ramię miał obrócone w stronę *bimah,* ręce trzymał złożone na plecach, dotykając zimnej marmurowej ściany. Obok niego stał ojciec Donati, czujny i bardzo niespokojny. Ze swego miejsca mieli doskonały widok na całe wnętrze synagogi. Parę metrów od nich siedziała grupa kardynałów z kurii, olśniewających resztę zebranych czerwienią sutann; z uwagą słuchali naczelnego rabina wygłaszającego słowa powitania. Za kardynałami usadowili się podekscytowani dziennikarze. Dyrektor Biura Prasowego, Rudolf Gertz, wyglądał, jakby miał mdłości. Pozostałe miejsca zajęli członkowie gminy żydowskiej. Gdy papież wreszcie wstał, by wygłosić przemówienie, atmosfera stała się niemal namacalnie naelektryzowana.

Gabriel odparł pokusę, by spojrzeć na Ojca Świętego. Jego oczy bezustannie obserwowały synagogę, wypatrując kogoś lub czegoś, co zdawałoby się nie na miejscu. Karl Brunner, stojący o parę stóp od Gabriela, robił to samo. Ich oczy na chwilę się zetknęły. Brunner, uznał Gabriel, nie stanowi zagrożenia.

Papież wyraził wdzięczność rabinowi i całej gminie za zaproszenie go do tej świątyni. Następnie zwrócił uwagę na piękno synagogi i piękno judaizmu, kładąc nacisk na wspólne dziedzictwo

żydów i chrześcijan. Używając zwrotu zapożyczonego od swojego poprzednika, nazwał żydów starszymi braćmi katolików. Więź między rodzeństwem jest szczególna - powiedział - może zostać zerwana, jeśli nie będzie się jej pielęgnować. Zbyt często przez ostatnie dwa tysiące lat to rodzeństwo się kłóciło, z katastrofalnymi skutkami dla żydów. Mówił z pamięci, nie posiłkując się notatkami. Wszyscy słuchali go jak urzeczeni.

- W osiemdziesiątym szóstym roku mój poprzednik, Jan Paweł Drugi, przybył do tej synagogi, by przerzucić most nad dzielącą nas przepaścią i by rozpocząć leczenie ran. Przez ostatnie lata wiele w tej sprawie osiągnięto. - Papież przerwał na moment i zapadło ciężkie milczenie. -Ale zostało jeszcze wiele do zrobienia.

Rozległy się gorące oklaski. Przyłączyli się do nich kardynałowie. Ojciec Donati trącił Gabriela łokciem i nachylił się do jego ucha.

- Niech pan patrzy na nich - powiedział. - Ciekawe, czy będą klaskać za parę minut.

Ale Gabriel wciąż nie spuszczał tłumu z oka. Papież mówił dalej:

- Bracia i siostry, Bóg wziął do siebie Jana Pawła Drugiego, nim zdołał on dokończyć swoje dzieło. Mam zamiar kontynuować to dzieło od miejsca, w którym on je przerwał. Mam zamiar wziąć na barki jego brzemię i donieść je na miejsce.

Papieżowi znowu przerwał aplauz. Genialne, pomyślał Gabriel. Ojciec Święty przedstawiał swoją inicjatywę jako kontynuację tego, co zaczął Polak, a nie jako coś zupełnie nowego. Gabriel zdał sobie sprawę, że człowiek, który lubił być postrzegany jako prosty wenecki ksiądz, był w rzeczywistości wytrawnym strategiem i politykiem.

- Pierwsze kroki na drodze pojednania były łatwe w porównaniu do trudów, które nas czekają. Ostatnie kroki będą najtrudniejsze. Ale możemy być kuszeni, by zawrócić. Nie wolno nam tego uczynić. Musimy dokończyć naszą podróż - zarówno dla dobra katolików, jak i żydów.

Ojciec Donati dotknął ramienia Gabriela.

- Zaczyna się...

- Obie nasze religie zakładają, że przebaczenie nie przychodzi łatwo. My, katolicy, musimy dokonać szczerej spowiedzi, byśmy mogli zostać rozgrzeszeni. Jeśli kogoś zabiliśmy, nie możemy przy konfesjonale bić się w piersi, że popełniliśmy grzech wzywania imienia Boga nadaremno i oczekiwać, że winy zostaną nam wybaczone. - Papież uśmiechnął się, śmiech przebiegł wśród zebranych. Gabriel zauważył, że niektórym kardynałom ta uwaga nie wydała się wcale zabawna. - W czasie święta Jom Kippur, w żydowskim dniu pojednania, żydzi muszą odnaleźć tych, którym wyrządzili krzywdę, szczerze wyznać grzechy i oczekiwać przebaczenia. My, katolicy, musimy zrobić to samo. Ale jeżeli mamy szczerze wyznać grzechy, musimy wpierw poznać prawdę. Właśnie dlatego jestem tu dzisiaj.

Papież przerwał na chwilę. Gabriel widział, że patrzy na ojca Donatiego, tak jakby zbierał teraz siły, jakby chciał powiedzieć, że już nie ma odwrotu. Ojciec Donati skinął głową i papież znowu odwrócił się w stronę słuchaczy. Gabriel zrobił to samo, ale z zupełnie innego powodu.

- Tego ranka, w tej wspaniałej synagodze, informuję, że dokonana zostanie ponowna ocena stosunku Kościoła do Żydów oraz działań Kościoła podczas drugiej wojny światowej, najczarniejszego okresu w żydowskiej historii, okresu, kiedy sześć milionów ludzi zginęło w ogniu Zagłady. W przeciwieństwie do poprzednich badań tego strasznego okresu tym razem w s z y s t k i e odpowiednie dokumenty zawarte w Tajnych Archiwach Watykańskich, niezależnie od daty ich powstania, zostaną udostępnione zespołowi uczonych do wglądu i oceny.

Wśród dziennikarzy zapanowało zamieszanie. Kilku reporterów szeptało przez komórki, reszta wściekle robiła notatki. Rudolf Gertz siedział ze złożonymi rękami i spuszczoną głową. Widocznie Jego Świątobliwość zapomniał powiedzieć swemu głównemu rzecznikowi, że planuje dzisiaj powiedzieć coś ciekawego. Papież

wpłynął już na nieznane wody. Miał zamiar zapuścić się jeszcze dalej.

- Holocaust nie był zbrodnią katolików - kontynuował - ale zbyt wielu katolików, duchownych i świeckich, wzięło udział w mordowaniu Żydów, byśmy mogli to pominąć. Musimy przyjąć ten grzech do wiadomości i musimy błagać o przebaczenie.

Tym razem nie było braw, jedynie nabożna, pełna zdumienia cisza. Gabrielowi zdawało się, że nikt w synagodze nie mógł uwierzyć, że te słowa padły z ust papieża.

- Holocaust nie był zbrodnią katolików, ale Kościół zasiał trującą winorośl, znaną jako antysemityzm, i dostarczył wody i pożywienia jego ziarnom, dzięki czemu mogły zakorzenić się i rozwinąć w Europie. Musimy przyjąć ten grzech do wiadomości i musimy błagać o przebaczenie.

Gabrielowi zdawało się, że wyczuł niepokój wśród kardynałów. Gniewne spojrzenia, kręcenie głowami, wznoszące się i opadające ramiona. Spojrzał na ojca Donatiego i spytał szeptem:

- Który to kardynał Brindisi?

Ksiądz pokręcił głową.

- Nie ma go dzisiaj.

- Dlaczego?

- Powiedział, że źle się czuje. Prawda jest taka, że wolałby spłonąć żywcem, niż słuchać tego przemówienia.

A papież mówił dalej:

- Kościół nie był w stanie powstrzymać Zagłady, ale zapewne mógł zrobić dużo dla ratowania Żydów. Powinniśmy byli odłożyć na bok sprawy geopolityczne i wykrzyczeć słowa potępienia ze szczytu naszej potężnej bazyliki. Powinniśmy byli obłożyć ekskomuniką morderców i podżegaczy. Po wojnie powinniśmy byli poświęcić więcej czasu trosce o ofiary, a nie pomagać oprawcom, z których wielu znalazło schronienie w tym świętym mieście w drodze na wygnanie do odległych krajów.

Papież rozłożył szeroko ramiona.

- Te grzechy, a także inne, które wkrótce zostaną ujawnione, wyznajemy i błagamy o wasze przebaczenie. Nie ma słów mogących opisać nasz żal. W godzinie waszej największej potrzeby, gdy niemieccy żołnierze wyciągali was z domów na ulicach w bez pośrednim sąsiedztwie tej synagogi, krzyczeliście o pomoc, ale na wasze prośby odpowiedziało milczenie. Dlatego dzisiaj, błagając o wybaczenie, uczynię to tak samo - w milczeniu.

Papież Paweł VII opuścił głowę, złożył ręce pod pektorałem i zamknął oczy. Gabriel spojrzał z niedowierzaniem na papieża, po czym rozejrzał się po synagodze. Nie był osamotniony w swoim zdziwieniu. Słuchacze siedzieli z zastygłymi ze zdumienia twarzami, nie wyłączając zwykle cynicznych dziennikarzy. Dwóch kardynałów przyłączyło się do papieskiej modlitwy, ale pozostali zdawali się być zaskoczeni tak jak wszyscy inni.

Dla Gabriela widok papieża modlącego się cicho przy ołtarzu synagogi oznaczał co innego. Papież przemówił. Jego inicjatywy nie można było cofnąć, nawet jeśli miał nie dożyć jej zakończenia. Jeśli ci z Crux Vera chcieli go zabić, zrobiliby to przed przemówieniem. Zabicie papieża po wszystkim uczyniłoby go męczennikiem. Papież był bezpieczny, przynajmniej na razie. Gabriel miał już tylko jedno zmartwienie - dostarczyć go bezpiecznie do jego apartamentów.

Gabriel zauważył jakiś ruch - podnoszącą się rękę - ale był to tylko Karl Brunner przyciskający słuchawkę do ucha. Jego zachowanie gwałtownie się zmieniło. Wyprostował ramiona i jakby się zachwiał na czubkach palców. Krew napłynęła mu do twarzy, a oczy ożyły i zaczęły się gwałtownie poruszać. Podniósł rękę do ust i powiedział kilka słów do ukrytego w mankiecie koszuli mikrofonu. Następnie szybko podszedł do ojca Donatiego.

Ksiądz pochylił się do przodu i spytał:

- Czy coś się stało, Karl?

- W Watykanie jest intruz.

Opuściwszy papieskie apartamenty, Eric Lange zszedł po schodach na niższe piętro, do biura watykańskiego sekretarza stanu. W przedpokoju natknął się na ojca Mascone, zaufanego osobistego sekretarza kardynała Brindisiego.

- Chciałbym zobaczyć się z kardynałem - powiedział Lange.

- To niemożliwe. - Ojciec Mascone przerzucił jakieś papiery i wyraźnie się zdenerwował. - Na Boga, za kogo pan się uważa, że przychodzi tutaj tak po prostu i stawia takie żądania?

Lange sięgnął do kieszeni i płynnym ruchem wyjął steczkina z tłumikiem. Ojciec Mascone wyszeptał:

- Matko Najświętsza, módl się za nami.

Lange strzelił mu prosto między oczy i szybko przeszedł obok biurka.

Gabriel i ojciec Donati zbiegli po schodach synagogi. Papieska limuzyna stała na zewnątrz, otoczona przez kilku siedzących okrakiem na wyłączonych motocyklach karabinierów. Ojciec Donati podszedł do najbliższego i powiedział:

- Mamy pilną rzecz do załatwienia w Watykanie. Potrzebny nam motocykl.

Karabinier pokręcił głową.

- Nie mogę, ojcze Donati. To wbrew przepisom. Mogliby mnie zwolnić, gdybym pozwolił wam wziąć mój motocykl.

Gabriel położył rękę na ramieniu policjanta.

- *Il papa* osobiście zlecił nam to zadanie - powiedział po włosku. - Naprawdę chcesz odmówić osobistej prośbie Jego Świątobliwości?

Karabinier szybko zsiadł.

Gabriel ujął kierownicę i przerzucił nogę nad siodełkiem. Ojciec Donati usiadł z tylu.

- Umie pan tym jeździć?

- Trzymaj się mnie mocno, ojcze!

Gabriel skręcił w pustą Lungotevere i ruszył pełnym gazem. Gnając na północ, do Watykanu, słyszał, jak ojciec Donati odmawia *Ojcze Nasz*.

Marco Brindisi stał pośrodku pokoju przed rzędem ekranów. Ręce rozłożył szeroko, dłonie miał otwarte, a jego twarz wyglądała, jakby odpłynęła z niej cała krew. Był wściekły. Piuska spadła mu z głowy i leżała na dywanie u jego stóp.

- Czy nikt nie uciszy tego heretyka? - wrzeszczał kardynał. - Niech cię diabli, Carlo! Usiecz go! Gdzie jest twój człowiek?

- Tutaj - powiedział spokojnie Lange.

Kardynał Brindisi obrócił lekko głowę i zauważył mężczyznę w skromnym stroju duchownego, który cicho wślizgnął się do jego biura.

- Kim jesteś?

Lange wyprostował rękę. W dłoni trzymał steczkina.

- Chcielibyście po raz ostatni się wyspowiadać, Eminencjo? Kardynał zmrużył gniewnie oczy.

- Niech ognie piekielne pożrą twoją duszę. Zamknął oczy i przygotowywał się na śmierć. Lange nie kazał mu czekać.

Pociągnął za spust trzykrotnie, raz za razem. Steczkin splunął ogniem, ale nie wydał żadnego dźwięku. Trzy kule utkwiły w piersi kardynała, tworząc idealny trójkąt wokół serca.

Gdy kardynał upadł na plecy, Lange zrobił krok naprzód i spojrzał w pozbawione życia oczy. Przyłożył końcówkę tłumika do skroni prałata i strzelił po raz ostatni.

Następnie odwrócił się i wyszedł wolnym krokiem.

35

Watykan

Dotarcie do wejścia na plac Świętego Piotra zajęło Gabrielowi trzy minuty. Gdy zahamował poślizgiem przy metalowych barierkach, zaskoczony karabinier skierował w jego stronę pistolet automatyczny. Ojciec Donati zamachał watykańskim identyfikatorem.

- Opuść broń, durniu! Jestem Luigi Donati, osobisty sekretarz papieża. Mamy alarm. Odsuń barierki!

- Ale...

- Odsuń je! Natychmiast!

Karabinier uniósł część zapory, tworząc lukę wystarczająco szeroką, by mógł nią przejechać motocykl. Gabriel prześlizgnął się i pomknął przez zatłoczony plac. Zaskoczeni turyści uskakiwali z drogi, wykrzykując obelgi w różnych językach.

Gdy dotarli do Brązowych Wrót, strażnik zdążył już pozbyć się halabardy i w wyciągniętych przed siebie dłoniach trzymał berettę. Opuścił broń, widząc, że to rzeczywiście ojciec Donati siedzi z tyłu motocykla.

- Podobno macie intruza - powiedział Donati. Strażnik skinął głową.

- Właśnie przyszedł meldunek o strzelaninie wewnątrz pałacu. W poprzednim wcieleniu ojciec Donati musiał być słynnym biegaczem albo piłkarzem. Długie nogi i szczupła budowa

pozwalały mu na schodach przeskakiwać po trzy stopnie na raz, a korytarzami biegł jak sprinter do mety. Gabriel robił, co mógł, by nie stracić duchownego z oczu.

Dotarcie do apartamentu kardynała Brindisiego na drugim piętrze pałacu zajęło im mniej niż dwie minuty. W przedsionku było już kilku żołnierzy oraz trzech księży z kurii. Ojciec Mascone siedział martwy za biurkiem z czołem opartym o zbryzgany krwią blat.

- O Boże, to przechodzi ludzkie pojęcie - wyszeptał ojciec Donati. Pochylił się nad ciałem księdza i namaścił zwłoki.

Gabriel wszedł do gabinetu i zobaczył zakonnicę pochyloną nad ciałem kardynała. Ojciec Donati pojawił się chwilę później z poszarzałą jak popiół twarzą. Zmęczonym krokiem przemierzył pokój i padł na kolana obok zakonnicy, nie zważając na fakt, że klęczy we krwi.

Ze swojej pozycji przy kolumnadach otwierających wejście na plac Katrine Boussard widziała i słyszała wszystko: przybycie dwóch mężczyzn na motocyklu, ostrą wymianę zdań między karabinierem a księdzem, który twierdził, że był osobistym sekretarzem papieża, szaloną jazdę przez plac. Najwyraźniej coś działo się w pałacu. Włączyła silnik, wpatrując się w Brązowe Wrota po drugiej stronie placu, czekała.

Nadzieje Langego, że uda mu się wymknąć z Watykanu po cichu, rozwiały się. Hol wejściowy był pełny funkcjonariuszy Gwardii Szwajcarskiej i watykańskiej policji i wydawało się, że droga do Brązowych Wrót została odcięta. Ktoś musiał zignorować jego ostrzeżenie i zarządził alarm. A Lange musiał uciec. Chcąc pośpiesznie zmienić swój wygląd, zdjął okulary i wsunął je do kieszeni. Następnie spokojnie ruszył w stronę Brązowych Wrót.

Strażnik położył mu dłoń na ramieniu.

- Nikt nie ma na razie prawa tu wejść ani stąd wyjść.

- Obawiam się, że nie mogę czekać - powiedział spokojnie Lange. - Muszę natychmiast udać się na ważne spotkanie.

- Rozkaz to rozkaz, monsignor. Była strzelanina. Nikt nie może wyjść.

- Strzelanina? W Watykanie? Dobry Boże.

Z myślą o strażniku Lange przeżegnał się, nim sięgnął do kieszeni swojej marynarki duchownego i wyciągnął steczkina. Strażnik zaszamotał się w swoim renesansowym stroju, próbując rozpaczliwie wyciągnąć broń, ale nie zdążył. Lange trafił go dwa razy w klatkę piersiową.

Hol wypełnił krzyk, gdy Lange rzucił się do Brązowych Wrót. Drogę zagrodził mu strażnik z berettą trzymaną w wyciągniętych dłoniach. Zawahał się; Langego otaczali krzyczący duchowni i watykańscy urzędnicy. Człowiek, który codziennie przez osiem godzin trzymał halabardę, nie miał odwagi strzelać w tłum i ryzykować, że trafi postronne osoby. Lange nie miał podobnych wątpliwości. Steczkin uniósł się i zwalił strażnika z nóg.

Lange popędził ku wrotom. W jego stronę ruszył karabinier z opartym o biodro automatem, krzycząc po włosku, by rzucił broń. Lange obrócił się i strzelił. Karabinier osunął się na bruk.

Następnie Lange ujrzał coś, co było jak z sennego koszmaru: prosto na niego biegło kilku karabinierów z gotowymi do strzału automatami. Nie mógł utorować sobie drogi ucieczki. Katrine. Gdzie jesteś?

O parę kroków od niego stała kobieta, na oko Amerykanka, około dwudziestu pięciu lat, zbyt przerażona, żeby się poruszyć. Lange trzema potężnymi susami podbiegł do niej, złapał ją za włosy i przyciągnął do siebie. Karabinierzy zatrzymali się. Lange przystawił dziewczynie steczkina do głowy i zaczął ciągnąć ją przez plac.

Gabriel usłyszał krzyk pod oknem biura kardynała Brindisiego. Rozsunął grube zasłony i spojrzał w dół. Na placu rozpętało się piekło: karabinierzy biegli z wyciągniętą bronią, turyści rozpaczliwie próbowali się ukryć w kolumnadzie. A w poprzek placu szedł mężczyzna w stroju duchownego, trzymając broń przy skroni kobiety.

Katrine Boussard także go zobaczyła, choć z innego punktu obserwacyjnego - ze stanowiska przy końcu Kolumnady Berniniego. Gdy na placu wybuchło zamieszanie, karabinier, który otworzył barykadę dwóm mężczyznom na motocyklu, opuścił swoją pozycję i pobiegł w stronę pałacu. Katrine wrzuciła bieg i potoczyła motor naprzód, następnie skręciła przez lukę między barierkami i wjechała na plac.

Lange patrzył, jak nadjeżdża. Gdy znalazła się obok niego, pchnął Amerykankę na ziemię, wskoczył na motor, siadając przed Katrine, i chwycił kierownicę, po czym zawrócił i ruszył w stronę skraju placu Świętego Piotra. Wzdłuż zapory biegł sprintem karabinier, chcąc zamknąć w niej szczelinę, nim tam dotrą. Lange wycelował i wystrzelił dwie ostatnie kule z magazynku. Karabinier upadł na ziemię.

Lange przemknął przez lukę w barierkach i pochyliwszy się, skręcił na południe. Chwilę później już ich nie było.

Plac Świętego Piotra pogrążony był w chaosie. To jasne, że dla ochrony ważniejsze było zabezpieczenie miejsca i zaopiekowanie się ofiarami niż ściganie zabójcy. Gabriel zdawał sobie sprawę, że dla zawodowca ukrycie się w labiryncie rzymskich ulic było kwestią sekund. Sam to raz zrobił. Za chwilę Lampart, człowiek, który zamordował Benjamina i wielu innych, zniknie na zawsze.

Motocykl, na którym ojciec Donati i Gabriel przyjechali z synagogi, stał oparty na nóżce tam, gdzie go zostawili, kilka

metrów od Brązowych Wrót. Gabriel miał wciąż kluczyki w kieszeni. Wskoczył na siodełko i z rykiem silnika pognał przez plac.

Za kolumnadą, podobnie jak zamachowiec, skręcił w prawo i od razu musiał podjąć decyzję. Mógł jechać dalej prosto bądź skręcić w lewo, w stronę południowego krańca parku Janikulum. Gdy zwolnił, by dokonać wyboru, jakiś turysta z aparatem na szyi zrobił parę kroków w jego stronę i krzyknął po francusku:

- Szukasz księdza z pistoletem?

Francuz wskazał w stronę Borgo Santo Spirito, wąskiej brukowanej uliczki, przy której stały watykańskie urzędy i sklepy z pamiątkami, sprzedające dewocjonalia. Gabriel skręcił w lewo i przyspieszył. To miało sens. Jeśli zabójca wybrał tę trasę, mógł łatwo zniknąć w parku, potem wpaść na kręte uliczki Trastevere, przeciąć rzekę i dostać się do dzielnic mieszkalnych na Wzgórzu Awentyńskim.

Po stu metrach Gabriel skręcił w prawo i pomknął wzdłuż fasady jakiegoś starego pałacu. Dotarł do ruchliwego placu nad rzeką, znowu skręcił w prawo, kierując się na prowadzący do parku podjazd. Na górze, przy wejściu na podziemny dworzec autobusowy, było rondo. Gabrielowi zdawało się, że dostrzegł zabójcę, ubranego na czarno motocyklistę, za którym siedziała kobieta. Motor przyspieszył na rondzie i zniknął w parku. Pojechał za nim.

Po obu stronach drogi ciągnęły się wysypane żwirem alejki i rzędy rozłożystych sosen. Ulica biegła grzbietem wzgórza, stopniowo się wznosząc, więc po paru sekundach Gabriel miał wrażenie, że unosi się nad miastem. Gdy zbliżył się do Piazzale Garibaldi, w sznurze jadących przed nim samochodów dostrzegł błysk - motocykl niebezpiecznie lawirujący między samochodami. Za kierownicą siedział ubrany na czarno mężczyzna. Wjeżdżając w Piazzale, Gabriel na chwilę stracił motor z oczu; po chwili zobaczył go znowu, jak skręcał w uliczkę prowadzącą w dół wzgórza w stronę Trastevere. Mocno przechylając motocykl, Gabriel przecisnął się między samochodami, poczym, nie zważając na klaksony i przekleństwa, podążył za nim.

Przy wyjeździe z parku musieli pokonać serię stromych serpentyn i ostrych skrętów. Motocykl karabinierów miał więcej mocy niż maszyna zamachowca, a ponadto Gabriel nie miał jak tamten dodatkowego obciążenia i problemów z równowagą z powodu pasażera. Szybko zmniejszał dzielącą ich odległość i wkrótce znalazł się trzydzieści metrów za nimi.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął berettę. Przełożył broń do lewej ręki i mocno odkręcił gaz prawą. Motor skoczył z rykiem do przodu. Kobieta obejrzała się przez ramię, po czym obróciła się i w tej niewygodnej pozycji wycelowała w Gabriela pistolet automatyczny.

Ledwo usłyszał strzały wśród warkotu motocykli. Jeden z pocisków przebił jego przednią szybę. Motocyklem szarpnęło. Ręka Gabriela zsunęła się z gazu. Lampart zaczął się oddalać. Strasznie powoli Gabriel odzyskiwał stracony dystans.

Lange oderwał na moment wzrok od ulicy, by zerknąć we wstecznym lusterku na ścigającego ich mężczyznę. Ciemne włosy, oliwkowa karnacja, wąskie rysy, czysta determinacja w spojrzeniu. Czy to był Gabriel Allon? Agent o kryptonimie Miecz, który z zimną krwią wszedł do willi w Tunisie i zastrzelił jednego z najpilniej strzeżonych ludzi na tej planecie? Człowiek, który według Casagrandego miał nie sprawiać kłopotów? Lange miał nadzieję któregoś dnia mu się odwdzięczyć.

Na razie skupił myśli na tym, co musiał zrobić teraz - znaleźć sposób ucieczki. Po drugiej stronie rzeki na Wzgórzu Awentyńskim czekał samochód. By się tam dostać, musiał przejechać przez labirynt Trastevere. Był pewien, że tam uda mu się zgubić Izraelczyka - jeśli przetrwają do tego czasu.

Pomyślał o swoim domu w Grindelwaldzie, jeżdżeniu na nartach u stóp ściany Eigeru i o kobietach w swoim olbrzymim łóżku. Następnie wyobraził sobie alternatywę - gnicie we włoskim więzieniu, żywienie się zatęchłym jedzeniem i niemożność

dotknięcia kobiety przez resztę życia. Wszystko było lepsze niż to - nawet śmierć.

Ruszył pełnym gazem i jechał niebezpiecznie szybko. Przed nim leżały uliczki Trastevere. Wolność. Spojrzał we wsteczne lusterko i zauważył, że Izraelczyk zmniejszył dystans i przygotowywał się do strzału. Lange próbował przyspieszyć, ale nie mógł. Katrine. To przez nią.

Usłyszał strzały, obok niego śmignęły kule. Katrine krzyknęła. Jej uścisk na jego biodrach zelżał.

- Trzymaj się! - zawołał Lange, ale w jego głosie nie było przekonania.

Wjechał do Trastevere, pędząc ulicą, po obu stronach której stały poszarzałe kamienice. Skręcił w mniejszą uliczkę, wąską i brukowaną, zastawioną zaparkowanymi samochodami. Na jej końcu jak muszka karabinu sterczała wieża romańskiego kościoła z krzyżem na szczycie. Lange jechał w jej stronę.

Katrine trzymała się coraz słabiej. Lange obejrzał się przez ramię. W ustach miała krew, a jej twarz była koloru kredy. Spojrzał w lusterko. Izraelczyk był nie więcej niż trzydzieści metrów za nim i szybko się zbliżał.

- Wybacz mi, Katrine - wyszeptał Lange.

Złapał ją za nadgarstek i zaczął go wykręcać, póki nie usłyszał, jak pękają kości. Katrine krzyknęła i próbowała schwycić się go na wysokości piersi, ale jedną ręką nic nie mogła zrobić.

Lange poczuł, jak jej ciężar przesuwa się do tyłu motoru. Odgłos ciała uderzającego o bruk pozostał mu na zawsze w pamięci.

Nie obejrzał się.

Kobieta upadła w poprzek ulicy. Gabriel miał mniej niż sekundę na reakcję. Ścisnął potężnie hamulce, ale zdał sobie sprawę, że nie zdąży się zatrzymać. Pochylił się bardzo mocno w lewo i położył motor na bruku. Trzasnął głową o ziemię.

Kamienie zdzierały mu skórę, gdy ślizgał się po bruku. W pewnej chwili zobaczył, jak motocykl wyskakuje w powietrze.

Zatrzymał się na ciele kobiety i zorientował się, że patrzy w dwoje przepięknych, martwych oczu. Uniósł głowę i zobaczył, jak motocykl Lamparta z rykiem pędzi ulicą i znika za wieżą kościoła.

Stracił przytomność.

W zamieszaniu na placu Świętego Piotra nikt nie zwrócił uwagi na starszego człowieka idącego powoli po zniszczonych przez czas kamiennych płytach. Spojrzał na umierającego strażnika w splamionym krwią kolorowym mundurze. Zatrzymał się na moment obok zwłok młodego karabiniera. Zobaczył młodą Amerykankę szlochającą w ramionach matki. Za parę minut, gdy informacja o zabójstwie kardynała zostanie podana do publicznej wiadomości, przerażenie będzie większe. Kamienie na placu Świętego Piotra spłynęły krwią. Koszmar. Jeszcze gorsze niż dzień, w którym o mało nie zginął Polak. Ja do tego doprowadziłem, pomyślał Casagrande. To moje dzieło.

Przemknął wzdłuż kolumnady i poszedł w stronę Bramy Świętej Anny. Myślał o tym, co nastąpi. Nieuniknione odkrycie spisku. Ujawnienie Crux Vera. Jak Casagrande mógł wyjaśnić, że tak naprawdę ocalił życie papieża? Co więcej, że ocalił Kościół, zabijając kardynała Brindisiego? Krew na placu Świętego Piotra była konieczna, pomyślał. To była oczyszczająca krew. Ale nikt mu nie uwierzy. Umrze w niesławie, jako człowiek zhańbiony. Jako morderca.

Zatrzymał się przed kościołem Świętej Anny. Na warcie stał strażnik Gwardii Szwajcarskiej. Został w pośpiechu wezwany na służbę i był w dżinsach i wiatrówce. Zdawał się być zdziwiony, widząc Casagrandego wchodzącego powoli po schodach.

- Czy ktoś jest w środku? - spytał Casagrande.

- Nie, panie generale. Opróżniliśmy kościół z ludzi, gdy tylko zaczęła się strzelanina. Drzwi są zamknięte na klucz.

- Otwórz je, proszę. Muszę się pomodlić.

Malutką nawę spowijała ciemność. Wartownik pozostał przy drzwiach, patrząc z ciekawością, jak generał podchodzi do ołtarza i pada na kolana. Casagrande przez chwilę żarliwie się modlił, po czym sięgnął do kieszeni płaszcza.

Strażnik pędem ruszył wzdłuż głównej nawy, krzycząc:

- Nie! Generale, nie!

Ale generał Casagrande zdawał się go nie słyszeć. Włożył lufę do ust i pociągnął za spust. W pustym kościele rozbrzmiało echo pojedynczego wystrzału. Casagrande pozostał na kolanach przez kilka sekund, wystarczająco długo, by strażnik pomyślał z nadzieją, że Casagrande chybił. Ale ciało pochyliło się do przodu i upadło na ołtarz. Carlo Casagrande, zbawca Włoch, nie żył.

Część piąta

Kościół w Wenecji

36

Rzym

Na jedenastym piętrze kliniki Gemelli są pokoje, o których istnieniu mało kto wie. Skromne, wręcz spartańskie, przeznaczone są dla pewnego księdza. W jednym jest łóżko szpitalne. W drugim krzesła i kanapa. W trzecim znajduje się prywatna kaplica. W korytarzu na zewnątrz jest biurko dla strażników. Zawsze ktoś tu pełni wartę, nawet gdy pokoje są puste.

Po strzelaninie w Watykanie pokoje zajmował bezimienny pacjent. Jego obrażenia były poważne: pęknięta kość, złamany kręg, cztery złamane żebra, obtarcia i rany na całym ciele. Przeprowadzona zaraz po wypadku operacja ujawniła zagrażający życiu obrzęk mózgu. Pacjent pozostawał w głębokiej śpiączce. Z powodu potwornych obrażeń pleców ułożono go na brzuchu, z głową odwróconą w stronę okna. Opuchniętą twarz zasłaniała maska tlenowa. Powieki, sine od urazów, miał mocno zaciśnięte.

Wiele wskazywało na to, że pacjent jest ważną osobistością. Ojciec Luigi Donati, papieski sekretarz, dzwonił parę razy dziennie, by dowiedzieć się o jego stan. Pod drzwiami pokoju, w którym leżał, stało dwóch ochroniarzy. Zresztą niezwykły był już sam fakt, że w ogóle się tu znalazł, gdyż apartament na jedenastym piętrze Gemelli zarezerwowany jest wyłącznie dla jednego człowieka: głowy Kościoła rzymskokatolickiego.

W ciągu pierwszych czterech dni przyszło tylko dwoje gości: wysoka, uderzająco piękna kobieta o długich kręconych włosach i czarnych oczach oraz starszy mężczyzna o twarzy jak pustynny kamień. Dziewczyna mówiła po włosku, mężczyzna nie. Pielęgniarki przypuszczały, błędnie, jak się później okazało, że jest to ojciec pacjenta. Goście urządzili sobie obóz w poczekalni i już jej nie opuścili.

Starszy mężczyzna szczególnie niepokoił się o prawą rękę chorego, co wydało się pielęgniarkom bardzo dziwne, bo inne obrażenia były dużo poważniejsze. Wezwano radiologa. Zrobiono prześwietlenie. Lekarz ortopeda stwierdziła, że ręka jest w zaskakująco dobrym stanie. Jej uwagi nie uszła głęboka szrama między kciukiem a palcem wskazującym: niedawna, źle zaleczona rana.

Piątego dnia przy łóżku ustawiono klęcznik. Papież przybył o zmroku, w towarzystwie ojca Donatiego i jednego strażnika Gwardii Szwajcarskiej. Spędził godzinę, klęcząc nad nieprzytomnym mężczyzną, pogrążony w modlitwie, z zamkniętymi oczami. Kiedy skończył, wyciągnął dłoń i pogłaskał delikatnie rękę chorego.

Gdy papież wstał, jego wzrok padł na duży, rzeźbiony w drewnie krucyfiks wiszący nad łóżkiem. Wpatrywał się w niego przez moment, po czym wyprostował palce i uczynił znak krzyża. Następnie pochylił się ku ojcu Donatiemu i wyszeptał mu coś do ucha. Ksiądz sięgnął nad łóżko i zdjął krucyfiks ze ściany.

Dwadzieścia cztery godziny po wizycie papieża prawa ręka zaczęła się poruszać. Powtarzający się ruch, raz po razie. Puknięcie, po czym trzy szybkie machnięcia. Puknięcie, machnięcie, machnięcie, machnięcie... Puknięcie, machnięcie, machnięcie, machnięcie.

To wywołało dyskusję wśród ekipy lekarskiej. Niektórzy sądzili, że ruchy są spazmatyczne i należy je zignorować. Inni bali się, że są skutkiem ataku choroby. Wysoka dziewczyna o czarnych oczach powiedziała im, że to ani spazmy, ani choroba.

- On tylko maluje - zapewniła. - Niedługo do nas wróci.

Następnego dnia, tydzień po przybyciu do szpitala, bezimienny pacjent na chwilę odzyskał przytomność. Powoli otworzył oczy, mrugając od światła słonecznego i patrząc z lekkim zdziwieniem na twarz starszego mężczyzny, jakby nie mógł go rozpoznać.

- Ari?

- Martwiliśmy się o ciebie.

- Wszystko mnie boli.

- Nie wątpię. Podniósł wzrok ku oknu.

- *Jeruszalaim?*

- Rzym.

- Gdzie?

Powiedział mu. Ranny uśmiechnął się słabo pod maską tlenową.

- Gdzie jest… Chiara?

- Jest tutaj. Nie opuściła cię ani na moment.

- Dorwałem… go?

Ale nim Szamron zdążył odpowiedzieć, oczy Gabriela zamknęły się i po raz kolejny stracił przytomność.

37

Wenecja

Minął miesiąc, nim Gabriel poczuł się na tyle dobrze, by wrócić do Wenecji. Zamieszkali w Canareggio w czteropiętrowym domu nad kanałem, z dostępem do nabrzeża i własną lekką łodzią. Przed wejściem, które wychodziło na ciche, pachnące rozmarynem podwórko, stały dwie gliniane doniczki z geranium. System alarmowy, założony przez nikomu nieznaną firmę z Tel Awiwu, specjalizującą się w elektronice, zasługiwał na Nobla.

Gabriel nie był w stanie ponownie zmierzyć się z Bellinim. Wciąż widział nieostro i nie mógł przez dłuższy czas utrzymać się na nogach bez mdłości. W nocy budził go często potworny ból głowy. Kiedy Francesco Tiepolo zobaczył po raz pierwszy jego plecy, pomyślał, że Gabriel wygląda tak, jakby został wychłostany. Zwrócił się do superintendenta, by opóźnił otwarcie San Zaccaria o kolejny miesiąc, żeby signor Delvecchio mógł odzyskać siły po niefortunnym wypadku motocyklowym. Superintendent zaproponował z kolei, żeby Tiepolo sam wszedł na rusztowanie i skończył Belliniego na czas.

- Turyści się zjeżdżają, Francesco! Mam dać na kościele San Zaccaria wywieszkę „Zamknięte z powodu renowacji"?

Nieoczekiwanie do tej dyskusji włączył się Watykan. Ojciec Luigi Donati wysłał do Wenecji stanowczego e-maila, w którym wyrażał życzenie Ojca Świętego, by signor Delvecchio mógł

dokończyć pracę nad odnawianiem arcydzieła Belliniego. Superintendent szybko zmienił zdanie. Następnego dnia przysłano Gabrielowi pudełko weneckich czekoladek razem z listem życzącym mu szybkiego powrotu do zdrowia.

Gdy Gabriel wyzdrowiał, Chiara i on zaczęli prowadzić życie typowych wenecjan. Jadali w restauracjach, których nie potrafili znaleźć turyści, a co wieczór po kolacji szli do Ghetto Nuovo. W niektóre noce, po odmówieniu maariw, przyłączał się do nich ojciec Chiary. Delikatnie starał się dowiedzieć, jaki charakter ma ich związek, wypytywał też Gabriela o jego dalsze zamiary. Gdy trwało to już wystarczająco długo, Chiara dotykała ręki ojca i mówiła „Papo, proszę". Po czym brała ich obu pod ramię i spacerowali w ciszy po *campo,* a chłodne wieczorne powietrze owiewało im twarze.

Gabriel nigdy nie wyszedł z dzielnicy żydowskiej, nie zatrzymując się wpierw przed Casa Israelitica di Riposo, by spojrzeć przez okno na oglądających telewizję starców. Za każdym razem obserwował ich w tej samej pozycji: prawa ręka na podbródku, lewa dłoń podtrzymywała prawy łokieć, głowa lekko pochylona. Chiara potrafiła go sobie takim wyobrazić na rusztowaniu, wpatrującego się z pędzlem w zębach w uszkodzony obraz.

Nie mieli właściwie nic do roboty. Trzeba było czekać, aż Gabriel wyzdrowieje, z dużym zainteresowaniem śledzili więc rozwój wydarzeń w Watykanie. Zgodnie z obietnicą papież Paweł VII mianował zespół historyków i ekspertów mających ponownie ocenić, jaką rolę odegrał Watykan w drugiej wojnie światowej, uwzględniając także długą historię antysemityzmu w Kościele. Komisja liczyła w sumie dwunastu członków: sześciu katolików i sześciu żydów. Ustalono, że historycy przez pięć lat będą badali dokumenty zgromadzone w Tajnych Archiwach Watykańskich. Prace miały być prowadzone w pełnej dyskrecji, a po upływie pięciu lat przedstawione w formie

raportu papieżowi, ktokolwiek by nim wtedy był, a ten miał podjąć odpowiednie działania. Społeczności żydowskie od Nowego Jorku przez Paryż po Jerozolimę zareagowały na tę inicjatywę papieża nader pozytywnie.

Po miesiącu komisja wystąpiła do Tajnych Archiwów o sukcesywne przekazywanie dokumentów. W pierwszej partii, którą otrzymała, był raport napisany przez biskupa Sebastiana Lorenzi z Sekretariatu Stanu Jego Świątobliwości papieża Piusa XII. Uważany wcześniej za zniszczony, zawierał szczegóły tajnego spotkania, które odbyło się w 1942 roku w klasztorze nad jeziorem Garda. Członkowie komisji, wierni wytycznym, ani słowem nie wspomnieli publicznie o jego istnieniu.

Prace komisji zostały jednak zepchnięte w cień przez skandal, nazywany przez włoską prasę „aferą Crux Vera". Benedetto Foà, watykański korespondent „La Repubbliki", w serii demaskatorskich artykułów poinformował opinię publiczną o istnieniu i działalności tajnego katolickiego stowarzyszenia, które przeniknęło w najwyższe kręgi Stolicy Apostolskiej, rzymskich władz i włoskiej finansjery. Co więcej, Foà utrzymywał, nie ujawniając swych źródeł, że macki Crux Vera sięgają poza Europę, do Stanów Zjednoczonych i Ameryki Łacińskiej. Według niego na czele stowarzyszenia stali: kardynał Marco Brindisi, zamordowany niedawno watykański sekretarz stanu, razem z prowadzącym samotny tryb życia finansistą Robertem Puccim i byłym szefem watykańskiego Biura do spraw Bezpieczeństwa, Carlem Casagrandem. Pucci za pośrednictwem swoich prawników wszystkiemu zaprzeczył, ale niedługo po ukazaniu się artykułów Foi będący jego własnością bank stracił płynność środków i upadł. Ta klęska ujawniła, że jego finansowe imperium było domkiem z kart, który rozpadł się w ciągu paru tygodni. Sam Pucci uciekł ze swojej ukochanej Villa Galatina i udał się na wygnanie do Cannes.

Jeśli chodzi o Watykan, to oficjalnie trzymał się teorii, że uzbrojony mężczyzna, który dokonał tak okrutnych zbrodni,

był religijnym szaleńcem, niepowiązanym z żadnym państwem, organizacją terrorystyczną czy tajnym zakonem. Zdecydowanie zaprzeczano, by istniało tajemne stowarzyszenie Crux Vera i przy każdej nadarzającej się okazji przypominano *vaticanisti,* że tajne organizacje i loże są przez Kościół bezwzględnie zakazane. Ale dla wszystkich śledzących wydarzenia w Watykanie stało się jasne, że papież Paweł VII robi u siebie porządki. Ponad tuzin wysokich rangą członków kurii rzymskiej odesłano do służby duszpasterskiej lub na emeryturę, włączając w to dogmatycznego przewodniczącego Kongregacji Nauki Wiary. Po wyborze następcy Marca Brindisiego nastąpiły olbrzymie zmiany w składzie Sekretariatu Stanu. Szef Biura Prasowego Rudolf Gertz wrócił do Wiednia.

Ari Szamron doglądał rekonwalescencji Gabriela z Tel Awiwu. Wbrew woli Lwa Szamronowi udało się doprowadzić do tego, że ściągnięto go z powrotem na Bulwar Króla Saula i powierzono pokierowanie grupą, która otrzymała kryptonim Lampart. Jedynym jej celem było zlokalizowanie i unieszkodliwienie nieuchwytnego terrorysty, któremu przypisywano zabójstwo Benjamina Sterna i wielu innych. Nowe zadanie zdawało się odmłodzić Szamrona. Ludzie znajdujący się blisko niego zauważyli znaczącą poprawę w jego wyglądzie.

Na nieszczęście tych, którzy zaciągnęli się do oddziału, wraz z polepszeniem się stanu zdrowia powrócił jego wybuchowy charakter. Siebie i swoich podwładnych zmuszał do pracy na granicy wytrzymałości. Żaden ślad, żadna plotka nie były ignorowane i trzeba je było sprawdzić. Podobno widziano Lamparta w Paryżu i w Helsinkach. Był raport mówiący, że czeska policja podejrzewa go o popełnienie zabójstwa w Pradze. Jego pseudonim wypłynął w Moskwie, w powiązaniu z morderstwem wysoko postawionego pracownika wywiadu. Agent Biura słyszał w Bagdadzie pogłoski, że Lampart podjął się współpracy z irackimi tajnymi służbami.

Tropy były obiecujące, ale żaden nie doprowadził ich do Lamparta. Mimo niepowodzeń, Szamron prosił swój oddział,

żeby nie tracił wiary. Miał własną teorię, jak znaleźć Lamparta. Motorem jego działań były pieniądze, i to pieniądze miały go zgubić.

Pewnego ciepłego wieczoru w ostatnich dniach maja w stronę Gabriela, spacerującego z Chiara po Campo di Ghetto Nuovo, poleciała futbolówka. Puścił rękę dziewczyny i trzema susami podbiegł do piłki. „Gabriel! Twoja głowa!", krzyknęła Chiara, ale nie słuchał. Wziął szeroki zamach i odkopnął piłkę z potężnym łupnięciem, które odbiło się echem od fasady synagogi. Piłka zatoczyła w powietrzu elegancki łuk i wpadła prosto w ręce dwunastoletniego chłopca z kręconymi włosami w *kippah*. Dziecko przez chwilę patrzyło na Gabriela, po czym uśmiechnęło się i pobiegło z powrotem do przyjaciół. Wróciwszy do domu, Gabriel zadzwonił do Francesca Tiepola i powiedział, że jest gotów wrócić do pracy.

Wszystko było na swoim miejscu: pędzle, paleta, pigmenty i rozpuszczalnik. Miał cały kościół dla siebie. Adriana, Antonio Politi i reszta ekipy San Zaccaria skończyli już tu pracę i dawno temu przenieśli się gdzie indziej. Chiara nigdy nie zostawiała Gabriela samego w kościele. Odwrócony plecami do drzwi, wciśnięty w majestatyczny ołtarz, mógł być łatwym celem, więc podczas kiedy pracował, siedziała u stóp rusztowania i czarnymi oczami obserwowała drzwi. Postawiła tylko jeden warunek - żeby usunął zasłonę - na co wyjątkowo przystał.

Pracował po wiele godzin, znacznie dłużej niż w normalnych okolicznościach, ale postanowił skończyć renowację ołtarza jak najszybciej. Tiepolo wpadał raz dziennie, zostawiał jedzenie i sprawdzał postępy. Czasem zostawał na parę minut i dotrzymywał Chiarze towarzystwa. Raz nawet wciągnął swoje cielsko na rusztowanie, żeby skonsultować z Gabrielem pewne sprawy dotyczące absydy.

Gabriel odzyskał pewność siebie. Spędził tyle czasu, studiując Belliniego i jego dzieła, że czasem niemal wyczuwał obecność starego mistrza, podpowiadającego mu, co ma robić. Pracował od środka do zewnątrz - Madonna z Dzieciątkiem, święci i mecenasi, skomplikowane tło. W dużej mierze podobnie podchodził do sprawy zabójstwa Benjamina. Podczas pracy nie dawały mu spokoju dwa pytania: kto dał Benjaminowi dokumenty dotyczące spotkania nad jeziorem Garda? I dlaczego?

Pewnego popołudnia pod koniec czerwca Chiara podniosła wzrok i zobaczyła Gabriela stojącego na skraju rusztowania, z głową lekko pochyloną, prawa ręka oparta była o podbródek, lewa podtrzymywała prawy łokieć. Trwał w tej pozycji przez dłuższy czas bez ruchu, według zegarka Chiary dziesięć minut, a jego oczy lustrowały malowidło wzdłuż i wszerz. Chiara chwyciła ręką za rusztowanie i potrząsnęła nim jeden raz, tak jak zawsze czynił to Tiepolo. Gabriel spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Skończone, signor Delvecchio?

- Prawie - dobiegł z góry jego głos. - Muszę jeszcze tylko raz z nim porozmawiać.

- O czym mówisz, u licha?

Ale Gabriel nie odpowiedział. Zamiast tego uklęknął i spędził następne kilka minut na czyszczeniu pędzli i palety oraz na pakowaniu barwników i rozpuszczalnika do płaskiej prostokątnej walizki. Zszedł z rusztowania, wziął Chiarę za rękę i wyszedł z kościoła. Po drodze do domu zatrzymali się w biurze Tiepola na placu Świętego Marka. Gabriel powiedział mu, że musi spotkać się z Ojcem Świętym. Gdy dotarli do domu w Canareggio, na automatycznej sekretarce czekała wiadomość:

„Brązowe Wrota, jutro wieczorem, ósma. Proszę się nie spóźnić”.

38

Watykan

Gdy Gabriel szedł przez plac Świętego Piotra, zapadał już zmrok. Przy Brązowych Wrotach spotkał się z nim ojciec Donati. Ksiądz mocno uścisnął mu dłoń i zauważył, że wygląda dużo lepiej, niż gdy spotkali się ostatnim razem.

- Ojciec Święty pana oczekuje - powiedział ojciec Donati. - Lepiej nie każmy mu czekać.

Poprowadził Gabriela po Scala Regia na górę. Pięć minut lawirowania po archipelagu mrocznych korytarzy i ciemnych dziedzińców doprowadziło ich do oblanych czerwonawym światłem Ogrodów Watykańskich. Z daleka dostrzegli papieża. Szedł po ścieżce w stronę Kolegium Etiopskiego, jego biała sutanna zdawała się świecić.

Ojciec Donati zostawił Gabriela przy boku papieża i wolno oddalił się w stronę pałacu. Papież ujął Gabriela pod ramię i poprowadził po ścieżce. Wieczorne powietrze było ciepłe, przyjemne i pachniało sosnami.

- Miło mi pana widzieć w takim dobrym stanie - powiedział papież. - Zadziwiająco szybko wrócił pan do zdrowia.

- Szamron jest pewien, że to Wasze modlitwy wydobyły mnie ze śpiączki. Mówi, że poświadczy cud w klinice Gemelli przy procesie beatyfikacji Waszej Świątobliwości.

- Nie jestem pewien, czy wiele osób w Kościele będzie popierać moją kanonizację, gdy komisja skończy pracę - zaśmiał

się cicho i uścisnął ramię Gabriela. - Czy jest pan zadowolony z renowacji ołtarza w San Zaccaria?

- Tak, Wasza Świątobliwość. Dziękuję za interwencję w tej sprawie.

- To było jedyne sprawiedliwe rozwiązanie. Pan rozpoczął renowację. I pan powinien ją dokończyć. Poza tym jest to jedno z moich ulubionych dzieł. Ten ołtarz potrzebował rąk wielkiego Maria Delvecchio.

Papież poprowadził Gabriela po wąskiej ścieżce dochodzącej do murów Watykanu.

- Proszę pójść ze mną - powiedział. - Chcę panu coś pokazać.

Ruszyli w stronę wieży nadajnika Radia Watykańskiego. Po schodach wspięli się na mury. Przed nimi leżał Rzym, tętniący życiem i niespokojny, zakurzony, brudny. Wieczne Miasto. Z tej wysokości, w tym świetle, nie różnił się wiele od Jerozolimy. Brakowało tylko śpiewu muezina wzywającego wiernych na wieczorne modły. Następnie wzrok Gabriela powędrował wzdłuż Tybru ku synagodze stojącej przy wejściu do dawnego getta. Nagle zdał sobie sprawę, dlaczego papież go tu przyprowadził.

- Czy chcesz mnie o coś zapytać, Gabrielu?

- Tak, Wasza Świątobliwość.

- Sądzę, że zastanawiasz się, od kogo twój przyjaciel Benjamin Stern wziął dokumenty dotyczące spotkania nad jeziorem Garda.

- Wasza Świątobliwość jest bardzo mądrym człowiekiem.

- Tak? To dlaczego doprowadziłem do tego wszystkiego?

Papież zamilkł. Długo patrzył na synagogę. Wreszcie odwrócił się do Gabriela.

- Gabrielu, czy zostaniesz moim spowiednikiem? Oczywiście w przenośni.

- Będę, kim tylko Wasza Świątobliwość sobie zażyczy.

- Wiesz, że będziesz musiał dochować tajemnicy spowiedzi? To, co ci powiem dzisiejszego wieczoru, nie może zostać nigdy powtórzone. Po raz drugi oddaję swoje życie w twoje ręce -

odwrócił wzrok. - Pytanie tylko, czyje to ręce? Gabriela Aliona? Czy konserwatora Maria Delvecchia?

- Czyje Wasza Świątobliwość by wolał?

Papież po raz kolejny spojrzał ponad rzeką na synagogę i pozostawiając pytanie Gabriela bez odpowiedzi, zaczął mówić.

Opowiedział Gabrielowi o konklawe, o nocy straszliwych mąk w Dormitorium Świętej Marty, gdzie, jak Chrystus w ogrodzie Getsemani, błagał Boga, by ten kielich nie dotknął jego warg. Czy ktoś znający straszliwą tajemnicę spotkania nad jeziorem Garda mógł zostać wybrany głową Kościoła? Co miał zrobić z taką wiedzą? W noc przed ostatnim posiedzeniem konklawe wezwał ojca Donatiego do siebie i powiedział mu, że jeśli zostanie wybrany, odmówi. Wtedy to wyznał swojemu zaufanemu pomocnikowi, co wie o wydarzeniach w klasztorze nad jeziorem tamtej nocy w czterdziestym drugim roku.

- Ojciec Donati był przerażony - powiedział papież. - Wierzył, że Duch Święty ma powód, by mnie wybrać, bo chce, bym ujawnił tajemnicę spotkania nad Gardą i oczyścił Kościół. Ale ojciec Donati jest bardzo rozsądnym człowiekiem i sprawnym pracownikiem. Wiedział, że tajemnicę należało ujawnić tak, by nie zniszczyła mojego pontyfikatu u jego zarania.

- Musiał to zrobić ktoś inny.

Papież skinął głową.

- Właśnie.

Ojciec Donati wyruszył na poszukiwania siostry Reginy Carcassi. Patrząc z perspektywy czasu, można sądzić, że właśnie to nieustępliwe poszukiwanie dokumentów kościelnych zwróciło uwagę psów gończych Crux Vera. Luigi znalazł ją, mieszkającą samotnie w wiosce na północy. Zapytał, co pamięta z tamtej nocy w 1942, a ona dała mu kopię swojego listu - listu napisanego w noc przed ślubem. Ojciec Donati zapytał wtedy, czy

zechce przemówić publicznie. „Upłynęło już wystarczająco dużo czasu", odparła. Była gotowa zrobić wszystko, o co Donati poprosi.

Ale ojciec Donati wiedział, że potrzebuje czegoś więcej. Przez lata w kurii rzymskiej krążyły plotki, że KGB jest w posiadaniu dokumentu mogącego wyrządzić poważne szkody Kościołowi. Podobno nawet podjęto decyzję, by pozwolić mu wyciec w szczytowej fazie konfliktu z papieżem Polakiem, ale spokojniejsi ludzie wewnątrz KGB byli górą i dokument pozostał zagrzebany w archiwach KGB. Ojciec Donati pojechał w tajemnicy do Moskwy i spotkał się z szefem spadkobierczyni KGB - Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Po trzech dniach negocjacji wszedł w posiadanie dokumentu. Był to skierowany do Adolfa Eichmanna raport Martina Luthera o spotkaniu w klasztorze nad jeziorem Garda, który to dokument wpadł w ręce Rosjan w ostatnich dniach wojny.

- Gdy go przeczytałem, zdałem sobie sprawę, że czeka nas ciężka bitwa - powiedział papież. - Widzisz, zawierał on dwa złowieszcze słowa.

- Crux Vera - powiedział Gabriel, a papież skinął twierdząco głową.

Crux Vera.

Ojciec Donati rozpoczął poszukiwania odpowiedniego człowieka, który potrafiłby zwrócić uwagę światowej opinii na oba dokumenty. Kogoś z pasją i autorytetem. Ojciec Donati zdecydował się na izraelskiego historyka Holocaustu, pracującego na Uniwersytecie Ludwika Maksymiliana w Monachium: profesora Benjamina Sterna. Pojechał do Monachium i w największej tajemnicy spotkał się z profesorem w jego mieszkaniu przy Adalbertstrasse. Pokazał Sternowi dokumenty i obiecał wsparcie ze strony Stolicy Apostolskiej. Wysoko postawieni przedstawiciele Kościoła, których nazwiska z oczywistych przyczyn nie mogły być ujawnione, potwierdzą autentyczność materiałów. Gdy książka zostanie opublikowana, Watykan wstrzyma się od publicznych ataków. Profesor Stern przyjął ofertę.

Podpisał umowę ze swoim wydawcą w Nowym Jorku i wziął urlop na uniwersytecie. Zgodnie z sugestią ojca Donatiego pracował w ścisłej tajemnicy.

Trzy miesiące później zaczęły się kłopoty. Zniknął ojciec Cesare Felici, a dwa dni po nim ojciec Manzini. Ojciec Donati próbował ostrzec Reginę Carcassi, ale było już za późno, ona też zniknęła. Pojechał do Monachium i spotkał się z Benjaminem Sternem. Profesor obiecał podjąć środki ostrożności. Ojciec Donati bał się o jego życie i o swój plan. Będąc człowiekiem przewidującym, zaczął opracowywać plan awaryjny.

- I wtedy zabili Benjamina - powiedział Gabriel.

- To był straszny cios. Nie trzeba chyba mówić, że czułem się odpowiedzialny za jego śmierć.

Ojca Donatiego morderstwo to doprowadziło do furii, opowiadał dalej papież. Przysiągł sobie, że wykorzysta wiedzę o spotkaniu nad Gardą, by zniszczyć Crux Vera - albo, jeszcze lepiej, żeby Crux Vera samo się zniszczyło. Pospiesznie zaplanował moje wystąpienie w synagodze, szeptał o tym do uszu znanych nam członków Crux Vera, wiedząc, że w końcu dotrą do Carla Casagrandego i kardynała Brindisiego. Zaangażował Benedetta Foę z „La Repubbliki", żeby pytał o dzieciństwo papieża w Biurze Prasowym kierowanym przez Rudolfa Gertza, członka stowarzyszenia.

- Ojciec Donati machał czerwoną płachtą przed bykiem - powiedział Gabriel. - Wy, Ojcze Święty, byliście tą płachtą.

- Owszem - odparł papież. - Miał nadzieję, że sprowokuje Crux Vera do działań tak odrażających, by nie było wątpliwości, że zniszczenie stowarzyszenia raz na zawsze i oczyszczenie kurii z jego wpływów, jest w pełni usprawiedliwione.

- Historia stara jak świat - powiedział Gabriel. - Watykańska intryga, w której stawką jest ludzkie życie. Powiodło się lepiej, niż ojciec Donati mógł oczekiwać. Carlo Casagrande nasłał zabójcę na kardynała Brindisiego, po czym sam się zastrzelił. A potem ojciec Donati nagrodził Benedetta Foę, przekazując mu informacje o Crux Vera. Stowarzyszenie zostało skompromitowane i okryte hańbą.

- A kuria uwolniła się od jego trującego wpływu, przynajmniej na razie. - Papież wziął Gabriela za rękę i spojrzał mu prosto w oczy. - A teraz ja mam pytanie. Czy udzielisz mi przebaczenia za śmierć twojego przyjaciela?

- Nie w mojej mocy jest je dać, Wasza Świątobliwość.

Papież uniósł wzrok, spoglądając w stronę rzeki.

- Czasem w nocy, gdy wieje z tamtej strony wiatr, wciąż to słyszę. Warkot niemieckich ciężarówek. Krzyki ludzi błagających papieża, by coś uczynił. Czasem też, gdy patrzę na swoje ręce, widzę krew. Krew Benjamina Sterna. Wykorzystaliśmy go do prania naszych brudów. To przez nas zginął. - Obrócił się i spojrzał na Gabriela. - Potrzebuję twojego przebaczenia. Potrzebuję snu.

Gabriel popatrzył w jego oczy, po czym powoli skinął głową. Papież podniósł prawą rękę z wyciągniętymi palcami, ale na tym poprzestał. Położył dłonie na ramionach Gabriela i przycisnął go do piersi.

Ojciec Donati odprowadził Gabriela do wyjścia.

- Jakimś sposobem Lampart dostał się do papieskiego gabinetu, nim zastrzelił kardynała Brindisiego. Zostawił to na biurku papieża. Sądziłem, że możesz chcieć to obejrzeć.

Uścisnął Gabrielowi dłoń i zniknął w pałacu. Gabriel przeciął pustą przestrzeń placu Świętego Piotra w chwili, gdy dzwony bazyliki wybijały dziewiątą. Samochód Biura czekał obok Bramy Świętej Anny. Miał jeszcze czas, by zdążyć na nocny pociąg do Wenecji.

Otworzył kopertę. Krótka, ręcznie napisana notatka była odbitką ksero. Nie była nią kula kalibru dziewięciu milimetrów.

To mogło być Wasze, Wasza Świątobliwość.

Gabriel zwinął notatkę w ciasną kulkę. Chwilę później, gdy przekraczali Tyber, cisnął ją w czarną wodę. Kulę wsunął do kieszeni kurtki.

39

Grindelwald, Szwajcaria Pięć miesięcy później

Śniegi przyszły wcześnie. Listopadowa wichura przewaliła się w nocy przez szczyty Eigeru i Jungfrau, osadzając półmetrową warstwę miękkiego puchu na zboczach poniżej Kleine Scheidegg. Eric Lange po raz ostatni tego dnia zszedł z krzesełka wyciągu i z gracją zjechał po stoku wśród wydłużających się cieni późnego popołudnia.

Na dole skręcił z trasy i wjechał w sosnowy lasek. Słońce schowało się za łańcuch gór i zagajnik skrywał głęboki cień. Lange jechał na pamięć, bez trudu lawirując pomiędzy drzewami.

Zobaczył swój dom, przycupnięty na skraju lasu, patrzący ponad doliną w stronę Grindelwaldu. Podjechał do tylnego wejścia, zdjął rękawice i wklepał kod w klawiaturę przy drzwiach.

Usłyszał coś. Odgłos kroków na świeżym śniegu. Odwrócił się i zobaczył idącego w jego stronę mężczyznę. Granatowy kombinezon, krótkie, posiwiałe na skroniach włosy. Ciemne okulary. Lange rozerwał kurtkę i sięgnął po steczkina. Za późno. Mężczyzna w granatowym kombinezonie już trzymał wycelowaną w pierś Langego berettę i zbliżał się szybkim krokiem.

Izraelczyk... Lange był tego pewien. Wiedział, jak ich szkolono. Iść w stronę celu, strzelając. Strzelać, póki cel nie zginie.

Kiedy wyciągnął steczkina, Izraelczyk strzelił - pojedynczy strzał, który trafił Langego prosto w serce. Zwalił się na plecy w śnieg. Steczkin wysunął mu się z rąk.

Izraelczyk stanął nad nim. Lange przygotował się na ból, oczekując kolejnych strzałów, ale mężczyzna tylko wsunął okulary na czoło i patrzył z ciekawością na Langego. Jego oczy były niesamowicie zielone. Były ostatnią rzeczą, jaką widział Lange.

Gabriel zszedł w dół w zapadającym zmroku. Na brzegu kamienistego potoku czekał na niego samochód. Gdy podszedł, silnik już pracował. Chiara przechyliła się nad siedzeniem pasażera i pchnięciem ręki otworzyła drzwi. Gabriel wsiadł i zamknął oczy. To za ciebie, Beni, pomyślał. Za ciebie.

Posłowie

Spowiednik jest dziełem fikcyjnym. Kardynałowie i duchowieństwo, szpiedzy i zabójcy, tajna policja i tajne stowarzyszenia kościelne występujące w tej powieści są w większości wytworem wyobraźni autora; wątki dotyczące postaci i wydarzeń historycznych nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Jakiekolwiek podobieństwo do kogokolwiek, żyjącego lub nieżyjącego, jest zupełnie przypadkowe. Klasztor Najświętszego Serca Jezusowego w Brenzone nie istnieje. Martin Luther z Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeszy był obecny na konferencji w Wannsee, ale działania przypisane mu w *Spowiedniku* są wymysłem autora. Papież Pius XII sprawował władzę od 1939 roku aż do śmierci w 1958. Jego milczenie w obliczu zagłady europejskich Żydów, mimo ponawianych apeli aliantów, jest, używając słów Susan Zuccotti, faktem „niezaprzeczalnym i tylko sporadycznie kwestionowanym". Tak jak udzielanie pomocy Adolfowi Eichmannowi i innym nazistowskim zbrodniarzom przez przedstawicieli Kościoła po klęsce Trzeciej Rzeszy.

Obrońcy Piusa XII, włączając w to sam Watykan, przedstawiali go jako przyjaciela Żydów i głosili, że jego dyskretne działania dyplomatyczne uratowały setki tysięcy istnień. W opinii jego krytyków był to wyrachowany polityk, który, w najlepszym razie, wykazał się bezduszną i prawie że zbrodniczą obojętnością wobec tragedii Żydów. Uważa się, że ponosi część

odpowiedzialności za Holocaust.

Pełniejszy portret papieża Piusa XII mógłby powstać po przeanalizowaniu dokumentów ukrytych w Tajnych Archiwach Watykańskich, ale po ponad pół wieku od końca wojny Stolica Apostolska odmawia do nich dostępu poszukującym prawdy historykom. Pozwala korzystać jedynie z jedenastu tomów materiałów archiwalnych, zawierających głównie wojenną korespondencję dyplomatyczną, opublikowaną w latach 1965-1981. Na podstawie tych dokumentów, znanych jako „Actes et Documents du Saint Siège relatifs à la Seconde Guerre Mondiale", powstały liczne prace obiektywnie przedstawiające różne wydarzenia historyczne czasu wojny - i te dokumenty, które Watykan zechciał ujawnić.

Jakie obciążające Kościół materiały mogą spoczywać w Tajnych Archiwach? W październiku 1999 roku, chcąc uciszyć burzę, która powstała wokół kontrowersyjnego papieża, Watykan utworzył komisję składającą się z sześciu niezależnych historyków, mającą ocenić postępowanie Piusa XII i Stolicy Apostolskiej w czasie wojny. Po przejrzeniu już upublicznionych materiałów komisja orzekła: „Żaden szanujący się historyk nie może uznać tych wyselekcjonowanych dokumentów za materiał wystarczający do wydania ostatecznej opinii". Wysłano do Watykanu listę czterdziestu siedmiu pytań z prośbą o udostępnienie odpowiedniej dokumentacji z archiwów - zapisów takich jak „dzienniki, memoranda, listy pracowników, notatki z zebrań, projekty dokumentów" oraz osobiste papiery wysokich watykańskich urzędników, pracujących w czasie wojny. Upłynęło dziesięć miesięcy, a odpowiedzi nie było. Gdy stało się jasne, że Watykan nie ma zamiaru wydać tych dokumentów, komisja została rozwiązana, a jej prace nie zostały zakończone. Watykan gniewnie oskarżył trzech żydowskich członków komisji o „nieodpowiednie zachowanie" i prowadzenie „oszczerczej kampanii" przeciw Kościołowi, choć nie wysunięto podobnych oskarżeń wobec katolickich członków komisji.

Zgodnie ze źródłami cytowanymi przez dziennik „The Guardian" dostęp do archiwów został zablokowany „przez grupę osób kierowaną przez watykańskiego sekretarza stanu, kardynała Angela Sodano". Sądzono, że kardynał Sodano sprzeciwiał się otwarciu archiwów, gdyż stałoby się to niebezpiecznym precedensem i mogłoby narazić Watykan na kolejne dochodzenia, dotyczące podobnych spraw, takich jak na przykład stosunki Stolicy Apostolskiej ze zbrodniczymi reżimami Ameryki Łacińskiej.

Oczywiście w Kościele są też tacy, którzy chcieliby, by Watykan przedstawił pełniejszy obraz swego postępowania w czasie wojny wraz z bardziej zdecydowanym przyznaniem się do prześladowania Żydów przez Kościół. Arcybiskup Rembert Weakland z Milwaukee zdaje się być jednym z nich. „My, katolicy, przez wieki traktowaliśmy naszych żydowskich braci i siostry niezgodnie z prawami boskimi" - powiedział Kongregacji Szalom w Fox Point w stanie Wisconsin w listopadzie 1999 roku. „Te działania raniły społeczność żydowską przez wieki zarówno fizycznie, jak i psychologicznie". Po czym wygłosił znamienne oświadczenie:

- „Zdaję sobie sprawę, że my, katolicy, nauczając, iż Żydzi są ludźmi fałszywymi, hipokrytami i mordercami Boga, umniejszyliśmy godność ludzką naszych żydowskich braci i sióstr. Doprowadziliśmy do sytuacji, w której ich prześladowania zdawały się być zgodne z wolą bożą. Przyznaję, że postępując tak, katolicy przyczynili się do nastrojów, które uczyniły Holocaust możliwym".

Podziękowania

Ta powieść, podobnie jak dwie poprzednie, w których występuje Gabriel Allon, „The Kill Artist" i *Angielski zabójca,* nie mogłaby powstać bez wskazówek, wsparcia i życzliwości Davida Bulla. David rzeczywiście jest jednym z najlepszych konserwatorów dzieł sztuki na świecie. Jego encyklopedyczna wiedza z zakresu historii sztuki oraz znajomość weneckiego środowiska konserwatorskiego były dla mnie bezcenną inspiracją, za co jestem mu dozgonnie wdzięczny. Odpowiedział na wszystkie moje pytania, nawet te najbardziej kłopotliwe, przeczytał mój rękopis, by sprawdzić, czy nie popełniam błędów, i zawsze udawało mu się mnie rozśmieszyć.

Fred Francis, korespondent NBC News, zdobywca wielu nagród, podzielił się swoimi doświadczeniami z pracy w Watykanie i wspomnieniami z burzliwych lat, gdy we Włoszech szalał terror Czerwonych Brygad. Brian Ross, genialny reporter śledczy ABC News, uraczył mnie pikantnymi opowieściami o swoich zawodowych przygodach w Watykanie, między innymi o niesławnym spotkaniu z kardynałem Josephem Ratzingerem, które skończyło się spoliczkowaniem go przez Inkwizytora. EJ. Dionne, watykański wysłannik „The New York Times", pozwolił mi skorzystać z bogatych zasobów swojego lotnego i analitycznego umysłu, podobnie jak Daniel Jonah Goldhagen. Moi kuzyni, Axel Lorka i Stacey Blatt, szczegółowo i dowcipnie opisali mi czas spędzony przy Adalbertstrasse 68, co pozwoliło mi

tchnąć nieco życia w mieszkanie w Monachium. Włoskie władze - nikogo tu nie mogę wymienić z nazwiska - pozwoliły mi poznać struktury i metody działania sił bezpieczeństwa i policji tak dokładnie, jak tylko to było możliwe. Specjalne podziękowania należą się pracownikom izraelskich placówek w Rzymie.

Jeden z moich najlepszych przyjaciół, dziennikarz i pisarz Louis Toscano, i tym razem przeczytał mój manuskrypt i wprowadził istotne poprawki. Felietonista i komentator MSNBC, Bill Press, podzielił się wspomnieniami ze Szkoły Teologicznej na Uniwersytecie Katolickim we Fryburgu i sprawdził moją powieść pod kątem poprawności spraw dotyczących Kościoła. Rabin Mindy Portnoy z Tempie Sinai w Waszyngtonie był mi doradcą i przyjacielem, któremu udało zmienić się moje życie na lepsze.

Dowody na nową falę antysemityzmu w Europie są aż nadto dobrze widoczne w Rzymie, gdzie członkowie gminy żydowskiej modlą się co wieczór w synagodze otoczonej przez uzbrojone oddziały karabinierów. Podobnie jak w Wenecji, Żydzi traktowali mnie uprzejmie i dostarczyli mi niezapomnianych wrażeń. Moja przewodniczka po Wenecji, Valentina Ronzan z Museo Ebraico di Venezia, pokazała mi zakątki starej dzielnicy żydowskiej, o których nie wspomina żaden podręcznik historii.

Podczas pracy nad *Spowiednikiem* zaglądałem do wielu książek, artykułów i stron internetowych poświęconych pontyfikatowi papieża Piusa XII, Holocaustu i historii Kościoła rzymskokatolickiego. Wśród pisarzy, których prace okazały się szczególnie pomocne, są: John Cornwell, Susan Zuccotti, Garry Wills, David I. Kertzer, James Carroll, Michael Phayer, Gitta Sereny, Guenter Lewy, Michael Novak, Ronald Rychlak, Robert S. Wistrich, Kevin Madigan, Carl Bernstein, Thomas Reese, Daniel Jonah Goldhagen, Mark Aarons i John Loftus, Peter Hebblethwaite i Tad Szulc. Bez korzystania z ich ogromnej wiedzy nie byłbym w stanie napisać tej książki.

Na moje szczęście jestem reprezentowany przez najlepszego agenta w tej branży, Esther Newberg z International Creative Management.

Jak zawsze jej przyjaźń, wsparcie i propozycje redakcyjne były nieocenione. Jej utalentowana asystentka, Andrea Barzavi, była zawsze do dyspozycji, gdy jej potrzebowałem. Chciałbym również z całego serca podziękować doświadczonej ekipie redaktorskiej z wydawnictwa Penguin Putnam: Carole Baron, Danowi Harveyowi, Marilyn Ducksworth i szczególnie mojemu redaktorowi Neilowi Nyrenowi, za jego błyskotliwe uwagi i twardą rękę. Jego wkład był olbrzymi, porównywalny jedynie z moją wdzięcznością.

Podziękowania byłyby niekompletne, gdybym pominął moją żonę, Jamie, która cierpliwie mnie wysłuchiwała, zręcznie poprawiała moje pierwsze szkice i pomagała mi odnaleźć główną myśl powieści, gdy ta mi umykała. Ta książka jest jej zasługą i skoro już o tym mowa, wszystko inne też.